

# Okreś liniowy

C. S. FORESTER



calibre 0.7.3

C. S. FORESTER

## Okręt liniowy

Tłumaczyła: HENRYKA STĘPIEŃ

„WYDAWNICTWO MORSKIE” GDAŃSK

„TEKOP” GLIWICE

1991

Tytuł oryginału angielskiego: A Ship of the Line

Redaktor: Alina Walczak

Opracowanie graficzne: Erwin Pawlusiński, Ryszard Bartnik

Korekta: Teresa Kubica

© First published by Michael Joseph Ltd. 1938

ISBN 83-215-5790-2 „WM” ISBN 83-85297-48-0 „Tekop”

Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1991

we współpracy z „Tekop” Spółka z o.o. Gliwice

Bielskie Zakłady Graficzne zam. 1722/K

## Rozdział I

Kapitan Horatio Hornblower przeglądał zamazaną odbitkę, którą drukarze dostarczyli mu właśnie do mieszkania.

„Do wszystkich Młodych Ludzi Dzielnych D u c h e m — czytał. — Marynarzy, Mężczyzn z lądu i Chłopców pragnących walczyć o sprawę wolności i przyczynić się do tego, aby tyran z Korsyki przeklął chwilę, w której ściągnął na siebie gniew Wysp Brytyjskich. »Sutherland«, dwupokładowy okręt Jego Królewskiej Mości Króla Brytanii, uzbrojony w siedemdziesiąt cztery działa, jest właśnie doprowadzany w Plymouth do stanu gotowości bojowej i zostało jeszcze kilka w o l n y c h m i e j s c do kompletu załogi. Dowódca, kapitan H o r a t i o o H o r n b l o w e r, wrócił ostatnio z wyprawy na M o r z e P o ł u d n i o w e, podczas której, dowodząc fregatą »Lydia«, uzbrojoną w trzydzieści sześć dział, związał walką i z a t o p i ł d w a k r o ć s i l n i e j s z y dwupokładowy okręt hiszpański »Natividad«. Oficerowie, podoficerowie i marynarze z »Lydii«, wszyscy przeszli za nim na »Sutherlanda«. Jakiż człowiek mężny mógłby się oprzeć wezwaniu, by przyłączyć się do tej Kompanii Bohaterów i dzielić z nimi dalsze czekające ich splendory? Kto pokaże monsieur J e a n o w i C r a p a u d [1], że morza należą do Brytanii i że żaden francuski zjadacz żab nie ma tam czego szukać? Kto pragnie kapelusza pełnego złotych ludwików tytułem p r y z o w e g o? Będą na okręcie s k r z y p k o w i e i tańce co wieczór, i zaprowiantowanie — po pełnych s z e s n a ś c i e uncji w funcji [2] — najlepszy gatunek wołowiny, najwspanialszy chleb, a do tego g r o g, każdego dnia w południe i co niedziela. I to wszystko jako dodatek do ż o ł d u wypłacanego pod g w a r a n c j ą Jego Najmiłościwszego Majestatu Króla J e r z e g o! W m i e j s c u, gdzie przeczytacie to ogłoszenie, będzie oficer z królewskiego okrętu »Sutherland«, który wpisze na listę załogi wszystkich o c h o t n y c h z u c h ó w łaknących Sławy.”

Czytając odbitkę kapitan Hornblower walczył z opanowującym go uczuciem beznadziei. W każdym mieście, gdzie odbywają się jarmarki, można przeczytać tuziny takich apeli. Trudno się spodziewać, że uda mu się przyciągnąć rekrutów na zwykły liniowiec, gdy po kraju grasują dziarscy kapitanowie fregat o dwakroć głośniejszej reputacji, mogący podać sumy przyzowego istotnie zdobytego w poprzednich wyprawach. Wysłanie czterech poruczników, każdego w towarzystwie pół tuzina ludzi, na objazd południowych hrabstw z zadaniem werbowania rekrutów zgodnie z tym obwieszczeniem będzie go kosztowało niemal cały żołd, należny mu za czas ostatniej kampanii, i obawiał się, że pieniądze te okażą się wyrzucone na marne.

Jednakże coś trzeba było robić. „Lydia” dała mu dwustu wykwalifikowanych marynarzy (plakat nic nie mówił o tym, że przeniesiono ich pod przymusem, nie dawszy stanąć stopą na ziemi angielskiej po powrocie z dwuletniej wyprawy), lecz do kompletu załogi potrzebował jeszcze pięćdziesięciu marynarzy oraz dwustu szczerów lądowych, dorosłych mężczyzn i chłopców. Statek strażniczy nie znalazł nikogo. Niemożność uzupełnienia załogi mogła oznaczać utratę stanowiska dowódcy, a co za tym idzie, bezrobocie i połowę pensji — osiem szylingów dziennie — do końca życia. Nie miał absolutnie pojęcia, jak dalece jest w łaskach u Admiralicji, i przypuszczał, rzecz dla niego naturalna, iż jego zatrudnienie wisi na włosku.

Siedział postukując ołówkiem w odbitkę, a niepokój i przemęczenie wywołały przekleństwa

na jego usta — idiotyczne złorzeczenia, z których bezsensowności zdawał sobie w pełni sprawę w momencie, gdy je wypowiadał. Pilnował się jednak, by mówić przyciszonym głosem; Maria odpoczywała w sypialni za podwójnymi drzwiami i nie chciał jej obudzić. Maria (choć za wcześnie, aby mieć co do tego pewność) była przekonana, że jest w ciąży, i Hornblower czuł przesył jej nadmierną tkliwością. Gdy sobie o tym przypominał, rozdrażnienie jego wzrosło jeszcze bardziej; nienawidził ładu, konieczności pogoni za rekrutami, dusznej bawialni i utraty niezależności, w której zasmakował w czasie miesięcy swej ostatniej wyprawy. Ze złością sięgnął po kapelusz i wyszedł na palcach z pokoju. Posłaniec od drukarza czekał w hallu z czapką w ręku. Hornblower przechodząc wręczył mu odbitkę i szorstkim tonem polecił przygotowanie jednego grosa[3] plakatów, po czym ruszył w hałaśliwe ulice.

Na widok jego munduru mostowy przy barierze pomostu Halfpenny przepuścił go bez pobierania myta. Dwunastu wioślarzy u przewozu znało go jako kapitana „Sutherlanda” i każdy usiłował ściągnąć na siebie jego wzrok — za przewiezienie kapitana na okręt poprzez całą długość Hamoaze mogli się spodziewać hojnej zapłaty. Hornblower zajął miejsce w dwuwiosłowej łodzi; odczuł pewną satysfakcję, że nie odezwał się ani słowem, gdy odpychali łódź od brzegu i ruszali w długą, powolną żeglugę przez gęszcz stateczków, statków i okrętów. Wzorowy[4] przesunął prymkę w kącik ust i już miał rzucić jakąś banalną uwagę, lecz widząc nachmurzone oblicze pasażera i gniewną zmarszczkę na jego czole zreflektował się i zamiast słów wydał z siebie kasznięcie. Hornblower, który ani razu nie spojrzawszy otwarcie na wioślarza, doskonale widział, co się dzieje, poczuł, że humor poprawia mu się trochę. Zauważył grę mięśni w brązowych ramionach, kiedy człowiek ten wiosłował co sił; miał tatuowany nadgarstek, a w lewym uchu błyszczące cienkie kółko ze złota. Musiał być marynarzem, zanim zaczął pracować jako przewoźnik — Hornblower zapragnął niewymownie wziąć go ze sobą na pokład „Sutherlanda”; gdyby tylko mógł dostać w swe ręce kilka tuzinów prawdziwych marynarzy, skończyłyby się jego kłopoty. Ale ten właśnie na pewno ma zaświadczenie zwalniające go od służby wojskowej, w przeciwnym razie absolutnie nie mógłby uprawiać swego zawodu tu, gdzie zjeżdża się jedna czwarta personelu Brytyjskiej Marynarki Wojennej w poszukiwaniu załóg.

W składzie aprowizacyjnym i w stoczni, które mijali po drodze, roiło się także od mężczyzn; wszyscy nadawali się do służby wojskowej, a połowa z nich to marynarze — cieśle okrętowi i takielarze — Hornblower patrzył na nich pożądliwie i beznadziejnie, jak kot na złotą rybkę w akwarium. Przepłynęli wolno mimo dużego placu, gdzie splatano liny, obok masztówki i kadłuba hulka, na którym zamontowano dźwig nożycowy, minęli dymiące kominy fabryki sucharów. Oto i „Sutherland”, przycumowany do beczki za cyplem Bull; przypatrując się swemu okrętowi poprzez szerokość lekko rozhuśtanej wody Hornblower stwierdził, że w całkiem naturalnej dumie, jaką napełniało go nowe stanowisko, jest dziwna domieszka konserwatywnej niechęci. Obły kształt dziobu wyglądał dziwacznie w okresie, gdy każdy liniowiec budowany w Anglii miał galion, do którego od dawna przywykło jego oko; linie okrętu były niezgrabne i zdradzały (co Hornblower zauważał, ilekroć patrzył na „Sutherlanda”), że budując go zrezygnowano z innych zalet na rzecz małej głębokości zanurzenia. Wszystko na nim — oprócz kolumn masztowych będących pochodzenia angielskiego — wskazywało, że zbudowany został w Holandii z przeznaczeniem do żeglowania pomiędzy glinianymi obwałowaniami kanałów i po płytkich ujściach rzek wybrzeża holenderskiego. „Sutherland” — faktycznie dawny siedemdziesięcioczerodziałowy holenderski „Eendracht”, który zdobyto pod Texel — teraz, po przebrojeniu, był najbrzydszym i najmniej mile widzianym

dwupokładowcem na liście okrętów Brytyjskiej Marynarki Wojennej.

Niech Bóg ma mnie w swej opiece — pomyślał Hornblower patrząc na okręt z niesmakiem tym silniejszym, że wciąż jeszcze brakło mu ludzi do skompletowania załogi — jeśli miałbym kiedykolwiek manewrować na nim blisko brzegu po zawietrznej. Dryfowałby na zawietrzną jak papierowa łódeczka, a potem, na rozprawie sądu wojennego, nikt nie uwierzyłby w żadne gadanie o niedostatecznej dzielności morskiej okrętu.

— Lżej wiosłować! — rzucił do przewoźników i ludzie spoczęli, a wiosła przestały trzeć o dulki; odgłos fal bijących o burty łodzi stał się naraz wyraźniejszy.

Dryfowali na rozkołysanej wodzie, a Hornblower kontynuował nie zadowolające go oględziny. Okręt był świeżo pomalowany, ale w stocznii poskąpili farby — ponurej żółci i czerni nie ożywiała ani odrobina bieli czy szkarłatu. Zamożny kapitan albo pierwszy oficer uzupełniliby ten niedostatek z własnej kieszeni i kazaliby tu i ówdzie pacnąć pozłotą, ale Hornblower nie miał na to pieniędzy i wiedział, że Bush, utrzymujący ze swej pensji cztery siostry i matkę, też ich nie ma — choćby nawet jego zawodowa przyszłość zależała w pewnej mierze od wyglądu „Sutherlanda”. Niektórzy kapitanowie — co sobie Hornblower szczerze w duchu powiedział — nie przebijając w środkach wydusiliby ze stocznii więcej farby, a także pozłotę, jeśli już o to chodzi. Ale on nie nadawał się do tego i nawet perspektywa posiadania całej pozłoty świata nie mogłaby go skłonić, aby zaczął poklepywać po ramieniu urzędnika stocznii i zdobywać jego względy pochlebstwem i udawaną dobroduszością; powstrzymałoby go nie sumienie, lecz nieśmiałość.

Ktoś na pokładzie już go wypatrzył. Usłyszał świergot gwizdków towarzyszących przygotowaniom na jego przyjęcie. Niech poczekają jeszcze trochę; nie miał zamiaru dziś się śpieszyć. Pusty wewnątrz „Sutherland” unosił się wysoko na wodzie, ukazując szeroki pas miedzianych blach poszycia. Są nowe, dzięki Bogu. Idąc pełnym wiatrem to brzydkie stare okręcisko może rozwijać niezłą szybkość. W tej chwili wiatr obrócił go w poprzek pływu i wtedy odsłoniły się linie jego rufy. Oceniając wzrokiem kształt okrętu Hornblower zastanawiał się, jak można by wydobyć zeń maksimum tego, na co go stać. Pomagało mu w tym dwudziestodwuletnie doświadczenie w pływaniu po morzach. Przywoływał na myśl skomplikowany układ wszelkich sił, jakie będą działać na okręt w morzu, nacisk wiatru na żagle, równoważenie wpływu kliwrów odchyleniem steru, boczny opór stępki, tarcie powierzchniowe, uderzenia fal o dziób. Obmyślił w ogólnych zarysach wstępne ustawienie próbne, postanawiając (zanim próby praktyczne nie dadzą mu więcej danych), jak odchylił maszty od pionu i wytrzyma okręt. Natychmiast jednak przypomniał sobie z goryczą, że nie ma na razie ludzi do skompletowania załogi i że póki ich nie znajdzie, wszystkie te plany na nic się zdadzą.

— Naprzód! — krzyknął do przewoźników, którzy znów nacisnęli na wiosła z całą siłą.

— Złóż wiosło, Jake — powiedział bosakowy do wzorowego, oglądając się przez ramię.

Łódź zakręciła pod rufą „Sutherlanda” — miał nadzieję, że ci ludzie wiedzą, jak dobić do burty okrętu wojennego — ukazując Hornblowerowi galerię rufową, jedno z najbardziej dla niego atrakcyjnych miejsc na okręcie. Był zadowolony, że stocznia nie usunęła jej, jak to uczyniono na tyłu liniowcach. Tam, na tej galerii będzie mógł napawać się wiatrem, morzem i słońcem w

odosobnieniu nieosiągalnym na pokładzie. Każę sobie zrobić leżak i tam ustawić. Będzie mógł nawet robić gimnastykę poza zasięgiem czyjegokolwiek wzroku — galeria ma osiemnaście stóp długości i tylko pod nawisami balkonów bocznych trzeba się będzie nieco schylać. Hornblower tęsknił niewymownie do chwili, gdy znajdzie się na morzu, z dala od wszystkich dokuczliwych kłopotów łądu, przechadzając się po swej galerii rufowej w samotności, w której tylko mógł teraz szukać odprężenia. Lecz bez kompletnej załogi cała ta błoga perspektywa oddalała się na czas nieokreślony. Musi gdzieś zdobyć ludzi.

Pogrzebał w kieszeni, żeby zapłacić przewoźnikom, i chociaż tak bardzo brakowało mu srebra, nieśmiałość kazała mu dać im więcej, niż się należało, gdyż uważał, że tak właśnie postępują jego koledzy, kapitanowie okrętów liniowych.

— Dziękujemy, sir, dziękujemy — powiedział wzorowy kłaniając się uniżenie.

Hornblower wspiął się po trapie i wszedł przez furtę burtową, pomalowaną na brudnobrazowy kolor, która za czasów służby pod banderą holenderską musiała pięknie błyszczeć złoceniami. Rozświergotały się donośnie gwizdki bosmańskie, kompania piechoty morskiej sprezentowała broń, trapowi stanęli wyprężeni na baczność. Gray, zastępca oficera nawigacyjnego — porucznicy nie mieli wacht w porcie — który był oficerem służbowym, zsalutował, gdy kapitan przechodząc przez pokład rufowy dotknął swego kapelusza. Mimo że Gray był jego ulubieńcem, Hornblower nie raczył odezwać się do niego; postanowił twardo bronić się przed swoją skłonnością do zbytnej rozmowności. Rozejrzał się dookoła w milczeniu.

Pokłady zavalone były osprzętem, gdyż zakładano właśnie olinowanie, lecz Hornblower nie mógł nie zauważyć, że pod powierzchownym bałaganem kryje się porządek. Zwoje lin, grupy ludzi zajętych pracą na pokładzie, pomocnicy żaglomistrza zszywający marsel na baku — wszystko to dawało wprawdzie wrażenie nieładu, lecz był to nieład zdyscyplinowany. Surowe rozkazy wydane oficerom przynosiły owoce. Załoga „Lydii” usłyszawszy, że ma być przeniesiona w komplecie na „Sutherlanda” nie spędziwszy nawet ani dnia na łądzie, omal się nie zbuntowała. Teraz znów trzymał ją w garści.

— Oficer żandarmerii pragnie złożyć raport, sir — powiedział Gray.

— Proszę więc posłać po niego — odrzekł Hornblower.

Oficerem odpowiedzialnym za wdrażanie dyscypliny był człowiek nowy, nie znany Hornblowerowi, o nazwisku Price. Hornblower domyślił się, że chce on złożyć skargę na brak zdyscyplinowania, i westchnął, układając przy tym twarz w wyraz bezlitosnej surowości. Pewnie zajdzie konieczność chłosty, a on nienawidził myśli o krwi i katuszach. Jednakże obejmując dowództwo w tego rodzaju wyprawie, mając pod rozkazami krnąbrną załogę, musi bez wahania wymierzać chłostę w razie potrzeby — tak aby skóra schodziła z pleców winowajcy.

Price szedł już ku niemu po schodni na czele bardzo dziwnej procesji złożonej z trzydziestu mężczyzn, skutych parami ze sobą, z wyjątkiem dwóch ostatnich, którzy podzwaniali posępnie łańcuchami u nóg. Wszyscy niemal byli w łachmanach, niczym nie przypominających odzieży marynarskiej. Przeważnie składały się na nie strzępy worków, czasem sztruksu, a przyjrawszy się

baczniej Hornblower zobaczył, że jeden z ludzi ma na sobie resztki spodni moleskinowych[5]. Inny odziany był w coś, co było niegdyś przyzwoitym ubraniem z pierwszorzędnego czarnego sukna — przez dziurę na plecach przeświecała biała skóra. Wszyscy mieli szczeciniaste brody, czarne, brązowe, rudawe i siwe, a ci spośród nich, którzy nie byli łysi, mieli ogromne wiechcie skołtunionych włosów. Dwaj kaprale żandarmerii okrętowej zamykali pochód od tyłu.

— Stój! — krzyknął Price. — Czapki z łbów!

Szurając nogami, procesja mężczyzn o posępnych twarzach zatrzymała się na pokładzie rufowym. Niektórzy wbili oczy w pokład, inni z otwartymi ustami rozglądali się nieśmiało wokół siebie.

— Co, u diabła, znaczy to wszystko? — zapytał ostro Hornblower.

— Nowi, sir — odpowiedział Price. — Podpisałem kwit żołnierzom, co ich tu przyprowadzili, sir.

— Skąd ich wzięli? — rzucił Hornblower ostrym tonem.

— Z aresztu w Exeter, sir — odrzekł Price pokazując listę. — Czworo z nich to kłusownicy. Waites, ten tu, w spodniach moleskinowych, skazany za kradzież owieczek. A tamten, w czarnym — za bigamię, sir, był kierownikiem browaru, zanim mu się to przytrafiło. Reszta przeważnie złodziejaszki, sir, nie licząc tych dwóch z przodu, ich posadzili, bo podpalili stogi, no i ci dwaj, tam z tyłu, zakuci w żelazo. Ich zamkli za rabunek i gwałt.

— Hmm — chrząknął Hornblower. Na moment go zatkało. Nowo przybyli zerkali na niego, niektórzy z nadzieją w oczach, inni z nienawiścią, a jeszcze inni z obojętnością. Wybrali służbę na morzu zamiast szubienicy, deportacji albo więzienia. Swoją opłakany wygląd zawdzięczali miesiącom spędzonym w areszcie, w oczekiwaniu na rozprawę. Oto piękne uzupełnienie załogi okrętu — pomyślał Hornblower z goryczą — buntownicy w zarodku, ponure obiboki, wiejskie półgłupki. W każdym razie jednak jest to już jakaś siła robocza i musi wydusić z nich, co się da. Są przestraszeni, ponurzy i nieufni. Warto spróbować zdobyć ich przywiązanie. Po sekundzie namysłu instynktowny humanitaryzm podyktował mu, co ma robić.

— Czemu są jeszcze w kajdanach? — zapytał dość głośno, aby wszyscy go usłyszeli. — Natychmiast ich rozkuć.

— Przepraszam bardzo, sir — usprawiedliwiał się Price. — Nie chciałem bez rozkazu, sir, wiem przecież, co to za ptaszki i jak się tu dostali.

— To nie ma nic do rzeczy — rzucił ostro Hornblower. — Są teraz w służbie królewskiej. Na moim okręcie nie będzie człowieka w kajdanach, chyba że sam znajdę powód, żeby wydać taki rozkaz.

Hornblower pilnował się, aby nie spojrzeć w stronę nowych i słowa swe kierował dalej do Price'a — mimo że pogardzał sobą za uciekanie się do retorycznych sztuczek, wiedział, że taki

sposób przemawiania jest bardziej skuteczny.

— Nie chcę więcej widzieć nowych „pod opieką” żandarmerii — ciągnął z gniewem. — Są rekrutami w zaszczytnej służbie, z zaszczytną przyszłością przed sobą. Będę wdzięczny, jeśli pan tego dopilnuje na drugi raz. Proszę teraz znaleźć któregoś z pomocników intendenta i dopilnować, aby zgodnie z moim rozkazem wszyscy ci ludzie zostali odpowiednio przyodziani.

Zbesztanie podległego oficera w obecności ludzi mogło się odbić szkodliwie na dyscyplinie, lecz Hornblower wiedział, że w wypadku żandarma szkoda jest niewielka. Prędzej czy później i tak zaczną go nienawidzić — otrzymał przywileje w szarży i płacy po to, aby być kozłem ofiarnym niezadowolenia załogi. Teraz Hornblower mógł złagodzić surowy ton głosu i zwrócić się bezpośrednio do nowych.

— Człowiek spełniający swe obowiązki najlepiej jak potrafi — powiedział łagodnie — nie ma się czego obawiać na tym okręcie, a może oczekiwać wszystkiego, co najlepsze. A teraz chciałbym zobaczyć, jak szykownie zaprezentujecie się w nowym przyodziewku po zmyciu brudu miejsc, z których przybyliście. Rozejść się.

Pozyskałem sobie co najmniej paru tych biedaków, rzekł do siebie. Niektóre twarze, noszące przedtem wyraz posępnej rozpacz, jaśniały teraz nadzieją, gdy pierwszy raz od miesiący — a może i pierwszy raz w życiu — potraktowano ich jak ludzi, a nie jak bydłota. Patrzył jak oddalali się po półpokładzie przyburtowym. Biedaczyska; Hornblower uważał, że zrobili marny interes zamieniając więzienie na marynarkę wojenną. W każdym razie jednak było to trzydziestu ludzi z tych dwustu pięćdziesięciu, których potrzebował do ciągnięcia lin i pchania drągów, aby „Sutherland” mógł wyjść w morze.

Porucznik Bush wszedł śpiesznie na pokład rufowy i zaszalutował kapitanowi lekkim dotknięciem kapelusza. Smała, surowa twarz, z nie pasującymi do niej niebieskimi oczyma, zajaśniała równie nie pasującym uśmiechem. Hornblower poczuł dziwny ból, niemal wyrzut sumienia, widząc wyraźną przyjemność, jakiej Bush doświadczał na jego widok. Osobliwe to uczucie wiedzieć, że jest się podziwianym — można by nawet powiedzieć: kochanym — przez tego doskonałego marynarza, mistrza od wpajania dyscypliny i nieustraszonego wojaka, który mógł się chlubić posiadaniem wielu zalet, jakich Hornblowerowi brakowało we własnych oczach.

— Dzień dobry, Bush — odezwał się. — Czy widział pan naszych nowych rekrutów?

— Ćwiczyłem ze swoją wahtą służbę strażniczą na łodziach i dopiero co skończyłem. Skąd oni są, sir?

Hornblower powiedział, a Bush zatarł ręce z radości!

— Trzydziestu! — rzekł. — To niebywałe. Nigdy nie spodziewałem się więcej niż tuzina z Exeter. A dziś w Bodmin zaczyna się sesja wyjazdowa sądu. Prośmy Boga, żebyśmy i stamtąd dostali trzydziestu.

— Z aresztu w Bodmin nie otrzymamy wykwalifikowanych marynarzy — zauważył



Hornblower, niezmiernie rad ze spokoju, z jakim Bush przyjął wprowadzenie przestępców do załogi „Sutherlanda”.

— Nie, sir. Ale konwój zachodnioindyjski ma przybyć tu w tym tygodniu. Gwardziści powinni przycapnąć stamtąd ze dwustu. My dostaniemy dwudziestu, jeśli dadzą to, co się nam należy.

— Hmm — mruknął Hornblower i odwrócił się z zakłopotaniem. Nie należał do tego pokroju kapitanów — ani tych wybitnych, ani pochlebców — którzy mogli być pewni łask ze strony admirała-komendanta portu. — Muszę zajrzeć na dół.

Ta uwaga zmieniła dosyć skutecznie przedmiot ich rozmowy.

— Kobiety są niespokojne — rzekł Bush. — Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, pójdę lepiej także, sir.

Dolny pokład działowy, słabo oświetlony światłem dochodzącym przez pół tuzina otwartych furt strzelniczych, przedstawiał dziwny widok. Znajdowało się tam pięćdziesiąt kobiet, kilka jeszcze w hamakach; leżąc na boku przyglądały się pozostałym. Inne siedziały w grupkach na pokładzie i gadały podniesionymi głosami, któraś targowała się przez furty strzelnicze o żywność z ludźmi w łodziach z łądu unoszących się na wodzie tuż przy okręcie; siatki przeznaczone do zapobiegania dezercji miały oczka dostatecznie szerokie, aby można było przesunąć przez nie rękę. Dwie inne, każda wspierana przez dodającą otuchy gromadkę, kłóciły się zajadle. Stanowiły osobliwy kontrast — jedna była duża i ciemna, tak postawna, że musiała zgiąć się pod belkami pokładu wysokiego tu na pięć stóp, a druga — mała, pękata i jasnowłosa — stała odważnie przed groźną przeciwniczką.

— Tak właśnie powiedziałam — powtarzała uparcie. — I jeszcze raz powiem to samo. Nic się ciebie nie boję, ty, pani Dawsonowa, jak to siebie nazywasz.

— Ach! — wrzasnęła ciemnowłosa na tę koronną zniewagę. Runęła naprzód i porwała tę drugą za włosy potrząsając jej głową to w jedną, to w drugą stronę, jakby miała wnet ją urwać. W rewanżu nieulękła przeciwniczka drapała ją po twarzy i kopała w golenie. Szamotały się trzepocząc halkami, gdy jedna z kobiet w hamakach krzyknęła ostrzegawczo:

— Przestańcie, suki. Kapitan jest tutaj.

Odpadły od siebie ciężko dysząc, z potarganymi włosami. Wszystkie oczy zwróciły się ku Hornblowerowi, gdy kroczył przez plamy światła i cienia schylając głowę pod pokładem.

— Następna niewiasta, która wda się w bijatykę, znajdzie się natychmiast na łądzie — warknął.

Ta ciemna odgarnęła włosy z oczu i prychnęła pogardliwie.

— M n i e nie potrzebuje pan wyrzucać na brzeg, kapitanie — powiedziała. — Sama idę. Z tego głodującego statku nie wydusi się złamanego grosza!

Wyraziła widocznie uczucie, które podzielało wiele kobiet, gdyż po jej słowach rozległ się

lekki szmer aprobaty.

— Czy mężczyźni n i g d y nie dostaną swojego zarobku? — pisnęła kobieta w hamaku.

— Dość tego! — krzyknął nagle Bush. Przepchnął się ku przodowi, pragnąc uchronić kapitana od zniewag, na jakie został narażony przez rząd, który trzymał ludzi w porcie od miesiąca bez wypłaty tego, co im się należało. — Ty tam, co robisz w hamaku po ósmym dzwonie?

— Jeśli pan sobie życzy, panie poruczniku, to wyjdę — powiedziała, odrzucając koc i zwieszając nogi na pokład. — Rozstałam się z suknią, żeby kupić kiełbasy mojemu Tomowi, a za halkę dostałam dla niego kwaterkę piwa West Country. I co, panie poruczniku, mam zejść w koszuli?

Po pokładzie przeleciał chichot.

— Właż z powrotem i zachowuj się przyzwoicie — wymamrotał Bush, z rumieńcem zakłopotania na twarzy.

Hornblower też się śmiał — może dlatego, że był żonaty, widok półnagiej kobiety nie wprowił go w taką panikę, jak jego pierwszego oficera.

— Nie będę mogła zrobić się przyzwoitą — odezwała się niewiasta wciągając nogi na hamak i spokojnie owijając się kocem — póki mój Tom nie dostanie kwitu na żołąd.

— A kiedy dostanie — odezwała się jasnowłosa — co może z nim zrobić, jak mu nie dają wyjść na brzeg? Sprzeda za ćwierć wartości któremuś złodziejowi ze statku prowiantowego.

— Piątaśka za żołąd za dwadzieścia trzy miesiące! — dodała druga.

— A mnie stuknął miesiąc ciąży.

— Hola, ty tam — powiedział Bush.

Hornblower dał znak odwrotu, rezygnując z celu inspekcyjnej wizyty na dole, czy może raczej: zapominając o nim. Nie mógł stać i patrzeć w oczy tym kobietom, gdy znów wyszła sprawa żołądu. Mężczyzn potraktowano w sposób skandaliczny, uwięziono na okręcie w zasięgu widoku lądu, a ich żony (niektóre na pewno były żonami, chociaż zgodnie z przepisami Admiralicji wystarczyło zwykłe ustne stwierdzenie istnienia małżeństwa, by je wpuścić na pokład) miały uzasadniony powód do skarg. Nikt, nawet Bush, nie wiedział, że te parę gwinei rozdzielonych między załogę stanowiły znaczną część poborów należących się Hornblowerowi — faktycznie wszystko, co mógł wydać ponad niezbędną sumę przeznaczoną na opłacenie wydatków, jakie jego oficerowie będą musieli ponosić w czasie wyprawy po ludzi do załogi.

Jego żywa wyobraźnia i wrażliwość, absurdalna, jeśli chodzi o tych ludzi, wyolbrzymiała być może niedostatki, jakie cierpieli. Myśl o wspólnym bytowaniu pod pokładami, gdzie mężczyzna miał przestrzeń szerokości osiemnastu cali na rozwieszenie swego hamaka, a jego żona te same osiemnaście cali obok niego, wszyscy w długim rzędzie, mężowie, żony i kawalerowie —

przerażała go. Tak samo zresztą jak myśl o kobietach, które muszą żyć na obrzydliwym wikcie dolnego pokładu. Być może nie wziął dostatecznie pod uwagę hartującego wpływu długotrwałego przyzwyczajenia.

Wyszedł przez luk dziobowy zjawiając się nieoczekiwanie na pokładzie głównym. Thomson, jeden ze starszych na baku, zabrał się właśnie do nowych członków załogi.

— Może i zrobimy z was marynarzy — mówił — a może i nie. Bardziej prawdopodobne, że wyfruniecie za burtę z żelazną kulą u nóg, przedtem nim zobaczycie Ushant[6]. Choć także szkoda dla was dobrego pocisku. Dalej no, jazda pod pompę. Niech zobaczą kolor waszej skóry, wy hultaje. A jak knut pójdzie w robotę, to wasze grzbiety nabiorą koloru, wy...

— Dość tego, Thompson! — krzyknął z wściekłością Hornblower.

Zgodnie z wprowadzonym przez niego regulaminem nowi członkowie załogi poddawani byli odwszeniu. Nadzy i drżący, stali w grupkach na pokładzie. Dwóch z nich strzyżono właśnie na zero; tych, którzy przeszli już tę operację (było ich z tuzin i wyglądali dziwnie niezdrowo i nie na miejscu ze swą więzienną bladością), Thompson pędził stadem do pompy na pokładzie przeznaczonym do mycia, a kilku marynarzy szczerząc zęby pompowało wodę. Nowi trzęśli się tyleż ze strachu, co z zimna — żaden z nich pewnie nigdy dotąd się nie kąpał i z tą perspektywą, z mrożącymi krew w żyłach uwagami Thompsona w uszach, w tym obcym sobie środowisku przedstawiali naprawdę żaloszny widok.

Rozwścieczyło to Hornblowera, który z niewytłumaczonych przyczyn nie zapomniał dotąd cierpień z okresu swych pierwszych dni na morzu. Czuł wstręt do tyranizowania w równym stopniu jak do każdej postaci nieuzasadnionego okrucieństwa i absolutnie nie solidaryzował się z wysiłkami wielu swoich kolegów oficerów, mającymi na celu pogębienie podlegających im ludzi. Któregoś dnia jego reputacja zawodowa i jego przyszłość mogą zależeć właśnie od tego, czy ci ludzie ochoczo i z całą dobrą wolą będą ryzykowali swe życie — poświęcając je, w razie konieczności — a nie mógł sobie wyobrazić, aby ludzie zastraszeni i złamani na duchu byli zdolni do tego. Strzyżenie i kąpiel są niezbędne, jeśli okręt ma być wolny od pcheł, wszy i pluskiew, które uprzykrzyłyby żywot na pokładzie, lecz nie miał zamiaru pozwolić, aby przedstawiający dla niego wartość ludzie zostali zastraszeni ponad konieczność. Rzecz ciekawa, że Hornblower, który nigdy nie umiał dojrzeć w sobie cech przywódcy, zawsze raczej przewodził, niż poganiał.

— Idźcie, ludzie, pod pompę — przemówił łagodnie, a gdy się dalej wahali, dodał: — Gdy wyjdziemy w morze, m n i e s a m e g o zobaczycie co rano pod tą pompą o siódmym dzwonie. Czyż nie tak?

— Tak jest, sir — odkrzyknęli chórem marynarze przy pompie; dziwne zwyczaje kapitana, który kazał każdego ranka łać na siebie zimną wodę morską, były na „Lydii” częstym powodem dyskusji.

— No to ruszcie się, a może kiedyś wy wszyscy zostanieie kapitanami. Ty, Waites, pokaż innym, że się nie boisz.

Szczęśliwym trafem Hornblowerowi udało się nie tylko zapamiętać nazwisko, ale i rozpoznać w nowym odzieniu Waitesa, tego złodzieja owiec, w moleskinowych spodniach. Zerkali na błyszczącego splendorem kapitana, który — ubrany w mundur ze złotym szamerunkiem — przemawiał wesołym tonem i którego godność dopuszczała przeciw codzienną kąpiel. Waites zebrał się, dał nura pod pluskający wodą wąż i sapiąc obracał się bohatersko pod zimną wodą. Ktoś rzucił mu cegielkę, żeby się wyszorował, a pozostali zaczęli się przepychać, by dostać się przed innymi — biedni głupcy, są jak owce; wystarczy spowodować, aby jeden się ruszył, a reszta pójdzie za nim.

Hornblower dojrzał czerwoną, zaognioną pręgę na czyimś białym ramieniu. Skinął na Thompsona, żeby odszedł na bok, gdzie by ich nie słyszano.

— Thompson, pozwoliłeś sobie za dużo z tym swoim starterem — rzekł.

Thompson uśmiechnął się niepewnie, bawiąc się kawałkiem liny o długości dwóch stóp, zakończonej węzłem, którą podoficerowie zwykli byli pobudzać aktywność ludzi pod swymi rozkazami.

— Nie chcę mieć na swoim okręcie podoficera — ciągnął Hornblower — który nie wie, kiedy używać startera, a kiedy nie. Ci ludzie nie przyszli jeszcze do siebie i bicie nic tu nie pomoże. Jeszcze jeden taki błąd, Thompson, a zdegraduję cię. A wtedy przez cały czas trwania podróży będziesz czyścił codziennie ustępy okrętowe. To wystarczy.

Thompson skurczył się, stropiony prawdziwością gniewu Hornblowera.

— Panie Bush, proszę mieć oko na niego — dodał Hornblower. — Czasem zbesztany podoficer odgrywa się jeszcze bardziej na ludziach, żeby sobie powetować. A nie chciałbym, by to miało miejsce.

— Tak jest, sir — odrzekł Bush.

Hornblower był jedynym ze znanych mu ze słyszenia kapitanów, który zawracał sobie głowę z powodu stosowania „starterów”. „Startery” w tym samym stopniu składały się na treść życia marynarki wojennej, jak złe jedzenie, osiemnaście cali na hamak i niebezpieczeństwa morza. Bush nie potrafił nigdy zrozumieć metod, jakimi Hornblower utrzymywał dyscyplinę. Przeraził się naprawdę słysząc, jak jego kapitan przyznaje się publicznie, że i on kąpie się pod pompą na pokładzie. Było szaleństwem pozwolić ludziom sądzić, że są z tej samej gliny co ich kapitan. Ale dwa lata służby pod rozkazami Hornblowera nauczyło go, że jego dziwne metody czasami dawały zadziwiające rezultaty. Był gotów słuchać go lojalnie, choć ślepo, zrezygnowany, a pełen podziwu.

## Rozdział II

— Chłopiec z oberży „Pod Aniołem” przyniósł list, sir — powiedziała gospodyni, gdy Hornblower zaprosił ją do wejścia usłyszawszy pukanie do drzwi saloniku. — Czeka na odpowiedź.

Hornblowera przebiegł dreszcz, gdy przeczytał adres — wyraźne kobiece pismo, które rozpoznał, mimo że minęły miesiące od czasu, gdy je widział po raz ostatni, znaczyło dla niego tak

wiele. Przemówił do żony, starając się ukryć swe uczucia:

— Zaadresowany do nas obojga, kochanie. Czy mam otworzyć?

— Jak chcesz — odparła Maria.

Hornblower złamał pieczęć z opłatka i rozpostarł pismo.

Gospoda „Pod Aniołem”, Plymouth

4 maja 1810

Kontradmirał Sir Percy i Lady Barbara Leighton poczytaliby sobie za zaszczyt, gdyby kapitan Horatio Hornblower i Jego Małżonka zechcieli zjeść z nimi obiad pod podanym wyżej adresem jutro, tj. piątego, o godzinie czwartej.

— Admirał jest „Pod Aniołem”. Chce, żebyśmy zjedli z nim jutro obiad — powiedział Hornblower na tyle obojętnie, na ile pozwoliło mu bijące mocno serce. — Jest z nim Lady Barbara. Myślę, kochanie, że musimy przyjąć to zaproszenie.

Podał pismo żonie.

— Mam tylko tę niebieską suknię z trenem — zaniepokoiła się Maria, podnosząc oczy znad listu.

Otrzymawszy zaproszenie, kobieta natychmiast zaczyna się zastanawiać, co na siebie włoży. Hornblower spróbował nagiąć swój umysł do zajęcia się sprawą niebieskiej sukni z trenem, gdy tymczasem serce jego śpiewało z radości, że Lady Barbara jest tu, oddalona od niego zaledwie o dwieście jardów.

— Wygląda świetnie na tobie, moja droga — powiedział. — Wiesz przecież, jak bardzo mi się zawsze podobała.

Trzeba by znacznie lepszej sukni, żeby wyglądała dobrze na przysadzistej figurze Marii. Hornblower wiedział jednak, że muszą — m u s z ą przyjąć zaproszenie i że w związku z tym powinien rozproszyć wątpliwości Marii. Nie ma znaczenia, co będzie miała na sobie, jeśli tylko uzna, że jej w tym do twarzy. Uśmiech Marii uszczęśliwionej z komplementu ukłął sumienie Hornblowera. Czuł się jak Judasz. Przy Lady Barbarze Maria będzie wyglądała pospolicie, nieciekawie i źle ubrana, wiedział jednak, że póki będzie udawał, iż ją kocha, pozostanie szczęśliwa i nieświadoma niczego.

Odpisał w starannie dobranych słowach, że przyjmują zaproszenie i zadzwonił, by wręczono odpowiedź posłańcowi. Potem wstał i zapiął mundur.

— Muszę udać się na okręt — rzekł.

Pełne wyrzutu spojrzenie Marii zabolowało go. Wiedział, że cieszyła się na wspólne spędzenie

popołudnia i prawdę powiedziałwszy, nie zamierzał być na okręcie tego dnia. To była tylko wymówka, chęć ucieczki w samotność. Nie mógł znieść myśli o pozostaniu w tej bawialni z Marią i jej paplaniną — czułby się jak w klatce. Pragnął zostać sam, by się napawać świadomością, że Lady Barbara jest w tym samym mieście i że jutro ją zobaczy. Myśli kłębiące się w jego mózgu nie dały mu usiedzieć spokojnie. Mógłby śpiewać z radości, gdy szedł żwawym krokiem do przewozu, odpychając wspomnienie pełnego szacunku przyzwolenia Marii na jego odejście — doskonale wiedziała, jak wielkie wymagania stawia przed kapitanem objęcie dowództwa okrętu liniowego.

Pod wpływem gwałtownego pragnienia samotności ponaglał wioślarzy łodzi, aż zaczęli spływać potem. Wszedłszy na okręt w pośpiechu zasalutował oficerom, powitał oficera wachtowego i skierował się spieszenie na dół, by pogrążyć się w upragnionej samotności i spokoju. Tysiąc spraw czekało na załatwienie, lecz żadnej nie poświęcił ani sekundy. Przeszedł dużymi krokami przez kabinę, w której panował nieład spowodowany przygotowaniem jej na mieszkanie dla niego, i wyszedł przez okno na wielką galerię rufową. Tu, niewidoczny dla nikogo, oparł się o poręcz i zaczął patrzeć na wodę.

Szedł odpływ i przy wietrze lekko od północnego wschodu galeria rufowa „Sutherlanda” była zwrócona na południe, dając widok na Hamoaze. Na lewo leżała stocznia, ruchliwa jak ul. Na wprost przed nim połyskliwa woda usiana była statkami i łodziami z lądu, które kręciły się tam i z powrotem. W dali, ponad dachami magazynu prowiantowego dostrzegł Mount Edgumbe — Plymouth skryte za Diabelskim Cyplem było poza zasięgiem jego oczu; nie będzie miał satysfakcji spoglądania na dach, pod którym przebywa Lady Barbara.

Wszelako jest tam i jutro ją zobaczy. Ogarnięty ekstazą ścisnął kurczowo poręcz, aż poczuł ból w palcach. Odwrócił się i zaczął chodzić po galerii tam i z powrotem, z rękami założonymi do tyłu, pochylając się pod nawisami balkonów. Ból, którego doznał, gdy trzy tygodnie temu usłyszał o małżeństwie Lady Barbary z admirałem Leightonem, już minął. Była tylko radość ze świadomości, że ona wciąż go pamięta. Hornblower pieścił się z myślą, że mogła przybyć z mężem do Plymouth w nadziei zobaczenia go. Było to rzeczą możliwą — Hornblower odsuwał od siebie przypuszczenie, że być może powodowała nią chęć spędzenia jeszcze kilku dni ze świeżo poślubionym małżonkiem. Nakłoniła pewnie Sir Percy'ego, by wysłał to zaproszenie natychmiast po przybyciu. Hornblower nie wziął w rachubę tego, że każdemu admirałowi musi zależeć, aby jak najszybciej przyjrzeć się nie znanemu kapitanowi oddanemu pod jego rozkazy. Musiała namówić Sir Percy'ego, żeby prosił w Admiralicji o przydzielenie Hornblowera do jego eskadry — to by wyjaśniało, czemu znaleźli dla niego nowy okręt i nowe zadanie, nie trzymając go nawet miesiąc na połowie pensji. To Lady Barbarze zawdzięcza ten bardzo potrzebny dodatek dziesięciu szylingów dziennie do pensji, związany ze stanowiskiem dowódcy okrętu liniowego.

Ma już teraz za sobą jedną czwartą kapitańskiego stażu potrzebnego do awansu na wyższy stopień. Za mniej niż dwadzieścia lat — a więc sporo przed sześćdziesiątką — jeśli będzie dalej otrzymywał podobne stanowiska, podniesie swą flagę jako admirał. A wtedy mogą go posłać na emeryturę, jak zechcą. Jemu wystarczy ranga admirała. Na połowie pensji admirałskiej będzie mógł zamieszkać w Londynie, znaleźć protektora, który wysunie jego kandydaturę do parlamentu. Pozna, co to potęga, zaszczyty i poczucie bezpieczeństwa. Wszystko to było rzeczą możliwą — że Lady Barbara wciąż go pamięta, że miło wspomina i chce go znów widzieć, chociaż zachował się tak

niedorzecznie wobec niej. Znow opanował go doskonały nastrój.

Mewa, krążąca pod wiatr na nieruchomych skrzydłach, zawisa nagle w powietrzu tuż przed nim i skrzeknęła ochryple. Przez chwilę z piskiem miotła się ślepo po galerii, bijąc skrzydłami, by równie nagle odlecieć znowu w dal. Hornblower odprowadził ją wzrokiem, a gdy znow podjął przechadzkę, tok jego myśli został przerwany. Natychmiast wróciła znow świadomość przekłętego niedostatku ludzi do pracy. Jutro będzie musiał niestety przyznać się admirałowi, że na „Sutherlandzie” wciąż brakuje stu pięćdziesięciu ludzi do kompletu i w ten sposób sprawi mu zawód już przy wypełnianiu pierwszego obowiązku kapitańskiego. Oficer może być najświetniejszym żeglarzem i najbardziej nieustraszonym wojakiem (Hornblower wprawdzie nie myślał o sobie w ten sposób), a mimo to jego talenty będą bezużyteczne, jeśli nie potrafi znaleźć ludzi na swój okręt.

Być może Leighton w ogóle nie zabiegał o jego usługi i trafił on do jego eskadry przez jakiś figiel losu. Leighton będzie go podejrzewał, że był kochankiem jego żony i trawiony zazdrością będzie czatował na każdą okazję, by doprowadzić go do ruiny. Uczyni jego życie piekłem, będzie go prześladował do szaleństwa, aż doprowadzi do załamania i do zwolnienia ze służby — byle admirał potrafi zniszczyć każdego kapitana, jeśli się uprze. Może Lady Barbara umyśliła sobie oddać go w ten sposób w moc Leightona i przygotowywała jego upadek, by się zemścić, że tak ją potraktował na okręcie. To wygląda znacznie bardziej prawdopodobnie niż poprzednie dzikie rojenia, pomyślał Hornblower. Przebiegł go zimny dreszcz.

Musiała po prostu odgadnąć, jakiego rodzaju kobietą jest Maria, i wysłała zaproszenie, aby rozkoszować się jej ułomnościami. Jutrzejszy obiad będzie dla niego jednym długim pasmem poniżeń. Musiałby poczekać jeszcze co najmniej dziesięć dni, by móc pobrać zaliczkę na poczet swojej następnej pensji kwartalnej; gdyby nie to, zabrałby Marię, żeby kupić jej najlepszą suknię, jaką można dostać w Plymouth — chociaż co pomoże suknia z Plymouth przy blasku córki lorda, która na pewno wszystkie swe stroje sprowadza z Paryża? Teraz, po wysłaniu swych czterech poruczników, Busha, Gerarda, Raynera i Hookera, na poszukiwanie rekrutów, nie zostało mu wszystkiego razem nawet dwadzieścia funtów. Wzięli ze sobą trzydziestu ludzi, jedynych, którym można było zaufać na całym okręcie. W konsekwencji na dolnym pokładzie mogą powstać kłopoty — być może akurat jutro, gdy on będzie jadł obiad ze swym admirałem.

Dalej nie mógł się już posuwać w swych ponurych przewidywaniach. Potrząsnął głową z rozdrażnieniem i uderzył mocno o jedną z belek balkonu burtowego. Zacisnął pięści i jak tysiące razy przedtem zaczął złorzeczyć na swoją służbę. To sprawiło, że roześmiał się sam z siebie — gdyby Hornblower nie potrafił w ogóle się śmiać z siebie samego, powiększyłby dawno listę grona obłąkanych kapitanów marynarki wojennej. Wziął się mocniej w garść i zmusił do tego, by pomyśleć serio o przyszłości.

Rozkazy przydzielającego go do eskadry admirała Leightona mówiły krótko, że skierowany został do służby w zachodniej części Morza Śródziemnego, a była to niespotykana łaskawość ze strony lordów z Admiralicji, że powiedzieli mu aż tyle. Znał kapitanów, którzy zaopatrzyli się odpowiednio spodziewając się służby w Indiach Zachodnich, by się dowiedzieć, że przydzielono ich do konwoju bałtyckiego. Zachodnia część Morza Śródziemnego oznaczała blokadę Tulu, ochronę Sycylii, nękanie genueńskich statków przybrzeżnych i przypuszczalnie także udział w wojnie w Hiszpanii. A więc w każdym razie żywot znacznie bardziej urozmaicony niż przy blokadzie Brestu;

choć teraz, gdy Hiszpania jest sprzymierzeńcem Anglii, szansę na przyzwołe będą znacznie mniejsze.

Jego zdolność porozumiewania się po hiszpańsku wydawała się wskazywać z całą pewnością, że „Sutherland” ma być zatrudniony na wybrzeżu Katalonii, we wspólnych działaniach z armią hiszpańską. Tam właśnie odznaczył się lord Cochrane, lecz teraz jest on w niełasce. Na jego opinii wciąż jeszcze ciąży echo sądu wojennego, jaki się odbył po akcji na redzie biskajskiej, i Cochrane będzie miał szczęście, jeśli znowu dostanie okręt — jest on dobitnym przykładem szaleńczego postępowania oficera w służbie czynnej, polegającego na mieszaniu się do polityki. Może, myślał Hornblower, próbując walczyć naraz z optymizmem i pesymizmem, Admiralicja zamierza dać go na miejsce Cochrane'a. Jeśli tak, to znaczy, że jego zawodowa reputacja jest znacznie lepsza, niż sam ośmielał się przypuszczać. Hornblower musiał stłumić uczucia, jakie myśl ta w nim obudziła; spostrzegł, że szczerzy zęby sam do siebie na wspomnienie, że przed chwilą nadmiar emocji doprowadził go do tego, iż wyrzwał głowę w belkę.

To go uspokoiło i zaczął perswadować sobie filozoficznie, że wszystkie te przewidywania to jedynie strata energii; i tak dowie się prędzej czy później i choćby martwił się nie wiem jak, nie zmieni to ani na jotę tego, co mu przeznaczono. Na morzu znajduje się sto dwadzieścia brytyjskich liniowców i blisko dwieście fregat, a na każdym z tych trzystu dwudziestu okrętów jest kapitan, bóg dla własnej załogi i marionetka w rękach Admiralicji. Musi postępować jak człowiek rozsądny, wygnać z głowy te wszystkie mrzonki, wrócić do domu i spędzić spokojny wieczór z żoną, nie martwiąc się myślami o przyszłości.

Mimo to jednak, gdy zszedł z galerii rufowej, by wezwać gig, żeby go zabrał z powrotem, ogarnęła go nowa fala gorączkowej radości na myśl, że jutro ujrzy Lady Barbarę.

### Rozdział III

— Czy dobrze wyglądam? — spytała Maria skończywszy się ubierać.

Hornblower zajęty zapinaniem galowego munduru podniósł wzrok na nią i zmusił się do pełnego podziwu uśmiechu.

— Uroczo, moja droga — odrzekł. — Ta suknia lepiej uwydatnia twoją figurę niż wszystkie poprzednie.

Jego takt nagrodzony został uśmiechem. Nie ma sensu mówić Marii prawdy, powiedzieć jej, że ten właśnie odcień niebieskiego klóci się z intensywną czerwienią jej policzków. Ze swą krępą figurą, prostymi czarnymi włosami i brzydką cerą Maria nie może robić wrażenia kobiety eleganckiej. W najlepszym wypadku wyglądała na żonę sklepikarza; w najgorszym na sprzątaczkę odzianą w strojne szaty, które znudziły się jej pani. Te kanciaste czerwone dłonie, pomyślał Hornblower patrząc na nie, są jak dłonie pomywaczki.

— Wezmę moje paryskie rękawiczki — rzekła Maria zauważywszy jego spojrzenie. To właśnie było niesamowite, ten sposób, w jaki pragnęła uprzedzić każde jego życzenie. Jest w jego mocy zranić ją boleśnie; gdy to sobie uświadomił, zrobiło mu się przykro.



— Coraz lepiej — powiedział szarmancko. Stał przed lustrem i obciągał na sobie mundur.

— Do twarzy ci w stroju galowym — zauważyła Maria z podziwem.

Pierwszą rzeczą, którą uczynił Hornblower po powrocie „Lydii” do Anglii, był zakup nowych mundurów — w czasie ostatniej wyprawy miały miejsce poniżające sytuacje spowodowane ubóstwem jego garderoby. Patrzył z aprobatą na swoje odbicie w lustrze. Mundur miał z najlepszego niebieskiego sukna. Zwisające z ramion ciężkie epolety były ze szczerego złota, tak samo szerokie złociste lamówki i brzegi dziurek na guziki. Mankiety i guzy połyskiwały przy każdym ruchu, przyjemnie było oglądać grube złote pasy na rękawach munduru, oznaczające kapitana z przeszło trzyletnim stażem. Krawat miał z grubego jedwabiu chińskiego. Podobał mu się krój bryczesów z białego materiału w prążki. Grube jedwabne pończochy białego koloru były najlepsze, jakie mógł znaleźć — ciesząc nimi wzrok pomyślał nagle z wyrzutem sumienia, że Maria ma na nogach tanie pończochy bawełniane po cztery szylingi para. Od czubka głowy po pięty ubrany był jak powinien być ubrany dżentelmen; miał zastrzeżenia tylko co do butów. Sprzączki były z tombaku i obawiał się, że ich mosiężny połysk zostanie uwydatniony przez kontrast z prawdziwym złotem zdobiącym wszystkie inne części stroju — gdy kupował buty, jego fundusze były już na wyczerpaniu i nie odważył się wydać dwudziestu gwinei na złote sprzączki. Musi tego wieczoru uważać, by nie ściągać niczyjego wzroku na swe stopy. Wielka szkoda, że szpada wartości stu gwinei, przyznana mu przez Fundusz Patriotyczny za walkę z „Natividad”, jeszcze do niego nie dotarła. Musi dalej nosić tę starą za pięćdziesiąt gwinei, którą otrzymał osiem lat temu jeszcze jako porucznik, po zdobyciu „Castilli”.

Wziął swój trójgraniasty kapelusz — i na nim guz i lamówka były ze szczerego złota — i rękawiczki.

— Jesteś gotowa, kochanie? — spytał.

— Całkiem gotowa, Horatio — odrzekła Maria. Dawno poznała, jak bardzo nie znosi on niepunktualności, i dbała o to, aby nigdy nie narazić mu się w tym względzie.

Na ulicy popołudniowe słońce igrało w złoceniach jego stroju; młody oficer milicji, którego minęli, zsalutował mu z respektem. Hornblower spostrzegł, że dama uwieszona u ramienia oficera patrzyła bardziej uważnie na Marię niż na niego i zdawało mu się, że wyczytał w jej spojrzeniu to współczujące rozbawienie, którego się spodziewał. Maria z pewnością nie jest typem żony, jaką oczekiwano by widzieć u boku dystyngowanego oficera.

Wszelako jest jego żoną, przyjaciółką z dzieciństwa, i teraz musi płacić za niepohamowaną słabość serca, która pchnęła go do małżeństwa z nią. Mały Horatio i maleńka Maria zmarły na ospę w ich mieszkaniu w Southsea i choćby tylko przez pamięć na to winien jej lojalność. A teraz ona sądzi, że znowu jest w ciąży. To było szaleństwo, oczywiście, ale szaleństwo wybaczone u człowieka, którego serce szarpała zazdrość na wieść o małżeństwie Lady Barbary. Niemniej jednak musi teraz płacić Marii jeszcze większym oddaniem; wszystkie jego uczciwe instynkty, dobroć serca i brak zdecydowania zmuszały go do pozostawiania jej wiernym, spełniania jej życzeń i postępowania tak, jakby był naprawdę kochającym małżonkiem.

Nie tylko to. Jego duma nie pozwoliłaby nigdy na publiczne przyznanie się, że popełnił błąd, niemądrą pomyłkę, godną głupiego chłopaka. Z tego względu, gdyby nawet potrafił stać się na tyle twardym, by złamać serce Marii, nigdy nie zdobyłby się na otwarte z nią zerwanie. Hornblower pamiętał sprośne komentarze marynarki na temat spraw małżeńskich Nelsona, a potem Bowena i Samsona. Jak długo będzie lojalny wobec swej żony, nie będą o nim mówić takich rzeczy. Ludzie tolerują ekscentryczność, lecz drwią ze słabości. Będą może dziwić się jego oddaniu i tyle. Póki będzie się zachowywał tak, jakby Maria była dla niego jedyną kobietą na świecie, ludzie będą skłonni przypuszczać, że jest w niej coś więcej, niżby się wydawało na pierwszy rzut oka.

— Zaproсили nas „Pod Anioła”, nieprawdaż, mój drogi? — spytała Maria, przerywając bieg jego myśli.

— Tak, oczywiście.

— Właśnie minęliśmy to miejsce. Nie słyszałeś, jak mówiłam ci o tym.

Zawrócili i przyjemna pokojówka z Devon powiodła ich w chłodny mrok tylnych pomieszczeń oberży.

W pokoju wyłożonym dębową boazerią, do którego zostali wprowadzeni, było kilka osób, lecz Hornblower widział tylko jedną, Lady Barbarę, w sukni z jedwabiu w kolorze niebieskoszarym, dokładnie takim samym jak jej oczy. Ze złotego łańcuszka na jej szyi zwisał wisiorek z szafirów, lecz szafiry wydawały się bez życia w porównaniu z jej spojrzeniem. Hornblower złożył ukłon i mamrocząc coś pod nosem przedstawił Marię. Miał wrażenie, że dalsze części pokoju toną we mgle; tylko Lady Barbarę widział wyraźnie. Złocista opalenizna, którą pamiętał z ich ostatniego widzenia się, znikła z jej policzków; cera jej miała teraz ten kremowobiały odcień, jaki powinna mieć cera wielkiej damy.

Hornblower uświadomił sobie, że ktoś przemawia do niego — i to już od pewnej chwili.

— Niezwykle miła okazja, kapitanie Hornblower — mówił ten ktoś. — Czy mogę pana przedstawić? Kapitan Hornblower, pani Elliott. Kapitan Hornblower, pani Bolton. Mój kapitan flagowy, kapitan Elliott z „Plutona”. I kapitan Bolton z „Caliguli”, który mi powiada, że byliście kolegami ze starej „Indefatigable”.

Mgła rozproszyła się nieco przed oczu Hornblowera. Udało mu się wyjąkać parę słów, na szczęście jednak wejście właściciela oberży, oznajmiającego podanie obiadu, dało mu nieco czasu na opanowanie się.

Posadzono ich przy okrągłym stole. Naprzeciwko siedział Bolton, z czerstwymi policzkami i otwartą, uczciwą twarzą. Hornblower czuł jeszcze uścisk ręki Boltona i twardość jego zrogowaciałej dłoni. Bolton nie miał w sobie nic z elegancji światowca. To samo można było powiedzieć o pani Bolton, która siedziała po prawej stronie Hornblowera, między nim a admirałem. Ku niezmiernej uldze Hornblowera, była równie bez wdzięku i gustu jak Maria.

— Kapitanie, muszę pogratulować panu nominacji na „Sutherlanda” — odezwała się Lady

Barbara, siedząca po jego lewej ręce. Gdy mówiła, wionęło od niej perfumami, i Hornblowerowi pociemniało w oczach. Jej zapach i dźwięk jej głosu działały wciąż na niego jak romantyczny narkotyk. Nie wiedział sam, co odrzekł na jej słowa.

— Właściciel tej oberży — zwrócił się admirał do zebranych przy stole, zanurzając chochlę w stojącą przed nim srebrną wazę — przysiągł mi, że zna sztukę robienia zupy z żółwia, toteż oddałem żółwia w jego ręce. Oby tylko nie skłamał. Wino sherry... George, sherry... Mam nadzieję, że nie uznacie za najgorsze.

Hornblower nieostroźnie wziął do ust pełną łyżkę zupy, o wiele za gorącej, i ból, jakiego doznał połykając, pomógł mu wrócić do rzeczywistości. Odwrócił głowę, by przyjrzeć się lepiej admirałowi, któremu będzie winien posłuszeństwo przez następne dwa albo i trzy lata, a który zdobył rękę Lady Barbary i poślubił ją po okresie narzeczeństwa nie trwającym dłużej niż trzy tygodnie. Był to wysoki, mocno zbudowany mężczyzna o posępnej urodzie. Gwiazda Orderu Łaźni i czerwona wstążeczka zdobiły jego świetny mundur. Mógł mieć najwyżej nieco po czterdziestce — o rok lub dwa więcej niż Hornblower — to znaczy, że musiał osiągnąć obecną rangę w najmłodszym wieku, w jakim wpływy rodziny mogły do tego doprowadzić. Lecz wyraźnie dostrzegalna pełność jego policzków mówiła Hornblowerowi o braku wstrzemięźliwości lub głupocie, a może o jednym i o drugim.

Tyle zdążył Hornblower wyczytać z jego twarzy w tych kilka sekund, po czym zmusił się, by myśleć o swym zachowaniu, chociaż siedząc między admirałem i Lady Barbarą trudno mu było myśleć jasno.

— Mam nadzieję, Lady Barbaro, że cieszy się pani doskonałym zdrowiem? — zapytał. Specyficzny odcień formalizmu zabrzmiał w jego głosie, gdy próbował utrafić dokładnie w ton, jakiego jego zdaniem wymagała ta skomplikowana sytuacja. Zobaczył, że Maria z drugiej strony kapitana Elliotta, za Lady Barbarą, unosi lekko brwi — Maria była zawsze czuła na jego reakcje.

— Jak najbardziej — odrzekła lekko Lady Barbara. — A pan, kapitanie?

— Nie pamiętam, żeby Horatio czuł się kiedykolwiek lepiej — wtrąciła Maria.

— To dobra wiadomość — odpowiedziała Lady Barbara zwracając się ku niej — bo biedny kapitan Elliott wciąż jeszcze cierpi skutek febry, której się nabawił pod Flushing[7].

Było to zręcznie zrobione; Maria, Lady Barbara i Elliott zostali naraz wciągnięci w rozmowę, w której nie zostało miejsca dla Hornblowera. Przysłuchiwał się przez chwilę, a potem zmusił się, by przemówić do pani Bolton. Jej umiejętności konwersacyjne były żadne. Wydawało się, że stać ją tylko na „tak” i „nie”, admirał zaś siedzący obok niej był pogrążony w rozmowie z panią Elliott. Hornblower zapadł w ponure milczenie. Maria i Lady Barbara ciągnęły rozmowę, z której Elliott wkrótce wypadł i którą kontynuowały za jego plecami tak gorliwie, że nie zdołało jej przerwać nawet wniesienie następnej potrawy.

— Czy mogę ukroić pani trochę wołowiny, madam? — zwrócił się admirał do pani Elliott. — Hornblower, może będzie pan tak dobry i zajmie się tymi kaczkami przed panem. A to są ozorki,

Bolton, tutejszy przysmak, jak pan wie oczywiście. Spróbuje ich pan, czy raczej woli pan wołowinę? Elliott, niech pan skusi damy na to ragout. Mogą lubić obce frykasy — mnie potrawy wyszukane nie smakują. Na kredensie stoi zimny pasztet wołowy, a gospodarz zapewnia, że jest dokładnie tak zrobiony jak te, na których zbudował swoją reputację. Jest tam też udziec barani, jaki można znaleźć tylko w Devonshire. Pani Hornblower? Barbaro, kochanie?

Hornblower krojąc kaczki poczuł prawdziwy ból w piersi słysząc tak lekko wypowiedziane imię, które było dla niego święte. Na moment przestał odcinać długie płaty z piersi ptaków. Z wysiłkiem dokończył swego zadania i ponieważ wyglądało, że nikt przy stole nie chce pieczonej kaczki, nabrał sobie pełny talerz z tego, co nakroił. Jedząc nie musiał napotykać wzrokiem czyichkolwiek spojrzeń. Lady Barbara i Maria gawędziły dalej. Pod wpływem rozgorączkowanej wyobraźni wydało mu się, że był jakiś szczególny akcent w sposobie, w jaki Lady Barbara odwróciła się tyłem do niego. Może fakt, że ją kochał, uznała za mało zaszczytny dla siebie teraz, gdy poznałszy żonę, jaką sobie wybrał, odkryła prymitywizm jego gustu. Miał nadzieję, że Maria nie okaże się zbyt głupia i nietaktowna — do jego uszu dochodziły tylko drobne strzępki ich rozmowy. Zjadł ledwie po trochu z tego, czym stół był zastawiony —zawsze wybredny, teraz zupełnie nie odczuwał chęci do jedzenia. Pił chciwie wino, które mu nalewano, do momentu, aż zdał sobie sprawę z tego, co czyni, i opanował się; nie znosił uczucia przepicia jeszcze bardziej niż przejedzenia. Potem zaczął bawić się tym, co miał na talerzu, udając, że je; na szczęście pani Bolton siedząca obok niego miała doskonały apetyt i była rada, że może zaspokajać go w milczeniu, gdyż w przeciwnym razie stanowiliby ponurą parę.

Następnie stół uprzątnięto, by zrobić miejsce na sery i deser.

— Ananasy nie są tak dobre jak te, które mieliśmy przyjemność kosztować w Panamie, kapitanie Hornblower — powiedziała Lady Barbara, zwracając się nieoczekiwanie do niego. — Ale może pan spróbuje?

Był nieomal zbyt rozstrzęsiony, by móc kroić owoce srebrnym nożykiem, tak bardzo zaskoczyły go te słowa. Podał jej w końcu niezgrabnie to, co ukroił. Teraz, gdy znów zwróciła na niego uwagę, pragnął mówić do niej, lecz nie potrafił znaleźć słów, czy raczej wiedząc, że chciałby ją spytać, czy podoba się jej życie małżeńskie i mając jeszcze dość rozsądku, by powstrzymać się z tym pytaniem, nie miał pojęcia, czym je zastąpić.

— Kapitan Elliott i kapitan Bolton — ciągnęła — zasypywali mnie nieustannie pytaniami na temat bitwy między „Lydia” a „Natividad”. Przeważnie miały one charakter zbyt techniczny, abym mogła na nie odpowiedzieć, szczególnie że, jak im wyznałam, trzymał mnie pan uwięzioną na najniższym pokładzie, skąd nie mogłam wcale widzieć walki. Ale wydaje mi się, że wszyscy zazdroszczą mi nawet tego.

— Jej wielmożność ma rację — zagrzemiał Bolton poprzez stół; głos jego był jeszcze bardziej tubalny, niż w czasie gdy Hornblower znał go jako młodego porucznika. — Hornblower, niech nam pan o tym opowie.

Hornblower poczerwieniał i zaczął miąć w palcach serwetkę, świadom tego, że wszystkie oczy zwróciły się ku niemu.

— Wyplujże to, chłopie — napierał Bolton; nie mając w sobie nic z bawidamka i czując się źle w towarzystwie, nie odezwał się dotąd niemal ani słowem, lecz perspektywa wysłuchania opisu bitwy rozwiązała mu język.

— Donowie bili się lepiej niż zwykle? — spytał Elliott.

— Otóż... — zaczął Hornblower wyjaśniając warunki, w jakich stoczył walkę. Wszyscy słuchali; fachowe pytania rzucone przez tego czy innego z mężczyzn zaczęły go wciągać. Stopniowo opowieść rozwijała się, a skłonność do wielomówności, z którą zazwyczaj walczył, doprowadziła, że stał się elokwentny. Mówił o długim pojedynku na pustym Pacyfiku, o trudzie, rzezi i bólu, aż doszedł do tego momentu, gdy opadły z sił oparty o poręcz pokładu rufowego poznał smak triumfu na widok pobitego wroga idącego w ciemnościach na dno.

W tym miejscu przerwał zakłopotany, zrobiło mu się gorąco na myśl, że popełnił grzech nie do darowania chwając się własnymi osiągnięciami. Potoczył spojrzeniem wokół stołu, od twarzy do twarzy, oczekując, że wyczyta w nich skrępowanie lub otwartą dezaprobatę, politowanie czy wzgardę. Zdumiało go, że zobaczył na obliczach słuchaczy wyraz, który mógł uznać tylko za podziw. Bolton, będący co najmniej pięć lat starszy od niego stażem, jako kapitan i o dziesięć lat wiekiem, patrzył na niego z drugiej strony stołu nieomal z uwielbieniem. Elliott, który dowodził okrętem liniowym pod rozkazami Nelsona, potakiwał swą potężną głową z głębokim uznaniem. Admirał, w momencie gdy Hornblower zmusił się, by rzucić na niego ukradkowe spojrzenie, wciąż jeszcze siedział jak osłupiały. Na jego ciemnej, przystojnej twarzy można by się doszukać śladu żalu, że przez cały czas służby w marynarce wojennej nie miał sam podobnej okazji do sławy. Lecz proste bohaterstwo w opowieści Hornblowera zafascynowało i jego; poruszył się i z wyrazem podziwu spojrzał na Hornblowera.

— Wznoszę toast — powiedział, podnosząc kielich. — Niech kapitan „Sutherlanda” rywalizuje czynami z kapitanem „Lydii”.

Wychylono toast z pomrukiem aprobaty, a Hornblower zaczerwienił się i zaczął coś jąkać. Podziw ze strony ludzi, których pochwałę cenił, przytłoczył go zwłaszcza teraz, gdy zaczynał sobie uświadamiać, że zdobył go niezupełnie zasłużenie. Dopiero w tym momencie wróciła mu pamięć tego, jak chory z przerażenia oczekiwał na salwy burtowe z „Natividad”, wspomnienie strachu przed okaleczeniem, który prześladował go przez cały czas bitwy. Był jednym spośród tych nielicznych zasługujących na pogardę, nie jak Leighton, Elliott czy Bolton, którzy przez całe życie nie znali co to lęk. Gdyby opowiedział całą prawdę, gdyby mówił o swych uczuciach, jak mówił o manewrach i kolejach bitwy, współczuliby mu jak kalece i sława ze zwycięstwa „Lydii” rozwiązałyby się. Lady Barbara położyła kres jego zakłopotaniu wstając od stołu, a inne niewiasty poszły za jej przykładem.

— Nie siedźcie za długo nad winem — powiedziała, gdy mężczyźni wstali, by je przepuścić. — Kapitan Hornblower jest znanym graczem w wista, a karty już czekają na nas.

## Rozdział IV

Gdy wracali z oberży „Pod Aniołem” przez czarną jak smoła ulicę, Maria przytuliła się mocno

do ramienia Hornblowera.

— Zachwycający wieczór, kochanie — powiedziała. — Lady Barbara wygląda na bardzo dystygowaną osobę.

— Jestem rad, że się dobrze bawiłaś — odrzekł Hornblower. Wiedział z doświadczenia, że po każdym przyjęciu, na którym jej towarzyszył, Maria ma zwyczaj z upodobaniem dyskutować na temat obecnych tam osób. Wzdrygnął się na myśl o nieuniknionej drobiazgowej analizie Lady Barbary, jaka miała teraz nastąpić.

— Ona umie się znaleźć — ciągnęła Maria nieubłaganie — znacznie lepiej, niż mogłabym przypuszczać z tego, coś mi o niej mówił.

Szukając w pamięci Hornblower przypomniał sobie, że położył jedynie nacisk na jej wspaniałą odwagę i umiejętność obcowania z mężczyznami bez skrępowania. Wówczas sprawiało Marii przyjemność myśleć o córce lorda jako o łobuzie w spódnicy; teraz znów była zadowolona, że może powrócić do tradycyjnego stosunku, pełnego podziwu dla jej rasy, i czuć wdzięczność za jej łaskawość.

— To bardzo czarująca kobieta — zauważył przezornie, dostosowując się do nastroju Marii.

— Spytała, czy będę ci towarzyszyć w nadchodzącej podróży, ale wyjaśniłam, że w związku z nadziejami na przyszłość, jakie właśnie zaczęliśmy żywić, byłoby to rzeczą niewskazaną.

— Powiedziałaś jej to? — spytał Hornblower ostro. W ostatniej sekundzie zdołał stłumić w swym głosie ton udręki.

— Powinszowała mi — odpowiedziała Maria — i prosiła, żebym ci przekazała jej gratulacje.

Hornblowera zirytowała niewymownie myśl, że Maria rozmawiała z Lady Barbarą o swej ciąży. Nie chciał sobie pozwolić myśleć dlaczego. Lecz fakt, że Lady Barbara wie, jeszcze bardziej wzburzył jego umysł, a krótka droga do ich mieszkania nie wystarczyła na uporządkowanie chaosu panującego w jego głowie.

— Och — westchnęła Maria, gdy znaleźli się w sypialni — jak mnie cisną te buty!

Usiadłszy w niskim fotelu zaczęła rozcierać stopy w białych bawełnianych pończochach; jej cień rzucany przez świecę na toaletce tańczył na przeciwległej ścianie. Na suficie leżał ciemnym smutnym prostokątem cień baldachimu łoża.

— Odwieś porządnie swój paradny mundur — rzekła Maria i zaczęła wyjmować szpilki z włosów.

— Nie jestem jeszcze senny — powiedział z rozpaczą Hornblower.

Czuł, że w tej chwili żadna cena nie byłaby za wysoka za możliwość ucieczki w samotność na okręcie. Niestety, w żadnym wypadku nie mógł tego uczynić; jego przybycie o tej porze i w pełnym

uniformie wywołałoby zdumienie, a nawet byłoby uznane za wręcz bezsensowne.

— Nie jesteś senny! — To było tak podobne do Marii, to powtarzanie jego słów. — Jakie to dziwne, po tak męczącym wieczorze! Może zjadłeś za dużo pieczonej kaczki?

— Nie — odrzekł Hornblower. Próba wyjaśnienia Marii tego, co się kłębiło w jego mózgu, byłaby równie beznadziejna, jak próba wymknięcia się z domu. Wszelkie działania w tym kierunku zraniłyby tylko jej uczucia, a wiedział z doświadczenia, że za nic nie zmusi się, aby to uczynić. Z westchnieniem zaczął odpinać szpadę.

— Przyłóż się tylko do poduszki, a od razu zaśniesz — poradziła Maria sądząc po sobie. — Kochany, zostało nam już niewiele nocy do spędzenia razem.

Tak było w istocie; admirał Leighton powiedział im, że „Pluto”, „Caligula” i „Sutherland” otrzymały rozkazy eskortowania aż do Tagu konwoju wschodnioindyjskiego, który właśnie się zbierał. A to znów podnosiło tę przekłętą kwestię braku ludzi — jak, u diabła, ma skompletować swą załogę na czas? Po wyjazdowej sesji sądu do Bodmin może dostać stamtąd jeszcze paru przestępców. Porucznicy, którzy mają wrócić lada dzień, przyprowadzą może kilku ochotników. Ale jemu potrzeba pięćdziesięciu wyszkolonych marynarzy, a tych nie można znaleźć ani w więzieniach, ani na placach jarmarcznych.

— To ciężka służba — westchnęła Maria myśląc o nadchodzącym rozstaniu.

— Lepsza niż uczenie rachunków za osiem pensów tygodniowo — odrzekł Hornblower zmuszając się do przemawiania lekkim tonem.

Przed ślubem Maria uczyła w szkole, gdzie zarobki były stopniowane — za naukę czytania płacono cztery pensy, pisanie — sześć, liczenia — osiem.

— Tak, to prawda — przytaknęła Maria. — Wiele tobie zawdzięczam, Horatio. Masz tu nocną koszulę, przygotowałam ją. Co za udrękę wycierpiałam, gdy panna Wentworth odkryła, że uczę Alicję Stone tabliczki mnożenia, chociaż jej rodzice płacili tylko cztery pensy! A potem ta niewdzięcznica namówiła małego Hoppera, żeby wypuścił w klasie myszy. Ale jestem gotowa znów to znosić, kochanie, jeżeli... jeżeli to zatrzymałoby cię przy mnie.

— Nie teraz, moja droga, gdy wzywa obowiązek — odrzekł Hornblower, dając nura w koszulę nocną. — Ale nie miną dwa lata, a wrócę z workiem pełnym gwinei za przyzwołe. Zapamiętaj sobie moje słowa.

— Dwa lata! — powtórzyła Maria ze smutkiem. Hornblower udał, że ziewa i — jak przewidział — Maria dała się nabrać.

— A mówiłeś, że nie chce ci się spać! — powiedziała.

— Senność spadła na mnie teraz — odrzekł Hornblower. — Może portwajn admirała zaczyna działać. Powieki same mi się kleją. Powiem ci już dobranoc, moja miła.

Pocałował żonę siedzącą przed toaletką i odszedł, by spieszenie wgramolić się na wielkie łoże. Ułożył się tuż przy krawędzi i leżąc bardzo spokojnie odczekał, aż Maria zdmuchnęła świecę i położyła się obok niego, a oddech jej stał się głęboki i regularny. Dopiero wtedy mógł się odprężyć, zmienić pozycję i puścić cugle myślom galopującym przez mózg.

Przypomniał sobie, co mu Bolton powiedział ze znaczącym mrugnięciem i gestem, gdy tego wieczoru w pewnej chwili znaleźli się razem w kacie, gdzie nikt nie mógł ich podsłuchać.

— On znaczy sześć głosów dla rządu — rzekł, wskazując ruchem głowy admirała.

Bolton był tak ograniczony, jak tylko ograniczony może być dobry marynarz, lecz przebywając ostatnio w Londynie brał udział w przyjęciu dworskim i nasłuchiwał się tam plotek. Biedny stary król znów miał nawrót obłądzenia. Krajowi grozi regencja, gdyby zaś doszło do tego, torysi mogą ustąpić, a wigowie dojść do władzy — te sześć głosów Leigtona były cenne. Z markizem Wellesleyem jako ministrem spraw zagranicznych, Henrym Wellesleyem jako ambasadorem w Hiszpanii i Sir Arturem Wellesleyem — jaki to on ma nowy tytuł? lord Wellington, oczywiście — jako dowódcą na półwyspie[8] nie było rzeczą dziwną, że Lady Barbara Wellesley poślubiła Sir Percy'ego Leightona, a jeszcze mniej, że ten ostatni otrzymał dowództwo na Morzu Śródziemnym. Zajadłość opozycji rosła z dnia na dzień, a losy świata ważyły się.

Pomyślawszy o tym Hornblower poruszył się niespokojnie na posłaniu, lecz lekki ruch, jakim Maria na to zareagowała, sprawił, że znowu zastygł nieruchomo. Pozostała jeszcze niewielka grupa ludzi — z Wellesleyami na czele — którzy nadal są zdecydowani kontynuować walkę przeciwko panowaniu Korsykanina. Najmniejsze niepowodzenie na lądzie, morzu czy w parlamencie mogło ściągnąć ich z dotychczasowych pozycji, głowy ich przywieść w niebezpieczną bliskość topora kata, a całą Europę doprowadzić do katastrofy.

W jakiejś chwili w czasie obiadu Lady Barbara nalewała herbatę i Hornblower, czekając na napełnienie filiżanki, stwierdził, że nie ma przy nich nikogo.

— Byłam rada — odezwała się półgłosem, gdy mój mąż powiedział mi, że dano panu „Sutherlanda”. Anglia potrzebuje teraz wszystkich swych najlepszych kapitanów.

Musiała mieć na myśli więcej, niż powiedziała. Może to była aluzja co do nieodzowności utrzymania dowództwa w rękach Leightona. W każdym razie nic w tych słowach nie wskazywało, że ona sama zadała sobie trud, aby uzyskać to stanowisko dla Hornblowera. Wystarczyło mu jednak, że może sądzić, iż poślubiła Sir Percy'ego dla innej przyczyny niż miłość. Hornblowerowi wstrętą była myśl, że Lady Barbara mogłaby być zakochana w kimkolwiek. Zaczął sobie przypominać słowa wyrzeczone przez nią do męża i sposób, w jaki patrzyła na niego. Z pewnością nie wyglądała wcale na zadurzoną w mężu. Pozostawało jednak faktem, że była żoną Leightona — że w tej właśnie chwili jest z nim w łóżku. Hornblower znów się skrzył z bólu na tę myśl.

Potem opanował się. Powiedział sobie bardzo rozsądnie, że czeka go tylko udręka i szaleństwo, jeśli dopuści do siebie myśli o tym, i uczepiwszy się stanowczo pierwszego wątku, jaki mu przyszedł do głowy, zaczął analizować rozegraną przez siebie partię wista. Gdyby po zagrywce Elliotta nie zrobił tego nieudanego impasu, obroniłby robra. Zagrał prawidłowo — szansę były jak



trzy do dwóch — lecz ryzykant nie bawiłby się w zastanawianie się nad tym. Za wszelką cenę dążyłby do wyniku i w tym wypadku miałby go. Ale też tylko ryzykant mógł się odważyć na pozostawienie króla bez obrony. Był dumny ze swej precyzji i umiejętności gry. Niemniej jednak w rezultacie tego wieczoru stał się o dwie gwinee biedniejszy, a taka strata w obecnej sytuacji była diabelnie poważną sprawą.

Chciał kupić choć parę prosiąt i ze dwa tuziny kur — a także kilka owiec, jeśli już o to chodzi — zanim podniesie kotwicę na „Sutherlandzie”. Potrzebował też wina. Mógł je nabyć później i taniej na Morzu Śródziemnym, ale dobrze by było mieć na początek na pokładzie chociaż pięć lub sześć tuzinów butelek. Jeżeli on, jak kapitan powinien, nie będzie w stanie zapewnić wszelkich luksusów, może to się odbić niekorzystnie na dyscyplinie oficerów i załogi; w razie długiej, beczynnej podróży będzie też musiał podejmować u siebie kolegów kapitanów — najprawdopodobniej także admirała — a oni patrzyliby na niego krzywo, gdyby poczęstował ich zwykłym jadłem okrętowym, które jego samego całkowicie zadowalało. W myślach lista potrzebnych rzeczy wydłużała się coraz bardziej. Portwajn, sherry i madera. Jabłka i cygara. Rodzynki i sery. Co najmniej tuzin koszul. Ze cztery jeszcze pary jedwabnych pończoch, na wypadek licznych oficjalnych wizyt na lądzie, na co się zanosilo. Skrzynka herbaty. Pieprz, goździki i inne przyprawy. Suszone śliwki i figi. Świece woskowe. Posiadania wszystkich tych rzeczy wymagało stanowisko kapitana — i jego własna duma, gdyż nienawidził myśli, że ludzie mogą uważać go za biedaka.

Mógłby wydać całą resztę pensji kwartalnej na to wszystko i jeszcze nie kupiłby za dużo. Maria będzie musiała odmówić sobie wielu rzeczy w ciągu następnych trzech miesięcy, ale Maria na szczęście przywykła do ubóstwa i wymigiwania się wierzycielom. Będzie jej ciężko, ale jeśli zostanie kiedykolwiek admirałem, odpłaci luksusem za jej lojalność. Są też książki, które chciałby kupić nie dla rozrywki — miał skrzynię książek do łóżka ze „Schyłkiem i upadkiem cesarstwa rzymskiego” Gibbona włącznie, wszystko starzy przyjaciele — ale żeby się przygotować do czekającej go kampanii. We wczorajszej „Morning Chronicle” była notatka o „Sprawozdaniu z aktualnej sytuacji wojennej w Hiszpanii, tę rzecz chciałby posiadać, a także z pół tuzina innych. Im więcej będzie wiedział o półwyspie, przy wybrzeżu którego ma walczyć, i o wodzach narodu, któremu ma pomagać, tym lepiej. Lecz książki kosztują, a on nie miał pojęcia, do kogo zwrócić się o pieniądze.

Przewrócił się na drugi bok i pomyślał o pechu, który zawsze go prześladował w sprawach związanych z przyzwołem. Admiralicja nie dała nawet pensa za zatopienie „Natividad”. Od czasu zdobycia „Castilli”, gdy był młodym porucznikiem, nie wpadła mu do rąk żadna gratka, podczas gdy znani mu kapitanowie fregat zarobili tysiące funtów. To było irytujące — szczególnie że przy swym obecnym ubóstwie miał trudności z podejmowaniem prób skompletowania załogi „Sutherlanda”. Brak ludzi najbardziej go gnębił ze wszystkich zmartwień — to i myśl o Lady Barbarze w ramionach Leightona. Hornblower wrócił w swych rozmyślaniach do punktu wyjścia. Wiele było spraw, które nie pozwalały mu się uspokoić i zasnąć przez całą tę męczącą noc, aż świt zaczął wpełzać przez zasłony; fantastyczne wyobrażenia o tym, co mogła mieć na myśli Lady Barbara, i trzeźwe plany dotyczące doprowadzenia „Sutherlanda” do stanu sprawności na morzu.

Kapitan Hornblower przechadzał się tam i z powrotem po pokładzie rufowym, wśród krzątający ostatnich przygotowań do wyjścia w morze. Wściekało go, że tyle czasu to zajmuje, chociaż wiedział doskonale, że każdą z przyczyn opóźnienia można sensownie uzasadnić. Dwie trzecie ludzi dreptających po pokładzie i poganianych trzciną przez bosmana Harrisona albo końcami lin przez podoficerów było szczurami lądowymi, z których wielu aż do tej chwili nigdy nie widziało morza, nie mówiąc już o przebywaniu na okręcie. Najprostszy rozkaz wprawiał ich po prostu w osłupienie i trzeba im było wszystko pokazywać, jak się co robi i wtykać do rąk właściwą linę; nawet wtedy byli dużo mniej sprawni od wyszkolonych marynarzy, bo nie potrafili jeszcze ciągnąć zgodnie lin z całych sił. A zasadziwszy ich do wybierania podoficer nieraz zapominał, że okrzyk „Przestać wybierać!” lub „Obkładać!” nic im nie mówi. Niejeden już raz tych kilku wyszkolonych marynarzy, z miejsca spełniających komendę, było zwalanych z nóg i tratowanych przez stado szczurów lądowych dalej ciągnących linę. Za którymś razem przy podobnej okazji beczułka z wodą podciągana na linobloku pod nokiem grotrei zjechała całym pędem z powrotem i tylko dzięki łasce Opatrzności nie przedziurawiła na wylot dna największej szalupy przy burcie okrętu.

Na osobisty rozkaz Hornblowera wodę dostarczano na pokład dopiero w ostatniej chwili. Trzymana bowiem miesiącami w beczkach gęstniała od planktonu i różnych żyjatek, toteż zwlekał, jak długo się dało, z poleceniem jej dostawy na okręt. Nawet zyskanie jednego czy dwóch dni było pożądane. Opóźnienie w dostawie tych dwunastu ton sucharów wynikało wskutek zwykłego braku kompetencji personelu magazynów aprowizacyjnych, których urzędnicy sprawiali wrażenie, że nie umieją czytać, pisać ani liczyć. Natomiast przyczyną tego, że łódź z zapasami kapitańskimi trzeba było wyładowywać akurat w tym samym czasie i znosić ostrożnie jej cenny ładunek na dół do tylnego luku, był fakt, że Fundusz Patriotyczny spóźnił się z przysłaniem szpady wartości stu gwinei przyznanej mu za walkę z „Natividad”. Żaden sklepikarz ani dostawca okrętowy nie dałby nic na kredyt kapitanowi odpływającemu w nową podróż. Szpada przybyła dopiero poprzedniego dnia, tak że ledwie zdążył zastawić ją u Duddingstone'a, kupca zajmującego się zaopatrywaniem okrętów, który bardzo niechętnie dał na nią kredyt, i to na solenne przyrzeczenie, że zostanie wykupiona przy pierwszej sposobności.

— Jak dla mnie, za dużo tu tej pisaniny — powiedział Duddingstone, wskazując grubym paluchem na rozwlekłą dedykację, wrytą dużym kosztem na polecenie Funduszu Patriotycznego na błękitnej stali brzeszczotu.

Tylko złoto na rękojeści i pochwie oraz drobne perły na gałce miały jakąś istotną wartość. Trzeba przyznać, że ze swej strony Duddingstone miał całkowitą rację mówiąc, że jeśli chodzi o kredyt w jego sklepie, szpada jest warta zaledwie czterdzieści gwinei, wliczając już w to jego zysk i szansę na jej wykupienie. Dotrzymał jednak słowa i o świcie następnego ranka przysłał zapasy — jeszcze jedna komplikacja w przygotowaniach do wyjścia w morze.

Wood, intendent „Sutherlanda”, miotał się po półpokładzie przyburtowym wściekły i zatroskany.

— Niech to wszyscy diabli, oby was piekło pochłonęło, kmiotki koślawe! — urągał. — A pan niech se tu siądnie i przestanie szczyrzyć zęby. I niech no trochę lepiej uważa, bo zamknę pana w luku i popłynie se pan z nami. Ej, tam, powoli, ostrożnie! Chryste, rum po siedem gwinei za antałek nie jest po to, żeby nim ciskać jak żelastwem!

Wood pilnował załadunku rumu. Starzy marynarze robili wszystko, aby przez niezdarność nowych w którejś baryłce powstała dziura, bo wtedy mogli złopnąć wyciekającego trunku; barkarze pod burta podjudzali ich rechocząc z uciechy. Po zaczerwienionych twarzach i niepohamowanej wesołości Hornblower poznał, że mimo orlego wzroku Wooda i posterunków żołnierzy piechoty morskiej niektórzy zdołali dostać się do rumu, nie zamierzał jednak interweniować. Po prostu — nikomu to się jeszcze nie udało — naraziłby na szwank swą powagę, gdyby próbował powstrzymać marynarzy od kradzieży trunku, jeśli istniała najmniejsza ku temu sposobność.

Ze swej dogodnej pozycji przy poręczy pokładu rufowego oglądał interesujące scenki, jakie się rozgrywały poniżej na pokładzie głównym. Młody kolos — górnik z kopalni cyny, określił Hornblower sądząc po jego bicepsach — doprowadzony widocznie do szału potokiem rzucanych mu rozkazów i przekleństw porwał się na Harrisona. Lecz czterdziestopięcioletni Harrison dochrapał się rangi bosmana stoczywszy setki takich bójek, a będąc u szczytu sił mógł być zdobywać najwyższe lokaty w premiowanych walkach bokserskich. Uchylił się przed niezdarnym ciosem pięści Kornwalijczyka i rozciągał go morderczym uderzeniem w szczękę. Potem bez ceremonii podniósł za kark i kopnięciem pchnął przez pokład do miejsca, gdzie czekała talia. Kornwalijczyk w oszołomieniu złapał linę i zaczął ciągnąć wraz z innymi, a Hornblower kiwnął głową z aprobatą.

Kornwalijczyk podnosząc rękę na swego przełożonego zasłużył na „śmierć lub mniej więcej taką samą karę” — jak mówił Regulamin Wojenny. Ale nie była to chwila odpowiednia do powoływania się na regulamin, mimo że odczytano bo Kornwalijczykowi ubiegłego wieczora, gdy został przymusowo wcielony do załogi. Gerard kręcąc się barkasem po okolicznych wodach urządził wypadki na Redruth, Camborne i St Ives, biorąc każde z tych miejsc przez zaskoczenie, i wrócił z pięćdziesiątką tęgich Kornwalijczyków, od których trudno było oczekiwać, aby z miejsca docenili mechanizm administracyjny służby, do jakiej popadli. Może za miesiąc, gdy każdy na pokładzie zrozumie zgrozę takiego przestępstwa, potrzebny będzie sąd wojenny i chłosta — a nawet śmierć — ale w chwili obecnej najlepiej było zrobić to, co uczynił Harrison, trzasnąć chłopca w szczękę i zagnać go z powrotem do roboty. Hornblower miał czas westchnąć dziękczynnie do Boga, że jest kapitanem i może się trzymać z daleka od tego zamieszania; wszelka próba z jego strony dania w szczękę komukolwiek skończyłaby się żalonym fiaskiem.

Przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą i to mu przypomniało, że jest okropnie zmęczony. Ostatnio nie spał przez kilka nocy z rzędu, a dni spędzał na rozlicznych działaniach niezbędnych dla postawienia okrętu liniowego w stan gotowości. Napięcie nerwowe spowodowane niepokojem o Lady Barbarę i Marię, kłopotami pieniężnymi i trudnościami ze skompletowaniem załogi nie pozwoliło mu na pozostawienie szczegółów Bushowi i Gerardowi, chociaż wiedział, że potrafiliby świetnie poradzić sobie ze wszystkim. Zmartwienie i obawa nie dawały mu odpocząć i pobudzały do działania. Czuł się chory, otepiały i znużony. Co dzień wzdychał do momentu, gdy wyjdzie w morze i rozpocznie uregulowany tryb życia w przyjemnej samotności, jaka otacza kapitana okrętu, zostawiając za sobą wszystkie troski lądu, zostawiając nawet Lady Barbarę.

Miał dość rozsądku, by sobie uświadomić, że to nowe spotkanie wpłynęło na niego bardzo źle. Uznawszy, że nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, czy to ona zapewniła mu nominację na „Sutherlanda”, przestał się nad tym zastanawiać, robił też co mógł, by walczyć z pożerającą go

zazdrością o jej męża. W końcu wmówił sobie, że to, czego chce najbardziej, to uciec od niej, że pragnie tego równie mocno, jak ucieczki od przesadnej słodyczy Marii i jej miłutkiej głupoty, od wstrętnych mu komplikacji bytowania na lądzie. Tęsknił do morza jak rozbitek tęskni do łyku wody. Dwa dni temu perspektywa, że będzie stał na pokładzie wśród rozgwaru ostatnich przygotowań przed odjazdem wydawała mu się czymś cudownym i upragnionym. Teraz ze ściśniętym gardłem zdał sobie sprawę, że nie jest już tego tak bardzo pewien. Zostawiając Lady Barbarę czuł się jak człowiek, którego pozbawiono ręki lub nogi. I, rzecz dziwna, był zmartwiony tym w równym stopniu co faktem, że zostawia Marię. Dziecko przyjdzie na świat i będzie miało rok, zanim on wróci do domu, będzie biegać i może nawet wymawiać pierwsze słowa. Maria będzie musiała przebyć ciężę i rozwiązanie bez wsparcia moralnego z jego strony; a wiedział, mimo że dzielnie odsuwała ten temat, mimo mężnego pożegnania, jak bardzo będzie go jej brak. Właśnie to sprawiało, że rozstanie z nią było tak bolesne.

Przy całej dzielności wargi jej drżały, a oczy miała mokre, gdy podniosła ku niemu twarz w bawialni ich mieszkania; dawno uzgodnili, że byłoby rzeczą nierozsądną, aby towarzysząc mu na pokład przedłużała ból rozstania. Nawet wtedy chęć ucieczki była jeszcze tak silna, że wyrwał się z jej ramion bez żalu: teraz jednak było inaczej. Hornblower nazwał sam siebie sentymentalnym głupcem i spojrzawszy niecierpliwie na rękaw chorągiewki na topie masztu. Wiatr wyraźnie skręcał ku północy. Jeśli przejdzie na północny lub północno-wschodni, admirał będzie chciał wyruszyć w drogę. Konwój, „Pluto” i „Caligula” były już pewnie zgromadzone w zatoce Cawsand lub znajdowały się blisko niej; jeśli admirał zdecyduje nie czekać na maruderów, będzie zirytowany opóźnieniem się „Sutherlanda”, choćby wiedział, że tego nie dało się uniknąć.

— Niech pan pogania ludzi, panie Bush! — krzyknął Hornblower.

— Tak jest, sir — odpowiedział Bush cierpliwie.

Ta cierpliwość w jego głosie jeszcze bardziej zirytowała Hornblowera. Był w niej lekki wyrzut, wyczuwalny jedynie dla nich obu. Hornblower wiedział, że Bush haruje bez opamiętania i że gna ludzi, ile się tylko da. Rozkaz jego był zwykłym objawem zniecierpliwienia i Bush wiedział o tym. Hornblower był zły na samego siebie, że tak pochopnie naruszył swą zasadę nieodzywiania się do oficerów, gdy nie jest to absolutnie konieczne, i chcąc pokazać, że miał powód, aby wydać to polecenie, udał się na dół do siebie, czego nie zamierzał poprzednio uczynić.

Straż odsunęła się na bok, gdy podszedł do drzwi swej kabiny sypialnej na półpokładzie. Było w niej dużo miejsca; nawet obecność dwunastofuntowego działka zostawiała dosyć przestrzeni na koję, biurko i skrzynię. Polwheal ustawił już wszystko jak należy; Hornblower przeszedł do obszernego salonu. Holendrzy, którzy projektowali „Sutherlanda”, mieli wysokie wyobrażenie o wygodzie, jaką należy zapewnić kapitanowi. Kabina ciągnęła się przez całą szerokość rufy, a duże okna dawały sporo światła. Wymalowane na piaskowy kolor wnętrza sprawiało wrażenie słonecznego i wesołego, a czarne korpusy dwunastofuntówek, ustawionych po obu stronach, podkreślały pomysłowo jasność barwy. Było tu paru ludzi, a Polwheal leżąc na brzuchu upychał w schowkach skrzynki z winem. Spojrzawszy na nich Hornblower zdał sobie sprawę, że nie może jeszcze wycofać się w samotność galerii rufowej, gdyż mogliby go tam obserwować przez okna.

Wrócił do kabiny sypialnej i z westchnieniem rzucił się na koję, lecz wzburzenie poderwało

go z powrotem na nogi i kazało podejść do biurka. Wziął do rąk szeleszczący dokument i usiadł, by przejrzeć go jeszcze raz.

Rozkazy dla Eskadry Przybrzeżnej w zachodniej części Morza Śródziemnego, od Dowódcy, Sir Percy'ego Gilberta Leightona, kawalera Orderu Łąźni, kontradmirała Eskadry Czerwonej[9].

Nie było w nich niczego szczególnego — sygnały nocne, sygnały tajne, brytyjskie, hiszpańskie i portugalskie; miejsce spotkania na wypadek rozbicia się eskadry, jeden czy dwa wiersze w sprawie taktyki, jaką należy przyjąć w razie napotkania w trakcie eskortowania konwoju jakiejś wrogiej eskadry. Okręt flagowy towarzyszyć będzie lizbońskiemu konwojowi transportowców do ujścia Tagu — gdzie przypuszczalnie zawiąną one po zamówienia; „Caligula” ma doprowadzić statki zaopatrzeniowe „Harriet” i „Nancy” do Małoń; zadaniem „Sutherlanda” jest eskortować statki Kompanii Wschodnioindyjskiej aż do 35 stopnia szerokości geograficznej, skąd ma się udać w stronę cieśniny[10] na końcowe miejsce spotkania koło cypla Palamos. Kapitanowie okrętów Jego Brytyjskiej Królewskiej Mości zostają poinformowani, że wybrzeże Andaluzji, z wyjątkiem Kadyksu i Tarify, jest w rękach Francuzów, którzy opanowali również wybrzeże Katalonii od granicy Tarragony. Wchodząc do jakiegokolwiek portu hiszpańskiego kapitanowie muszą podjąć wszelkie środki ostrożności na wypadek, gdyby był on okupowany przez Francuzów. Załączona instrukcja dla kapitanów statków konwoju była w przeważnej części powtórzeniem tego, co przedtem przeczytał.

Lecz Hornblower patrząc w zamyśleniu na rozkazy tworzył z nich sobie pełną i bardzo skomplikowaną historię. Mówiły mu one, że chociaż od zwycięstwa pod Trafalgarem minęło już pięć lat i chociaż Anglia utrzymywała na morzach największą flotę, jaką świat widział kiedykolwiek, musi ona dalej wytyczać w walce wszystkie swe siły. Korsykanin wciąż buduje floty w każdym niemal porcie Europy — Hamburgu, Antwerpii, Breście, Tulonie, Wenecji, Trieście i w dziesiątkach innych miejscowości leżących pomiędzy tymi portami — tak że przy każdym z nich nękane sztormami eskadry brytyjskich okrętów wojennych muszą czuwać nieustannie — sto dwadzieścia liniowców miałyby co robić, gdyby dało się je tu sprowadzić, przy samej tylko blokadzie, nie mówiąc już o innych zadaniach. A jednocześnie w każdej zatoczce i w każdym porcie rybackim wzdłuż połowy wybrzeża europejskiego czatują statki korsarskie (choć przeważnie są to tylko wypełnione ludźmi wielkie łodzie wiosłowe), zawsze gotowe wyskoczyć z zasadzki i porwać któryś z bezradnych brytyjskich statków handlowych, jakie można napotkać na każdym z mórz. Dla ochrony przed tym rozbojem fregaty brytyjskie zmuszone są do nieustannej służby patrolowej i każdy okręt królewski wysyłany w jakiegokolwiek misji jest wyzyskiwany do konwojowania statków handlowych przynajmniej na jakimś odcinku swej trasy. W tej wojnie przeciwko światu tylko najbardziej staranne i umiejętne rozłożenie sił może zapewnić zwycięstwo, a teraz, mobilizując wszystkie swe zasoby. Anglia przystępuje do ofensywy. Armie jej maszerują w Hiszpanii, a trzy okręty liniowe, oderwane z trudem od pełnienia innych obowiązków, właśnie wysyła się, aby zaatakowały słabą flankę, którą Bonaparte odsłonił, nieprzezornie posuwając się w głąb półwyspu. „Sutherland” ma być ostrzem włóczni skierowanej przeciwko tyranii panującej nad całą Europą.

Wszystko to bardzo dobrze, powiedział do siebie Hornblower. Machinalnie przechadzał się tam i z powrotem między działem dwunastofuntowym a drzwiami kabiny, zginając głowę, by nie

uderzać nią o belki pokładu; całą tę przestrzeń mógł przemierzyć czterema dużymi krokami. Dano mu zaszczytną i odpowiedzialną funkcję, a on wciąż nie ma kompletu załogi na swym okręcie. Potrzeba było dwustu pięćdziesięciu wyszkolonych marynarzy, by postawić żagle i wyjść w morze, jak przystało okrętowi w służbie królewskiej — a przynajmniej z taką szybkością i sprawnością, która pozwoliłaby uniknąć klęski i odnieść zwycięstwo w sytuacji, która wyglądała na beznadziejną. A jeżeli cała wyszkolona część załogi, jaką ma, zostanie posłana jednocześnie na maszty, nie będzie nikogo przy działach. Do obsługi armat w wypadku salw z obu burt potrzeba czterystu pięćdziesięciu ludzi — z tego dwustu, ostatecznie, może być surowych — a jeszcze około stu do noszenia prochu i wykonywania prac niezbędnych na okręcie.

Na razie ma stu dziewięćdziesięciu doświadczonych marynarzy z „Lydii” i tyluż zupełnie zielonych szczerów lądowych. W czasie doprowadzania „Sutherlanda” do gotowości bojowej zdezerterowało zaledwie dwudziestu ludzi z byłej załogi „Lydii”, rezygnując z pensji za dwa lata i ryzykując karę tysiąca batów, a Hornblower wiedział, że i tak miał szczęście. Niektórzy kapitanowie tracili trzecie swych załóg podczas podobnie długich postojów w porcie macierzystym. Lecz tych dwudziestu zbiegów ogromnie by się teraz przydało. Brakowało mu stu siedemdziesięciu ludzi — stu siedemdziesięciu wyszkolonych ludzi. W ciągu sześciu tygodni zrobi może jakich takich marynarzy czy artylerzystów ze swoich szczerów lądowych, z wyjątkiem pewnego procentu zupełnie beznadziejnych, chorych, kalek lub idiotów, jacy znajdują się niewątpliwie wśród nich. Lecz za niecałe sześć tygodni, możliwe że przed upływem trzech, będzie w akcji przy wybrzeżu Hiszpanii. Nawet jutrzejszej nocy może natknąć się na nieprzyjaciela — wiatr skręca na wschód i nie jest wykluczone, że przygna francuską eskadrę przepelnionych załogami liniowców z Brestu, wymykających się eskadrze blokującej, by rzucić się na tak kuszącą zdobycz, jak konwój wschodnioindyjski. Jakież szansę miałby „Sutherland” przy spotkaniu reja w reję z okrętem francuskim pierwszej klasy, mając zaledwie dwie trzecie niezbędnej załogi, a z tego połowę nękaną chorobą morską?

Hornblower znowu zacisnął pięści, tak go rozdrażniła ta myśl. Jego jednego obciąży się odpowiedzialnością za wszelkie niepowodzenia, on będzie musiał znosić pogardę lub litość kolegów kapitanów — myśl o tym była mu wstrętą. Za wszelką cenę musiał mieć ludzi. Pragnął ich silniej, niż nędzarz pożąda złota, a kochanek damy swego serca. A teraz nie ma już co liczyć, że ich znajdzie. Wypad Gerarda na St Ives i Redruth był ostatnią próbą; miał szczęście, że dostał stamtąd aż pięćdziesięciu chłopów. Nie ma też szansy, że dadzą mu kogokolwiek z konwoju. Transporty rządowe do Lizbony, statki zaopatrzeniowe co Mahoń, statki Kompanii Wschodnioindyjskiej — nikogo stamtąd wzięć nie może. Czuł się jak zamknięty w klatce.

Podszedł znów do biurka i wyjął zostawioną sobie kopię rozkładu wacht okrętowych, nad którego sporządzeniem siedzieli z Bushem przez większą część nocy. Od rozkładu wacht zależy w znacznym stopniu sprawność okrętu w sytuacji, gdy jest niedostatecznie obsadzony załogą; ludzi wyszkolonych trzeba było rozdzielić równomiernie na wszystkie punkty strategiczne z odpowiednią proporcją nowych z lądu, by ułatwić szkolenie nie hamując przy tym toku pracy okrętu. Fokmars, grotmars i sternmars; bak i rufa; każdemu z załogi trzeba było przydzielić jakiś obowiązek, aby niezależnie od tego, jaka ewolucja z tysiąca możliwych będzie wykonywana przy pogodzie sprzyjającej czy przeciwnej, w świetle dziennym czy w ciemnościach, każdy mógł dotrzeć do swego stanowiska bez zamieszania i straty czasu, wiedząc dokładnie, co ma robić. I każdy musiał mieć przydzielone sobie miejsce przy działach pod dowództwem oficera ze swojej sekcji.



Hornblower popatrzył jeszcze raz na rozkład wacht. Był zadowolający, póki sprawy szły dobrze. Cechowała go stabilność domku z kart — wystarczająca na pierwszy rzut oka, lecz niezdolna przetrzymać najmniejszego naprężenia lub zmiany. Nieszczęśliwe wypadki lub choroby mogły wszystko to zburzyć. Cisnął tym rozkładem o biurko, uświadomiwszy sobie, że nawet jeśli w czasie podróży ludzie nie będą chorować, raz na dziesięć dni może się spodziewać jednego zgonu z powodu wypadków lub przyczyn naturalnych, nie biorąc pod uwagę działań wroga. Na szczęście śmierć dotknie przede wszystkim tych najmniej zaprawionych do pracy na okręcie.

Hornblower nadstawił uszu na odgłosy z pokładu głównego. Z rozkazów rzucanych ochryplym głosem, gwizdków podoficerów, ciężkich stapań i bieganiny wielu stóp zorientował się, że wciągano na pokład barkas. Nagle uzmysłowił sobie, że dziwny pisk, niepodobny do odgłosów bloków linowych, który dobiegał go od czasu do czasu i którego nie mógł początkowo rozpoznać, to kwik świń i prosiąt — zapasy do magazynów kapitańskich i mesy oficerskiej — dostarczonych wreszcie na pokład. Usłyszał beczenie owcy, a potem zapał kogut przy akompaniamencie głośnego śmiechu. Wśród jego stadka nie było koguta, ten musiał więc należeć do kogoś z mesy oficerów albo kadetów.

Ktoś zastukał mocno w drzwi kabiny i Hornblower chwycił z biurka papiery i szybko opadł na krzesło. Za nic w świecie nie mogą go zobaczyć, jak stoi i z rzucającym się w oczy niepokojem oczekuje godziny odpłynięcia.

— Wejść! — krzyknął.

Wystraszony młody kadet wsunął głowę przez drzwi — to był Longley, siostrzeniec Gerarda, świeży nabytek na okręcie.

— Pan Bush mówi, że ostatnie zapasy ładują na pokład, sir — przemówił ciekim głosem.

Hornblower mógł albo uśmiechnąć się do wystraszzonego dzieciucha, albo spojrzeć z wyniosłą obojętnością. Wybrał to drugie.

— Bardzo dobrze — mruknął i pochylił się nad papierami.

— Tak, sir — powiedział chłopiec, wycofując się po chwili wahania.

— Panie Longley! — krzyknął Hornblower.

Twarz dzieciaka, bardziej wystraszona niż przedtem, wyjrzała zza drzwi.

— Wejdz, chłopcze, do środka — powiedział Hornblower zirytowanym tonem. — Wejdz i stan spokojnie. Coś powiedział na końcu?

— Ee... sir — powiedziałem: Pan Bush...

— Nie, nie to. Coś powiedział na samym końcu?

Twarz chłopca zmarszczyła się w najwyższym wysiłku myślowym, a potem rozjaśniła, gdy



pojął, o co chodzi.

— Powiedziałem: Tak, sir — zawołał piskliwie.

— A co powinieneś być powiedzieć?

— Tak jest, sir.

— W porządku. Bardzo dobrze.

— Tak jest, sir.

Ten dzieciak jest dosyć rozgarnięty i nie pozwala, żeby strach pozbawiał go całkowicie przytomności umysłu. Jeśli nauczy się szybko, jak należy odnosić się do marynarzy, będzie z niego nie najgorszy podoficer. Hornblower odłożył papiery i zamknął biurko na klucz; przeszedł się parę razy po kabynie, a potem, odczekawszy chwilę, jak tego wymagała powaga kapitańska, poszedł na pokład rufowy.

— Panie Bush, proszę podnieść żagle, gdy będzie już pan gotów — powiedział.

— Tak jest, sir. Popuszczać talie, wy, wy tam...

Nawet Bush doszedł do stanu, kiedy już nie znajdowało się zadowolenia w miotaniu przekleństw. Okręt był w stanie straszego zamętu, pokłady brudne, a załoga wyczerpana. Hornblower stał z rękami założonymi do tyłu, w wystudiowanej pozie olimpijskiego spokoju, a tymczasem całą załogę rzucono do stawiania żagli i podoficerowie popędzili ogłupiałych ze znużenia ludzi na wyznaczone stanowiska. Savage, najstarszy kadet, który na oczach Hornblowera wyrósł z chłopca na mężczyznę, przebiegł wzywając sterwachtę, aby obsadziła fały grotmarsła. Twarz miał bladą, a oczy nabiegłe krwią; po nocy przełajdaczonych w jakiejś podłej melinie w Plymouth nie był w najlepszej kondycji. Miotając polecenia ścisnął skronie dłońmi; głowa musiała mu pękać od własnego krzyku. Widok ten rozśmieszył Hornblowera — parę dni ciężkiej pracy i wszystko minie bez śladu.

— Starszy na rufie! — darł się Savage załamującym się głosem. — Czemu sterwachta tak się guzdra! Ludzie, szybciej ruszać się! A wy tam, prędzej wybierać fały grotmarsła! Hej, panie żandarm! Trzeba posłać leniów na rufę. Słyszycie, co mówię!

Tuż pod boki Hornblowera pomocnik bosmana na czele grupy ludzi piał się na wanty stermasztu. Hornblower zobaczył młodego Longleya, jak stał przez moment wahając się, a potem z twarzą wykrzywioną determinacją skoczył na wyblinki i zaczął się za nimi gramolić w górę. Hornblower wyobraził sobie, co czuł ten chłopiec — obawa wysokości, a potem stoicka decyzja, że potrafi dojść tam, gdzie odważyli się inni. Coś da się chyba zrobić z niego.

Bush patrzył na zegarek i wściekał się na oficera nawigacyjnego.

— Już dziewięć minut! Boże, popatrzcie tylko na nich! Żołnierze piechoty morskiej są lepsi od marynarzy!

Żołnierze pracowali w dalszej części rufy przy fałach stermarsli. Buty ich stukały o pokład, klap-klap-klap. Swoją robotę wykonywali po wojskowemu, z żołnierską sztywnością, jak na ćwiczeniach. Marynarze zawsze śmieją się na ten widok, lecz nie można było zaprzeczyć, że w danym momencie właśnie żołnierze pracowali wydajniej.

Od fałów ludzie pognali do brasów. Dobiegający od przodu ryk Harrisona oznajmił, że odrzucono cumy i Hornblower, skierowawszy ostatnie spojrzenie na chorągiewkę wiatrową, stwierdził, że wiatr na tyle skręcił ku wschodowi, iż okrążenie Diabelskiego Cypla nie będzie sprawą prostą. Ze zbrasowanymi rejami „Sutherland” obrócił się w miejscu i powoli nabierał szybkości. Wołania kobiet i chusteczki powiewające z łodzi przybyłych z lądu wskazywały, że niektóre z żon wyrzuconych przez Hornblowera dwadzieścia cztery godziny temu wróciły, by się pożegnać. Tuż przy burcie na rufie łodzi zobaczył kobietę, która łkała bezwstydnie z otwartymi szeroko ustami, a łzy płynęły potokiem po jej twarzy. Było rzeczą bardzo prawdopodobną, że nie zobaczy już więcej swego męża.

— Ej, wy, patrzeć na pokład! — wrzasnął Harrison zauważywszy, że ktoś z załogi macha ręką na pożegnanie. Uwaga wszystkich musi być teraz skoncentrowana na tym, co robią.

Hornblower poczuł, jak okręt się przechylił, gdy Bush ustawiał jego kurs możliwie najbliżej wiatru; manewrując nie znanym okrętem i mając przed sobą Diabelski Cypel, trzeba oczywiście iść jak najbardziej na wiatr. Ten nagły przechył obudził w nim burzę wspomnień. Dopiero gdy się człowiek znajdzie na okręcie pod żaglami, z niestabilnym pokładem pod stopami i usłyszy znajomy grzechot bloków i wysoki śpiew olinowania, tysiąc i jeden szczegółów życia na morzu staje się znów żywe i dostrzegalne. Hornblower złapał się na tym, że z podniecenia gwałtownie przełyka ślinę.

Przepełnęli obok Cypla Stoczniowego, niemal ocierając się o ląd. Większość robotników zostawiwszy swą pracę gapiła się na nich z otępieniem, ale żaden nie wznosił okrzyku. W ciągu siedemnastu lat wojny widzieli za dużo królewskich okrętów wyruszających na morze, żeby się przejmować akurat tym jednym. Hornblower wiedział, że powinien mieć na pokładzie orkiestrę, która by zaintonowała „Britons, Strike Home” lub „Come cheer up, my lads, 'tis to glory we steer”[11], ale nie miał orkiestry; zabrakło mu na to pieniędzy, a nie miał zamiaru przyzywać flecisty wojskowego czy skrzypka okrętowego, aby w takim momencie piszczeli cichutko na swych instrumentach. Otwierał się właśnie przed nimi basen Stonehouse, a pozostawały w tyle dachy Plymouth. Gdzieś tam jest Maria; może widzi białe marsie zbrasowane ostro na wiatr. Może jest tam Lady Barbara i patrzy na „Sutherlanda”. Hornblower znów poczuł dławienie w gardle.

Przy słabym podmuchu wiatru od strony Stonehouse żagle omal nie zapracowały wstecz. Łopotwały, póki sternik nie doprowadził „Sutherlanda” do odpadnięcia od wiatru. Hornblower popatrzył w prawo. Płynęli niebezpiecznie blisko Cremyll — miał słuszość przypuszczając, że „Sutherland” będzie mocno dryfował. Sprawdził, jaki jest wiatr i kierunek pływu za cyplem, i spojrzał ku przodowi, gdzie w prawo od dziobu leżał Diabelski Cypel. W każdej chwili może zajść konieczność wykonania zwrotu, pójścia bejdewindem na północ przed ponowną próbą przecięcia pływu. W tym samym momencie kiedy stwierdzał, że zdołają przejść po nawietrznej cypla, ujrzał, jak Bush podnosi głowę, by rzucić rozkaz wykonania zwrotu przez sztag.

— Panie Bush, proszę trzymać tak, jak trzeba — rzekł. Ten spokojny rozkaz był zapowiedzią, że Hornblower przejmuje prowadzenie okrętu i Bush zamknął usta otwarte do wydania polecenia.

Minęli boję zaledwie pięćdziesiąt jardów od niebezpiecznego miejsca; woda na zawietrznej pokryła się pianą, okręt przechylił się pod wpływem świeżego podmuchu wiatru. Hornblower interweniował nie dlatego, żeby wykazać wyższość swych umiejętności żeglarskich i zdolności oceny sytuacji, lecz ponieważ nie potrafił przyglądać się beczynnemu, gdy jakaś praca była wykonana nieco mniej doskonale, niż można by ją wykonać. W chłodnym obliczaniu szans przewyższał swego porucznika, co potwierdzało się przy grze w wista. Hornblower stał w majestatycznej postawie, nieświadom motywów, jakie nim kierowały, w istocie ledwie sobie zdawał sprawę, czego dokonał — nigdy nie zastanawiał się nad swymi umiejętnościami żeglarskimi.

Szli teraz prosto na Diabelski Cypel; Hornblower nie spuszczał z niego oka, gdy wchodzili w cieśninę.

— Może pan teraz przełożyć ster w lewo, panie Bush — powiedział. — I postawić bramsle.

Półwiatrem weszli w cieśninę, mając nierówne wzgórza Staddon Heights po lewej burcie, a Mount Edgecumbe po prawej. W miarę jak jard po jardzie posuwali się ku otwartemu morzu, wiatr stawał się coraz świeższy i sprawiał, że śpiew takielunku był coraz bardziej przenikliwy. Teraz „Sutherland” zaczął czuć już morze, wyraźnie kołysząc się pionowo w rytm fal pod dziobem. Kołysaniu towarzyszyło nasilające się skrzypienie drewnianego kadłuba, ledwie słyszalne na pokładzie, a głośnie pod nim, póki ucho nie zobojętniało na hałas.

— Niech diabli wezmą tych przeklętych kmiotków! — mruczał Bush obserwując stawianie bramsli.

Minęli po nawietrznej Wyspę Drake'a. „Sutherland” zostawił ją za rufą, idąc przez cieśninę lewym baksztagiem. Zanim postawiono bramsle, byli już obok cypla Picklecomb i otwierającej się przed nimi zatoki Cawsand. Tam stał konwój — sześć statków Kompanii Wschodnioindyjskiej, z furtami strzelniczymi wymalowanymi na wzór okrętów wojennych, wszystkie z rozwiniętymi flagami Czcigodnej Kompanii, a jeden z igrającym na wietrze szerokim proporcem, zupełnie przypominającym znak królewskiego komodora; dwa zaopatrzeniowce i cztery transportowce z przeznaczeniem do Lizbony. Za nim, dalej w morzu, stały na kotwicach trójpokładowce „Pluto” i „Caligula”.

— Okręt flagowy sygnalizuje, sir — odezwał się Bush z lunetą przy oczach. — Panie Vincent, powinien pan być o tym zaraportować minutę wcześniej.

Mieli „Plutona” w polu widzenia ledwie od trzydziestu sekund, lecz trzeba było się pospieszyć z potwierdzeniem tego pierwszego sygnału nadanego przez admirała.

— Wywoławczy „Sutherlanda”, sir — stwierdził kadet sygnałowy wyżejając wzrok przez swą lunetę. — Zakazujący. Numer 7. Numer siedem znaczy „Stanąć na kotwicy”, sir.

— Potwierdzić — rzucił krótko Hornblower. — Panie Bush, proszę sprzątnąć bramsle i

przebrasować grotmarsel.

Przez swą lunetę Hornblower widział ludzi wspinających się na wyścigi po wantach okrętów. W ciągu pięciu minut „Pluto” i „Caligula” spowiły się w chmurę żagli.

— Niech ich diabli, widać że werbowali w Norę — mruczał Bush.

W Norę, wrotach najbardziej ruchliwego portu na świecie[12], okręty Królewskiej Marynarki Wojennej miały największe szansę uzupełnienia swych załóg wyborowymi marynarzami z przybywających tam statków handlowych, którym wystarczało pół tuzina ludzi, by je poprowadzić w górę londyńskiej rzeki[13]. Ponadto „Pluto” i „Caligula” miały tę przewagę, że mogły przeszkolić swych ludzi w czasie podróży kanałem. Teraz stały już za zatoką. Sygnały wznosiły się po flaglinkach okrętu flagowego.

— To do konwoju, sir — powiedział Vincent. — „Pośpieszcie się. Podnieść kotwicę. Postawić wszystkie żagle odpowiednio do pogody”, sir. Jezusie, strzelają!

Gniewny huk i kłęb dymu wskazywały, że admirał domaga się zaostrzonej uwagi dla swych sygnałów. Statki Kompanii Indyjskiej, z licznymi załogami i rutyną okrętów wojennych, już podniosły kotwicę. Statki zaopatrzeniowe i transportowe były, jak się należało spodziewać, wolniejsze. Pozostałe tak powoli okręcały i wychodziły z dryfu, że wydawało się, iż minęła wieczność, zanim ostatni się dowlókl.

— Znowu sygnał z okrętu flagowego, sir — powiedział Vincent odczytując spieszenie flagi sygnałowe i sprawdzając je w książce sygnałów. — „Zająć stanowiska zgodnie z poprzednimi rozkazami”.

Oznaczało to pozycję po stronie nawietrznej konwoju, a przy wiejącym właśnie wietrze z rufy — na tyle konwoju. Z tej pozycji okręty wojenne mogą zawsze ruszyć na ratunek, gdyby jakiś francuz[14] spróbował odciąć im przed nosem jeden z konwojowanych statków. Hornblower czuł na policzkach rześki powiew wiatru. Bramsle okrętu flagowego były postawione, a obserwując okręt zobaczył, że rozwinięto tam również bombramsle. Musi zrobić to samo, lecz przy nasilającej się wichurze trzeba będzie chyba niedługo znów je ściągać. A przed zapadnięciem nocy będą refować marsie. Wydał rozkazy Bushowi i patrzył, jak marynarze zbiegali się na ryk Harrisona: „Cała załoga do stawiania żagli”. Widział, jak szczury lądowe wahały się, nie bez powodu — na „Sutherlandzie” rejs grotbombramsla sterczała sto dziewięćdziesiąt stóp nad pokładem i teraz, gdy okręt zaczynał się kołysać na długich falach Kanału[15], opisywała w powietrzu zawrotne koła.

Hornblower przeniósł uwagę na okręt flagowy i konwój; nie mógł znieść widoku przerażonych ludzi, gnanych knutami przez podoficerów do wspinania się na wanty. Wiedział, że to konieczne. Marynarka wojenna nie uznaje — a w sytuacji krytycznej nie może uznać — istnienia takich zdań, jak „nie potrafię” czy „boję się”. Nie można robić żadnych wyjątków, a teraz jest właściwa chwila na to, by ludziom, którzy nigdy przedtem nie znali przymusu, wbić do głowy, że każdy rozkaz musi być spełniony. Gdyby jego oficerowie byli od początku wyrozumieli, zawsze oczekiwano by od nich tego samego, a w służbie mogącej w każdej chwili wymagać od człowieka gotowości poświęcenia życia można być wyrozumiałym tylko w stosunku do załogi

zdyscyplinowanej, która miała dosyć czasu, aby to pojąć. Lecz Hornblower rozumiał obłądne przerażenie człowieka pędzonego na szczyt masztu okrętu liniowego, mimo że nigdy dotąd nie był wyżej niż na wierzchu kopy siana, i współczuł tym ludziom. To jest bezlitosna, okrutna służba.

— Podpiszą pokój — burczał Bush do Crystala, oficera nawigacyjnego — zanim zrobimy marynarzy z tych gamoni.

Sporo spośród nich jeszcze trzy dni temu żyło spokojnie w swych domkach i ani im było w głowie iść na morze. A teraz znaleźli się pod szarym niebem, miotani kołysaniem się okrętu na burym odmęcie wód, przy wietrze najbardziej przejmującym, na jaki byli kiedykolwiek wystawieni, mając nad sobą przerażające wysokości takielunku, a pod stopami trzeszczący pokład zataczającego się okrętu.

Wyszli już dobrze w morze, tak że z pokładu widać było Eddystone, i pod naporem zwiększonej powierzchni żagli „Sutherland” porządnie się rozruszał. Napotkawszy pierwszą długą falę uniósł się, gdy ta dosięgła jego dziobu, zakołysał się na boki jak korkociąg, gdy przechodziła pod nim, a potem jak pijany zapadł nosem, gdy odchodziła poza rufę.

Ze śródokręcia dobiegł jęk rozpaczny.

— Nie na pokład, do diabła! — wściekał się Harrison. — Nie rzygać mi na pokład!

Załoga zaczynała już ulegać chorobie morskiej z właściwym ludziom zaskoczonym tą dolegliwością kompletnym brakiem panowania nad sobą. Hornblower naliczył z tuzin białych kształtów chwiejących się i przechylających przez poręcze po stronie zawietrznej. Któryś osunął się nagle na pokład ściskając dłońmi skronie. Okręt dźwignął się w górę i znowu wykonał ruch na podobieństwo korkociągu, zawisłszy na chwilę w powietrzu, by zaraz zwałić się w dół, jakby to się nigdy nie miało skończyć; przeraźliwy jęk rozległ się ponownie na śródokręciu. Oczy Hornblowera przykuł i zafascynował widok nieszczęsnego kmiotka wymiotującego do ścieku pokładowego. Ze współczucia i jego żołądek zaczął się buntować; stwierdził, że gwałtownie przełyka ślinę. Na twarz wystąpił mu pot, mimo że poczuł nagle przejmujący chłód.

Dostanie torsji, i to za małą chwilę. Chciał być sam, wymiotować w dyskretnym odosobnieniu, z dala od rozbawionych spojrzeń gromady ludzi na pokładzie rufowym. Spróbował opanować się i przemówić ze swą zwykłą kamienną obojętnością, lecz własne ucho dosłyszało w głosie jedynie sztuczną dziarskość.

— Niech pan prowadzi dalej, panie Bush — rzekł. — W razie potrzeby proszę przysłać po mnie.

W czasie postoju w porcie nogi jego odwykły od utrzymywania równowagi na morzu — idąc przez pokład zataczał się i musiał trzymać się obu rękoma poręczy zejściówki. Bezpiecznie dotarł do półpokładu i potknąwszy się na zrębnicy oparł się, słaniając, o drzwi kabiny na rufie. Polwheal nakrywał stół do obiadu.

— Wynoś się! — warknął Hornblower ostatkiem tchu. — Wynoś się!

Polwheal znikł, a Hornblower chwiejąc się wyszedł na galerię rufową i zwiesił głowę nad spienionym śladem torowym. Nienawidził poniżających objawów choroby morskiej równie silnie, jak cierpień z nią związanych. Daremnie, uczepliwszy się poręcz, mówił sobie zrozpaczony, że Nelson na początku każdej podróży też cierpiał na chorobę morską. Nie pomogło również przypomnienie o tym niefortunnym zbiegu okoliczności, który sprawił, że jego wyprawy zawsze się rozpoczynały w czasie, gdy wyczerpany ciągłym napięciem nerwowym oraz psychicznym i fizycznym wysiłkiem i tak był skłonny do wymiotów. To wszystko prawda, lecz nie znajdował w tym pociechy, gdy jęczał wychylony przez poręcz, a wiatr chłostał go ze wszystkich stron.

Cały teraz drżał z zimna na dmącym z północnego wschodu wietrze; ciepły mundur został w kabine sypialnej, lecz czuł, że nie ma siły ani sam pójść po niego, ani zawołać Polwheala, by mu go przyniósł. I to, mówił sobie z gorzką ironią, jest ta spokojna samotność, do której tęsknił uwikłany w komplikacje życia na lądzie. W dole czopy steru jęczały w łożyskach, a pod nawisem rufowym morze kipiało białą pianą. Przypomniawszy sobie, że od wczoraj spada barometr i że wyraźnie zbiera się na północno-wschodni sztorm. Nie widział dla siebie chwili wytchnienia. Parę dni wichura będzie tak ich gnać przez Zatokę Biskajską, właśnie gdy dałby wszystko na świecie, by znów znaleźć się w zaciszu Hamoaze.

Pomyślał niechętnie, że jego oficerowie nigdy nie chorują, a jeśli nawet im się to zdarza, to po prostu wymiotują i nie doświadczają takich męczarni. A tam, na dziobie, władczy podoficerowie gonią bezlitośnie dwustu nękaną chorobą morską szczurów lądowych do wyznaczonych im zadań. Człowiekowi dobrze robi, gdy go się zmusza do pracy mimo choroby, zawsze jednak pod warunkiem, że nie zostanie przez to zagrożona dyscyplina, a tak właśnie mogłoby być, gdyby wchodził w grę jego przykład. Był całkowicie, ale to całkowicie pewny, że nikt na pokładzie nie czuje się tak podle, nawet w połowie tak podle jak on. Znowu oparł się o poręcz, jęczał i złorzecząc. Doświadczenie mówiło mu, że za trzy dni wszystko przejdzie bez śladu i będzie się czuł dobrze jak zawsze, lecz w tej chwili perspektywa trzech dni takiego stanu była tym samym co perspektywa wiecznego trwania. Drewniane części okrętu skrzypiały, ster jęczał, wiatr wył i morze wrzało, a wszystko stapiało się w piekielny hałas, gdy on, drżąc na całym ciele, stał uczeplony kurczowo poręcz.

## Rozdział VI

Gdy minął pierwszy atak choroby, Hornblower zdołał zauważyć, że wiatr wyraźnie się nasilił. Stał się też porywisty, nagłe szkwały przynosiły przelotne ulewy deszczu, który bił w galerię rufową. Wtem ogarnęła go obawa, co będzie z takielunkiem, jeśli „Sutherland” wejdzie w szkwał gwałtowniejszy niż zazwyczaj, z załogą niewprawną w sprzątaniu żagli. Obawa hańby czekającej go w razie utraty drzewc lub żagli na oczach całego konwoju wyгнаła mu z głowy wszystkie myśli o chorobie. Automatycznie przeszedł do swojej kabiny, włożył płaszcz nieprzemakalny i pośpieszył na pokład. Gerard przejął tam służbę od Busha.

— Okręt flagowy sprząta górne żagle, sir — powiedział dotykając runda kapelusza.

— Bardzo dobrze. Zwinąć bombramsle — odrzekł Hornblower i odwrócił się, by popatrzeć przez lunetę na horyzont.

Konwój zachowywał się dokładnie tak jak zawsze wszystkie konwoje, rozpraszając się na

pełnym wietrze, jak gdyby chciał naprawdę paść łupem korsarza. Statki Kompanii Indyjskiej trzymały się w dosyć zwartej grupie o milę w przodzie, po zawietrznej, ale z pozostałych sześciu jednostek, rozrzuconych szerokim wachlarzem daleko w tyle, widać było tylko żagle nad widnokretem.

— Okręt flagowy nadaje sygnały do konwoju, sir — rzekł Gerard.

Hornblower już miał odpowiedzieć „spodziewani się”, lecz powstrzymał się na czas i ograniczył do jednego słowa „tak”. Gdy mówił, nowy rzut flag sygnałowych wystrzelił w górę na flaglinkach „Plutona”.

— Wywoławczy „Caliguli” — odczytał kadet sygnałowy. — „Postawić więcej żagli. Zająć pozycję przed konwojem”.

A więc Boltona wysyłano naprzód, by wymusił wykonanie rozkazów zlekceważonych przez transportowce. Hornblower patrzył, jak „Caligula” stawia ponownie bombramsle i nurzając się płynnie po szarym morzu w pogoni za statkami transportowymi. Będzie musiał podejść na odległość głosu, a może oddać jeden lub dwa wystrzały z działa, zanim osiągnie cokolwiek; kapitanowie statków handlowych z reguły nie zwracają uwagi na sygnały flagowe, nawet jeśli potrafią je odczytać. Statki indyjskie[16] też sprzątnęły bramsle — miały one dobry zwyczaj zwijania górnych żagli przed zapadnięciem nocy. Szczęśliwe z posiadania monopolu na handel ze Wschodem, mając na pokładzie pasażerów, którzy wymagali wszelkiego luksusu, nie musiały się kłopotać wolnym tempem żeglugi i mogły pozwolić sobie na to, by nie narażać swych pasażerów na zakłócenie snu przez tupot i bieganinę towarzyszącą sprzątaniu żagli w razie zmiany pogody. Lecz z pozorów mogło wyglądać, że to jeszcze większe rozciągnięcie konwoju było rozmyślnie zaplanowane. Hornblower zastanawiał się, jak zareaguje admirał, i skierował swą lunetę na „Plutona”.

Okręt oczywiście podnosił sygnał za sygnałem rzucając gorączkowe instrukcje statkom Kompanii Indyjskiej.

— Założę się, że chciałby ich postawić pod sąd wojenny — zachichotał jeden kadet do drugiego.

— Pięć tysięcy funtów robią ci kapitanowie z kompanii na okrężnej podróży — brzmiała odpowiedź. — Co im tam admirałowie. Boże, kto chciałby być w marynarce wojennej!

Wobec nadchodzącej nocy i wiatru przybierającego na sile było rzeczą bardzo prawdopodobną, że konwój rozproszy się już na samym początku podróży. Hornblower zaczynał mieć wrażenie, że jego admirał nie pokazał się z najlepszej strony. Konwój powinien być trzymany razem; w służbie nie przyjmującej żadnych tłumaczeń Sir Percy Leighton zasłużył już na porządną naganą. Zastanawiał się, co sam uczyniłby na jego miejscu, i zostawił pytanie bez odpowiedzi, niejasno uświadamiając sobie tę głęboką prawdę, że dyscyplina nie polega na wysyłaniu przed sąd wojenny; nie uważał, że sam zrobiłby to lepiej.

— Wywoławczy „Sutherlanda” — powiedział kadet sygnałowy wyrывая go z zamyślenia. — „Zająć stanowisko nocne”.

— Potwierdzić — rzekł Hornblower.

To był rozkaz łatwy do wykonania. Jego stanowisko nocne było o ćwierć mili po nawietrznej od konwoju. Szybko przesuwał się za statkami indyjskimi na swą właściwą pozycję. Obserwował, jak „Pluto” mija je w śladzie torowym „Caliguli”; widocznie admirał postanowił wyzyskać swój okręt flagowy jako łączące ogniwo między obydwoma połowami konwoju. Noc zapadała szybko, a wiatr dalej się wzmacniał.

Spróbował chodzić tam i z powrotem po kołyszącym się pokładzie, żeby rozgrzać nieco swe dygocące ciało; po przerwie żołądek ponownie zaczynał się buntować. Znowu chwycił się poręczy i przewiesił przez nią próbując opanować słabość. Ze wszystkich oficerów Gerard, przystojny, sarkastyczny i uzdolniony, był tym człowiekiem, na oczach którego najbardziej nie chciał wymiotować. W głowie kręciło mu się od mdłości i zmęczenia i pomyślał, że gdyby tylko mógł się położyć, zasnąłby może, a we śnie zapomniałby o mękach wywracających mu wnętrzności na nice. Perspektywa rozgrzania się i wygodnego ułożenia w koi stawała się coraz bardziej natarczywa i kusząca. Trzymał się jednak nieugięcie, dopóki w szybko gasnącym świetle oczy nie powiedziały mu, że okręt jest na swej właściwej pozycji. Wówczas zwrócił się do Gerarda.

— Panie Gerard, proszę sprzątnąć bramsle.

Wziął tabliczkę sygnałową i walcząc z buntującym się żołądkiem z trudem wypisał na niej najsurowsze rozkazy, jakie potrafił wymyślić dla oficera wachtowego, dotyczące trzymania się w zasięgu widzenia konwoju i po jego nawietrznej.

— Panie Gerard, tu są rozkazy dla pana — powiedział. Głos załamał mu się na ostatnim słowie; uciekł na dół nie słysząc, jak Gerard odpowiedział: — Tak jest, sir.

Tym razem wymiotowanie zmęczyło go straszliwie, bo żołądek miał zupełnie pusty. Gdy ślaniając się wrócił do kabiny, zastał tam Polwheala, lecz zwymyślał go wściekle i odesłał z powrotem. W kabinie sypialnej padł na koję i przeleżał na niej dwadzieścia minut, zanim zdołał dźwignąć się i usiąść. Wówczas ściągnął z siebie wierzchnie okrycia i w koszuli, kamizelce i spodniach wsunął się jęcząc pod koce. Okręt idący pełnym wiatrem kołysał się bezlitośnie z dziobu na rufę, a wszystkie części drewniane skarżyły się spazmatycznym chórem. Przy każdym przechyle Hornblower zaciskał zęby, a koja na której leżał, pod wpływem kolejnych fal to wylatywała w górę o dwadzieścia stóp albo i więcej, to zlatywała w dół. Niemożność ciągłego myślenia sprawiła, że wyczerpanie wzięło górę. Był tak zmęczony, że zapomniawszy o wszystkim usnął w ciągu kilku minut mimo ruchu, hałasu i choroby morskiej.

Spał tak głęboko, że gdy się ocknął, musiał chwilę pomyśleć, zanim sobie uzmysłowił, gdzie się znajduje. Kołysanie wzdłużne i poprzeczne, które poczuł najpierw, było znajome, a jednak nieoczekiwane. Otwarte drzwi do tylnej kabiny, przytrzymane haczykiem, wpuszczały odrobinę szarego światła, więc mrugając rozejrzał się dokoła. A potem pamięć wróciła i żołądek znowu podszedł mu do gardła. Stał na chwiejnych nogach, zataczając się przeszedł przez kabinę do poręczy galerii rufowej i smagany wiatrem patrzył zbolwały przez szare wody na pierwszy słaby odbłask świtu. Nie było stąd widać żadnego okrętu i uświadomienie sobie tego faktu pomogło mu oprzytomnieć. Włożywszy na siebie płaszcz i opończę poszedł na pokład rufowy.



Gerard był wciąż na służbie, czyli że pierwsza wachta jeszcze się nie skończyła. Hornblower kiwnął gburowato głową w odpowiedzi na pozdrowienie i przystanąwszy zaczął patrzeć na stalowe morze cętkowane bielą. Wiatr zawodził przenikliwie w takielunku, a był w sam raz silny, by nie trzeba było refować marsli, i dał prosto od rufy w uszy Hornblowera stojącego z rękoma na rzeźbionej poręczy. W przodzie zobaczył w dryfie cztery statki indyjskie, w rozciągniętej linii, a potem dojrzał piąty i szósty, nie więcej niż o milę za nimi. Nie widać było natomiast ani śladu okrętu flagowego, transportowców, statków zaopatrzeniowych i „Caliguli”. Hornblower wziął do ręki tubę.

— Hej tam, na oku. Widzisz okręt flagowy?

— Zupełnie nic, sir. Dokolotka nic nie widać, sir, tylko te indyany[17], sir.

Otóż i mamy — pomyślał Hornblower odkładając tubę na miejsce. Rzadki początek wyprawy. Tabliczka kursowa mówiła, że „Sutherland” trzymał się kursu przez całą noc, a zanotowane wskazania logu podawały szybkości rzędu ośmiu i dziewięciu węzłów. Przy tak dobrej widzialności wkrótce powinni zobaczyć Ushant; uczynił wszystko, co do niego należało, starając się nie stracić z oczu statków Kompanii Indyjskiej, idących swoim kursem i pod żaglami odpowiednimi do pogody. Pragnął jedynie, by mdłości powodowane przez żołądek nie przeszkodziły mu nabrać całkowitej pewności co do tego, gdyż stan depresji towarzyszący chorobie morskiej napełniał go złymi przeczuciami. Jednego był pewny, że jeśli coś się stanie i trzeba będzie znaleźć ofiarę, on nią będzie. Zmierzył się wiatru i zdecydował, że stawianie większej liczby żagli w nadziei prześcignięcia reszty konwoju nie byłoby rzeczą wskazaną. Doszedłszy w ten sposób do słusznego wniosku, że nic więcej nie może uczynić, aby nie zrzuceno na niego winy, poczuł się lepiej. Życie na morzu nauczyło go, że należy przyjmować filozoficznie to, co nieuniknione.

Zabrzmiało osiem dzwonów i usłyszał, jak wzywano wachtę z dołu. Na pokład rufowy przybył Bush, by zmienić Gerarda. Hornblower poczuł na sobie badawcze spojrzenie Busha i skwitował je grubiańskim milczeniem. Postawił sobie zasadę nie wypowiadać ani słowa bez potrzeby i znajdował w tym tyle satysfakcji, że nie miał zamiaru jej łamać. Teraz dawało mu zadowolenie to, że potrafi nie zwracać uwagi na Busha, który wciąż rzucał na niego ukradkowe spojrzenia, gotów zareagować w momencie, gdy się tylko odezwie, jak pies wobec swego pana. Hornblower pomyślał wówczas, że musi wyglądać niezbyt godnie; nie ogolony, ze zmierzwionymi włosami, zielonkawoblady skutek choroby morskiej. Nachmurzony poszedł na dół.

W kabinie, gdzie usiadł z głową opartą na rękach, wszystkie wiszące urządzenia kołysały się wolnym rytmem do wtóru skrzypieniom drewnianych części okrętu. Jednak póki nie patrzył na nie, potrafił opanować skłonność do wymiotów. Gdy zobaczył Ushant, położy się i zamknie oczy. W tej chwili wszedł Polwheal, balansując tacą jak sztukmistrz.

— Śniadanie, sir — zaczął w napływie gadulstwa. — Wcale nie wiedziałem, że pan wstał, sir, aż wachta z lewej burty powiedziała, kiedy przyszli na dół. Kawa, sir. Świeży chleb, sir. Mają dobry ogień w kambuzie, i można w mig zrobić grzanki, sir, jakby pan chciał.

Hornblower popatrzył na Polwheala w nagłym napadzie podejrzliwości. Polwheal nie próbuje nawet dawać mu nic świeżego do jedzenia, poza chlebem, który kazał przysłać na okręt, ani kęsa

podgardla czy steku, ani płata wędzonego boczku, nic z tych smakołyków, których nakupował tak lekkomyślnie. A przecież Polwheal wie, że nie jadł wczoraj obiadu i zwykle stara się wpychać w niego jedzenie. Czemu więc proponuje mu to francuskie śniadanie? Pod spojrzeniem Hornblowera kamienny spokój Polwheala nieco się zachwiał, potwierdzając podejrzenia. Polwheal domyślił się, że kapitan cierpi na chorobę morską.

— Postaw to — rzucił ostro, nie będąc w stanie powiedzieć w tej chwili nic więcej.

Polwheal postawił tacę na stole i dalej ociągał się z wyjściem.

— Poślę po ciebie, jak mi będziesz potrzebny — dodał srogo Hornblower.

Ujawszy głowę w dłonie przebiegł myślami wszystko, co mógł sobie przypomnieć z wczorajszego dnia. Zdał sobie teraz sprawę, że nie tylko Polwheal, ale Bush i Gerard — faktycznie cała załoga — wie, że uległ chorobie morskiej. Teraz, gdy rozmyślał nad tym wszystkim, uświadomił sobie drobne dowody potwierdzające ten fakt. Początkowo myśl ta podziałała tak deprymująco, że znów zaczął stękać. Potem go zirytowała. W końcu ocknął się w nim zmysł humoru i Hornblower uśmiechnął się. W tym momencie do nozdrzy jego doleciał przyjemny aromat kawy; wciągnął go z niedowierzaniem, natychmiast reagując na zapach w dwojaki sprzeczny sposób, świadom zarówno natarczywego uczucia głodu i pragnienia, jak i sprzeciwu żołądka. Wreszcie głód i pragnienie zwyciężyły. Nalał sobie kawy i pił ją małymi łykami, starannie odwracając wzrok od kołyszających się akcesoriów wyposażenia kabiny. Czując we wnętrzu błogosławione ciepło mocnej, słodkiej kawy zaczął instynktownie jeść chleb i dopiero gdy opróżnił tacę, poczuł wątpliwość, czy to, co uczynił, było mądre. Ale los był dla niego łaskawy, bo zanim ogarnęły go mdłości, ktoś zapukał do drzwi kabiny i oznajmił, że pokazał się ład, i mógł już zapomnieć o chorobie w wirze działania, jakiego wymagała ta wieść.

Ushant, dojrzanego z topu masztu, nie było jeszcze widać z pokładu, a Hornblower nie próbował nawet wejść na wanty, by je zobaczyć. Lecz stojąc na smagającym go wietrze, z takielunkiem grającym mu nad głową swą melodię, spoglądał przez szare fale na wschód, gdzie za widnokretem leżała Francja. Wśród wszystkich zaoczeń łądu to jedno wybijało się chyba na pierwsze miejsce w historii Brytyjskiej Marynarki Wojennej. Drake i Blake, Shovel i Rooke, Hawke i Boscawen, Rodney i Jervis, a także Nelson, wszyscy oni stali, jak on stał teraz, patrząc na wschód jak on. Trzy czwarte brytyjskiej floty handlowej okrążało Ushant, idąc w podróż lub z niej wracając. Jako porucznik pod Pellewem na „Indefatigable” halsował, z Ushant w polu widzenia, przez wiele nudnych dni w okresie blokady Brestu. Na tych właśnie wodach „Indefatigable” i „Amazon” wpędziły „Droits de l'Homme” na kipiel i pozbawiły życia tysiąc ludzi. Szczegóły tej szaleńczej bitwy, stoczonej przed trzynastu laty, stały mu równie żywo w pamięci, jak przebieg bitwy z „Natividad”, która miała miejsce zaledwie dziewięć miesięcy temu; był to objaw zbliżającej się starości.

Hornblower otrząsnął się z ogarniającej go posępnej zadumy i zabrał się do wytyczania nowego kursu na Finisterre i kierowania statków Kompanii Indyjskiej w tamtą stronę — przy czym pierwsze zadanie było o wiele łatwiejsze niż drugie. Trzeba było godziny sygnalizowania i wystrzałów z dział, zanim wszystkie „owieczki” z jego stadka powtórzyły sygnały w sposób zadowolający. Hornblower odnosił wrażenie, że kapitanowie konwoju znajdują przyjemność w

błędnym pojmowaniu jego poleceń, ignorowaniu ich i nieprawidłowym powtarzaniu. „Lord Mornington” przez dziesięć minut powiewał do pół podniesionym sygnałem, jak gdyby chcąc pokazać, że nie został on zrozumiany; dopiero gdy „Sutherland”, na którym Hornblower kipiał wprost z furii, podszedł prawie na odległość obwołania, udało im się wyklarować splątane flaglinki i podnieść sygnał prawidłowo.

Bush zachichotał sardonicznie na ten widok i zwrócił się do kapitana z uwagą, że na początku wyprawy statki kompanii są równie mało sprawne jak okręty wojenne, ale Hornblower odszedł gniewnie na bok, poza zasięg słyszenia, zostawiając Busha patrzącego za nim ze zdumieniem. Ten drobny incydent zirytował Hornblowera. Lękał się, żeby nie wydać się śmiesznym; lecz przedłużyło to chwilę zapomnienia o chorobie morskiej. Dopiero po pewnym czasie samotnego stania przy prawej burcie, gdy Bush wydawał rozkazy, które znowu przesunęły „Sutherlanda” na nawietrzną konwoju, Hornblower uspokoił się i zaczął ponownie odczuwać niepokój we wnętrzościach. Już miał wycofać się do kabiny, gdy okrzyk Busha przywołał go z powrotem na pokład rufowy.

— „Walmer Castle” wykręcił ostro na wiatr, sir.

Hornblower przyłożył lunetę do oczu. „Walmer Castle” był czołowym statkiem konwoju, najbardziej wysuniętym na lewo. Był oddalony od nich o jakieś trzy mile i nie ulegało wątpliwości, że obrócił się i zapamiętałe pchał się na wiatr w ich stronę.

— Nadaje sygnały, sir — rzekł Vincent — ale nie mogę odczytać. Chyba to numer 29, ale on znaczy „Przerwać akcję”, a tego przecież nie mogą mieć na myśli.

— Hej, oko! — zawołał Bush. — Co widzisz na lewo od dziobu?

— Nic a nic, sir.

— Teraz ściągnęli go, sir — mówił dalej Vincent. — Podnoszą nowy! Numer 11, sir. „Nieprzyjaciel w polu widzenia”.

— Słuchaj, Savage — rzekł Bush. — Weź swoją lunetę i włącz na maszt.

Następny statek z rozciągniętej szeroko linii też wykręcił ostro na wiatr; Savage przebył już pół drogi po wantach, gdy marynarz na oku zawołał:

— Tera ich widzę, sir. Dwa lugry, sir, na lewo od dziobu.

Lugry w pobliżu Ushant mogły oznaczać jedynie francuskich korsarzy.

Szybkie, zręczne, wypchane ludźmi, z doświadczeniem morskim równym tylko doświadczeniu okrętów Brytyjskiej Marynarki Wojennej, narażają się na każde niebezpieczeństwo, byle tylko dostać w nagrodę tłusty kasek w postaci statku Kompanii Indyjskiej. Taka zdobycz uczyniłaby z ich kapitanów ludzi zamożnych. Bush, Vincent, wszyscy na pokładzie rufowym patrzyli na Hornblowera. Jeśli straci statek powierzony jego opiece, zaprzepaści cały kredyt zaufania, jaki posiada w Admiralicji.

— Proszę wywołać załogę, panie Bush — rzekł Hornblower. W zdenerwowaniu spowodowanym koniecznością bezzwłocznego działania nie myślał wcale o dramatycznym aspekcie spraw, zapomniał o potrzebie pozwania i nie uczynił żadnego wysiłku, aby wyrzucić na podwładnych wrażenie swym spokojem; a kalkulacje napływające do mózgu pochłonęły go tak szybko, że — co ludzie z załogi mogli zauważyć — nie wykazywał oznak najmniejszego podniecenia.

Wszystkie statki Kompanii Indyjskiej wyposażone były w działa — „Lord Mornington” na przykład miał osiemnaście furt strzelniczych w burcie i mógł odeprzeć każdy atak małego stateczku korsarskiego na dalszy dystans. Lugier będzie chciał podejść błyskawicznie do burty i abordażować; żadne siatki ochronne obsadzone przez załogę statku indyjskiego nie zatrzymają setki Francuzów w ich szaleńczym dążeniu do zdobycia złota. Francuz będzie tak manewrować, by odciąć któryś statek po nawietrznej Hornblowera — i gdy on będzie lawirował pod wiatr, dopaść ofiarę w trzy minuty i uprowadzić na jego oczach. Nie może dopuścić do powstania takiej sytuacji, a przecież statki kompanii są powolne, jego własna załoga nie wyszkolona, a lugry francuskie szybkie jak błyskawica — w dodatku jest ich dwa i będzie musiał odparowywać dwa ataki naraz.

Teraz widać je było z pokładu, z ciemnymi żaglami sterczącymi nad widnokregiem, dwumasztowce idące ostro na wiatr. Ciemne kwadraty żagli niosły groźbę, a oczy Hornblowera potrafiły wyczytać coś więcej niż niewyraźne sylwetki na tle jasnego widnokregu. Są małe, każdy uzbrojony w nie więcej niż dwadzieścia armatek, w tym najwyżej dziewięćfuntówki — „Sutherland” może je zatopić kilkoma salwami burtowymi, jeśli będą na tyle nieopatrne, by podejść blisko do niego. Są jednak szybkie; już w tej chwili ich kadłuby stały się widoczne, i Hornblower dojrzał białą od piany wodę pod ich dziobami. A przy tym idą co najmniej o rumb ostrzej od wiatru, niż można w ogóle iść „Sutherlandem”. Każdy ma przypuszczalnie najmniej stu pięćdziesięciu ludzi na pokładzie, ponieważ francuscy korsarze mało dbają o wygodę swych załóg, zresztą nie muszą, gdyż ich zadaniem jest tylko wyskoczyć szybko z portu, porwać łup i umykać z powrotem.

— Czy zarządzić pogotowie bojowe, sir? — zapytał Bush wielce śmiało.

— Nie — fuknął Hornblower. — Proszę posłać ludzi na stanowiska i wygasić ogień.

Nie było potrzeby zwałać nadburci, wystawiać na szwank własności kapitana i narażać na niebezpieczeństwo bydła przewożonych na pokładzie, ponieważ nie zanosilo się na walkę wręcz. Lecz zbłąkany pocisk dziewięćfuntowy trafiając w palenisko kambuza mógł wydać cały okręt na pastwę płomieni. Ludzie albo poszli sami na swe stanowiska, albo też zostali tam zagnani czy doprowadzeni — niektórym wciąż się myliły lewa burta z prawą — przy akompaniamencie przyciszonych gróźb i przekleństw podoficerów.

— Niech działa będą załadowane i wytoczone, panie Bush.

Ponad połowa załogi nie widziała w życiu strzelającego działa. Pierwszy raz usłyszeli teraz obcy im ogłuszający turkot wózków lawet armatnich dudniących po pokładzie. Hornblower słuchał tych odgłosów z zapartym tchem — przywodziły mu na pamięć tyle wspomnień. Statki korsarskie nie cofnęły się, gdy „Sutherland” wyszczerzył ku nim swe zęby, jak spostrzegł Hornblower, obserwujący je uważnie. Szły dalej tym samym kursem, ostro na wiatr, na spotkanie konwoju. Lecz — co

Hornblower stwierdził z zadowoleniem — ich pojawienie się szybciej skłoniło statki handlowe do skupienia się niż jego rozkazy. Zbiły się ciasno, każdy bliżej burty sąsiada, niż jakikolwiek kapitan marynarki handlowej skłonny byłby podejść, z wyjątkiem sytuacji pod wpływem strachu. Widział, jak na pokładach rozciągano siatki abordażowe i wytaczano działa. Słaba to mogła być obrona, ale sam fakt, że statki kompanii potrafiły w ogóle się na nią zdobyć, był ważny przy obecnym obrocie sprawy.

Kłęb dymu i głuchy huk z wiodącego statku korsarskiego oznajmił, że otworzono tam ogień; Hornblower nie zauważył, którędy poszedł pocisk, lecz gdy trójkolorowe bandery wzniosły się na każdy z grotmasztów lugrów, w odpowiedzi na to zawadiackie wyzwanie z rozkazu Hornblowera czerwona bandera pojawiła się na maszcie „Sutherland”. W następnej chwili lugry zaczęły podpływać z lewej strony do „Walmer Castle”, okrętu czołowego, z wyraźnym zamiarem podejścia do jego burty.

— Panie Bush, proszę postawić bramsle — odezwał się Hornblower. — Ster w prawo. Tak trzymać!

Przerażony „Walmer Castle” zszedł z kursu, wpadając niemal na sąsiada z prawej burty, który został również zmuszony do wychylenia steru. A wtedy w samą porę „Sutherland” rzucił się ku wrogim statkom. Lugry wykręciły z wiatrem i usunęły się, by uniknąć salwy burtowej, i ich pierwszy wypad został odparty.

— Grotmars dookoła! — ryknął Hornblower.

Było rzeczą niesłychanie ważną utrzymanie korzystnego położenia po nawietrznej konwoju, skąd „Sutherland” mógł wypaść w stronę punktu zagrożonego niebezpieczeństwem. Konwój ruszył wolno naprzód, a lugry szły przodem. Hornblower nie spuszczał z nich oka, a wieloletnia wprawa pozwalała mu utrzymywać je w polu widzenia lunety, mimo że stał na kołyszącym się pokładzie. Nagle znów zrobiły zwrot i szły prawym halsem, jak mechanizm zegarowy, by skoczyć na „Lorda Morningtona”, na prawym skrzydle, niby psy do gardła jelenia. „Lord Mornington” zboczył z kursu, „Sutherland” ruszył gwałtownie w jego stronę i lugry natychmiast wykonały zwrot przez sztag, by znowu skierować się ku „Walmer Castle”.

— Prawo na burtę! — rzucił Hornblower. „Walmer Castle”, ku jego ogromnej uldze, zdążył przebrasować reje marsli na pracę wstecz i „Sutherland” przybył w sam czas. Atakowany statek przemknął za jego rufą; Hornblower dojrzał obok koła steru kapitana statku z bakami, w oficjalnym granatowym surducie, i z pół tuzina majtków hinduskich, miotających się histerycznie po pokładzie. Lugry wykonawszy zwrot przez rufę odeszły z wiatrem tuż poza zasięg dział „Sutherlanda”. Dym skłębił się nad jednym z pozostałych statków indyjskich; widocznie wystrzelili swą salwę burtową panu Bogu w okna.

— Marnują proch, sir — zaczął Bush, ale Hornblower nie odpowiedział, zbyt zajęty swymi kalkulacjami.

— Dopóki będą na tyle mądre, żeby się nie rozproszyć... — zauważył Crystal.

To był ważny moment; gdy konwój się rozdzieli, nie ma co się spodziewać, że zdoła obronić każdy jego człon. W tych zapasach między okrętem liniowym a dwoma małymi statkami korsarskimi nie było ani sławy, ani zaszczytów do zdobycia; jeśli je pokona, świat nie będzie widział w tym nic nadzwyczajnego; natomiast jeżeli straci chociaż jeden statek z konwoju, to można sobie wyobrazić, jaki krzyk podniesie opinia publiczna. Pomyślał, czy nie zasygnalizować do swych podopiecznych, by się trzymały razem, lecz odrzucił tę myśl. Sygnalizowanie tylko ich zmyli, a połowa z nich na pewno źle odczyta sygnał. Lepiej polegać na ich naturalnym instynkcie samozachowawczym.

Statki korsarskie znów skrzyły na wiatr i szły bejdedwindem celując prosto za rufę „Sutherlanda”. Z ich wyglądu, położenia spiczastych czarnych kadłubów i mocno pochylonych masztów Hornblower wznosił, że obmyślono tam jakiś nowy manewr. Obrócił się twarzą ku rufie, obserwując lugry uważnie. W następnej chwili plan ich stał się jasny. Zobaczył, że pierwszy lugier zmienia kurs w prawo, a drugi w lewo. Rozchodziły się i każdy z nich gnał baksztagiem, z białą pianą pod dziobem, przechylony siłą wiatru na burtę, demonstrując obraz morderczej sprawności. Gdy tylko obejdą z dala „Sutherlanda”, zejda się znowu, by zaatakować przeciwległe skrzydła konwoju. Może nie mieć czasu na to, by odepchnąć pierwszego i wrócić dla odpędzenia drugiego.

Przez moment zastanawiał się pospiesznie, czy nie powinien skierować całego konwoju bliżej do wiatru, lecz z miejsca odrzucił ten plan. Próbując wykonać rozkaz mogą się rozproszyć, jeśli nie wpadną jeden na drugi, a w obu wypadkach, rozproszone czy okaleczone, mogą stać się łatwym łupem wroga. Wszystko, co mógł zrobić, to wziąć się za oba statki po kolei. Mogło się to wydawać beznadziejne, lecz nic nie przyszłoby ze zrezygnowania z tego jedyne go możliwego planu. Będzie go realizował do ostatniej sekundy.

Upuścił lunetę na pokład, skoczył do relingu i chwycił się sterwanty. Wpił wzrok w nieprzyjacielskie statki, obracając głowę raz w jedną, raz w drugą stronę, obliczając w myśli ich szybkości i obserwując ich kursy, a twarz jego stężała od intensywnej koncentracji. Lugier po prawej burcie był nieco bliżej, toteż on dopłynął pierwszy do konwoju. Jeśli zaatakuje ten właśnie, będzie miał może o minutę więcej czasu, by wrócić i wymierzyć cios drugiemu. Ponowny rzut oka utwierdził go w tej decyzji i Hornblower zaryzykował utratę swojej reputacji — nie myśląc o niej wcale w zapale walki.

— Dwa rumby w prawo — krzyknął.

— Dwa rumby w prawo — powtórzył jak echo sternik.

„Sutherland” skrzył ze śladu torowego konwoju i skierował się tak, by przejść przed dziobem lugra z prawej burty. Ten ostatni chcąc uniknąć grożącej mu potężnej salwy burtowej odsuwał się ostrożnie coraz dalej od napierającego „Sutherlanda”. Dzięki swej znacznie większej szybkości wyprzedził konwój i eskortę, a „Sutherland”, usiłując trzymać się między korsarzem a statkami handlowymi, odchodził coraz dalej od pozycji umożliwiającej pomieszenie planów drugiego lugra. Hornblower zdawał sobie z tego sprawę, lecz musiał podjąć ryzyko, choć wiedział aż nazbyt dobrze, iż przegra, jeśli statki francuskie będą działać mądrze. Nie miał szans na odegnanie pierwszego lugra tak daleko na zawietrzną, aby uczynić go nieszkodliwym i mieć jeszcze dość czasu na powrót i zaatakowanie drugiego. Już teraz odpłynął na niebezpieczną odległość, lecz szedł wciąż tym samym kursem, niemal na jednej linii z konwojem, mając lugier po prawej burcie. Nagle ujrzał, jak drugi

francuz zawraca, by rzucić się na konwój.

— Załoga do brasów, panie Bush! — zawołał. — Prawo na burtę!

„Sutherland” zawrócił przechylając się pod półwiatrem; miał nieco więcej postawionych żagli niż było bezpieczne. Wydawał się pruć wodę gnając ku konwojowi, który popłochu próbował uchylić się przed atakiem wroga. Poprzez las masztów i żagli Hornblower widział ciemne płótna lugra spadającego na bezradny „Walmer Castle”, który musiał chyba wolno reagować na ster lub być źle dowodzony i zostawał w tyle za innymi. W umyśle Hornblowera kłębiło się tuzin kalkulacji naraz. Jak wielce skomplikowana maszyna obliczał możliwe zmiany kursu lugra i sześciu statków indyjskich, zostawiając margines na ewentualne odchylenia wynikające z cech osobowości kapitanów. Musiał wciąż mieć w pamięci szybkość „Sutherlanda” i tempo, z jakim dryfował on na zawietrzną pod naporem żagli. Okrążenie konwoju zabrałoby zbyt wiele czasu i pozbawiłoby go wszelkich szans na zaskoczenie korsarzy. Spokojnie wydał rozkazy sternikowi, kierując okręt ku zwężającemu się odstępowi między dwoma statkami. „Lord Mornington” dostrzegł pędzący na niego dwupokładowiec i zgodnie z przewidywaniami Hornblowera ustąpił mu z drogi.

— Uwaga przy działach! — krzyknął. — Panie Gerard, pošlijcie lugrowi salwę burtową, gdy będziemy go mijać!

„Lord Mornington” przemknął obok i odpłynął w mgnieniu oka; za nim szła „Europa” — wykonała nieznaczną zmianę kursu i wydawało się, że zmierza prosto do zderzenia.

— Niech ją diabli! — krzyknął Bush. — Boże!... — „Sutherland” przeszedł o włos przed jej dziobem, tak że stenga jej bukszprytu niemal musnęła, wanty jego stermasztu. W sekundę później „Sutherland” wchodził całym pędem w zwężający się odstęp między następnymi dwoma statkami. Z tyłu był „Walmer Castle”, a przy jego burcie lugier kompletnie zaskoczony nieoczekiwanym pojawieniem się okrętu liniowego. W ciszy panującej na „Sutherlandzie” słychać było strzały z broni palnej — Francuzi wdrapywali się na wysoki pokład statku indyjskiego. Ujrzawszy wielki dwupokładowiec idący nań z impetem, francuski kapitan uczynił próbę ujęcia niebezpieczeństwu. Hornblower widział francuskich abordażowców wskakujących z powrotem na lugier i jego wielki grotzagiel niezdarnie dźwigany w górę zjednoczonym wysiłkiem dwustu rozgorączkowanych rąk. Korsarz odpadł od atakowanych statków i obrócił się jak bąk, lecz o pięć sekund za późno.

— Stermarsel dookoła! — rzucił Hornblower do Busha. — Panie Gerard!

„Sutherland” wyrównał kurs gotując się do miażdżącego uderzenia.

— Cel! — wrzasnął Gerard, pijany podnieceniem. Był przy przedniej partii dział na pokładzie głównym, które miały pierwsze najść na cel. — Czekać, aż działa pokryją cel! Ognia!

Umysł Hornblowera był w stanie takiego napięcia, iż zdawało mu się, że potężna salwa burtowa, która zagrzmiała w momencie, gdy okręt powoli wykręcał, trwała co najmniej pięć minut. Przerwy między strzałami były nierówne, a kilka dział wystrzeliło, zanim naszły na cel. Również kąat podniesienia był błędny, czego dowodziły pluski zarówno z tej strony lugra, jak i daleko za nim. Niemniej jednak niektóre pociski trafiły. Widział odłamki fruwające na lugrze, pękło też parę want.

Dwa gwałtowne poruszenia w zbitej gromadzie ludzi na pokładzie wskazywały, gdzie przeorały ją pociski z dział.

Rześki wiatr rozwiał natychmiast dym z rozrzuconej salwy burtowej, tak że nic nie przesłaniało mu widoku lugra oddalonego o sto jardów. Miał on jeszcze szansę ucieczki. Z wypełnionymi żaglami mknął szybko po wodzie. Hornblower wydał sternikowi rozkazy, które miały sprawić, że „Sutherland” raz jeszcze zboczy z kursu i naprowadzi baterię burtową na cel. Gdy to czynił, dziewięć kłębów dymu z burty lugra przyniosło ostrzeżenie, że strzela ze swych dziewięciofuntowych pukawek.

Francuzi odgryzali się zajadle. Śpiewny odgłos, podobny do krótkotrwałego dźwięku organów, zagrał mu w uszach, gdy pocisk przelatował blisko nad głową, a podwójny trzask na dole oznajmił, iż „Sutherland” został trafiony. Jego grube drewno powinno wytrzymać strzał z dziewięciofuntówki oddany z tej odległości.

Słyszał grzechot lawet towarzyszący ponownemu wytaczaniu dział i przechylił się przez poręcz, by krzyknąć do załogi na pokładzie głównym.

— Dobrze celować! — wołał. — Czekać, aż działa najdą na cel!

Gdy „Sutherland” skręcił, armaty na jego burcie zagrały pojedynczo i parami. Przy każdym z siedemdziesięciu czterech dział okrętowych był tylko jeden doświadczony członek załogi, i chociaż oficerowie dowodzący baterią na lewej burcie wysłali kilku swoich ludzi jako pomoc na prawą burtę, musieli przecież zostawić wykwalifikowanych celowniczych na wypadek, gdyby nagle zaszła potrzeba użycia dział z ich strony. A wśród tych, co przeszli z „Lydii”, nie ma nawet siedemdziesięciu czterech dobrych celowniczych — pamiętał trudności, jakie miał przy układaniu rozkładu wacht.

— Zamknąć otwory lontowe! — zawołał Gerard, a potem głos jego przeszedł w okrzyk podniecenia: — Poszedł! Dobra robota, ludzie!

Wielki grotmaszt lugra, z grotzagle, stenga, wantami i całym takielunkiem przechylał się na burtę. Przez krótką, zapierającą dech chwilę wyglądało, że się tylko zgiął, lecz wnet zwałił się w dół. Nawet wówczas pojedynczy strzał oddany z ostatniego od rufy działa oznajmił, że korsarz nie daje za wygraną. Hornblower odwrócił się do sternika, by wydać rozkazy, mające doprowadzić „Sutherlanda” na odległość strzału z pistoletu, by dokończyć zniszczenia stateczku. Pałał podnieceniem. W ostatniej chwili przypomniał sobie, że nie może dopuścić, aby drugi lugier zdążył dostać się w środek konwoju. Każda sekunda była droga. Zanotował w myśli swoje podniecenie jak osobliwe i ciekawe zjawisko, a tymczasem jego rozkazy sprowadziły „Sutherlanda” na przeciwny hals. Gdy przebrasowywali reje, urągliwy okrzyk doleciał ich z lugra, który huśtał się wściekle na wzburzonym morzu, a jego czarny kadłub przypominał okaleczonego żuka wodnego. Ktoś machał z pokładu trójkolorową flagą.

— Do widzenia, mosje[18] Crapaud — powiedział Bush. — Będzie pan się musiał dobrze narobić, zanim znów zobaczycie Brest.



„Sutherland” położył się na nowy kurs; cały konwój zawrócił i szedł ku niemu bejdewindem, z lugrem następującym na pięty, jak pies za stadem owiec. Ujrawszy pędzącego w swoją stronę „Sutherlanda” korsarz znów się uchylił. Nie dając za wygraną zrobił zwrot, by rzucić się na „Walmer Castle” — lecz Hornblower zawrócił „Sutherlanda” i „Walmer Castle” zemknął pod jego osłonę. Nawet tak niezdarnemu okrętowi jak „Sutherland” nie było trudno odpierać ataki pojedynczego nieprzyjaciela. Po paru minutach francuz pojął to i skierował się na pomoc swemu okaleczalnemu towarzyszowi..

Hornblower patrzył, jak wielki żagiel lugra zaokrąglą się i wypełnia i jak lugier kładzie się skręcając na nawietrzną; z pokładu rufowego „Sutherlanda” nie było już widać drugiego korsarza, tego, który został pozbawiony masztów. Co za ulga patrzeć, jak francuz się oddala — gdyby on dowodził tym lugrem, zostawiłby kolegę własnym siłom, a sam czatowałby w pobliżu konwoju do zapadnięcia nocy; byłoby rzeczą dziwną, gdyby nie udało mu się porwać w ciemnościach któregoś z maruderów.

— Może pan zamocować działa, panie Bush — powiedział wreszcie.

Ktoś na pokładzie głównym wznosił okrzyk podjęty natychmiast przez resztę załogi. Powiewali kapelusami i machali rękoma, jakby odniesiono właśnie zwycięstwo pod Trafalgarem.

— Przerwać ten harmider! — krzyknął Hornblower, cały czerwony z gniewu. — Panie Bush, proszę przysłać załogę do mnie, na rufę.

Przyszli wszyscy, podnieceni, szczerząc zęby, popychając się i szturchając jak uczniaki w szkole; nawet ci najbardziej zieloni wśród nich zapomnieli w podnieceniu bitewnym o chorobie morskiej. W Hornblowerze krew wrzała, gdy patrzył na tych głupich durniów.

— Dostyc tego! — warknął. — Cóżście takiego zrobili? Odstraszyli dwa lugry nie większe niż nasz barkas! Dwie salwy burtowe z siedemdziesięciu czterech dział: poszło jedno drzewce! i już jesteście sobą zachwyceni. Boże! Powinniście byli wprost zdmuchnąć francuzika z powierzchni wody! Dwie salwy burtowe, wy godna pożałowania ochronko! Jak przyjdzie do prawdziwej walki, musicie lepiej naprowadzać działa na cel niż tym razem. Już ja dopilnuję, żebyście się nauczyli, jak się to robi — ja i lina z węzłami. A jak stawiacie żagle? Widziałem portugalskich czarnuchów, którzy lepiej to robili!

Nie można zaprzeczyć, że słowa wypowiedziane z głębokim przekonaniem potrafią zdziałać więcej niż wszelkie sztuczki retoryczne. Nieudawana wściekłość i szczerłość w głosie Hornblowera, rozgniewanego widokiem spartaczonej i pokpionej roboty, zrobiły mocne wrażenie. Ludzie zwiesili teraz głowy i zawstydzeni przestępowali z nogi na nogę, uświadomiwszy sobie, że to, czego dokonali, nie jest w końcu niczym nadzwyczajnym. Aby oddać im sprawiedliwość, trzeba stwierdzić, że radość ich w połowie była reakcją na szalone podniecenie, jakie przeżywali, gdy „Sutherland” przedzierał się przez konwój, mając statki tuż przy obu burtach. W latach późniejszych, gdy będą snuć opowieści o dawnych wyprawach, zaczną to wydarzenie upiększać, aż się okaże, że Hornblower przeprowadził dwupokładowiec wśród szalejącego sztormu pomiędzy flotyllą dwustu żaglowców, z których każdy szedł przeciwnym kursem.

— Może pan dać gwizdek na rozejście się, panie Bush — powiedział Hornblower. — A gdy ludzie zjedzą śniadanie, proszę ich poćwiczyć na masztach.

Wyczerpany nieustannym napięciem zapragnął znaleźć się znowu w samotności galerii rufowej. Lecz oto na pokład rufowy wszedł Walsh, lekarz okrętowy, i rzekł przykładając palce do kapelusza:

— Raport lekarza okrętowego, sir. Jeden podoficer zabity. Nikt z oficerów ani marynarzy nie został ranny.

— Zabity? — przemówił Hornblower ze zrzędłą miną. — Który to?

— Kadet John Hart — odrzekł Walsh.

Hart był obiecującym marynarzem na „Lydii” i to właśnie sam Hornblower awansował go na pokład rufowy i uzyskał dla niego patent starszego podoficera.

— Zabity? — powtórzył Hornblower.

— Mogę napisać „śmiertelnie raniony”, sir, jeśli pan woli — rzekł Walsh. — Stracił nogę, gdy pocisk dziewięciofuntowy wpadł na dolny pokład przez furtę strzelniczą działa numer 11. Żył, gdy przynieśli go na dół do kokpitu, ale zaraz umarł. Tętnica półkolanowa.

Walsh był świeżo mianowanym lekarzem okrętowym i nie służył przedtem pod Hornblowerem. W przeciwnym razie wiedziałby, że nie należy zagłębiać się w podobne szczegóły z takim zawodowym upodobaniem.

— Zejdz mi z drogi, do diabła — warknął Hornblower.

Nie było widoków na usunięcie się w samotność. Trzeba będzie później urządzić pogrzeb, z banderą do pół masztu i skrzyżowanymi rejami. Już samo to było przykre. A zmarłym był Hart — wielki, chudy jak tyka młodzieniec, z szerokim, miłym uśmiechem. Myśl o tym nie pozwoliła mu w pełni odczuwać zadowolenia z porannych osiągnięć. Na pokładzie rufowym stał Bush uśmiechając się radośnie. Cieszyło go zarówno to, czego dziś dokonali, jak i myśl o czterech solidnych godzinach ćwiczeń z załogą na masztach. Miał chęć na pogawędkę, a i Gerard był skory do dyskusji, o tym, jak sprawiały się jego ukochane armaty. Hornblower popatrzył na obu, tak jakby chciał ich ośmielić, by do niego przemówili, lecz oni służyli pod nim od lat i wiedzieli lepiej.

Odwrócił się i poszedł na dół; statki konwoju wywieszały flagi sygnałowe — ten rodzaj głupich sygnałów gratulacyjnych, jakich można się było po nich spodziewać, na pewno z mnóstwem błędów. Mógł polegać na Bushu, że każe dotąd podnosić sygnał „Nie zrozumiano”, aż ci głupi durnie zrobią to jak należy, a potem da zwykłe potwierdzenie. Nie chciał mieć do czynienia ani z nimi, ani z kimkolwiek innym. Na tym nienawistnym świecie pocieszało go tylko to, że przy wietrze z rufy i konwoju po zawietrznej będzie sam w galerii rufowej, ukryty nawet przed wścibskimi lunetami z innych okrętów.

## Rozdział VII

Hornblower zaciągnął się ostatni raz cygarem, gdy usłyszał bicie bębna na zbiórkę załogi w sekcjach. Odrzuciwszy głowę do tyłu wypuścił z płuc kłęb dymu i spojrział w górę, na niebiańsko błękitne niebo, a potem w dół, na modrą wodę z olśniewająco białą pianą wpadającą spod nawisu rufowego „Sutherlanda” w jego ślad torowy. Nad głową słyszał miarowe stapania żołnierzy piechoty morskiej formujących się na pokładzie rufówki, a potem krótkie szuranie ciężkich butów, gdy wyrównywali szereg na rozkaz swego kapitana. Tupot setek par stóp załogi ustawiającej się wokół pokładów brzmiał niby przytłumiony akompaniament. Gdy wszystko ucichło, Hornblower wyrzucił cygaro za burtę, obciągnął starannie mundur galowy, włożył trójgraniasty kapelusz i z godnością, trzymając lewą dłoń na rękojeści szpady, udał się na półpokład, a stamtąd po trapie na pokład rufowy. Byli tam Bush i Crystal oraz kadeci służbowi. Zasalutowali mu, a z drugiego końca dobiegł szcęk broni prezentowanej przez żołnierzy.

Hornblower przystanął i rozglądał się dokoła bez pośpiechu w niedzielę rano miał obowiązek dokonać inspekcji okrętu i mógł korzystać z tego, by napawać się całym pięknem i artyzmem scenerii. W górze piramidy białych płócien zakreślały majestatycznie stożkowate koła na błękitnie nieba, towarzysząc łagodnemu kołysaniu okrętu. Pokłady były śnieżnobiałe. Bush osiągnął to po dziesięciu dniach pracy — a nieskazitelny porządek, panujący zwykle na okręcie wojennym, doprowadzony został wprost do szczytu na ten czas porannego przeglądu niedzielnego. Spod opuszczonych powiek Hornblower obrzucił badawczym spojrzeniem załogę wyciągniętą w długich pojedynczych szeregach wzdłuż półpokładów przyburtowych i na pokładzie głównym. Stali nieruchomo i w swoich drelichowych bluzach i spodniach wyglądali zupełnie przyzwoicie. Chciał zobaczyć ich postawę, a to można uczynić skuteczniej omiatając ludzi jednym spojrzeniem z pokładu rufowego niż w trakcie inspekcji z bliska. Sposób, w jaki krnąbrna załoga stoi na baczność, może być oznaką zuchwalstwa, a jej znużony wygląd może świadczyć o zniechęceniu. Na szczęście, nie zauważył żadnego z tych objawów.

Dziesięć dni ciężkiej pracy, ciągłych ćwiczeń, nieustannego dozoru, surowości miarkowanej łagodnością zrobiły wiele, aby załoga zaczęła traktować poważnie swoje obowiązki. Przed trzema dniami musiał zarządzić pięć chłost, zmuszając się do stania w pozornie niewzruszonej postawie, gdy świst i trzask dziewięciopalczastej dyscypliny omal nie przyprawił go o mdłości. Jedna z tych chłost może wyjść na dobre ofierze — staremu marynarzowi, który widocznie zapomniał, czego się nauczył i potrzebował ostrego przypomnienia. Pozostałe cztery nic nie pomogą tym, których plecy spłynęły krwią; z nich nigdy nie będą dobrzy marynarze, to zwyczajni brutale, i brutalne traktowanie na pewno nie mogło im zaszkodzić. Poświęcił ich, by pokazać innym, co ich czeka za nieposłuszeństwem rozkazom — tylko naoczną demonstracją można działać na umysły ciemnych prostaków. Trzeba było przepisać dawkę z najwyższą dokładnością, ani za dużo, ani zbyt mało. Ten jeden rzut oka powiedział mu, że utrafił akurat.

Raz jeszcze potoczył wokół spojrzeniem, by nacieszyć się pięknem otoczenia — porządkiem na okręcie, białymi żaglami, błękitnym niebem, szkarłatem i błyszczącymi ozdobami mundurów żołnierzy piechoty morskiej, błękitem i złotem strojów oficerskich; był wielkiej miary artyzm w subtelnych oznakach, wskazujących, że mimo inspekcji prawdziwe, pulsujące życie okrętu toczy się dalej. Podczas gdy ponad czterystu ludzi stoi na baczność, oczekując najbliższego słowa z jego ust,

sternik skupia swą uwagę na kompasie i utrzymaniu wytyczonego kursu, a marynarze na oku i oficer wachtowy ze swym teleskopem są żywymi dowodami faktu, że okręt musi być dalej prowadzony, a służba dla króla kontynuowana.

Hornblower odwrócił się, by rozpocząć przegląd. Przeszedł tam i z powrotem przed poczwórnymi szeregami żołnierzy piechoty morskiej, mechanicznie przebiegając po nich wzrokiem, lecz niczego nie zauważył. Można było polegać na kapitanie Morrisie i jego sierżantach, że zwrócą uwagę na takie szczegóły, jak wyczyszczenie pasów i wypolerowanie guzików. Ćwiczeniem i dyscypliną można było uczynić z tych ludzi maszyny w stopniu nie do osiągnięcia, jeśli chodzi o marynarzy; przyjmował żołnierzy jakimi są i nie interesował się nimi. Nawet teraz, po dziesięciu dniach, znał twarze i nazwiska najwyżej sześciu z dziewięćdziesięciu żołnierzy na pokładzie.

Przeszedł do szeregów marynarzy; oficerowie każdej sekcji stali wyprężeni przed frontem. To było ciekawsze. Ludzie byli oporządzeni i wyglądali zgrabnie w swoich białych ubraniach — Hornblower zastanawiał się, ilu z nich wie, że koszt odzieży jest odejmowany od skąpej płacy, jaką otrzymują przy zwolnieniu ze służby. Niektórzy nowi byli straszliwie opaleni w wyniku nierozsądnego wystawiania się na wczorajsze niespodziewanie silne słońce. Jakiś krzepki blondyn miał zupełnie spaloną skórę na ramionach, szyi i czole. Hornblower rozpoznał w nim Waitesa, złodzieja owiec z aresztu w Exeter — to wyjaśniało oparzenie, gdyż skóra Waitesa wydelikatniała w ciągu miesięcy oczekiwania na rozprawę. Spalone miejsca musiały boleć go okropnie.

— Dopilnujcie, żeby ten Waites — odezwał się Hornblower do podoficera sekcji — poszedł do lekarza dziś po południu. Ma dostać smalec gęsi na oparzenia i wszelkie smarowidła, jakie mu on przepisze.

— Tak jest, sir — odpowiedział podoficer.

Hornblower przechodził wzdłuż szeregu przyglądając się z bliska każdemu. Twarze dobrze zapamiętane, twarze, do których trudno jeszcze dopasować nazwisko. Twarze, które musiał studiować dwa lata temu na dalekim Pacyfiku, na pokładzie „Lydii”, i te, ujrzone po raz pierwszy, gdy Gerard przybył z łodzią wyladowaną przerażonymi ofiarami branki w St Ives. Twarze smagłe, blade, chłopięce i starszych mężczyzn, z których patrzyły oczy niebieskie, brązowe i szare. Mnóstwo drobniutkich spostrzeżeń gromadziło się w umyśle Hornblowera; potem w czasie samotnych spacerów w galerii rufowej przetrawi je na surowiec dla swych planów dalszego podniesienia sprawności załogi.

Ten Simms powinien otrzymać stopień starszego na marsie stermasztu. Wiek ma odpowiedni. A jakżeż ten tam się nazywa? Dawson? Nie, Dawkins. Wygląda, jakby się dąsał. To jeden z paczki Goddarda — pewnie wciąż jeszcze jest zły za wychłostanie koleżki. Muszę o tym pamiętać.

Słońce grzało mocno, a „Sutherland” unosił się i opadał na łagodnej fali. Z załogi przeniósł uwagę na okręt — zamocowanie dział, sposób, w jaki fały ułożone są buhta w buchtę, czystość pokładów, kambuza i baku. Musiał tylko udawać, że patrzy na to wszystko — niebiosą by się zapadły, gdyby Bush zaniedbał swych obowiązków. Ale musi przejść przez to z wyrazem powagi na twarzy. Ludzie są dziwnie podatni na wpływy — ci biedni głupcy będą lepiej pracowali dla Busha, jeśli będą myśleli, że Hornblower ma na niego oko, i będą bardziej się starali dla Hornblowera,

jeśli będzie się im zdawało, że dokładnie ogląda okręt. Nie miała świadomość konieczności zdobywania sobie oddania ludzi powodowała, że Hornblower uśmiechnął się cynicznie w chwili, gdy nikt nie patrzył na niego.

— Udana inspekcja, panie Bush — powiedział Hornblower wracając na pokład rufowy. — Okręt jest w lepszym porządku, niż się spodziewałem. Będę oczekiwał dalszej poprawy. Może pan teraz montować kościół.

To Admiralicja przepelniona bojaźnią boską zarządziła odprawianie nabożeństwa w każdy niedzielny ranek, w przeciwnym razie Hornblower obywatłby się bez tego, jak przystało na kogoś, kto dogłębnie studiuje Gibbona. I tak udało mu się nie mieć kapelana na pokładzie — Hornblower nie znosił księży. Teraz patrzył, jak ludzie przynoszą sobie stołki z mesy i krzesła dla oficerów. Poruszali się żwawo i wesoło, chociaż bez tej zdyscyplinowanej celowości, jaka cechuje dobrze wyćwiczoną załogę. Sternik Brown przykrył sukrem pudło kompasu na pokładzie rufowym i z należytą powagą położył na nim Biblię i modlitewnik Hornblowera. Hornblower nie lubił tych nabożeństw; zawsze może się okazać, że jakiś nabożny członek, jego przymusowej kongregacji — katolik czy nonkonformista — nie będzie chciał w tym uczestniczyć. Religia jest jedyną siłą, która może przeciwstawić się więzom dyscypliny. Hornblower przypomniał sobie zastępcę sternika, człowieka ze skłonnościami do teologizowania, który protestował przeciwko czytaniu przez niego Błogosławieństwa, jak gdyby on, przedstawiciel Boga i króla tu, na morzu, nie mógł czytać Błogosławieństwa, jeśli miał ochotę!

Popatrzył spode łba na usadawiających się ludzi i zaczął czytać. Skoro już trzeba to robić, niech to będzie zrobione dobrze i, jak zawsze gdy czytał, uderzyło go piękno prozy Cranmera i zręczność adaptacji. Cranmer został spalony żywem dwieście pięćdziesiąt lat temu — czy przyszło mu coś z tego, że jego modlitewnik jest czytany w obecnych czasach?

Bush wykrzykiwał słowa Lekcji bezbarwnym głosem, jakby wołał do kogoś na topie masztu. Następnie Hornblower odczytał początkowe linijki hymnu, a skrzypek Sullivan zagrał pierwsze takty melodii. Bush dał znak rozpoczęcia śpiewu — Hornblower nigdy nie potrafił sam tego zrobić; mówił sobie, że nie jest ani handlarzem jarmarcznym, ani dyrygentem opery włoskiej — załoga rozwarła gardła i ryknęła potężnym głosem.

Ale nawet śpiewanie hymnów ma swoje zalety. Kapitan często może zorientować się w nastrojach załogi ze sposobu, w jaki odśpiewują hymny. Tego ranka, czy to dlatego, że wybrany hymn był szczególnie popularny, czy też załoga czuła się dobrze w słonecznym blasku nowego dnia, śpiewała z wigorem, a Sullivan wypiłowywał ekstatyczne obligato na swoich skrzypkach. Kornwalijszczyki znajdujący się wśród załogi widocznie dobrze znali hymn, bo wyśpiewywali z zapałem na głosy, dodając szczyptę harmonii do niemelodyjnych ryków. Wszystko to absolutnie nie działało na pozbawionego słuchu Hornblowera, dla którego jedna melodia brzmiała tak samo jak inna, a najpiękniejsza muzyka była tym samym co skrzywienie wozu jadącego po zwirowej drodze. Słuchając śpiewu, który nie miał dla niego żadnej treści, i patrząc na setki rozdziawiających się ust stwierdził, że jak zawsze przy takiej okazji zastanawia się, czy jest odrobina prawdy w tym, co się mówi o muzyce — czy inni ludzie istotnie słyszą w niej coś więcej niż zwyczajny hałas; a może on jest jedyną osobą na pokładzie nie oszukującą się świadomie.

A potem zauważył chłopca okrętowego w pierwszym rzędzie. Hymn znaczył coś, dla niego przynajmniej. Zasmarkany, ze łzami jak groch spływającymi po policzkach, płakał rozdzierająco żałośnie, starając się trzymać prosto i ukryć swe uczucia. Biedny dzieciak — jakaś struna wspomnień została w nim potracona. Może gdy ostatnim razem słyszał ten hymn, był w kraju, w małym kościółku przy matce i braciach. Teraz serce jego przepełniała rozpacz i tęsknota za domem. Hornblower był rad, że względu na niego, ale też i na siebie, że hymn się wreszcie skończył; następna ceremonia przywróci chłopcu spokój.

Wziął do ręki Regulamin Wojenny i zaczął go odczytywać zgodnie z nakazem lordów Admiralicji, polecających czytać go co niedziela na każdym okręcie jego brytyjskiej królewskiej mości. Czyniąc to po raz pięćsetny znalazł już na pamięć uroczyste zdania, każdą kadencję, każdy zwrot i czytał je dobrze. Było to lepsze niż jakieś mętne nabożeństwo religijne czy Trzydzieści Dziewięć Artykułów[19]. Oto zbiór przepisów, czarno na białym, surowe, pozbawione emocji odwołanie się do obowiązku, proste i oczywiste. Jakiś urzędnik Admiralicji lub podrzędniejszy prawnik musiał mieć równie trafny dar formułowania co Cranmer. Nie ma w tych słowach zbyt dużej emfazy ani czczych frazesów; jest tylko chłodna logika kodeksu, który pomagał Brytyjskiej Marynarce Wojennej trwać na morzu i stał na straży Anglii w czasie siedemnastu lat jej zmagania o życie. Po śmiertelnej ciszy panującej wśród załogi w czasie czytania poznawał, że słuchają przez cały czas z uwagą, a gdy złożywszy papier odłożył go i podniósł głowę, zobaczył skupione twarze. Chłopiec okrętowy z pierwszego rzędu zapomniał o swych łzach; czynił widocznie w duchu dobre postanowienia, że w przyszłości będzie bardziej przykładał się do swych obowiązków. A może śnił zuchwałe sny o tym, że kiedyś nadejdzie czas, gdy i on będzie kapitanem, w lamowanym złotem mundurze, dowodzącym siedemdziesięcioczerodziałowym okrętem, czy o dzielnych wyczynach, jakich dokona.

Hornblower pomyślał, że byłby chyba cud, gdyby wzniosłe uczucia zdołały uchronić tego dzieciaka przed pociskiem armatnim — przypomniał mu się inny chłopiec okrętowy, który na jego oczach został zmiażdżony na krwawą masę pociskiem z „Natividad”.

## Rozdział VIII

Po południu Hornblower przechadzał się po swym pokładzie rufowym; miał przed sobą tak trudny problem, że opuścił galerię — nie mógł tam chodzić dostatecznie szybko, z powodu konieczności schylania głowy pod nawisami balkonów, żeby wprawić swe myśli w bieg. Ludzie na pokładzie rufowym widzieli jego nastrój i trzymali się przezornie po stronie zawietrznej, zostawiając mu całą nawietrzną, jakieś trzydzieści jardów pokładu rufowego i półpokładu przyburtowego. Chodził po tej przestrzeni tam i z powrotem, tam i z powrotem, starając się zebrać całą odwagę do podjęcia decyzji w tej niezwykle ważnej dla niego sprawie. Pod półwiatrem z zachodu „Sutherland” ślizgał się wolno po wodzie; konwój znów szedł w grupie, w odległości zaledwie kilku kabli po zawietrznej.

Gerard z trzaskiem złożył lunetę.

— Płynie do nas łódź z „Lorda Morningtona”, sir — powiedział. Chciał ostrzec kapitana o zbliżaniu się gości, aby mógł on, jeśli uzna za właściwe, wycofać się w niedostępne odosobnienie swej kabiny; wiedział jednak równie dobrze jak Hornblower, że zbyt nonszalancki stosunek do notabli płynących na pokładach statków konwoju wschodnioindyjskiego mógłby być dla kapitana

rzeczą ryzykowną.

Hornblower spojrział na łódź pełznącą jak żuk w ich stronę. Ostatnie dziesięć dni wiatru północno-wschodniego przygnało konwój na szerokość geograficzną Afryki Północnej, gdzie miał go zostawić zdanego na własne siły, lecz aż do ubiegłego dnia uniemożliwiało wszelkie stosunki i wzajemne wizyty. Wczoraj łodzie często kursowały między statkami konwoju; rzecz naturalna, że będzie miał dziś oficjalne wizyty, od których nie bardzo mógł się wykręcić. Za dwie godziny rozstaną się — zatem ten dopust boży nie może trwać długo.

Łódź podpłynęła do burty i Hornblower ruszył na przyjęcie gości — kapitana Osborna z „Lorda Morningtona”, w oficjalnym surducie, i kogoś jeszcze, wysokiego i kościstego, we wspaniałym cywilnym stroju galowym, z wstęgą i gwiazdą.

— Witamy, kapitanie — przemówił Osborn. — Pragnę przedstawić pana lordowi Eastlake, który został mianowany gubernatorem Bombaju.

Hornblower skłonił się; to samo uczynił Eastlake.

— Przybyłem — odezwał się lord Eastlake odkaszlnąwszy — aby prosić, pana, kapitanie Hornblower, o przyjęcie, w imieniu pańskiej załogi, tej sakiewki z czterystu gwineami. Pieniądze te zostały ofiarowane przez pasażerów konwoju wschodnioindyjskiego w uznaniu umiejętności żeglarskich i odwagi wykazanej przez „Sutherlanda” w walce z dwoma francuskimi korsarzami pod Ushant.

— W imieniu mojej załogi dziękuję waszej lordowskiej mości — odpowiedział Hornblower.

Był to bardzo elegancki gest i przyjmując sakiewkę czuł się jak Judasz, gdy pomyślał, co zamierza w stosunku do konwoju wschodnioindyjskiego.

— A ja — odezwał się Osborn — przekazuję najserdeczniejsze zaproszenie dla pana i pańskiego pierwszego oficera na obiad na „Lorda Morningtona”.

Na te słowa Hornblower potrząsnął głową z wyrazem żalu na twarzy.

— Za dwie godziny rozstajemy się — rzekł. — Miałem właśnie podnieść odpowiedni sygnał. Jest mi niezmiernie przykro, że muszę odmówić.

— Wszystkim nam na pokładzie „Lorda Morningtona” będzie żal — rzekł lord Eastlake. — Dziesięć dni złej pogody pozbawiło nas przyjemności towarzystwa oficerów marynarki wojennej. Czy nie można by nakłonić pana do zmiany decyzji?

— Dotarliśmy do tej szerokości geograficznej szybciej niż kiedykolwiek — dodał Osborn. — Zaczynam teraz żałować, że jak się wydaje, pozbawiło to nas możliwości bliższego poznania się z panem.

— Jestem w służbie królewskiej, milordzie, i pod bardzo wyraźnymi rozkazami admirała.

Była to wymówka, której desygnowany gubernator Bombaju nie mógł kwestionować.

— Rozumiem — rzekł lord Eastlake. — Czy mogę przynajmniej mieć przyjemność poznania pańskich oficerów?

To był jeszcze jeden ładny gest; Hornblower wezwał ich i przedstawił kolejno; Busha o zrogowaciałych dłoniach i Gerarda, przystojnego i eleganckiego, kapitana Morrisa z oddziału żołnierzy piechoty morskiej i jego dwóch gamoniowatych młodszych oficerów, pozostałych poruczników i sternika, aż do młodszego kadeta, a wszyscy byli i zachwyceni, i zakłopotani tym spotkaniem. Wreszcie lord Eastlake skierował się do odejścia.

— Do widzenia, kapitanie — powiedział, wyciągając rękę. — Pomyślnej podróży na Morzu Śródziemnym.

— Dziękuję, milordzie. Szczęśliwej drogi do Bombaju. Oby pańska kadencja była uwieńczona powodzeniem i przeszła do historii.

Hornblower stał ważąc w dłoni sakiewkę — haftowany woreczek płócienny, nad którym ktoś ostatnio musiał pilnie pracować. Czuł ciężar złota, a pod palcami szelest banknotów. Chętnie potraktowałby to jako przyzwoicie i wziął swą część według zasad podziału, ale wiedział, że nie może przyjąć tego rodzaju nagrody od cywilów. Niemniej jednak załoga musi okazać swoją wdzięczność.

— Panie Bush — powiedział, gdy łódź odbiła od okrętu. — Proszę posłać ludzi na reje. Niech wzniosą trzykrotny okrzyk.

Odplywając lord Eastlake i kapitan Osborn uprzejmymi gestami skwitowali ten dowód uznania. Hornblower obserwował, jak łódź ich pełźnie z powrotem w kierunku „Lorda Morningtona”. Czteryście gwinei. To mnóstwo pieniędzy, lecz nie miał zamiaru dać się kupić za czteryście gwinei. W tym właśnie momencie, po dwudziestu czterech godzinach wahania, powziął decyzję. Pokaże konwojowi wschodnioindyjskiemu, co znaczy niezależność kapitana Hornblowera.

— Panie Rayner — powiedział — proszę przygotować szalupę i kuter do opuszczenia. Wykonać zwrot przez rufę i przejść na zawietrzną konwoju. Łodzie mają być spuszczone w chwili, gdy znajdziemy się przy tamtych statkach. Panie Bush, panie Gerard, proszę o uwagę.

Gdy załoga pośpiesznie wykonywała zwrot przez rufę i wybierała sztagtalie, Hornblower w krótkich słowach wydał rozkazy. Po raz pierwszy w życiu Bush zaryzykował sprzeciw, gdy uświadomił sobie, co Hornblower zamierza.

— Przecież to statki Kompanii Johna — powiedział.

— Proszę sobie wyobrazić, że i mnie to przyszło do głowy — odrzekł Hornblower z wyszukaną ironią. Wiedział doskonale, jakie ponosi ryzyko porywając załogę ze statków Kompanii Wschodnioindyjskiej — obrazi najpotężniejsze przedsiębiorstwo w Anglii i sprzeciwi się rozkazom admirała. Lecz potrzebował ludzi, potrzebował ich rozpaczliwie, a statki, z których ich zabierze, nie ujrzą lądu, aż dopłyną do Świętej Heleny. Minie trzy albo i cztery miesiące, zanim ich protest dotrze



do Anglii, a sześć, nim jakiegokolwiek zarzuty osiągną jego na Morzu Śródziemnym. Przepięstwo popełnione przed sześcioma miesiącami nie będzie ścigane ze szczególną surowością, a może za sześć miesięcy będzie martwy.

— Proszę wydać załogom łodzi pistolety i kordy — rzekł — żeby tamci widzieli, iż nie pozwolę na żadne głupstwa. Chcę mieć po dwudziestu ludzi z każdego z ich statków.

— Dwudziestu! — zawołał Bush patrząc z podziwem. To były kpiny z prawa na wielką skalę.

— Dwudziestu z każdego. I zapamiętajcie sobie. Przyjmę tylko białych. Żadnych tam Hindusów. I samych sprawnych marynarzy, takich, co potrafią obchodzić się z osprzętem, refować i sterować. Dowiedźcie się też, którzy tam są dobrymi kanonierami i przywieźcie ich. Przydadzą się panu wyszkoleni artylerzyści, co, panie Gerard?

— Na Boga, sir, oczywiście!

— Doskonale.

Hornblower odwrócił się. Powziął decyzję sam i nie chciał więcej nad nią dyskutować. „Sutherland” podpływał do konwoju. Najpierw szalupa, a potem kuter opadły na wodę i sunęły szybko ku skupionym w stado statkom, podczas gdy „Sutherland” odszedł dalej na zawietrzną, by stojąc w dryfie z grotmarslem wyostrzonym oczekiwać na ich powrót. Przez swą lunetę Hornblower widział błysk stali, gdy Gerard z oddziałem abordażowym wbiegł na pokład „Lorda Morningtona” — od razu demonstrował swą siłę, by odstraszyć wszelką myśl o oporze. Hornblower musiał bardzo się starać, żeby ukryć gorączkę niepokoju. Zamknął z trzaskiem lunetę i zaczął chodzić po pokładzie.

— Rusza ku nam łódź z „Lorda Morningtona”, sir — powiedział Rayner, równie podniecony jak kapitan, ale zdradzający to wyraźniej.

— Bardzo dobrze — odrzekł Hornblower ze sztuczną obojętnością.

To było pocieszające. Gdyby Osborn dał z miejsca Gerardowi bezceremonialną odprawę, wezwał swych ludzi pod broń i stawił mu czoło, mogłoby dojść do paskudnej sytuacji. Jeśli ktoś zostałby zabity w trakcie zmuszania siłą do spełnienia nielegalnych żądań, sąd wojenny nazwałby to morderstwem. Liczył jednak, że Osborn będzie kompletnie zaskoczony, gdy oddział abordażowy wpadnie na pokład jego statku. Że nie będzie w stanie stawić prawdziwego oporu. Teraz przewidywania Hornblowera sprawdzały się: Osborn wysyłał protest, a on był gotów przyjmować każdą ich liczbę, szczególnie że inne statki konwoju będą czekały na przykład ze strony swego komodora i można je będzie oskubać z ludzi w czasie składania protestów.

Przez furtę w nadburciu, szkarłatny z wściekłości i obrażonej dumy, wchodził Osborn we własnej osobie.

— Kapitanie Hornblower! — powiedział, stawiając stopę na pokładzie. — To jest gwałt! Muszę zaprotestować przeciwko temu, sir. W tej chwili pański porucznik przeprowadza przegląd mojej załogi z zamiarem zabrania ludzi przemocą.

— Działa na mój rozkaz, sir — rzekł Hornblower.

— Nie mogłem wprost uwierzyć, gdy mi to powiedział. Czy zdaje pan sobie sprawę, sir, że to, co pan zamierza uczynić, jest sprzeczne z prawem? To jest jaskrawe pogwałcenie przepisów Admiralicji. Rzecz wprost oburzająca, sir. Statki czcigodnej Kompanii Wschodnioindyjskiej nie podlegają przymusowej rekrutacji i ja, jako komodor, muszę protestować do ostatniego tchu przeciwko wszelkiemu gwałceniu prawa.

— Chętnie przyjmę pański protest, sir, jeśli go pan złożysz.

— Ale... ale... — jąkał się oburzony do głębi Osborn. — Przecież go złożyłem. Właśnie z a p r o t e s t o w a ł e m, sir.

— O, rozumiem — odrzekł Hornblower. — Sądziłem, że są to tylko uwagi poprzedzające protest.

— Nic podobnego — pieklił się Osborn, a jego korpulentna postać niemal tańczyła po pokładzie. — Zaprotestowałem, sir, i będę dalej protestować. Zwrócę uwagę najwyższych czynników w kraju na ten gwałt. Przybędę z drugiego końca świata, sir, by świadczyć na pańskim sądzie wojennym. Nie spocznę... poruszę wszystko... użyję całego mego wpływu, aby ta zbrodnia została ukarana tak, jak na to zasługuje. Sprawię, że pójdzie pan z torbami!

— Ależ, kapitanie Osborn... — zaczął Hornblower, zmieniając ton, by opóźnić dramatyczne odejście, do którego szykował się Osborn. Kątem oka dostrzegł łódzie „Sutherlanda” płynące ku dwóm dalszym ofiarom przypuszczalnie po ograbieniu dwóch pierwszych ze wszystkich nadających się ludzi. Gdy Hornblower zaczął dawać do zrozumienia, że może zmienić zdanie, Osborn nagle uspokoił się.

— Jeśli zwróci mi pan ludzi, sir, chętnie odwołam wszystko, co powiedziałem — rzekł. — Zapewniam pana, że nikt nie usłyszy ani słowa o tym incydencie.

— Lecz czy nie zechciałby mi pan pozwolić, kapitanie, żebym spytał o ochotników spośród pańskiej załogi? — nalegał Hornblower. — Może przecież znaleźć się kilku ludzi, którzy zechcą wstąpić do służby królewskiej.

— Cóż... tak, zgodzę się nawet na to. Jak sam pan mówi, sir, zapewne znajdzie się paru niespokojnych duchów.

Był to szczyt wielkoduszności ze strony Osborna, mimo że miał prawo sądzić, iż mało będzie ludzi w jego flocie na tyle głupich, by zamienić względne wygody służby w Kompanii Wschodnioindyjskiej na rygor życia w marynarce wojennej.

— Pańska biegłość w sztuce żeglarskiej podczas potyczki z korsarzami, sir, była tak godna podziwu, że trudno mi odmówić panu czegokolwiek — powiedział ugodowo. Teraz łódzie „Sutherlanda” były już przy burcie ostatniego statku w konwoju.

— To bardzo ładnie z pańskiej strony, sir — odrzekł Hornblower z ukłonem. — Proszę więc

pozwolić, bym pana odprowadził do gigu. Odwołam moje łodzie. Ponieważ brały przede wszystkim ochotników, możemy polegać, że mają na pokładzie samych chętnych, a niechętnych zwrócę panu. Dziękuję panu, kapitanie Osborn, dziękuję.

Odprowadził Osborna aż do nadburcia, a potem wrócił na pokład rufowy. Rayner patrzył na niego z osłupieniem, widząc tę nagłą zmianę frontu; sprawiło mu to przyjemność, Rayner wkrótce będzie jeszcze bardziej zaskoczony. Kuter i szalupa wypełnione ludźmi po brzegi płynęły teraz spieszenie z wiatrem ku okrętowi, mijając gig Osborna idący wolno pod wiatr. Przez lunetę Hornblower zobaczył, jak Osborn wymachuje rękami; przypuszczalnie krzyczał coś do mijających go łodzi. Jak się należało spodziewać, Bush i Gerard nie zwrócili na niego żadnej uwagi. W ciągu dwóch minut łodzie stanęły przy burcie i ludzie zaczęli wylewać się na pokład, stu dwudziestu mężczyzn, każdy z niewielkim bagażem, eskortowanych przez trzydziestu marynarzy z „Sutherlanda”. Reszta załogi powitała ich szczerząc szeroko zęby. Była to szczególna cecha marynarza brytyjskiego, wcielonego przeważnie siłą do marynarki, że zawsze cieszył go widok innych branych podobnie pod przymusem, pomyślał Hornblower, jak lis, który straciwszy swą kitę pragnie, aby straciły ją wszystkie inne lisy.

Bush i Gerard na pewno wybrali najlepszych ludzi; Hornblower patrzył na nowo przybyłych, jak stali ustawieni na głównym pokładzie „Sutherlanda”, z wyrazem apatii i przerażenia lub ponurej wściekłości na twarzach. Bez ostrzeżenia wyrwano ich z wygód, jakie mieli na statkach Kompanii Wschodnioindyjskiej — z regularną płacą, dostatkiem jedzenia i niezbyt surową dyscypliną — i rzucono w trudne warunki służby królewskiej, gdzie płaca była problematyczna, jedzenie podłe, a plecy narażone na chłostanie do krwi na byle rozkaz nowego kapitana. U Johna nawet prosty marynarz z kubryku mógł oczekiwać z przyjemnością pobytu w Indiach, z wszystkimi możliwościami, jakie otwierał zamiast tego ci ludzie zostali teraz skazani na dwa lata monotonii, urozmaicanej jedynie niebezpieczeństwem, chorobami i kulami z armat nieprzyjaciela.

— Niech wciągną łodzie, panie Rayner — powiedział Hornblower.

Powieki Raynera drgnęły — słyszał obietnicę daną Osbornowi przez Hornblowera i wiedział, że ponad stu z nowo przybyłych odmówi pozostania u nich. Trzeba tylko będzie znów spuszczać łodzie, by ich odwieźć z powrotem. Lecz jeśli mógł wyczytać cokolwiek z kamiennego wyrazu twarzy Hornblowera, to na pewno to, że należy uczynić, co kazał.

— Tak jest, sir — odpowiedział Rayner.

Bush zbliżał się właśnie, z papierem w ręku, uzgodniwszy z Gerardem liczby dotyczące rekrutów.

— W sumie stu dwudziestu, sir, jak pan rozkazał — przemówił. — Jeden pomocnik bednarza — to ochotnik, stu dziewięciu wykwalifikowanych marynarzy — w tym dwóch ochotników; sześciu działonowych, czterej to szczury lądowe — ci wszyscy ochotnicy.

— Doskonale, panie Bush. Proszę odczytać im regulamin. Panie Rayner, brasować na fordewind, gdy tylko łodzie znajdą się na pokładzie. Panie Vincent! Proszę dać sygnał do konwoju: „Wszyscy zgłosili się na ochotnika. Dziękuję, do widzenia”. Będzie pan musiał przeliterować „na

ochotnika”, ale warto to zrobić.

Świetny nastrój sprawił, że Hornblower powiedział o jedno zdanie za dużo. Lecz łatwo znalazł dla siebie usprawiedliwienie. Ma stu dwudziestu nowych ludzi, prawie wszyscy to sprawni marynarze — „Sutherland” posiada teraz załogę niemal w komplecie. Co więcej, zabezpieczył się przed ewentualnymi konsekwencjami. Gdy z Admiralicji przyjdzie nieunikniony list z reprimendą, będzie mógł odpisać i powiedzieć, że wziął tych ludzi za pozwoleniem komodora Kompanii Wschodnioindyjskiej; przy odrobinie szczęścia będzie mógł przeciągać sprawę przez następne sześć miesięcy. To da mu w sumie rok na przekonanie nowo przybyłych, że istotnie przyszli na ochotnika — do tego czasu przynajmniej niektórzy z nich dostatecznie rozkochają się w swym nowym życiu, by to zaświadczyć pod przysięgą; dość ich będzie, żeby zaciemnić sprawę i dać Admiralicji, gotowej z konieczności patrzeć przez palce na łamanie obowiązujących przepisów, możliwość znalezienia wymówki, by go nie prześladować zbyt surowo.

— „Lord Mornington” odpowiada, sir — rzekł Vincent. — „Nie rozumiem sygnału. Czekam na łódź!”

— Nadaj jeszcze raz „Do widzenia” — polecił Hornblower.

Na głównym pokładzie Bush kończył właśnie odczytywanie nowym Regulaminu Wojennego — niezbędna formalność, by uczynić z nich poddanych królewskich, posłusznych władzy knuta i kata.

## Rozdział IX

„Sutherland” musiał widocznie przybyć na miejsce spotkania za cyplem Palamos jako pierwszy z eskadry, gdyż nie było tam jeszcze śladu ani okrętu flagowego, ani „Caliguli”. Podczas gdy lawirowali niespiesznie ze zmniejszoną liczbą żagli pod łagodny wiatr południowo—wschodni, Gerard wyzyskiwał okres bezczynności na szkolenie ludzi w obsłudze armat. Bush miał dotąd aż nadto okazji do ćwiczeń załogi na masztach; teraz był czas na praktykę przy działach. Pod palącym słońcem śródziemnomorskiego lata ludzie obnażeni do pasa spływali strumieniami potu przetaczając działa tam i z powrotem, ćwicząc w kółko posługiwanie się handszpakami, poznając arkana używania giętkiego stempla — wszystkich tych mechanicznych czynności, jakie musi poznać każdy artylerzysta, by można było ufać, że potrafi naprowadzić na cel, wystrzelić, oczyścić, ponownie załadować i kontynuować te operacje godzina za godziną w gęstym dymie prochowym, gdy śmierć chyha wokół niego. Najpierw były ćwiczenia, a dopiero długo potem nauka celnego strzelania; niemniej jednak należało pozwolić ludziom wystrzelić kilka razy — dawało im to rekompensatę za harówkę przy działach.

Tysiąc jardów od lewej burty mała łódź okrętowa podskakiwała na połyskliwej wodzie. Usłyszeli plusk i zobaczyli czarny punkcik, beczkę wyrzuconą przez łódź, która spieszenie odpływała poza linię ognia.

— Działo numer 1! — ryknął Gerard. — Cel! Odwieść kurki! Ognia — zatkać zapawy!

— Osiemnastofuntowe działo pierwsze od dziobu ryknęło krótko, a tuzin lunet śledził, gdzie rozbryźnie się woda.

— Przeniosło górą i w prawo! — oznajmił Gerard. — Działo numer 2!

Osiemnastofuntówki z pokładu głównego, dwudziestoczerofuntowe armaty z pokładu dolnego odzywały się jedna za drugą. Nawet przy doświadczonych celowniczych trudno było oczekiwać, że któryś z trzydziestu siedmiu pocisków trafi na tak dużą odległość; nie uszkodzona beczka dalej podskakiwała na falach. Każda armata z baterii na lewej burcie oddała jeszcze po jednym strzale, ale beczka przetrwała i to.

— Zmniejszymy dystans. Panie Bush, ster na nawietrzną. Niech okręt przechodzi o kabel od beczki. Dalej, panie Gerard.

Dwieście jardów to był zasięg dość bliski nawet dla karonad; załogi z baku i pokładu rufowego czekały w pogotowiu, gdy „Sutherland” płynął ku beczce. Po nacelowaniu działa wystrzeliły niemal równocześnie, aż okręt zadrżał od wstrząsu, a gęsty dym spowił półnagich artylerzystów. Woda zawrzała, gdy pół tony żelaza rozbiło ją w fontanny, i wśród bryzgów beczka nagle wyskoczyła nad powierzchnię i rozpadła się w powietrzu na klepki. Załogi dział wydały gromki okrzyk, aż srebrny gwizdek Hornblowera przeciął wrzawę, dając sygnał zaprzestania ognia, i ludzie zaczęli się poklepywać nawzajem triumfująco po ramionach. Byli z siebie serdecznie zadowoleni. Jak spodziewał się Hornblower, radość z rozbicia beczki była pełną rekompensatą za dwie godziny ciężkiej pracy przy działach.

Z łódki wyrzucono jeszcze jedną beczkę; bateria na prawej burcie przygotowywała się do jej zbombardowania, a Hornblower stał na pokładzie rufowym mrużąc oczy w blasku słonecznym, niezmiernie rad z tego, że żyje. Ma taki komplet załogi, o jakim może marzyć każdy kapitan, i więcej wyszkolonych marynarzy, niż śmiał w ogóle oczekiwać. Na razie wszyscy są zdrowi; szczury lądowe szybko przekształcają się w żeglarzy, a jeszcze szybciej robi się z nich artylerzystów. To błogosławione słońce pełnego lata, gorące i suche, doskonale wpływało na jego samopoczucie. Głęboka radość, jakiej doświadczał obserwując, jak jego załoga staje się jedną zgraną, sprawną jednostką bojową, odegnała niespokojne myśli o Lady Barbarze. Cieszył się życiem i kipiał radosnym nastrojem.

— Świetny strzał! — powiedział. Jakiś wyjątkowo szczęśliwy wystrzał z jednego z dział pokładu dolnego rozbił drugą beczkę na drzazgi. — Panie Bush, proszę dopilnować, żeby każdy z załogi tego działa dostał dziś wieczorem porcję rumu.

— Tak jest, sir.

— Widać żagiel! — rozległ się okrzyk z salingu. — Hej, pokład. Statek prosto z nawietrznej, płynie szybko w naszą stronę. — Panie Bush, proszę odwołać łódź. I niech pan położy okręt w dryf na prawym halsie.

— Tak jest, sir.

Nawet tu, nie więcej niż pięćdziesiąt mil od Francji i nie dalej niż dwadzieścia od części Hiszpanii opanowanej przez Francuzów, prawdopodobieństwo napotkania żaglowca francuskiego było bardzo małe, szczególnie na kursie, jakim szedł ten — wszystkie okręty francuskie krążyły przy

brzegu, nie odważając się wyjść na miłę w morze.

— Hej, ty, na oku! Co z tym statkiem?

— To pełnorejowiec, sir, pod pełnymi żaglami. Widzę bombramsle i żagle boczne na bramrejach.

— Obkładać! — wrzasnął pomocnik bosmana na ludzi, podciągających łódź.

Skoro zbliżający się okręt jest pełnorejowcem, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że to okręt francuski — francuska żegluga handlowa była teraz ograniczona do małych stateczków, lugrów, brygów i tartan[20]. Pewnie to jeden z okrętów, na których spotkanie przybył tu „Sutherland”. Chwilę później przypuszczenie to zostało potwierdzone z salingu.

— Hej, pokład! Wygląda na „Caligulę”, sir. Teraz widzę już jego marsie, sir.

A więc jest; kapitan Bolton musiał zakończyć swe zadanie eskortowania statków zaopatrzeniowych do Mahoń. Po godzinie „Caligula” był w zasięgu strzału armatniego.

— „Caligula” sygnalizuje, sir — rzekł Vincent. — „Kapitan do kapitana. Rad jestem, że się spotykamy. Czy zechce pan zjeść ze mną obiad?”

— Podnieść potwierdzający — powiedział Hornblower.

Gwizdki bosmańskie odświergotały swą ostatnią przeraźliwą frazę, gdy Hornblower wchodził przez burtę „Caliguli”; trapowi stanęli na baczność, żołnierze sprezentowali broń, a kapitan Bolton postąpił naprzód z wyciągniętą dłonią; jego twarz o ostrych rysach zmarszczyła się w uśmiechu.

— Pierwszy w miejscu spotkania! — rzekł. — Proszę tędy, sir. Moje serce raduje się, że znów pana widzę. Mam tu dwanaście tuzinów butelek sherry i chciałbym usłyszeć pańską opinię o tym trunku. Gdzież te szklanki, steward? Pańskie zdrowie, sir!

Kabina kapitana Boltona urządzona była z przepychem stanowiącym absolutny kontrast w stosunku do przestrzeni mieszkalnej Hornblowera. Na skrzyniach leżały atlasowe poduszki; lampy zawieszane u góry były ze srebra, srebrne sztuce lśniły na stole przykrytym białym obrusem. Bolton miał szczęście do pryzowego, gdy dowodził fregatą — jedna wyprawa przyniosła mu pięć tysięcy funtów — a przecież Bolton zaczynał jako prosty marynarz z kubryku. Chwilowa zazdrość opuściła Hornblowera, gdy zobaczył, w jak złym guście jest wyposażenie kabiny, i gdy sobie przypomniał, jak nieszykownie wyglądała pani Bolton, kiedy ją widział ostatnio. A wyraźna radość Boltona ze spotkania z nim i nieudawany respekt, z jakim się do niego odnosił, jeszcze bardziej poprawiły własne mniemanie Hornblowera o sobie.

— Z tempa, w jakim pan dotarł na miejsce spotkania, wnoszę, że płynął pan szybciej niż my — powiedział Bolton i rozmowa zesłała na szczegóły techniczne, o których mówili jeszcze po tymczasem podanym obiedzie.

Bolton wyraźnie się nie orientował, co należy podać w tym piekielnym upale. Była zupa z

grochu, doskonała, ale tłusta. Barwana — zakupiona w Mahoń tuż przed odpłynięciem. Comber barani. Gotowana kapusta. Ser stilton, który już stracił swój najlepszy smak, i gęste jak ulep porto, nie w guście Hornblowera. Nie podano sałaty czy owoców ani żadnego z innych bardziej pożądaných produktów Minorki, którą właśnie Bolton opuścił.

— To baranina z Minorki — powiedział Bolton z nożem do krajania mięsa w ręku. — Moja ostatnia angielska owca zdechła w sposób tajemniczy koło Gibraltaru i poszła na obiad dla załogi dział. Może weźmie pan jeszcze trochę, sir?

— Dziękuję, nie — odrzekł Hornblower. Zjadł dzielnie całą dużą porcję i objedzony tłustą baraniną siedział teraz i pocił się w dusznej kabinie. Bolton przesunął ku niemu wino i Hornblower nalał kilka kropli do swej na pół opróżnionej szklanki. Praktyka życiowa nauczyła go doskonale udawać, że pije na równi z gospodarzem, gdy faktycznie wypijał tylko jedną szklaneczkę na jego trzy. Bolton opróżnił swoją i napełnił ją znowu.

— A teraz — rzekł — musimy czekać beczynn timer na Sir Mucho Pomposo, kontradmirała eskadry czerwonej.

Hornblower spojrział na Boltona ze zdumieniem. On sam nie odważyłby się nigdy w rozmowie z kimkolwiek nazwać swego przełożonego Mucho Pomposo. Co więcej, nie zdarzyło mu się myśleć o Sir Percym Leightonie w ten sposób. Krytykowanie przełożonego, który miał dopiero pokazać, co umie, nie leżało w zwyczaju Hornblowera; być może nie kwapił się tym bardziej do krytykowania przełożonego, że był on mężem Lady Barbary.

— Mucho Pomposo, powiedziałem — powtórzył Bolton. Wypił o jedną szklaneczkę porto więcej, niż nakazywał rozsądek, i nalewał sobie następną. — Porobią nam się odciski na siedzeniach, zanim doprowadzi tu z Lizbony tę starą balię „Plutona”. Wiatr mamy południowo-wschodni. Tak było i wczoraj. Jeśli nie przepłynął cieśniny dwa dni temu, minie tydzień albo i więcej, zanim się tu zjawi. A jeżeli nie zostawi całej nawigacji Elliottowi, to może w ogóle tu nie dotrzeć.

Hornblower popatrzył z obawą na świetlik. Gdyby wiadomość o tej rozmowie dotarła do wyższych władz, mogłoby to nie wyjść Boltonowi na dobre. Ten zrozumiał właściwie jego odruch.

— Och, niech się pan nie obawia — powiedział. — Mogę ufać moim oficerom. Dla admirała nie będącego marynarzem mają tyleż respektu co ja. No, a co pan miałby do powiedzenia?

Hornblower zaproponował, aby jeden z nich wysunął się ze swym okrętem na północ i przystąpił do nękania wybrzeża francuskiego i hiszpańskiego, podczas gdy drugi zostanie i będzie czekał w miejscu spotkania na admirała.

— To świetna myśl — rzekł Bolton.

Hornblower otrząsnął się ze znużenia wywołanego upałem i ilością jedzenia, jaką pochłoniął. Pragnął, aby to „Sutherland” wysłany został z tym zadaniem. Nadzieja natychmiastowej akcji działała podniecająco. Czuł, jak ta myśl pobudza jego serce do żywszego bicia i im bardziej się nad

tym zastanawiał, tym silniej pragnął, aby wybór padł na niego. Nie pociągała go wcale perspektywa lawirowania przez szereg dni w pobliżu miejsca spotkania. Mógłby to znieść w razie konieczności — dwadzieścia lat we flocie zdolne byłoby uodpornić każdego na wyczekiwanie — ale nie miał na to najmniejszej chęci.

— Kto popłynie? — spytał Bolton. — Pan czy ja?

Hornblower opanował swą wielką ochotę.

— Pan ma starszeństwo, sir — powiedział. — Decyzja należy do pana.

— Tak — rzekł Bolton w zamyśleniu. — Tak.

Popatrzył na Hornblowera uważnym wzrokiem.

— Oddałby pan trzy palce dłoni, żeby wyruszyć — stwierdził nagle — i wie pan o tym. Jest pan takim samym niespokojnym duchem jak na „Indefatigable”. Pamiętam, że dostał pan za to ode mnie, w dziewięćdziesiątym trzecim to było czy dziewięćdziesiątym czwartym?

Hornblower poczerwieniał na to wspomnienie. Gorzka pamięć upokorzenia, jakiego doznał, gdy przechylony na działo odbierał razy od porucznika z mesy kadetów, przetrwała w nim do dziś dnia. Ale połknął urazę; nie miał ochoty spierać się z Boltonem, szczególnie w tej chwili, i wiedział, że nikt poza nim nie traktuje chłosty jako zniewagi.

— W dziewięćdziesiątym trzecim, sir — rzekł. — Właśnie się wtedy zaciągnąłem.

— A teraz ma pan rangę komandora, i to z opinią jednego z najwartościowszych w dolnej połowie listy oficerów marynarki wojennej — powiedział Bolton. — Boże, jak ten czas płynie. Przez pamięć na dawne czasy pozwoliłbym iść panu, Hornblower, gdybym nie chciał sam.

— Och — westchnął Hornblower. Wyraźne rozczarowanie nadało jego twarzy zabawny wyraz. Bolton zaśmiał się.

— Zrobimy po sprawiedliwości — postanowił. — Rzucimy monetę, niech rozstrzyga. Zgoda?

— Tak, sir — powiedział skwapliwie Hornblower. Lepsze równe szansę niż żadna.

— Nie będzie pan żywił do mnie urazy, jeśli wygram?

— Nie, sir. Żadnej.

Z powolnością, która mogła przyprawić o szal, Bolton sięgnął do kieszeni i wyjął z niej sakiewkę. Wydobył gwineę, położył na stole i potem z tą samą powolnością włożył z powrotem sakiewkę do kieszeni, gdy tymczasem Hornblower usiłował opanować podniecenie. Z kolei podniósł gwineę i ułożył ją równo na swoim sękatym kciuku i palcu wskazującym.

— Orzeł czy reszka? — spytał, patrząc na Hornblowera.



— Reszka — odrzekł Hornblower, przełykając z trudem ślinę.

Moneta brzęknęła, gdy Bolton wyrzucił ją w powietrze; spadła na stół i Bolton przykrył ją dłonią.

— Reszka — powiedział, uniósłszy rękę.

Bolton powtórzył raz jeszcze wszystkie czynności wyjmowania sakiewki, wkładania gwinei z powrotem i wsadzania sakiewki do kieszonki, a Hornblower zmusił się, by siedzieć spokojnie i obserwować go. Ochłonął, mając teraz przed sobą perspektywę natychmiastowego działania.

— Niech to diabli, Hornblower — przemówił Bolton. — Cieszę się, że pan wygrał. Umie pan mówić językiem diegów lepiej ode mnie. Miał pan z nimi do czynienia na Morzu Południowym. To zadanie jest wprost stworzone dla pana. Proszę się nie oddalać na dłużej niż na trzy dni. Powinienem dać to panu na piśmie, na wypadek przybycia Jego Wielmożność!. Ale nie chce mi się. Powodzenia, Hornblower, i niech pan napełni swoją szklanekę.

Hornblower nalał do dwóch trzecich. Jeśli zostawi trochę na dnie, to faktycznie wypije tylko pół szklanki ponad to, co sobie postanowił. Rozsiadł się wygodnie w fotelu i pociągał wino, opanowując, póki się dało, palącą chęć zabrania się natychmiast do dzieła. Lecz w końcu wzięła nad nim górę i podniósł się.

— Do diabła, człowieku, pan chyba nie odchodzi? — spytał Bolton. Postawa Hornblowera nie zostawiała żadnych wątpliwości, ale Bolton nie chciał wierzyć własnym oczom.

— Jeśli pan pozwoli, sir. Wieje pomyślny wiatr...

Hornblower zaczął się jąkać, pragnąc wypowiedzieć wszystkie swoje argumenty naraz: że wiatr może się zmienić; że skoro mają się rozdzielić, to lepiej iść teraz, niż czekać, bo jeśli „Sutherland” zdąży zająć pozycję w pobliżu brzegu, póki jeszcze ciemno, to ma szansę na zdobycie przyżu o świcie — wszystkie poza tym jednym prawdziwym, że nie może już siedzieć dłużej spokojnie, gdy tuż za widnokregiem czeka go nowa przygoda.

— Niech będzie, jak pan chce — mruzczał Bolton. — Skoro pan musi, to trudno. Zostawia mnie pan z na pół opróżnioną butelką. Czy to znaczy, że nie smakuje panu moje porto?

— Ależ nie, sir — odrzekł pośpiesznie Hornblower.

— No to jeszcze szklaneczkę, zanim załoga pańskiej łodzi będzie gotowa. Przywołać gig kapitana Hornblowera.

Ostatnie zdanie, które Bolton ryknął ku zamkniętym drzwiom kabiny, zostało natychmiast powtórzone przez posterunek.

Świergotały gwizdki bosmańskie, gdy Hornblower schodził przez burtę „Caliguli”, oficerowie stali na bacność, a trapowi utworzyli szpaler. Gig niesiony wiosłami płynął szybko przez srebrzystą wodę w blednącym świetle wieczora; sternik Brown spoglądał spod oka na swego kapitana, usiłując

odgadnąć, co znaczy ten spieszny i przedwczesny powrót. Podobny niepokój zapanował na „Sutherlandzie”; Bush, Gerard, Crystal i Rayner czekali na pokładzie rufowym — widać było, że Bush wyskoczył z koi na wieść o powrocie kapitana.

Hornblower nie zwrócił uwagi na żadne wyjaśnienie spojrzenia. Postawił sobie za zasadę nie dawać ich — utrzymywanie podwładnych w nieświadomości tego, co ich czeka, wywoływało w nim przyjemny samolubny dreszczyk. Gdy tylko podskakujący na falach gig podszedł pod talie fałów szalupowych, Hornblower wydał rozkazy, które ustawiły okręt na pełny wiatr i skierowały go ku brzegowi hiszpańskiemu, gdzie czekała ich przygoda.

— „Caligula” sygnalizuje, sir — odezwał się Vincent. — „Powodzenia”.

— Potwierdzić — rzekł Hornblower.

Oficerowie na pokładzie rufowym spoglądali po sobie zastanawiając się, co się takiego święci, że komodor życzy im powodzenia. Hornblower zauważył tę wymianę spojrzeń, nie dając jednak poznać tego po sobie.

— Hmm — chrząknął tylko i poszedł z godnością na dół, by pochyliwszy się nad mapami morskimi zaplanować akcję. Drewniane części okrętu skrzypiały cichutko, a łagodny wiatr popychał okręt przez niemal spokojne morze.

## Rozdział X

— Dwa dzwony, sir — powiedział Polwheal budząc Hornblowera z cudownych marzeń sennych. — Wiatr wschodni ku południowi, kurs północny ku wschodowi i wszystkie żagle postawione, aż po bombramsle. A pan Gerard kazał powiedzieć, że widać ląd na trawersie z lewej burty.

Usłyszawszy ostatnie zdanie Hornblower poderwał się z koi bez chwili ociągania. Zrzucił koszulę nocną i włożył ubranie, które Polwheal miał w pogotowiu. Nie ogolony i nie uczesany poszedł spiesznie na pokład rufowy. Było już zupełnie jasno, słońce na pół się wynurzyło spoza widnokregu i świeciło na rufową część prawej burty, a tuż za trawersem lewej burty szary masyw góry odbijał jego blask. To był przylądek Creus; odnoga Pirenejów sięga tu do Morza Śródziemnego, zaznaczając najdalej wysunięty na wschód punkt linii brzegu hiszpańskiego.

— Widać statek! — zawołał marynarz na oku. — Prawie prosto przed dziobem. Bryg, sir, idzie od lądu prawym halsem.

To było coś, na co czekał Hornblower; właśnie w tym celu wykreślił kurs tak, by znaleźć się tutaj w tej chwili. Całe wybrzeże morskie Katalonii, na południe aż po Barcelonę i dalej było w rękach Francuzów, a zgiełkliwa armia francuska — „Sprawozdanie z aktualnej sytuacji wojennej w Hiszpanii” oceniało ją na blisko osiem tysięcy ludzi — próbowała rozszerzyć podbity obszar w kierunku południa i w głąb lądu.

Musiała jednak pokonać w tym celu nie tylko wojska hiszpańskie, ale i hiszpańskie drogi.

Zaopatrywanie ośmiotysięcznej armii oraz dużej liczby ludności cywilnej drogą lądową przez przełęcz pirenejskie było niemożliwe, mimo że Gerona padła w grudniu po bohaterkiej obronie. Żywność i materiały oblężnicze oraz amunicję trzeba było przewozić morzem na małych statkach, które krążyły wzdłuż brzegu, od jednej baterii nadbrzeżnej do drugiej, przez laguny i płycizny wybrzeża Zatoki Lwiej, przechodząc obok skalistych przylądków hiszpańskich, aż do Barcelony.

Od czasu odwołania Cochrane'a ruch ten nie napotykał żadnej niemal przeszkody ze strony okrętów brytyjskich obecnych na Morzu Śródziemnym. Dotarwszy do miejsca spotkania koło cypla Palamos Hornblower skrył się znów natychmiast za horyzontem, aby nie dać żadnego ostrzeżenia o zbliżaniu się eskadry brytyjskiej. Miał nadzieję, że Francuzi zapomną o ostrożności. Przy wietrze wiejącym ze wschodu i z przylądkiem Creus wybiegającym niemal prosto na wschód była szansa, że o świcie uda im się dopaść, poza zasięgiem baterii brzegowych, jakiś statek zaopatrzeniowy, który musi odejść daleko od lądu, by móc minąć cypel po nawietrznej, a zaniecha dokonania tego niebezpiecznego przejścia nocą. I tak się też stało.

— Panie Gerard, proszę podnieść banderę — powiedział Hornblower. — I wezwać całą załogę.

— Bryg zrobił zwrot przez rufę, sir — zawołał marynarz ze szczytu masztu. — Idzie pełnym wiatrem.

— Panie Gerard, sterujcie tak, by go odciąć. Postawić żagle boczne z obu burt.

Posuwanie się fordewindem przy słabiutkim wietrze stanowiło wymarzone warunki żeglugi dla płytkiego i szerokiego „Sutherlanda”. W tej idealnej sytuacji może on z łatwością dopędzić wyładowany po brzegi bryg przybrzeżny.

— Hej, pokład! — zawołał marynarz z masztu. — Bryg znowu poszedł na wiatr, sir. — Idzie swoim starym kursem.

To było bardzo dziwne. Gdyby przedmiotem pościgu był okręt liniowy, mógłby prowokować walkę. Ale po zwykłym brygu, nawet brygu wojennym, należało raczej oczekiwać, że umknie pod osłonę baterii brzegowych. Być może jest to bryg angielski.

— Halo, Savage, weź lunetę i powiedz mi, co tam widać.

Na te słowa Savage wspiał się błyskawicznie po wantach grotmasztu.

— To prawda, sir. Statek idzie znowu ostro pod wiatr prawym halssem. Na tym kursie będziemy go mijać po zawietrznej. Ma francuską banderę, sir. I teraz nadaje sygnał, sir. Nie mogę jeszcze odczytać flag, bo on jest teraz prawie prosto po zawietrznej.

O co, u licha, chodzi temu brygowi? Sam przesądził o swoim losie przechodząc znów na wiatr; gdyby zaczął uciekać ku lądowi w momencie zauważenia „Sutherlanda”, mógłby się może wymknąć. Teraz jest pewną zdobyczą — ale czemu bryg francuski sygnalizuje do brytyjskiego okrętu liniowego? Hornblower wskoczył na poręcz; stąd widział za horyzontem marsie brygu trzymającego

kurs na wiatr.

— Teraz już mogę odczytać sygnał, sir. MV.

— Co u diabła znaczy „MV”? — syknął Hornblower do Vincenta, ale pożałował, że się odezwał. Wystarczyłoby spojrzenie.

— Nie wiem, sir — odrzekł Vincent przerzucając kartki książki sygnałowej. — Nie ma tego w kodzie.

— Wkrótce się dowiemy — zauważył Bush. — Zbliżamy się szybko do niego. Hola! Znowu robi zwrot przez rufę. Idzie pełnym wiatrem. Ale nic ci już nie pomoże, mosje. Jesteś nasz. Ładny kawałek przyzowego dla nas, chłopaki.

Podniecony gwar z pokładu rufowego docierał do uszu Hornblowera, ale on go nie słyszał. Ta ostatnia próba ucieczki ze strony francuza wyjaśniła jego poprzednie manewry. Bush, Gerard, Vincent i Crystal, zbyt podnieceni perspektywą przyzowego, nie obserwowali go dość uważnie, by wpaść na to. Hornblower domyślił się teraz, co się stało. Na pierwszy widok „Sutherlanda” bryg rzucił się do ucieczki. Przedtem zobaczył czerwoną banderę i wziął ją mylnie za banderę francuską — wcześniej już obie strony robiły ten sam błąd, czerwoność powiewającej trójkolorowej bandery francuskiej i szkarłat bandery brytyjskiej łatwo się myliły.

Tym razem szczęśliwie się złożyło, że Leighton był kontradmirałem eskadry czerwonej i „Sutherland” nosił jego barwy. Ponadto „Sutherland” ma zaokrąglony dziób, ukształtowany przez holenderskich stoczniovców, taki sam niemal jak wszystkie liniowe okręty francuskie, a odmienny od wszystkich brytyjskich, z wyjątkiem trzech czy czterech. Tak więc bryg wziął „Sutherlanda” za francuza i gdy tylko się upewnił co do tego, znów poszedł na wiatr, pragnąc jak najszybciej wyjść na pełne morze, by minąć przylądek Creus po nawietrznej. A zatem sygnał „MV” wywieszony przez bryg jest francuskim tajnym sygnałem rozpoznawczym — to jest coś, co warto wiedzieć. Dopiero gdy „Sutherland” nie dał oczekiwanej umownej odpowiedzi, kapitan francuski pojął swój błąd i uczynił ostatnią próbę ucieczki.

Próbie zupełnie bezskuteczną, gdyż „Sutherland” odciął mu wszelkie szansę umknienia na zawietrzną. W tej chwili okręty były oddalone od siebie ledwie o dwie mile i dalej się zbliżały. Jeszcze raz bryg poszedł ostrzej na wiatr, tym razem mając już bardzo słabą nadzieję wydostania się z zasięgu wroga na nawietrzną. Lecz „Sutherland” dopadał go coraz bliżej.

— Wystrzelić pocisk w poblizę brygu — rzucił Hornblower.

Na tę groźbę kapitan francuski skapitulował. Bryg położył się w dryf i trójkolorowa bandera została ściągnięta z masztu. Okrzyk radości rozległ się na pokładzie głównym „Sutherlanda”.

— Cisza tam! — ryknął Hornblower. — Panie Bush, proszę wziąć łódź i dokonać abordażu. Panie Clarke, pan jest dowódcą przyzu. Proszę wziąć ze sobą sześciu ludzi i doprowadzić statek do Mahoń.

Bush wrócił cały w uśmiechach.

— Bryg „Amelie”, sir. Od sześciu dni w podróży z Marsylii do Barcelony. Wiezie zaopatrzenie dla wojska. Dwadzieścia pięć ton prochu. Sto dwadzieścia pięć ton sucharów. Wołowina i wieprzowina w beczkach. Brandy. Agent admiralicji w Mahoń kupi go, rzecz murowana; statek, zapasy, wszystko. — Bush zatarł ręce. — A my jesteśmy jedynym okrętem w zasięgu widzenia!

Gdyby w polu widzenia znalazł się jakiś inny okręt brytyjski, miałby udział w przyzowie. W obecnej sytuacji trzeba będzie tylko oddać części należne admirałowi dowodzącemu na Morzu Śródziemnym i admirałowi Leightonowi, dowódcy eskadry. Na nich przypadnie jedna trzecia wartości przyzu, a zatem udział Hornblowera wyniesie około dwóch dziewiątych — co najmniej kilkaset funtów.

— Proszę położyć okręt na pełny wiatr — rzekł Hornblower. Za nic w świecie nie pokazałby po dobie zadowolenia z tego, że stał się bogatszy o paręset funtów. — Nie mamy czasu do stracenia.

Zszedł na dół, żeby się ogolić, i gdy zeskrobując mydło z policzków patrzył na swą melancholijną twarz odbitą w lustrze, pomyślał raz jeszcze o wyższości morza nad lądem. „Amelie” jest małym statkiem, prawie nie liczącym się. Lecz wiezie od dwustu do trzystu ton zapasów, gdyby Francuzi chcieli przesłać tę ilość lądem do Barcelony, potrzebny byłby do tego duży konwój wojskowy — sto lub więcej wozów i setki koni — zajmujący z milę drogi i wymagający tysięcy żołnierzy dla obrony przed atakami hiszpańskich partyzantów. Wojsko i konie potrzebowałyby też pożywienia, a na to trzeba by dalszych wozów, a wszystko razem wlokłoby się po drogach hiszpańskich w tempie najwyżej piętnastu mil dziennie. Nic więc dziwnego, że Francuzi woleli zaryzykować wysłanie zaopatrzenia morzem. A co to będzie za cios dla znękannej armii francuskiej, gdy odkryje, że ma eskadrę brytyjską na swej flance i że najlepsza trasa komunikacyjna została przerwana.

Gdy szedł ku pompie, by z pomocą Polwheala wziąć kąpiel, wpadła mu do głowy nowa myśl.

— Proszę posłać po żaglomistrza — powiedział.

Żaglomistrz Potter przybył na rufę i czekał stojąc na baczność, podczas gdy Hornblower obracał się pod strumieniem pompowanej mu na kark wody.

— Potrzebna mi bandera francuska, Potter — rzekł Hornblower. — Czy nie mamy jakiejś na pokładzie?

— Banderą francuską, sir? Nie, sir.

— To zrób ją. Masz na to, Potter, dwadzieścia minut.

Hornblower mył się dalej pod wodą tryskającą z pompy i radował się jej orzeźwiającym działaniem w ten upalny poranek. Istniała szansa, że żaden Francuz z przyłądka Creus nie spostrzeże porwania „Amelie” i że w tej chwili jest to jedyny ląd w zasięgu widzenia. Nawet jeśli ktoś ich

zauważył, ostrzeżenie całej linii brzegowej o obecności brytyjskiego okrętu liniowego zajmie wiele godzin. Wziąwszy jednego francuza przez zaskoczenie, należy ten efekt zaskoczenia wyzyskać do końca, stosując wszelkie środki mogące przyczynić się do zadania skutecznego ciosu. Wrócił do swej kabiny i wkładając świeżą czystą bieliznę, opracowywał w myśli szczegóły swoich planów, które teraz straciły poprzednią mglistość i przybrały bardziej realne kształty.

— Śniadanie, sir? — zapytał Polwheal na wszelki wypadek.

— Przynieś mi kawy na pokład rufowy — odrzekł Hornblower. Nie mógł znieść myśli o jedzeniu — może z podniecenia, a może z powodu obfitego obiadu, jaki zjadł poprzedniego dnia.

Z pokładu rufowego widać było na horyzoncie wprost przed nimi zamglone błękitnawe masywy — szczyty Pirenejów. Między górami a morzem ciągnęła się droga z Francji do Hiszpanii. Pomocnik żaglomistrza przybiegł na rufę trzymając w obu rękach zwiniętą płachtę tkaniny flagowej.

— Panie Vincent — powiedział Hornblower. — Proszę podnieść tę banderę zamiast naszej.

Oficerowie stojący w grupce przy burcie zawietrznej pokładu rufowego odprowadzili wzrokiem obcą trójkolorową banderę wciągana na maszt, a potem zerkając cały czas na kapitana zaczęli szeptać między sobą, lecz żaden nie odważył się rozpocząć rozmowy z Hornblowerem stojącym przy burcie nawietrznej. Hornblowera łechtało mile zarówno ich podniecenie, jak i milczące wyczekiwanie.

— Panie Bush, proszę posiać ludzi na stanowiska, jak tylko skończą śniadanie — rozkazał. — I przygotować okręt do boju. Lecz furty niech będą zamknięte. Szalupa i barkas mają być na zawołanie gotowe do opuszczenia.

Marynarze schodzili się ze śniadania — popychając się nawzajem i paplając zawzięcie. Rozkaz przygotowania do boju, francuska bandera na maszcie, góry Hiszpanii przed nimi, zdobycz poranna, wszystko to wprawiło ich w niezwykle podniecenie.

— Niech ci tam na pokładzie głównym będą cicho! — krzyknął Hornblower. — Wyglądają, jakby ich wypuszczono z domu wariatów.

Hałas ucichł nagle, a ludzie przemykali się teraz na palcach jak dzieci w domu ojca, który łatwo wpada w gniew. Zdjęto grodzie, żarzące się węgle z kambuza wysypano za burtę. Chłopcy biegali z prochem do dział; pojemniki na pociski między armatami napełniono czarnymi żelaznymi kulami, aby były pod ręką w razie potrzeby.

— Gotów do boju, sir — zameldował Bush.

— Hm — chrząknął Hornblower. — Kapitanie Morris, jeśli będę chciał wysłać barkas i szalupę, muszę mieć w każdej po dwudziestu żołnierzy. Proszę kazać swoim ludziom, żeby byli gotowi.

Hornblower wziął jeszcze raz lunetę i obejrzał uważnie zbliżającą się szybko linię brzegową. Zobaczył strome zbocza skalne; u ich stóp, tuż przy skraju wody, wiła się droga, a mapy mówiły, że

brzeg jest tu urwisty. Lecz dla ostrożności warto wkrótce zacząć sondowanie. Ryzykuje podchodzenie do zawietrznego brzegu bronionego przez ciężkie baterie — „Sutherland” może dostać porządnie, zanim zdąży przebić się przeciw wiatrowi poza ich zasięg. Hornblower liczył nie tylko na efekt podstępny, lecz także na to, że Francuzi nie uwierzą, iż okręt brytyjski zechciałby pójść na takie ryzyko.

Francuzi z baterii brzegowych mogą sobie łatwo wytłumaczyć obecność francuskiego liniowca w pobliżu brzegu; może odważył się wypłynąć z Tuluzy, może przybywa z Atlantyku albo zaatakowany przez Brytyjczyków uciekł z którejś wyspy jońskiej i szuka schronienia po długim błędzeniu. Nie wierzył, że otworzą ogień nie zostawiwszy czasu na wyjaśnienia.

Na rozkaz Hornblowera „Sutherland” wziął kurs równoległy do brzegu, idąc półwiatrem ku północy. W lekkim powiewie posuwał się wolno tuż poza zasięgiem strzału armatniego z brzegu. Żar lał się z nieba. Załoga czekała w milczeniu na swych stanowiskach, oficerowie zgromadzili się na pokładzie rufowym, a Hornblower z twarzą ociekającą potem przeszukiwał brzeg lunetą w nadziei znalezienia jakiegoś celu. Pod słabym wiatrem z takielunku szedł tylko cichutki pogwizd, stukot bloków do wtóru łagodnego kołysania się okrętu brzmiał w tej ciszy nienaturalnie głośno, podobnie jak monotony głos sondującego. Nagle odezwał się Savage z topu fokmasztu.

— Tam, za cyplem jest pełno małych stateczków, sir, na kotwicach. Ledwo je stąd widzę, sir.

Ciemny punkcik zatańczył w obiektywie lunety Hornblowera. Opuścił ją, by dać odpoczynek zmęczonemu oku, a potem przyłożył znowu. Punkcik, był wciąż widoczny; była to trójkolorowa bandera powiewająca leniwie na wietrze z masztu na cyplu. Właśnie tego szukał Hornblower. Bateria francuska ulokowana na szczycie skały. Przypuszczalnie czterdziestodwufuntówki, fachowo ustawione, może nawet z paleniskami do rozgrzewania pocisków — żaden okręt nie jest w stanie zagrozić im z morza. Poniżej tłoczyła się mała flotylla przybrzeżna, która uciekła tu na widok niezanego okrętu.

— Niech żołnierze położą się na pokładzie — powiedział Hornblower do Morrisa. Nie chciał, aby czerwone uniformy piechoty morskiej ustawionej w szeregach na rufie zdradziły przedwcześnie, co to za okręt.

„Sutherland” wlokł się powoli i szarawe, opadające stromo zbocza rysowały się teraz dokładniej, ponieważ na rozkaz Hornblowera okręt podszedł bliżej do brzegu. Gdy tylko Hornblower przestawał koncentrować się na baterii, w jego lunecie za ścianami skalnymi pojawiały się natychmiast szczyty gór. Dostrzegał już szczyty baterii i zdawało mu się nawet, że widzi przezierające ku niemu ciężkie działa. Teraz w każdej chwili bateria może bluznąć ogniem, hukem i dymem, a wówczas będzie musiał zawrócić i uciekać nic nie wskórawszy. Znajdowali się już dobrze w zasięgu dział. Może Francuzi rozpoznali „Sutherlanda” i czekają tylko, żeby podpłynął jeszcze bliżej. Każda minuta podchodzenia ku brzegowi oznaczała dodatkową minutę pod ostrzałem, gdy trzeba będzie uciekać. Utrata masztu mogła znaczyć utratę okrętu.

— Panie Vincent — powiedział Hornblower, nie odrywając wzroku od baterii — proszę podnieść „MV”.

Słowa te wywołały poruszenie w grupie oficerów. Teraz już byli pewni, co planuje Hornblower. Sztuczka z sygnałem zwiększała ryzyko odkrycia, kim są, ale gdyby się udała, pozwoli im to podplłynąć bliżej do baterii. Jeśli „MV” oznacza francuski sygnał rozpoznawczy i jeżeli zastosowali go prawidłowo, to w porządku. A jeśli nie — bateria wkrótce da im znać o tym. Hornblower czekając z sercem bijącym jak oszalałe pomyślał, że w każdym razie może to zdezorientować oficera baterii i spowodować chwilę dalszej zwłoki. Sygnał wciągnięto już na flaglince, a bateria dalej milczała. Teraz zjawiał się sygnał na maszcie baterii.

— Nie mogę odczytać, sir — powiedział Vincent.

— Jeden ma jaskółczy ogon, a my takiego nie używamy.

Lecz sam już fakt, że bateria odpowiada na sygnał, oznaczał, iż mają co najmniej wątpliwość co do tożsamości „Sutherlanda” — chyba że była to część planu zwabienia go bliżej. Jeśli jednak bateria będzie dalej zwlekać, to stanie się za późno.

— Panie Bush, widzi pan baterię?

— Tak, sir.

— Proszę wziąć barkas. Pan Rayner szalupę, wylądujcie i weźmiecie ją szturmem.

— Tak jest, sir.

— Powiem, kiedy spuszczać na wodę.

— Tak jest, sir.

— Osiem bez ćwierci — oznajmił marynarz z sondą. Hornblower słuchał dotąd podświadomie wyników każdego pomiaru; teraz, gdy woda stawała się płytsza, mając wciąż na oku baterię, musiał połowę uwagi poświęcać zawołaniom sondującego. Już tylko ćwierć mili dzieliło ich od baterii; nadszedł czas na uderzenie.

— Bardzo dobrze, panie Bush. Może pan ruszać.

— Tak jest, sir.

— Panie Gerard, przebrasować grotmarsel.

Na rozkaz Busha pozornie uśpiony okręt ożywił się nagle. Przeszywające gwizdki sprowadziły błyskawicznie załogi łodzi do talii. Właśnie teraz ludzie powinni pokazać, czego się nauczyli podczas uciążliwych ćwiczeń; im szybciej łodzie spuszczone i obsadzone załogą odpłyną od okrętu, tym mniejsze niebezpieczeństwo i tym większe prawdopodobieństwo powodzenia. Barkas i szalupa opadły na wodę, a marynarze zjechali do nich po linach talii.

— Panie Bush, zrzućcie armaty ze skały. Rozbijcie baterię, jeśli dacie radę. Ale nie zostawajcie ani chwili dłużej, niż to konieczne.



— Tak jest, sir.

Łodzie odpłynęły niesione szaleńczym wisiłkiem wioślarzy.

— Ster na zawietrzną! Panie Gerard, proszę zmienić hals. Ściągnąć tę banderę i podnieść naszą. Ach!

Powietrze rozdarł huk pocisku armatniego, który przeleciał górą. Cały okręt zatrzęsł się od strasznego uderzenia w część dziobową. Hornblower ujrzał chmurę dymu skłębioną nad baterią — wreszcie otworzyli ogień. I, dzięki Bogu, strzelali do okrętu; gdyby któryś z pocisków trafił łódź, znalazłby się w ładnych opałach. Tak się tym ucieszył, że nie przyszło mu do głowy myśleć o własnym bezpieczeństwie.

— Panie Gerard, proszę sprawdzić, czy działa dosięgną baterii. Niech pan dopatrzy, żeby każdy strzał był celny. Nie ma sensu strzelać, póki nie będziecie w stanie trafiać w otwory strzelnicze.

Następna salwa z baterii i znowu za wysoko, pociski z wyciem przeleciały nad głowami. Mały Longley, kroczący dumnie przez pokład rufowy ze sztyletem u boku, instynktownie uchylił głowę, lecz spojrzawszy kątem oka na kapitana wyprostował się i szedł dalej trzymając szyję sztywno jak stempel do ubijania ładunku w lufie. Hornblower uśmiechnął się.

— Panie Longley, proszę natychmiast spleść fał grotbramsla.

Utrzymywanie chłopca w stałym ruchu, aby nie miał czasu się bać, było dowodem życzliwości. Teraz prawoburtowa bateria „Sutherlanda” zaczęła strzelać nieregularnie, w miarę jak działonowym się wydawało, że ich armaty nachodzą na cel. Pył wzbijający się z lica skały wskazywał, że większość pocisków uderzała o trzydzieści stóp za nisko. Lecz jeśli choć jeden czy dwa pociski trafią w otwory strzelnicze i zabiją któregoś kanoniera, przyczyni się to bardzo do osłabienia ducha bojowego obsługi baterii. Jeszcze jedna salwa z tamtej strony. Tym razem skierowali ją ku łodziom. Szalupa niemal znikła pod strumieniami wody wyrzuconymi przez pociski i obawa ścisnęła gardło Hornblowera. Lecz w chwilę później zobaczył ją znowu pełznącą wolno i niezdarnie jak wielki krab — któryś strzał musiał roztrzaskać parę wiosł po jednej stronie. Teraz jednak łodzie były już bezpieczne; dział przytulonych do zbocza nie można było zniżyć na tyle, by je trafiły. Barkas sunął na fali przyboju, a szalupa następowała mu na pięty. Po chwili marynarze wysypali się z nich i rozpryskując wodę popędzili ku plaży.

Hornblowerowi przemknęła przez głowę myśl, że wbrew zasadom hierarchii trzeba było objąć samemu dowództwo nad oddziałem desantowym; beładny i rozproszony atak może zaprzepaścić wszystko, co już osiągnięto. Nie, Bushowi można ufać. Widział go przez lunetę, jak skacze na drogę, a potem odwraca się twarzą do oddziału desantowego. Jak macha rękoma wydając rozkazy. Ktoś poprowadził grupę marynarzy w prawo — to był Rayner — wyteżywszy wzrok Hornblower rozpoznał jego łysinę i charakterystyczny chód z przygarbionymi plecami. Morris ze swymi żołnierzami piechoty morskiej — zwartym blokiem szkarłatu — poszedł w lewo. Bush formował pozostałych w środku — Bush był wystarczająco bystry.

Po zewnętrznej stronie urwiska znajdowały się trzy parowy zaznaczone pasmami zieleni i stanowiące najłatwiejszą drogę do podejścia. Gdy oddziały oskrzydłające dotarły do dolnej partii ścieżek, którymi miały się posuwać, Hornblower dojrzał błysk szpady Busha wzywającego ludzi, by szli za nim. Teraz wszystkie trzy oddziały naraz zaczęły pięć się po stromym zboczu skalnym. Woda przyniosła do okrętu słabe echo ich okrzyku.

Jedno czy dwa działa z pokładu głównego zdążyły się już wstrzelać. Dwa razy zdawało się Hornblowerowi, że widzi, jak pociski trafiwszy w otwory strzelnicze wyrzucają w powietrze tumany ziemi; tym lepiej, ale teraz, gdy ludzie podchodzą zboczem, ostrzał musi ustać. Zagwizdał i gromkim głosem wydał odpowiedni rozkaz. Okręt sunął po wodzie w martwej ciszy, a oczy wszystkich śledziły grupę desantową. Właśnie przebiegała przez szczyt wzgórza. Chmurki dymu wylatujące w powietrze oznajmiły, że działa znów strzelają — prawdopodobnie kartaczami lub szrapnelami. Oddział, który dostałby się w zasięg kartaczy z działa czterdziestodwufuntowego, może zostać starty doszczętnie. Na przedpiersiu baterii połyskiwały lufy karabinów; drobniutkie punkciki dymu wskazywały, gdzie strzelano z broni palnej. Z lewej strony czerwone mundury żołnierzy piechoty morskiej były już na samym szczycie szczytu, a ze środka linii ataku biało odziany marynarz przywoływał innych gestami. Przelewali się przez nasyp, chociaż białe i czerwone kropki, którymi był usiany, znaczyły miejsca, gdzie padali zabici. Pełna niepokoju minuta, gdy nic nie było widać, zdawała się trwać godziny. A potem trójkolorowa flaga wolno zsunęła się w dół masztu i załoga na pokładzie głównym wybuchła burzą okrzyków radości. Hornblower zamknął z trzaskiem lunetę.

— Panie Gerard, proszę zmienić hals i wysłać łodzie. Niech zajmą statki w zatoce.

W małej zatoczce u stóp baterii stały na kotwicach cztery tartany, jedna feluka[21] i dwa stateczki o ozagleniu kutrowym — niezła gratka, szczególnie jeśli są załadowane do pełna. Hornblower ujrzał bączki odbijające od nich w popłochu ku brzegowi za baterią; uciekały załogi, by uniknąć niewoli. Ucieszyło go to; wolał nie mieć kłopotu z jeńcami, sam zresztą przebywał w więzieniu w Ferrol przez dwa ponure lata. Coś runęło w dół zbocza jak lawina i spadło na drogę z łoskotem, podnosząc chmurę kurzu i szczątków. To było działo czterdziestodwufuntowe zepchnięte za nasyp; Bush szybko się zabrał do niszczenia baterii — jeśli Bush żył jeszcze. Po chwili spadło następne działo, potem jeszcze jedno.

Małe stateczki, z których dwa holowały łodzie okrętowe, zdążyły w stronę, gdzie dryfując czekał „Sutherland”, a oddział desantowy schodził ze zbocza i formował się na brzegu. Pozostałe w tyle grupki wskazywały, że zbierano rannych. Te nieuniknione chwile opóźnienia wydawały się przeciągać powrót w wieczność. Potężny huk od strony baterii i fontanna ziemi i dymu — przez moment przypominająca wulkany, u stóp których w poprzedniej wyprawie stała na kotwicy „Lydia” — oznajmiły, że wysadzono w powietrze skład amunicji. Wreszcie szalupa i barkas ruszyły z powrotem ku okrętowi i luneta Hornblowera, nacelowana na ławkę rufową barkasa, odnalazła tam Busha, żywego i całego. Mimo wszystko Hornblower odczuł ulgę, gdy zobaczył go, jak ze swą wielką kanciastą twarzą, całą w uśmiechach, idzie ku rufie chwiejnym krokiem, by złożyć raport.

— Żabojady uciekły przez tylną bramę, kiedy podeszliśmy od frontu — powiedział. — Nie stracili prawie nikogo. My straciliśmy...

Hornblower musiał się zmusić do wysłuchania nazwisk poległych. Teraz, gdy ustąpiło podniecenie, czuł się źle i słabo i tylko kosztem wysiłku opanowywał dłonie, by nie drżały. Z trudem zdołał wywołać uśmiech na swe oblicze i wymamrotać najpierw słowa pochwały dla ludzi, których Bush podał jako zasługujących na specjalne wyróżnienie, a potem dla całej załogi zebranej na pokładzie głównym. Przez parę godzin chodził po pokładzie rufowym udając spokój, ale teraz przyszła reakcja. Zostawił Bushowi załatwienie spraw przyzów, wyznaczenie załóg przyzowych i odesłanie ich na zdobytych statkach do Mahoń, i bez słowa wymówki wycofał się do swej kabiny. Zapomniał, że okręt przygotowany do boju i szukając odosobnienia musiał usiąść na leżaku w samym końcu galerii, tuż poza polem widzenia z okien rufowych, a tymczasem załoga ustawiała z powrotem grodzie i mocowała armaty. Siedział przechylony do tyłu, ze zwieszonymi rękami i zamkniętymi oczyma, woda bulgotała w dole pod nawisem rufowym, a z boku jęczały czopy steru. Głowa opadała mu na przeciwne ramię za każdym razem, gdy okręt zmieniał hals, w miarę jak Bush robił zwrot, by wyjść na pełne morze.

Coś co męczyło go najbardziej, to wspomnienie ryzyka, na jakie się narażał; na myśl o tym drobne fale chłodu przebiegały mu po plecach i nogach. Prowadził okręt ogromnie nierozważnie — tylko dzięki wyjątkowo wielkiemu szczęściu nie był on teraz pozbawionym masztów wrakiem, z połową załogi martwą lub raną, dryfującym ku brzegowi na zawietrznej, gdzie czekał na niego wiwatujący nieprzyjaciel. W naturze Hornblowera leżało pomniejszanie swoich własnych osiągnięć, niebranie pod uwagę podjętych środków ostrożności, aby zapewnić sukces, ani pomysłowości w najlepszym wyzyskaniu sytuacji. Wymyślał sobie za lekkomyślną głupotę i za swój zwyczaj rzucania się w niebezpieczeństwo bez uprzedniego wyważenia ryzyka.

Brzęk sztućców i nakryć stołowych w kabinie wyrwał go z zamyślenia. Usiadł i przybrał swój nieprzenikniony wyraz twarzy akurat na czas, gdyż Polwheal wchodził właśnie na galerię rufową.

— Przygotowałem panu coś do zjedzenia, sir — powiedział. — Pan nic nie jadł od wczoraj.

Hornblower poczuł nagle, że jest strasznie głodny i jednocześnie uświadomił sobie, że zapomniał o kawie, którą Polwheal przyniósł mu wiele godzin temu na pokład rufowy. Pewnie stała tam, aż wystygła, i Polwheal zabrał ją z powrotem. Z prawdziwą przyjemnością wstał i przeszedł do kabiny; tak kusząca była perspektywa jedzenia i picia, że nie poczuł rozdrażnienia z powodu zabiegów Polwheala koło niego, irytującego matkowania i prób wyzyskania sytuacji, by wypchać w niego jak najwięcej. Ozór na zimno był doskonały, a Polwheal z bezbłędną intuicją podał pół butelki czerwonego wina — sam Hornblower sięgał po coś mocniejszego od wody rzadziej niż raz w miesiącu, dziś jednak wypił trzy szklaneczki wina, czując, że mu tego potrzeba i radując się każdą kroplą.

A gdy pokarm i wino wzmocniły go i zmęczenie przeszło, umysł jego zaczął podświadomie pracować nad nowymi planami i obmyślać dalsze sposoby nękania nieprzyjaciela. Popijał kawę, a w głowie roiło mu się od pomysłów, lecz on wciąż nie zdawał sobie z tego sprawy. Poczuł tylko nagle, że w kabinie jest duszno i ciasno i że bardzo mu trzeba łyku świeżego powietrza i mocnego blasku słońca. Gdy Polwheal wrócił, by sprzątnąć ze stołu, zobaczył przez okno rufowe, że kapitan przechadza się po galerii; a po latach służby pod jego rozkazami umiał już wyciągać prawidłowe wnioski z widoku zwieszanej, zamyślanej głowy Hornblowera i dłoni, które chociaż trzymał

splecione w tyle, poruszały się niespokojnie, jak zawsze gdy obmyślał nowe posunięcie.

Polwheal musiał puścić parę, bo już na dwie godziny, zanim Hornblower zjawił się na pokładzie rufowym, by wydać rozkazy, wszyscy na dolnym pokładzie wiedzieli, że szykuje się coś nowego.

## Rozdział XI

— Dobrze strzelają, sir — zauważył Bush, gdy fontanna wody trysnęła nagle, by zakończyć swój tajemniczy krótki żywot o sto jardów na trawersie z lewej strony.

— Któż by nie strzelał dobrze będąc w tak korzystnej sytuacji — odparł Gerard. — Z czterdziestodufuntówkami zamontowanymi na stałym łożu pięćdziesiąt stóp nad wodą i z obsługą złożoną z żołnierzy mających dziesięć lat służby za sobą?

— A jednak widziałem ich strzelających gorzej — rzekł Crystal.

— Będzie półtorej mili albo co najmniej mila z kawałkiem — powiedział Bush.

— Więcej — rzekł Crystal.

— Najwyżej mila — upierał się Gerard.

— Nonsens — stwierdził Bush.

Hornblower przerwał spór.

— Panowie, proszę o uwagę. Potrzebni mi też będą Rayner i Hooker, niech ktoś pójdzie po nich. A teraz zbadajmy to miejsce uważnie.

Tuzin lunet skierowało się na Port-Vendres, za którym czerwono zachodziło słońce. W głębi sterczał szczyt Canigou, stwarzając zaskakujące złudzenie niebotycznej wysokości; na lewo odnogi Pirenejów podchodziły aż do morza, koło przylądka Gerberę, zaznaczając, gdzie się kończy Hiszpania, a zaczyna Francja. W środku białe domy Port-Vendres różowiały w blasku zachodu, słońce wokół cypla niewielkiej zatoczki. Przed nimi stał na kotwicy statek pod osłoną baterii z obu brzegów zatoki, dających od czasu do czasu znać o sobie kłębamii dymu, w miarę jak działa strzelając na najdalszy zasięg próbowały raz po raz trafić ten zuchwały okręt, który paradował dumnie pod brytyjską banderą w polu widzenia wybrzeży Cesarstwa.

— Panie Gerard, proszę się przyjrzeć tej baterii po lewej — rzekł Hornblower. — Panie Rayner, widzi pan baterię z prawej strony... strzelają stamtąd. Niech pan ją dobrze obejrzy, nie życzę sobie żadnej pomyłki. Panie Hooker, zauważył pan, jak zatoka się zakrzywia? Dziś w nocy musi pan doprowadzić łódź prosto do tamtego statku.

— Tak jest, sir — odpowiedział Hooker, podczas gdy inni oficerowie wymienili spojrzenia.

— Panie Bush, proszę położyć okręt na lewy hals. Musimy teraz odejść dalej na morze. Takie

są rozkazy dla was, panowie.

Zwracając się po kolei do oficerów Hornblower powtórzył w krótkich słowach instrukcje. Statek z Port-Vendres ma zostać odcięty i zdobyty tej nocy, co będzie punktem kulminacyjnym dwudziestoczterogodzinnego okresu, który się zaczął wzięciem „Amelia” i szturmem na baterię w Llanzy.

— Księżyc wschodzi o pierwszej. Postaram się być z powrotem na naszej obecnej pozycji o północy — powiedział Hornblower.

Jeśli dopisze im szczęście, może widok odpływającego teraz „Sutherlanda” osłabi czujność garnizonu w Port-Vendres i będą mogli wrócić niepostrzeżenie po zapadnięciu nocy. Godzina ciemności wystarczy na zrealizowanie planu zaskoczenia, a wschodzący księżyc da dość światła na wyprowadzenie statku, jeżeli uda się go zdobyć, jeśli zaś przedsięwzięcie się nie powiedzie, uczestnikom ataku pozwoli zebrać się i ujść cało.

— Pan Bush zostanie jako dowódca okrętu — oznajmił Hornblower.

— Sir! — zaprotestował Bush. — Proszę, sir...

— Dostyc się pan dziś odznaczył, Bush — odrzekł Hornblower.

Hornblower zamierzał iść z oddziałem atakującym. Wiedział, że nie potrafi znieść oczekiwania na morzu, gdy w zatoczce będzie trwała strzelanina i walka — już teraz, kiedy w myślach opracowywał plan działania, wszystkie nerwy w nim grały, chociaż usiłował tego nie okazywać.

— Każdy członek oddziału abordażowego musi być marynarzem — rzekł Hornblower. — Panowie Gerard i Rayner podzielą między siebie żołnierzy piechoty morskiej.

Słuchający kiwnęli głowami na znak, że rozumieją. Do postawienia żagli na obcym statku i wyruszenia nim w ciemnościach z portu potrzeba znajomości sztuki żeglarskiej.

— Wszyscy panowie zrozumieliście, czego od was oczekuję? — zapytał Hornblower, a oni znów skinęli głowami potakująco. — Panie Hooker, proszę powtórzyć rozkazy przeznaczone dla pana.

Hooker powtórzył je dokładnie. Był dobrym oficerem, o czym Hornblower wiedział, rekomendując go do awansu na porucznika po powrocie „Lydii”.

— Dobrze — skwitował Hornblower jego słowa. — A zatem, panowie, proszę nastawić swoje zegarki według mego. Gwiazdy dadzą dość światła, by zobaczyć godzinę. Co, nie ma pan zegarka, panie Hooker? Może pan Bush zechce pożyczyć panu swój.

Hornblower widział po wyrazach twarzy oficerów, że ta synchronizacja zegarków bardziej niż cokolwiek innego uzmysłowiła im konieczność dokładnego trzymania się podanych terminów. W przeciwnym wypadku przywiązywaliby małą wagę do przerw „pięciominutowych” i

„dziesięciominutowych”, które wyznaczył; on jeden zdawał sobie w pełni sprawę z konieczności dokładnego przestrzegania czasu w skomplikowanej operacji wykonywanej w ciemnościach.

— Czy wszyscy nastawili już zegarki? A zatem proszę panów, z wyjątkiem oficera wachtowego, aby zechcieli sprawić mi przyjemność i zjeść ze mną obiad.

Oficerowie znowu wymienili spojrzenia; te obiady u Hornblowera w przeddzień walki miały już swą sławę. Savage pamiętał jeden na „Lydii”, przed pojedynkiem z „Natividad”. Obecni byli wtedy również Galbraith, porucznik z jego sekcji, i Clay, najlepszy jego przyjaciel. Galbraith zmarł na gangrenę na dalekim Pacyfiku, a Clayowi pocisk armatni urwał głowę.

— Dziś nie będzie wista, Savage — powiedział z uśmiechem Hornblower czytając w jego myślach. — Za dużo jest do zrobienia przed północą.

Poprzednio często Hornblower nalegał na rozegranie partyjki wista przed bitwą i maskował swe zdenerwowanie krytykując grę roztargnionych partnerów. Teraz wiódł ich do kabiny zmuszając się, by być uśmiechniętym, jowialnym i gościnnym. Napięcie nerwowe podsycalo jego rozmowność, a tego wieczora, gdy goście byli bardziej nawet milczący niż zwykle, mógł chociaż raz popuścić cugli swej skłonności i gwarzyć swobodnie usiłując podtrzymać rozmowę. Inni zerkali na niego ze zdumieniem, gdy tak śmiał się i gawędził. Nie widywali go nigdy w takim nastroju, chyba że w przededniu walki, i zapomnieli, jak potrafi być bardzo ludzki i fascynujący, gdy uruchomi cały arsenał swoich sztuczek, by ich sobie zjednać. Te wprawki w fascynowaniu ludzi, przy jednoczesnym utrzymywaniu wyraźnego dystansu w stosunku do podwładnych, były wygodnym sposobem odsuwania myśli o zbliżającej się akcji.

— Obawiam się, panowie — rzekł w końcu, zmiąwszy serwetkę i rzuciwszy ją na stół — że czas już nam wracać na pokład. Co za wielka szkoda, że trzeba przerwać ten miły wieczór!

Z jasno oświetlonej lampami kabiny wyszli w ciemność pokładu. Gwiazdy świeciły na czarnym niebie, a „Sutherland” jak zjawa przemykał się po odbijającej ich blask wodzie; piramidy płócien ginęły w mroku, w zupełnej ciszy słychać było tylko skrzyp takielunku i — od czasu do czasu — odgłos uderzeń drobnych, niewidocznych fal rozbijanych dziobem okrętu. Marynarze wypoczywali na półpokładach przyburtowych i na pokładzie głównym, rozmawiając szeptem, a gdy przytłumione głosy oficerów wezwały ich na stanowiska, zebrali się po cichu sekcjami na wyznaczonych miejscach. Hornblower sprawdził z Bushem pozycję okrętu i wyteżając wzrok skierował lunetę nocną ku niewidocznemu brzegowi.

— Załoga barkasu do mnie — zawołał cicho Gerard.

— Załoga szalupy do mnie! — powtórzył Rayner jak echo i przydzielone im oddziały zaczęły się ustawiać milcząco przy grotmaszcie.

Załoga kutra zbierała się na pokładzie rufowym; Hornblower brał w sumie dwustu pięćdziesięciu ludzi — gdyby wyprawa okazała się kompletnym fiaskiem, Bush miałby ledwie tylu marynarzy, ilu potrzeba na doprowadzenie „Sutherlanda” z powrotem na miejsce spotkania.

— Może pan położyć okręt w dryf, panie Bush — powiedział.

Łodzie spuszczone jedna za drugą na wodę stanęły na wiosłach w odległości kilku jardów. Hornblower przeskoczył przez burtę jako ostatni i usiadł na rufie kutra obok Browna i Longleya; na cichą komendę Browna marynarze zanurzyli w wodę wiosła owinięte szmatami, by nie dawały hałasu, i łodzie zaczęły miarowo oddalać się od okrętu. Wokół panowała gęsta ciemność, która wskutek zwykłego złudzenia optycznego wydawała się bardziej intensywna przy samej powierzchni wody niż wyżej, na pokładzie „Sutherlanda”. Kuter sunął powoli naprzód, a wkrótce barkas i szalupa skręciły ku wyznaczonym stanowiskom i za chwilę nie było już ich widać. Wiosła muskały niemal bezgłośnie atlasową czerń morza.

Hornblower zmusił się, by siedzieć nieruchomo, z dłonią opartą na rękojeści szpady o wartości pięćdziesięciu gwinei, chociaż bardzo pragnął obrócić głowę i zobaczyć, gdzie są pozostałe łodzie; jego zdenerwowanie rosło z każdą minutą bezczynności. Jakiś dureń spośród żołnierzy piechoty morskiej mógł zacząć bawić się zamkiem muszkietu albo czyjś pistolet, nieopatrznie pozostawiony z odwiedzionym kurkiem, mógł wystrzelić, gdy jego właściciel pracował z wysiłkiem przy wiosle. Najłżejsze ostrzeżenie dane brzegowi zniweczyłoby cały atak; mogłoby znaczyć utratę setek istnień ludzkich i sprowadzić na jego głowę — jeśli przeżyje — miazdzącą naganę ze strony admirała. W ponurym nastroju zmusił się do spokojnego odczekania jeszcze pięciu minut, po czym podniósł lunetę do oczu.

I wtedy pochwycił wreszcie przelotne mignięcie szarego urwiska. Z ręką na rumplu zmieniał kurs, aż znaleźli się niemal u samego wejścia do zatoczki.

— Lżej wiosłować! — rozkazał szeptem i w świetle gwiazd łódź zaczęła sunąć bezszelestnie naprzód. Tuż za rufą dwie małe plamki bardziej intensywnej czerni wskazywały, gdzie barkas i szalupa czekają na wiosłach. Podniósłszy zegarek do oczu z trudem dojrzał godzinę — musi odczekać trzy minuty.

Odległy dźwięk dobiegł jego uszu; to odgłos wiosła z portu. Słyszał ich plusk dwieście jardów przed sobą; zdawało mu się nawet, że widzi bryzgi wody. Jak się spodziewał, straż francuska opływała dookoła swój cenny statek. Jeszcze jego kapitan nie zdawał sobie sprawy, że posuwająca się bardzo wolno łódź strażnicza z owiniętymi wiosłami będzie dużo groźniejszą przeszkodą dla wyprawy odcinającej niż jakakolwiek łódź tylko gorliwie pływająca tam i z powrotem w poprzek wejścia do zatoczki. Spojrzał raz jeszcze na zegarek.

— Wiosła — szepnął i ludzie pochyłili się gotowi do ruszenia. — Przed nami jest łódź strażnicza. Pamiętajcie, tylko biała broń. Jeśli któryś odda strzał przede mną, zastrzelę go własnoręcznie. Naprzód!

Kuter ruszył wślizgując się ukradkiem do przystani. Za kilka sekund znajdzie się w punkcie, gdzie krzyżuje się ogień baterii, punkcie, który strażę mają pod stałą obserwacją i na który nacelowane działa przed zapadnięciem nocy, aby salwa mogła zdmuchnąć każdą zbliżającą się łódź z powierzchni wody. Przez jedną straszliwą sekundę Hornblower zastanawiał się, czy szalupa i barkas nie zbłądziły. Potem usłyszał je. Głośne hasło z prawej, wyraźnie słyszalne poprzez wodę, a potem drugie z lewej, i oba utonęły natychmiast w szalonym terkocie ognia z muszkietów. Rayner i

Gerard prowadzili swe oddziały przeciw bateriom i obaj, zgodnie z rozkazami, robili to z piekielnym hałasem, aby odciągnąć uwagę artylerzystów w tym niezwykle ważnym momencie.

Oko Hornblowera pochwyciło bryzgi wody rozbijanej wiosłami łodzi strażniczej, łatwiej dostrzegalne teraz, gdy jej załoga wiosłowała z całej siły, zwracając większą uwagę na zamieszanie na brzegu niż na powierzone jej zadanie. Kuter, wciąż nie zauważony, mknął cicho ku łodzi. Był od niej tylko pięćdziesiąt jardów, gdy go wreszcie dostrzeżono.

— Qui va la? — krzyknął ktoś ostro, lecz wcześniej niż mogła paść jakaś odpowiedź, Hornblower obrócił rumpel i kuter uderzył z trzaskiem w burtę łodzi.

Na jego szybki rozkaz złożono wiosła na sekundę przed zderzeniem, natomiast uderzenie kutra zmiotło wiosła łodzi strażniczej zwałając połowę jej załogi na dno. Hornblower wydobył szpadę i w momencie zderzenia z łodzią strażniczą dławiąc się podnieceniem i zdenerwowaniem skoczył z furią na jej rufę i lądując zwałił kogoś z nóg, sam w jakiś cudowny sposób zdoławszy utrzymać się w pozycji stojącej. Na wysokości kolan dojrzał czyjaś zbielełą twarz i wymierzył wściekle kopnięcie w tę stronę, tak silne, że poczuł ból w nodze, i zaraz ciął z całej siły inną głowę, którą zobaczył przed sobą. Czuł, że szpada dotknęła kości. Łódź zachybotowała się niebezpiecznie, gdy dalsi ludzie z kutra zaczęli gromadą wskakiwać do niej. Ktoś dźwignął się przed nim na nogi — ktoś z czarną krechą wąsa widoczną na twarzy w świetle gwiazd, a więc nie Anglik. Hornblower zadał potężne pchnięcie spada i nie mogąc utrzymać równowagi w kołyszącej się łodzi padł wraz ze swym przeciwnikiem na ciała leżące na jej dnie. Zanim się wygramolił, było już po walce, i to bez jednego wystrzału. Załoga łodzi strażniczej została wybita i wyrzucona za burtę lub leżała bez przytomności. Hornblower poczuł, że szyję i dłoń ma wilgotną i lepłą — przypuszczalnie od krwi, lecz nie miał czasu myśleć o tym.

— Załoga do kutra — rozkazał. — Wiosła chwyć! Obie naprzód!

Cała walka nie trwała dłużej niż parę sekund. Przy bateriach zgiełk spowodowany atakiem trwał dalej, a w chwili gdy kuter odpływał od porzuconej łodzi strażniczej, z dalszej części zatoki dobiegł nagle trzask ognia z muszkietów. Obie pozostałe łodzie okrętowe dotarły bez przeszkód do zakotwiczonego statku, płynąc wprost na niego, jak nakazywały rozkazy Hornblowera, minąwszy po drodze jego kuter szcepiony w walce z łodzią francuską. Z dłonią na rumplu Hornblower wziął kurs na błyski muszkietów. Widocznie załogom łodzi nie powiodło się zdobycie statku za pierwszym uderzeniem, gdyż strzelano bez przerwy z jego nadburcia — siatki abordażowe musiały być tam postawione, a załoga dostatecznie czujna.

Ten dzieciak Longley z podniecenia podskakiwał na siedzeniu obok niego.

— Siedź spokojnie, chłopcze — mruknął Hornblower. Przełożył rumpel i kuter wśliznął się pod rufę statku, ku nie związanej walką burcie.

— Wiosła! — syknął Hornblower. — Bosak! Teraz wszyscy razem, a wzniescie przy tym okrzyk.

Wdrapywanie się po burcie statku było trudnym zadaniem, a siatki abordażowe trzymały się



mocno. Przez otwory w sieci Hornblower poszukał w nadburciu miejsca dla oparcia stopy, chwając się niebezpiecznie, wychylony daleko w tył nad wodę, gdyż rozpięte siatki od noków rei opadały pod ostrym kątem na zewnątrz. Szamotał się w ich uchwycie jak mucha w pajęczynach. Obok zobaczył Longleya, który szarpał się tak samo. Chłopiec trzymał sztylet w zębach w sposób, o którym słyszał w historiach opowiadanych przez marynarzy. Wyglądał tak idiotycznie, zamotany w sieć, z tą ciężką, nieporęczną bronią w ustach, że Hornblower ledwie mając oparcie dla stóp zachichotał jak wariat. Trzymając się jedną ręką, drugą wyrwał szpadę z pochwy i zaczął ciąć smołowane liny. Cała sieć falowała i drgała, szarpana rękoma załogi kutra; Hornblower omal nie odpadł w pewnym momencie.

Wszyscy wokoło darli się jak szaleni. Atak z zaskoczenia na nie chronioną burtę musiał zachwiać odwagę obrońców usiłujących odeprzeć załogi szalup. Szpada wartości pięćdziesięciu gwinei była z najlepszej stali, a ostrze miała jak brzytwa; cięła sieć splot po splotcie. Nagle coś puściło z trzaskiem. Na jedną straszną sekundę Hornblower stracił oparcie i omal nie wpadł do wody, lecz konwulsyjnym wysiłkiem utrzymał się i rzucił przed siebie wpadając przez sieć na pokład; zwałił się na ręce i kolana, a szpada z brzękiem upadła gdzieś obok. Jakiś Francuz natarł na niego; dojrzał błysk stalowego ostrza opuszczonej piki. Złapał za jej drzewce i przewróciwszy się na plecy odepchnął broń od siebie. Francuz zwałając się na niego wyrznął go kolaniem w tył głowy i skręcił mu paskudnie szyję. Hornblower zepchnął go z siebie kopnięciem, w jakiś cudowny sposób odnalazł szpadę i wstał, by zmierzyć się z innymi ciemnymi postaciami, które biegły ku niemu.

Nad uchem zabrzmiał mu wystrzał z pistoletu, na pół go ogłuszając, i wydało mu się, że ta masa atakujących stopniała w końcu w nicość. Ci, co biegli teraz przez pokład, to byli Anglicy; wznosili okrzyki.

— Panie Crystal!

— Sir!

— Proszę przeciąć linę kotwiczną. Jest tu pan Hooker?

— Tak jest, sir.

— Na maszty ze swoją załogą i stawiać żagle!

Nie było czasu, żeby sobie gratulować. Od brzegu mogły szybko nadpłynąć łodzie z posiłkami dla załogi statku; Rayner i Gerard mogą zostać odparci przez garnizony baterii, a wtedy trzeba będzie płynąć pod koszącym ogniem armat.

— Brown!

— Sir!

— Wystrzelić raketę!

— Tak jest, sir.

Rakieta, którą Brown zabrał ze sobą na rozkaz Hornblowera, miała być sygnałem dla oddziałów desantowych, że statek został wzięty. Od strony lądu szedł wyraźny powiew, który wyniesie statek z zatoki; Hornblower liczył na to — po nękającym upale dnia można się zawsze spodziewać bryzy lądowej.

— Lina przecięta, sir! — krzyknął Crystal z dziobu. Hooker postawił marsel na grotmaszcie i stateczek już nabierał szybkości wstecznej.

— Załoga do brasów, hej, wy tam, z kutra i barkasa. Benskin! Ledly! Na ster! Prawo na burtę!

W rękach Browna przykucniętego na pokładzie krzesiwo i stal wydawały trzaski i błyski. Rakieta wzbijała się w górę w ulewie iskier i rozerwała się wysoko między gwiazdami. Po postawieniu kliwrów dziób statku zatoczył łuk, a gdy pod pełnym wiatrem ustalał się na swym kursie ku wyjściu z zatoki, księżyc oświetlił widnokrąg przed nimi — minął już swą pełnię i malał, lecz dawał jeszcze dosyć światła, aby Hornblower mógł bez trudu wyprowadzić statek z zatoki między bateriami. Usłyszał odgłosy gwizdków przebijające się przez terkot ognia z muszkietów, które wciąż pukały wokół baterii. To Rayner i Gerard wzywali swoich ludzi do odwrotu.

Dwa pluski za burtą oznajmiły, że niektórzy z załogi zdobytego statku woleli spróbować dostać się wpław do brzegu, niż iść do niewoli. Była to dobrze rozplanowana w czasie i udana operacja.

## Rozdział XII

Przeszukawszy lunetą wybrzeże francuskie Hornblower uznał, że Zatoka Lwia nie wygląda na specjalnie korzystny teren do penetracji. Wrzynała się w ląd tak głęboko, że przy każdym wietrze od północnego i dalej w prawo przez południowy aż do zachodniego miałby zawsze ląd po zawietrznej; była płytka, zdradliwa, a sztormy podnosiły na niej ogromne fale. Ryzyko żeglugi warto podejmować, jeśli czeka za to odpowiednia nagroda, lecz oglądając brzeg Hornblower doszedł do wniosku, że tutaj nie ma chyba co się spodziewać jakiegokolwiek przyzu. Od Port-Vendres aż po Marsylię — granicę lądowego sektora Eskadry Przybrzeżnej — płaski brzeg stykał się z rozległymi, posępnymi lagunami, oddzielonymi od morza długimi językami piasku, a nawet półwyspami ziemi uprawnej. Na tych wysuniętych w morze płatach piachu rozmieszczono baterie i regularne forty dla ich wsparcia, a małe miasteczka, jak Celte, Aigues-Mortes i inne, otaczały średniowieczne umocnienia, zdolne stawić czoło wszelkim jego zakusom.

Głównym jednak elementem był ten łańcuch lagun powiązanych między sobą od czasów rzymskich szeregiem kanałów. Statki o nośności do dwustu ton mogły krążyć po wewnętrznej stronie linii brzegowej — przez swą lunetę dostrzegł właśnie brązowe żagle, które zdawały się płynąć przez zielone winnice. Wszystkie wejścia do łańcucha lagun chroniły solidne umocnienia i jeśliby chciał wziąć któreś z nich przez zaskoczenie, musiałby zaryzykować prowadzenie swego okrętu pod ogniem artyleryjskim przez kręte kanały między ławicami piasku. Nawet gdyby mu się to powiodło, i tak nie mógłby chyba zaatakować flotylli na lagunach.

Pod olśniewająco błękitnym niebem lazur Morza Śródziemnego przechodził w odcień zielony, a nawet żółty tam, gdzie rozrzucone tu i ówdzie płyty płycizn nieustannie przypominały spacerującemu po pokładzie Hornblowerowi o zdradliwości wód, po których żegłował. W

dziobowej części okrętu wrzała praca. Bush z zegarkiem w rękę szkolił pięćdziesięciu ludzi na masztach — w ciągu półtorej godziny postawili i zwinęli fokbramsel ze dwanaście razy, co musiało wyglądać zagadkowo dla licznych lunet wycelowanych z brzegu na okręt. Na pokładzie głównym bosman Harrison usadowił się na stołku w środku wianuszka utworzonego przez jego dwóch pomocników i siedzących w kucki dwudziestu chyba szczurów lądowych i uczył klasę zaawansowaną niektórych subtelności wiązania i splatania. Z dolnego pokładu działowego turkot i zgrzyt lawet działowych oznajmiał, że przy sześciu dziobowych dwudziestoczerofuntówkach Gerard szkolił załóżek przyszłych celowniczych — ambicją Gerarda było mieć przy każdej armacie sześciu wykwalifikowanych działonowych, a było mu jeszcze daleko do tego. Na rufówce Crystal ze swym sekstantem cierpliwie usiłował wyjaśnić kadetom podstawy nawigacji — młode diablątka wierciły się niespokojnie słuchając monotonnego gładzenia. Hornblowerowi było przykro za nich. Od czasów szkolnych lubił matematykę; logarytmy stanowiły dla niego zabawkę już gdy był w wieku małego Longleya, a zagadnienia z trygonometrii sferycznej były mu źródłem przyjemności podobnej — co sobie właśnie uświadomił — do tej, jaką niektórzy z tych zuchów znajdują w muzyce, która dla niego z kolei była tak niezrozumiała.

Jednostajne uderzenia młotkiem na dole wskazywały, że cieśla i jego ludzie kończą naprawę wielkiej dziury wybitej poprzedniego ranka — nie do wiary, że było to nieco tylko ponad dwadzieścia cztery godziny temu — przez czterdziestodwufuntowe działa z Llanzy, szczęk pomp zaś oznajmiał, iż ludzie z załogi winni drobniejszych przewinień wypompowywali wodę z okrętu. Po niedawnym dokowaniu „Sutherland” przeciekał wyjątkowo mało, mniej niż cal dziennie przy spokojnej pogodzie, i Hornblower mógł usuwać tę niewielką ilość wody zasadzając co dzień rano do godzinnego pompowania nedorajdy, które znalazły się w czarnych książeczkach Busha lub Harrisona za to, że ostatnie stawiły się na pokładzie, nieprawidłowo przywiązały hamaki czy też popełniły jakąś inną z licznych zbrodni zaniechania czy wykonania, które tak irytują bosmanów i pierwszych oficerów. Runda przy pompowaniu — tej najbardziej monotonnej i nie zachęcającej pracy na okręcie — była karą o wiele bardziej ekonomiczną niż knut i, co bawiło Busha, Hornblower wierzył, że działa znacznie skuteczniej.

Dym wypływał z komina kambuza i nawet tu, na pokładzie rufowym, Hornblower czuł zapach gotowanego jada. Dostaną dziś dobry obiad, z plackiem; poprzedniego dnia nie jedli i nie pili nic poza sucharami i zimną wodą, a to z tej przyczyny, że okręt trzykrotnie był w walce w ciągu dwudziestu czterech godzin. Nie narzekali na to, póki towarzyszyło im powodzenie — rzecz zabawna, jak mały sukces dobrze wpływa na dyscyplinę. Dziś, mimo jedenastu zabitych i szesnastu rannych oraz tych trzydziestu czterech, którzy odpłynęli z przyzami — z tym, że tak uszczuploną załogę powiększyło dwóch jeńców, co woleli służbę królowi brytyjskiemu niż siedzenie w którymś z jego więzień — „Sutherland” był bardziej sprawny jako jednostka bojowa niż przedwczoraj, gdy miał niemal kompletną załogę. Wszyscy, których Hornblower mógł dojrzeć z pokładu rufowego, byli w radosnym nastroju i doskonałym humorze.

On sam też był w świetnym nastroju i znakomitym humorze. Raz chociaż zrezygnował z pomniejszania swych osiągnięć. Zapomniał o obawach z wczorajszego dnia, a trzy udane akcje w ciągu doby przywróciły mu wiarę w siebie. Dzięki swym zdobyczom był bogatszy o co najmniej tysiąc funtów, a o tym przyjemnie było myśleć. Nigdy dotąd w swoim życiu nie miał tysiąca funtów. Przypomniawszy sobie, jak Lady Barbara zauważywszy jego tandetne sprzączki u butów, taktownie

odwróciła wzrok. Gdy następnym razem będzie jadł z nią obiad, klamry będą z czystego złota, a jeśli zechce, to wysadzone diamentami, i niby przypadkowym gestem zwróci na nie jej uwagę. Maria dostanie pierścionki i bransolety, żeby mogła puszyć się przed oczyma świata jego powodzeniem.

Hornblower wspominał z dumą, że ubiegłej nocy w Port-Vendres nawet przez moment nie czuł lęku, ani gdy skoczył do łodzi strażniczej, ani gdy się okazało, że jest w koszmarnym uścisku siatki abordażowej. Miał teraz majątek, którego pragnął, a ponadto udowodnił sam sobie, ku własnemu zaskoczeniu, że posiada tę brutalną odwagę fizyczną, jakiej zazdrościł podwładnym. Chociaż, rzecz charakterystyczna, nie przywiązywał znaczenia do odwagi moralnej, umiejętności organizacyjnych i pomysłowości, jaką wykazał, rozpierał go optymizm i pewność siebie. Kipiąc wprost świetnym humorem odwrócił się raz jeszcze, by omieść wzrokiem płaski, nieprzyjemny brzeg po lewej stronie, i zaczął myśleć, jak by wzniecić tam zamieszanie. W kabinie na dole leżały zdobyczne francuskie mapy morskie, w które Admiralicja wyposażyla jego i przypuszczalnie także „Plutona” i „Caligulę”. Hornblower spędził pierwsze godziny od świtu na ślęczeniu nad nimi. Teraz, patrząc poprzez płycizny na zieloną krechę brzegu i brązowe żagle w tyle za nią, przywoływał szczegóły topograficzne przed oczy wyobraźni. Podpłynął na najbliższą bezpieczną odległość, a mimo to stateczek był o pół mili poza zasięgiem strzału armatniego.

Tam na lewo Cette przysiadło na szczycie małego wzgórza sterczącego nad otaczającą je płaską okolicą. Hornblower przypominał sobie Rye, podobnie górujące nad bagnami Romney, lecz Cette w odróżnieniu od pogodnej szarości i czerwieni Rye było małą, ponurą miejsciną, w której dominowała czerń. Wiedział też, że Cette było warownią, ze stacjonującym tam garnizonem, przeciwko której nic nie mógł zdziałać. Za miasteczkiem leżała wielka laguna o nazwie Etang de Thau, stanowiąca jedno z ważniejszych ogniw w łańcuchu śródlądowych dróg wodnych, dających statkom francuskim schronienie i osłonę na całej drodze z Marsylii i doliny Renu aż do stóp Pirenejów. Cette było dla niego niedosiężne, a statki na Etang de Thau bezpieczne przed nim.

Stał naprzeciw najmniej zabezpieczonej części całej drogi lądowej, krótkiego odcinka, gdzie kanał żeglowny z Aigues-Mortes do Etang de Thau oddziela od morza tylko wąski język lądu. Jeśli cios ma być zadany skutecznie, trzeba go zadać w tym miejscu; ponadto w tej chwili widać coś, co może być przedmiotem ataku — ten brązowy żagiel w odległości nie więcej niż dwóch mil. Jest to zapewne jeden z francuskich kabotażowców przewożących wino i oliwę między Port-Vendres i Marsylią. Byłoby szaleństwem próbować akcji przeciwko niemu, a jednak... jednak... czuł się dziś szalony.

— Proszę posłać po sternika — powiedział do kadeta służbowego. Usłyszał swe polecenie powtórzone na pokładzie głównym i po dwóch minutach Brown nadbiegł trapem i stanął bez tchu, by wysłuchać rozkazów.

— Umiecie pływać, Brown?

— Pływać, sir? Tak, sir.

Hornblower popatrzył na krzepkie ramiona i tęgi kark Browna. Przez wycięcie w koszuli widać było czarne włosy porastające pierś.

— Ilu z załogi kutra potrafi pływać?

Brown popatrzył w jedną stronę, potem w drugą, zanim dał odpowiedź, która, jak wiedział, nie zostanie dobrze przyjęta. Lecz nie śmiał kłamać, w każdym razie nie Hornblowerowi.

— Nie wiem, sir.

Hornblower kwitując te słowa milczeniem był bardziej zjadliwy, niż gdyby powiedział „powinniście wiedzieć”.

— Potrzebna mi załoga do kutra — rzekł. — Mają to być sami dobrzy pływacy i sami ochotnicy. Wyprawa będzie niebezpieczna, więc zapamiętajcie sobie, Brown, żadnego przymusu — to muszą być naprawdę ochotnicy, żadna z tych waszych sztuczek, jakie stosujecie przy łapaniu ludzi do służby w marynarce.

— Tak jest, sir — odpowiedział Brown i po chwili wahania dodał: — Wszyscy będą chcieli iść. Trudno będzie wybrać. Czy pan idzie, sir?

— Tak. Kordy dla wszystkich. I dla każdego pakiet materiałów wybuchowych.

— Wy-wybuchowych, sir?

— Tak. I krzesiwo. Każdemu parę sznurów lontowych. Naoliwione szmaty i trochę lontu, wolno tłącego, w wodoszczelnym opakowaniu. Idźcie do żaglomistrza, niech wyda płótno nieprzemakalne. I linki, żeby można było to wszystko holować, gdy będziemy posuwać się wplaw.

— Tak jest, sir.

— Przekażcie panu Bushowi pozdrowienia. Poproście, żeby wpadł tutaj, a potem przygotujcie swoją załogę.

Bush zataczając się biegł w stronę rufy, twarz jaśniała mu podnieceniem; nim jeszcze dotarł do pokładu rufowego, okręt huczał od pogłosek — najbardziej nieprawdopodobne domysły na temat tego, co kapitan zamierza robić dalej, krążyły wśród załogi, która przez cały ranek, pracując, jednym okiem zerkała wciąż na wybrzeże Francji.

— Panie Bush — powiedział Hornblower. — Udaję się na brzeg, by spalić tamten kabotażowiec.

— Tak jest, sir. Czy idzie pan osobiście, sir?

— Tak — rzucił sucho Hornblower. Nie potrafił wyjaśnić Bushowi, że jego natura nie pozwala mu wysyłać ludzi do spełnienia zadania, do którego potrzeba ochotników, i nie iść razem z nimi. Zmierzył Busha wyzywającym spojrzeniem, a Bush popatrzył na niego, otworzył usta chcąc zaprotestować, zastanowił się jednak i powiedział nie to, co zamierzał:

— Barkas i szalupa, sir?

— Nie. Osiadłyby na mieliźnie pół mili przed brzegiem.

Co do tego nie było wątpliwości; cztery kolejne linie piany wskazywały, gdzie, daleko od skraju wody, załamują się słabe fale.

— Biorę mój kuter i załogę z ochotników.

Wyraz twarzy Hornblowera ośmielił jednak Busha do wyrażenia sprzeciwu i tym razem Bush naprawdę odważył się na to.

— Tak jest, sir. Czy nie mógłbym iść ja?

— Nie.

Ta sucha odmowa zamykała dyskusję. Patrząc na hardy wyraz twarzy Hornblowera Bush miał dziwne uczucie — doznał go już przedtem — że jest ojcem mężnego syna; kochał swego kapitana, jak kochałby syna, gdyby go miał.

— I proszę sobie zapamiętać, Bush. Żadnych wypraw z odsieczą. Zginiemy, to trudno. Zrozumiano? Czy mam dać to panu na piśmie?

— Nie ma potrzeby, sir. Zrozumiałem.

Bush wyrzekł te słowa ze smutkiem. Gdy przyszedł czas najwyższej próby, Hornblower, chociaż bardzo cenił zalety i umiejętności Busha, uznał, że jego pierwszy oficer nie jest zdolny stworzyć żadnego oryginalnego planu. Myśl o Bushu błędzącym na oślep po ziemi francuskiej i tracącym niepotrzebnie cenne istnienia ludzkie w beznadziejnej próbie ratowania swego kapitana przeraziła go.

— W porządku. Proszę położyć okręt w dryf, panie Bush. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będziemy z powrotem za pół godziny. Trzymajcie się opodal, przy brzegu, czekając na nas.

Paradna łódź kapitańska miała osiem wiosła; dając sygnał opuszczenia jej na wodę Hornblower miał głęboką nadzieję, że nikt na brzegu tego nie zauważył. Poranne ćwiczenia Busha z żaglami musiały oswoić Francuzów z pozornie bezcelowymi manewrami na „Sutherlandzie”; przebrasowanie marsrei na chwilę mogło pozostać niedostrzeżone. Siadł obok Browna, a ludzie zabrali się do wiosła. Łódź podskakując sunęła szybko i lekko po wodzie; wytyczył kurs tak, aby dopłynąć do brzegu nieco wyprzedzając brązowy żagiel widoczny tuż za pasmem zieleni wybrzeża. Obejrzał się na „Sutherlanda”, okazałego pod piramidą żagli, i gwałtownie malejącego w miarę jak się od niego oddalali. Nawet w tym momencie pracowity umysł Hornblowera zaczął analizować linie okrętu i pochylenie jego masztów, zastanawiając się, jak można by poprawić jego sprawność morską.

Przeszli pierwszą linię przyboju nie dotknąwszy gruntu — morze było tu tak ospałe, że właściwie trudno to było nazwać przybojem — i pomknęli jak strzała ku złocistej plaży. W chwilę później łódź otarła się o piach, posunęła się jeszcze parę jardów dalej i stanęła na mieliźnie.

— Wszyscy z łodzi! — rozkazał Hornblower.

Przerzucił nogi przez burtę i wskoczył do wody, która sięgała mu do bioder. Załoga zrobiła to równie szybko jak on i chwyciwszy za krawężniki burty przeciągnęli lekką teraz łódź w miejsce, gdzie woda zakrywała ledwie stopy. Pierwszą instynktowną myślą Hornblowera było dać się porwać podnieceniu i ruszyć pędem na czele gromady w głąb ładu, lecz opanował się.

— Kordy? — zapytał surowo. — Pakiety z materiałami wybuchowymi?

Przebiegłszy wzrokiem po każdym z dziewięciu ludzi stwierdził, że wszyscy są uzbrojeni i wyekwipowani, poprowadził więc spokojnie przez plażę swoją małą ekspedycję.

Odległość była zbyt duża, aby można było liczyć na to, że biegnąc cały czas będą potem zdolni iść wplaw. Piaszczysta plaża kończyła się niskim kamienistym nasypem porośniętym morskim koprem. Przeskoczyli go i znaleźli się w zielonej winnicy, gdzie nie dalej niż dwadzieścia jardów od nich pochylony starzec i dwie stare kobiety okopywali rzędy roślin. Kompletnie zaskoczeni patrzyli na niespodzianych przybyszów, gapiąc się jak oniemiała na grupkę trajkocących marynarzy. O ćwierć mili dalej, za płaską winnicą, widać było brązowy żagiel rozprzowy. Za nim ukazał się teraz mały bezan. Hornblower wybrał wąską ścieżkę wiodącą mniej więcej w tamtym kierunku.

— Idziemy — powiedział i ruszył pędem. Starzec krzyknął coś, gdy marynarze zaczęli tratować winorośl; roześmieli się jak dzieci usłyszawszy pierwszy raz w życiu język francuski. Większość z nich nigdy dotąd nie widziała winnicy — Hornblower słyszał, jak podśmiewają się z równych rzędów pozornie nieużytecznych pniaków i drobnych gronek niedojrzałych winogron.

Przebiegli przez winnicę; ostry spadek po drugiej stronie sprowadził ich na nierówną ścieżkę holowniczą prowadzącą wzdłuż kanału. Tu szerokość laguny wynosiła najwyżej dwieście jardów i widać było, że kanał nawigacyjny przechodził blisko ścieżki, gdyż linia rzadko rozsianych boi sto jardów od brzegu oznaczała przypuszczalnie płyciznę. Odległy o dwieście jardów kabotażowiec pełził ku nim, jeszcze nieświadom grożącego mu niebezpieczeństwa. Marynarze wznieśli dziki okrzyk i zaczęli ściągać bluzy.

— Spokojnie, głupcy — mruknął z niezadowoleniem Hornblower. Odpiął pas ze szpadą i zrzucił z siebie mundur.

Usłyszawszy okrzyk załoga stateczku wyległa na dziób. Było tam trzech mężczyzn, a w chwilę potem dołączyły do nich dwie krzepkiej budowy niewiasty i zrobiwszy nad oczyma daszek z dłoni zaczęły patrzeć w stronę przybyszów. I właśnie jedna z tych niewiast, bardziej bystra od reszty, odgadła, co znaczy ta grupka ludzi rozbierających się na nasypie. Hornblower ściągając bryczesy usłyszał jej krzyk i ujrzał, że biegnie z powrotem na rufę. Statek włókł się dalej w ich stronę, lecz gdy znalazł się prawie naprzeciwko, duży żagiel rozprzowy zsunął się w dół, a przełożenie steru odrzuciło kabotażowiec od ścieżki holowniczej. Było już jednak za późno na ratunek. Stateczek minął linię boi i ze wstrząsem osiadł na mieliźnie. Hornblower dostrzegł, jak człowiek przy sterze opuszcza posterunek, odwraca się i wlepia w nich wytrzeszczone oczy, a pozostali mężczyźni i kobiety skupiają się koło niego. Przypasał szpadę do nagiego boku. Brown, również nagi, zapiął pas w tali, obnażony kord dotykał jego skóry.

— No to ruszamy — zdecydował Hornblower; im szybciej, tym lepiej. Złożył dłonie i dał niezdarnego nurka do laguny; marynarze z krzykiem i pluskiem poszli za jego przykładem. Woda była nagrzana jak mleko, lecz Hornblower płynął tak równo i powoli, jak tylko potrafił. Był słabym pływakiem i stateczek oddalony o sto pięćdziesiąt jardów wydawał mu się odległym celem. Dyndająca u boku szpada już mu ciążyła. Brown wynurzył się z wody obok niego. W białych zębach trzymał sznur od swego pakietu materiałów wybuchowych; woda przyglądziła jego gęste czarne włosy. Inni płynęli za nim; gdy docierali do stateczku, Hornblower był jeszcze daleko w tyle. Wdrapali się przed nim na niskie śródokręcie kabotażowca, ale wtedy uświadomili sobie wymagania dyscypliny i odwrócili się, by zgiąwszy się wciągnąć go na pokład. Z wydobytą szpadą Hornblower parł ku rufie.. Zobaczył tam posępną grupkę kobiet i mężczyzn i przez moment zastanawiał się, co z nimi zrobić. Francuzi i Anglicy stali naprzeciw siebie pod żarzącym słońcem, nadzy przybysze oczekali wodą, lecz w napięciu tego spotkania nikt nie myślał o ich nagości. Hornblower przypomniał sobie z ulgą o bączku holowanym za statkiem i wskazując na niego próbował przypomnieć sobie swój francuski.

— Au bateau — powiedział. — Dans le bateau.

Francuzi wahali się. Było ich czterech młodszych mężczyzn i jeden starzec, starsza niewiasta i druga w średnim wieku. Marynarze angielscy stanęli zwartą gromadką za swym kapitanem, wyciągając kordy z pochew.

— Entrez dans le bateau — powtórzył Hornblower. — Hobson, podciągnij bączek do burty.

Kobieta w średnim wieku gestykulując jak szalona i tupiąc sabotami o pokład cienkim głosem wykrzykiwała stek obelg.

— Ja to zrobię, sir — wtrącił Brown. — Halo, ty, skacze.

Chwycił jednego z mężczyzn za kołnierz i wywijając kordem ciągnął przez pokład do burty. Mężczyzna poddał się i przerzucił nogi przez burzę, a gdy już dał przykład, reszta poszła za nim. Brown rzucił cumę i zatłoczony bączek odpłynął, z kobietą wciąż miotającą przekleństwa w katalońskiej francuszczyźnie.

— Podpalić statek — rozkazał Hornblower. — Brown, weźcie trzech ludzi na dół i zobaczcie, co się tam da zrobić.

Ludzie z kabotażowca wydobyli parę wiosł i oddalali się ostrożnie ku ścieżce holowniczej, a bączek, w którym siedzieli, mocno obciążony, wystawał ledwie o cal nad wodę.

Doborowa załoga z „Sutherlanda” wykonała swe zadanie szybko i dokładnie. Dobiegające z dołu odgłosy świadczyły, że Brown i jego ludzie dobrali się do ładunku, by zrobić w nim gniazdo dla ognia. Niemal w tej samej chwili przez świetlik kabiny zaczął się wydobywać dym, jeden z marynarzy zwałił meble na stos, polał oliwą z lamp i wszystko to razem podpalił.

— Wieźli oliwę w baryłkach i zboże w workach, sir — zameldował Brown. — Przedziurawili parę beczek i rozpruli trochę worków, sir. To się będzie palić. Pan tylko patrzy,



sir.

Z luku ładowni wydobywało się już cienkie pasemko czarnego dymu, a żar bijący stamtąd sprawiał, że cała przednia część statku wydawała się tańczyć i migotać w świetle słonecznym. Paliło się też suche drewno pokładu przy samej ładowni. Trzeszczało i pękało z hukiem, chociaż przy silnym blasku słońca i braku dymu ogień był ledwo widoczny. Pożar objął już także bak — dym walił kłębami spoza drzwi dziobówki.

— Zerwijcie parę desek z poszycia pokładu — krzyknął Hornblower ochrypłym głosem.

Po głośnym trzasku łamanego drewna nastąpiła kontrastująca cisza — ale niezupełna, bo ucho Hornblowera pochwyciło stłumiony, ciągły szum. To był odgłos płomieni pożerających ładunek; silniejszy przeciąg spowodowany przedziurawieniem pokładu sprawił, że ogień ogarnął błyskawicznie wszystko, co mogło się palić.

— Boże! To dopiero widok! — wykrzyknął Brown.

Wydawało się, że całe śródokręcie statku się otwiera, gdy ogień objął pokład. Gorąco stało się nagle nie do zniesienia.

— Teraz możemy wracać — powiedział Hornblower. — Idziemy.

Znowu pierwszy dał nurka w lagunę i garstka nagusów zaczęła płynąć ku ścieżce holowniczej. Tym razem wolno; nastrój podniecenia towarzyszący atakowi gdzieś się ulotnił. Przerazający widok krwawych płomieni buszujących pod pokładem otrzeźwił wszystkich. Płynęli niespiesznie, trzymając się blisko kapitana, który nadawał tempo ograniczone zmęczeniem i nieumiejętnością rytmicznego oddychania. Był zadowolony, gdy mógł wreszcie wyciągnąć rękę i uchwycić się trzciny rosnących przy brzegu wzdłuż ścieżki. Inni wygramolili się przed nim; Brown podał mu mokrą dłoń i pomógł wyjść na górę.

Maryjo przenajświętsza! — zawołał jeden z załogi. — Widzicie wy tom starom suke?

Byli trzydzieści jardów od miejsca, w którym zostawili ubrania, i w tym właśnie miejscu wylądowali ludzie ze stateczku. W momencie gdy Irlandczyk przywołał ich uwagę, kobieta, ta sama, która tak im urągała, wrzucała resztę ich ubrań do laguny. Na brzegu nie zostało nic. Jakies nie wiadomo czyje koszule unosiły się na wodzie utrzymywane przez znajdujące się w nich powietrze, lecz poza tym cała ich odzież była na dnie.

— Czemużeś to zrobiła, przeklęta? — wściekał się Brown; marynarze popędzili ku ludziom z kabotażowca i nadzy otoczyli ich, gwałtownie gestykulując. Stara kobieta wskazała na stateczek. Stał cały w płomieniach, z boków wypełzał ciężki, czarny dym. Ujrzeni, jak olinowanie grotmasztu rozpadło się na gorejące szczątki, a sam maszt nagle przechylił się na burtę i ledwo widoczne płomienie zaczęły wnet go lizać.

— Wyciągnę pańską koszulę, sir — odezwał się któryś z załogi do Hornblowera, otrząsając się z zafascynowania tym widokiem.

— Nie. Idziemy — rzucił Hornblower.

— Może chce pan spodnie tego starego, sir? — zapytał Brown. — Zedrę mu je z tyłka i niech go szlag trafi, sir. Tak się nie robi...

— Nie! — powtórzył Hornblower.

Nadzy pobiegli w górę winnicy. Obejrzawszy się po raz ostatni zobaczyli obie kobiety płaczące rzewnymi łzami. Hornblower zauważył, że mężczyzna poklepał jedną po ramieniu; pozostali patrzyli z rozpaczliwą apatią, jak płonie stateczek — cały ich majątek. Hornblower wiódł oddziałek po winoroślach. Jakiś jeździec pędził galopem w ich stronę; po niebieskim mundurze i trójganiastym kapeluszu poznali, że to żandarm Bonapartego. Zatrzymał konia przed nimi, sięgając po pałasz, lecz jednocześnie, jakby niezupełnie pewny siebie, obejrzał się w prawo i w lewo wyglądając pomocy, której nie było widać.

— A, bądź pan łaskaw! — powiedział Brown przepychając się ku przodowi i wywijając kordem trzymanym w dłoni.

Inni marynarze stanęli przy nim, z bronią w pogotowiu, żandarm więc pospiesznie nawrócił konia, by znaleźć się w bezpiecznej odległości; pod czarnym wąsem błysnęły białe zęby.

Przebiegli obok niego; gdy Hornblower obejrzał się, żandarm zsiadł już i próbował wydobyć karabinek z futerału przy siodle, w czym przeszkadzał mu niespokojny koń. Na szczycie nasypu stał starzec i dwie kobiety, które okopywały winorośl; stary groził im wymachując motyką, lecz niewiasty uśmiechały się zawstydzone, spoglądając spod półprzymkniętych powiek na ich nagość. Na wodzie tuż przy brzegu czekał kuter, a w dali widniał „Sutherland” — marynarze wznieśli okrzyk na jego widok.

Ochoczo przeciągnęli łódź na głębszą wodę, poczekali, aż Hornblower wejdzie, odepchnęli ją jeszcze dalej, przepychając się powskakiwali przez burtę i chwycili za wiosła. Jeden z ludzi zawył z bólu, gdy drzazga z ławki wbiła mu się w nagi zadek; Hornblower odruchowo zaśmiał się, a poszkodowany został błyskawicznie uciszony przez oburzonego Browna.

— Tam on leci, sir — powiedział wskazując przez ramię Hornblowera.

Żandarm pędził niezgrabnymi susami przez plażę, w swych długich butach, z karabinkiem w rękę. Obejrzawszy się Hornblower zobaczył, że przykłęka i celuje; przez sekundę zastanawiał się bezradnie, czy kula francuskiego żandarma nie położy kresu jego karierze, lecz obłoczek dymu z karabinu nie przyniósł nawet odgłosu wystrzału; człowiek, który długo jechał konno i biegł szybko w ciężkich buciorach, nie był w stanie jednym strzałem trafić łodzi okrętowej z odległości dwustu jardów.

Nad skrawkiem lądu między morzem i laguną ujrzeli dużą chmurę dymu. Kabotażowiec został zniszczony tak kompletnie, że nie było nadziei na jego naprawienie. To niegodziwa rzecz niszczyć taki piękny statek, lecz wojna i straty to synonimy. Spalenie statku oznaczało niedolę i nędzę dla właścicieli kabotażowca; jednocześnie jednak mieszkańcy wrogiego lądu, którzy w ciągu tych osiemnastu lat odczuwali wojnę chyba tylko przy poborze do armii Bonapartego, poznają, dokąd sięgnąć może ramię Anglii; a władze odpowiedzialne za obronę wybrzeża zaczną z niepokojem myśleć o odcinku drogi z Marsylii do Hiszpanii, tym właśnie, który dotąd uważały za najbezpieczniejszy. Będą musiały ściągnąć wojsko i działa dla jego obrony przed następnymi wypadami, a siły będące w dyspozycji rozstawić wzdłuż całych dwustu mil brzegu. Tak słabą osłonę można łatwo przerwać na wybranym punkcie silnym ciosem wymierzonym bez ostrzeżenia — ciosem, jaki może bez trudu zadać eskadra okrętów liniowych, to pojawiających się, to znikających szybko za widnokregiem. W razie prawidłowego prowadzenia tej gry całe wybrzeże od Marsylii po Barcelonę może być utrzymywane w stanie ciągłego alarmu. W ten sposób można nękać siły korsykańskiego kolosa; okręt przy sprzyjającej pogodzie może się poruszać dziesięć, piętnaście razy szybciej niż maszerujące wojsko, równie szybko jak goniec na dobrym koniu wiozący ostrzeżenie. Uderzył w środek sił francuskich, ugodził we francuską lewą flankę. Teraz musi pospieszyć się i w drodze powrotnej do miejsca spotkania zadać cios w prawe skrzydło francuskie. Nie mógł już usiedzieć spokojnie, a w miarę jak kuter zbliżał się do „Sutherlanda”, myśl o nowej akcji wzbudzała w nim coraz większe podniecenie.

Po wodzie dobiegły wyraźne słowa Gerarda: „Co, u licha...?” Widocznie Gerard zobaczył, że w nadpływającej łodzi wszyscy są nadzy. Rozświergotały się gwizdki stawiając na baczność wachłę na przybycie dowódcy okrętu. Będzie musiał przejść nago przez furkę wejściową przyjmując honory od oficerów i żołnierzy piechoty morskiej, lecz w obecnym nastroju nie myślał o swej powadze kapitańskiej. Wbiegł na pokład ze szpadą dyndającą u nagiego boku — był to dopust boży, którego nie można było uniknąć, a w ciągu dwudziestu lat służby w marynarce wojennej nauczył się przyjmować z rezygnacją to, co nieuniknione. Twarze trapowych i żołnierzy piechoty morskiej były skamieniałe z wysiłku, aby się nie roześmiać, lecz Hornblower nie zważał na to. Czarny całun dymu nad lądem znaczył osiągnięcie, z którego każdy mógł być dumny. Stojąc nago na pokładzie wydał Bushowi rozkaz zmiany kursu, kierując znów „Sutherlanda” na południe w poszukiwaniu nowej przygody. Wiatr był wymarzony dla kursu na południowy zachód, a on nie zamierzał tracić daremnie ani minuty.

### Rozdział XIII

W czasie swej długiej wędrówki na południowy zachód „Sutherland” ani razu nie dostrzegł „Caliguli”. Hornblower wcale tego nie pragnął, a nawet zależało mu, żeby się z nim nie spotkać.

Niewykluczone przecież, że „Pluto” przybył już na miejsce spotkania, a w takim razie rozkazy admirała będą ważniejsze niż kapitana Boltona, i Hornblower straci dalszą okazję, zanim upłynie wyznaczony mu czas. Panowała ciemność, gdy „Sutherland” mijał szerokość przylądka Bagur — miejsce spotkania przy cyplu Palamos — i rano zastał go daleko na południowy zachód, z górami Katalonii widniejącymi niby błękitna smuga na horyzoncie na prawo od dziobu.

Hornblower przebywał na pokładzie od samego świtu, pełną godzinę przed zaoczeniem lądu; na jego rozkaz okręt wykonał zwrot przez rufę i płynął z powrotem na wiatr w kierunku północno-wschodnim, zbliżając się przy tym ostrożnie ku brzegowi, aż szczegóły górzystego kraju stały się w pełni widoczne. Bush znajdował się na pokładzie z grupą innych oficerów; chodząc tam i z powrotem Hornblower czuł na sobie ich spojrzenia, lecz z lunetą wciąż skierowaną na ląd udawał, że tego nie zauważa. Wiedział, że Bush i wszyscy inni sądzą, iż przybył tu celowo, i że oczekują rozkazów, które znów rzucą okręt w wir podobnie ryzykownych przedsięwzięć jak te z ubiegłych dwóch dni. Przypisywali mu piekielną zdolność przewidywania i przemyślność; nie miał zamiaru przyznawać się, jak wielką rolę grało szczęście, bo doprowadził „Sutherlanda” aż tu, pod Barcelonę, kierując się po prostu ogólnymi zasadami i w nadziei, że coś się nadarzy.

Panował już duszny upał; na wschodzie błękitne niebo jarzyło się mosiężnym odcieniem, a czterysta mil, jakie wschodni wiatr z Włoch przeleciał nad Morzem Śródziemnym, zdawały się wcale go nie ochłodzić. Hornblower miał wrażenie, że oddycha powietrzem cegielni; w kwadrans po chłodnej kąpieli pod pompą pokładową czuł, że ocieka znów potem. Ląd przesuwający się wzdłuż lewego trawersu wyglądał, jakby był pozbawiony wszelkiego życia. Mijali szarozielone wzgórza, niektóre ze szczytami w formie płaskich stołów kamiennych i urwistymi zboczami, strome ściany skalne o barwie szarej lub brązowej i pojawiające się od czasu do czasu wspaniałe plaże pokryte złocistym piaskiem. Między morzem a tymi wzgórzami biegł najważniejszy trakt Katalonii, łączący Barcelonę z Francją. Na pewno, myślał Hornblower, coś powinno się tu wyłonić. Wiedział, że równoległe w odległości dziesięciu mil w głąb lądu ciągnie się podła droga górską, lecz nie sądził, by Francuzi chcieli z niej korzystać z własnej woli. Przybył tu między innymi po to, by zmusić ich do zejścia z wygodnego traktu na tę drogę boczną, gdzie hiszpańscy partyzanci będą mieli lepsze szansę na odcinanie ich konwojów; mógł tego dokazać po prostu paradując pod banderą brytyjską i trzymając brzeg w zasięgu strzału armatniego, lecz wolał osiągnąć to samo dając przy tym nieprzyjacielowi porządną nauczkę. Nie chciał, aby to uderzenie w prawą flankę francuską było ciosem w próżnię.

Marynarze szorujący pokład śmieli się i baraszkowali; przyjemnie było widzieć ich w tak świetnych humorach i móc myśleć, że ten nastrój jest rezultatem ostatnich osiągnięć. Patrząc przed siebie Hornblower odczuwał upojny smak sukcesu, lecz już po chwili, co było dla niego typowe, ogarnęły go wątpliwości, czy potrafi dalej utrzymywać swoich ludzi w tak dobrym stanie ducha. Udział w blokadzie, pociągający za sobą długotrwałe kręcenie się po tutejszych wodach, może wkrótce pogorszyć ich nastroje. Potem ze zdecydowanym optymizmem odsunął wątpliwości na bok. Dotąd wszystko szło doskonale i tak będzie dalej. Tego dnia, chociaż znowu szansę są jak jeden do stu, coś na pewno się zdarzy. Powiedział sam do siebie czupurnie, że szczęśliwa wena jeszcze się nie skończyła. Jeden na sto czy na tysiąc, coś znów się dziś wyłoni, jakaś nowa szansa na wyróżnienie się.

Na brzegu nad złocistą plażą białe domki tuliły się do siebie, a na piasku plaży leżało kilka łodzi — przypuszczalnie hiszpańskie łodzie rybackie. Nie było sensu ryzykować desantu, gdyż zawsze trzeba się było liczyć z tym, że w wiosce może stacjonować garnizon francuski. Tych łodzi używano pewnie również do zaopatrywania w ryby wojsk francuskich, lecz mimo to nie mógł przedsięwziąć niczego przeciwko nim. Ci biedni rybacy musieli z czegoś żyć; jeśli zabierze lub spali te łodzie, nastawi ludzi przeciwko przymierzemu z Anglią — aż całego świata tylko tu, na półwyspie, Anglia ma sprzymierzeńców.

Po plaży biegły czarne punkciki. Jedną z łodzi rybackich wyprowadzano w morze. Może to początek dzisiejszej przygody; czuł, jak wzbiera w nim nadzieja, niemal pewność. Odwrócił się i z lunetą pod pachą ruszył przez pokład; idąc z głową zwieszoną i rękami splecionymi z tyłu wydawał się być cały pogrążony w myślach.

— Łódź odbija od brzegu, sir — powiedział Bush salutując.

— Tak — odrzekł lekko Hornblower.

Starał się nie pokazać po sobie najmniejszego podniecenia. Miał nadzieję, że oficerowie wierzą, iż nie zobaczył jeszcze tej łodzi i był zdecydowany nie spojrzeć na nią.

— Płynie ku nam, sir — dodał Bush.

— Tak — odparł Hornblower, znów pozornie bez zainteresowania. Minie co najmniej dziesięć minut, zanim łódź dobieje do okrętu — a zdąży wyraźnie w ich stronę; inaczej po cóż by została spuszczone na wodę tak spieszenie, natychmiast po pojawieniu się „Sutherlanda”? Inni oficerowie mogą sobie kierować lunety na łódź czy snuć głośne spekulacje na temat, jaki może być powód jej zbliżania się. Kapitan Hornblower będzie z wyniosłą obojętnością kroczyć przez pokład, czekając na nieuniknione obwołanie. Nikt poza nim nie wie, że serce bije mu szybciej. Teraz poprzez lśniąca wodę dobiegł ich z łodzi wysoki okrzyk.

— Panie Bush, proszę położyć okręt w dryf — powiedział kapitan ze sztucznym spokojem, przeszedł do drugiej burty, by odwzajemnić obwołanie.

Wołano po katalońsku; wszechstronna i dokładna znajomość hiszpańskiego — przez dwa lata uczył się pilnie tego języka, by nie popaść w obłąd, kiedy jako młody człowiek był jeńcem zwolnionym warunkowo z aresztu — oraz powierzchowna, a sprawna francuszczyzna pozwoliły mu zrozumieć, co do niego mówiono, lecz mówić po katalońsku nie potrafił. Odwzajemnił obwołanie po hiszpańsku.

— Tak — odpowiedział. — To okręt brytyjski.

Na dźwięk jego głosu jeszcze jedna postać podniosła się i stanęła w łodzi. Ludzie przy wiosłach byli Katalończykami, w zniszczonych ubraniach cywilnych ten człowiek miał na sobie wspaniałą żółty mundur i wysoką czapę ze strusim piórem.

— Czy wolno mi wejść na pokład? — zawołał po hiszpańsku. — Mam ważne wiadomości.

— Będzie pan mile widziany — odrzekł Hornblower, a potem, zwracając się do Busha: — Oficer hiszpański przybywa na pokład, panie Bush. Proszę dopilnować, aby został przyjęty z honorami.

Mężczyzna, który wchodził na pokład rozglądając się ciekawie wokoło, podczas gdy żołnierze piechoty morskiej salutowali i gwizdki swiergotały, był huzarem. Odziany był w żółty mundur, wymyślnie przybrany czarnymi frędzlami, i żółte bryczesy z szerokim złotym lampasem. Na nogach miał długie do kolan lśniące buty do jazdy konnej ze złotymi kutasami zwisającymi z przodu i ostrogami pobrzękującymi z tyłu. Srebrnoszary płaszcz obramowany czarnymi karakułami zwisał mu z ramion. Na głowie nosił huzarską czapę z czarnych baranków astrachańskich, ozdobioną srebrnoszarym workiem, zwisającym z czubka, strusim piórem i złotymi sznurami, owiniętymi wokół szyi; szedł w stronę, gdzie oczekiwał go Hornblower, wlokąc za sobą po pokładzie szeroki zakrzywiony pałasz.

— Dzień dobry, sir — przemówił uśmiechając się. — Jestem pułkownik Jose Gonzales de Yillena y Danvila z pułku huzarów olivenzeńskich jego katolickiej królewskiej mości.

— Cieszę się, że mogę pana poznać — odrzekł Hornblower. — A ja jestem kapitan Horatio Hornblower z okrętu „Sutherland” jego brytyjskiej królewskiej mości.

— Jak biegle jego ekscelencja mówi po hiszpańsku!

— Jego ekscelencja jest zbyt łaskaw. Jestem szczęśliwy, że znajomość hiszpańskiego pozwala mi powitać pana serdecznie na pokładzie mego okrętu.

— Dziękuję. Z wielkim naprawdę trudem udało mi się dotrzeć do pana. Musiałem użyć całej mej władzy, by nakłonić tych rybaków do podwiezienia mnie. Bali się, że Francuzi odkryją, iż komunikowali się z angielskim okrętem. Proszę spojrzeć! Płyną już spiesznie z powrotem, jakby ich życie od tego zależało.

— A zatem obecnie nie ma w tej wsi garnizonu francuskiego?

— Nie, sir, nie ma.

Szczególny wyraz przemknął przez twarz Villeny, gdy mówił te słowa. Był to młody jeszcze mężczyzna o jasnej cerze, chociaż bardzo opalony, z wargą Habsburgów (co by wskazywało, iż swą wysoką pozycję w armii hiszpańskiej zawdzięcza nieogłędności którejś żeńskiej przedstawicielki jego przodków) i orzechowymi oczyma z opadającymi powiekami. Oczy te napotkały wzrok Hornblowera bez śladu fałszu w spojrzeniu. Wydawało się tylko, że błagają, by nie kontynuował wypytywania, lecz Hornblower zignorował tę prośbę — za bardzo zależało mu na informacjach.

— Czy są tam oddziały hiszpańskie? — pytał.

— Nie, sir.

— A pański pułk?

— Nie ma go tu, kapitanie — odrzekł Villena i spiesznie ciągnął dalej: — Mam przekazać panu wiadomość, że wojsko francuskie (włoskie powinienem był raczej powiedzieć) maszeruje tędy wzdłuż wybrzeża, dziewięć mil na północ od nas.

— Ha! — zawołał Hornblower. To była wiadomość, jakiej pragnął.

— Ubiegłej nocy przechodziło przez Malgret[22] w drodze do Barcelony. Jest ich dziesięć tysięcy — dywizje Pina i Lecchiego z armii włoskiej.

— Skąd pan wie o tym?

— Jest to moim obowiązkiem, jako oficera lekkiej kawalerii — odrzekł Villena z godnością.

Hornblower patrzył na niego i zastanawiał się. Wiedział, że od trzech lat armie Bonapartego przemierzały Katalonię wzdłuż i wszerz. Zwyciężały Hiszpanów w niezliczonych bitwach, zdobywały ich fortece po desperackich oblężeniach, a mimo to nie posunęły się w podporządkowywaniu sobie kraju od chwili, gdy po raz pierwszy zdradziecko napadły na tę prowincję. Katalończycy nie byli w stanie zwyciężyć w otwartej walce nawet tych różnojęzycznych hord, jakimi Bonaparte posługiwał się w tej stronie Hiszpanii — Włochów, Niemców, Szwajcarów czy Polaków, wszelkich odpadków z jego armii — lecz walczyli przy tym w sposób godny podziwu, zbierając świeże siły na każdym nie okupowanym skrawku swego terytorium i nękając przeciwników przez narzucanie im konieczności nieustannych przemarszów i marszów odwrotowych. A jednak to nie wyjaśniało, w jaki sposób pułkownik huzarów znalazł się zupełnie sam blisko serca okręgu Barcelony, nad którym, jak należało przypuszczać. Francuzi mają pełną kontrolę.

— Jak to się stało, że jest pan tutaj? — zapytał ostro.

— Zgodnie z moim obowiązkiem, sir — odrzekł Villena z wyniosłą godnością.

— Żałuję bardzo, Don Jose, ale dalej nie rozumiem. Gdzie jest pański pułk?

— Kapitanie...

— Gdzież on jest?

— Nie wiem, sir.

Cała zawadiackość opuściła teraz młodego oficera. Zmuszony przyznać się do swej hańby, patrzył błagalnie na Hornblowera swymi wielkimi oczyma.

— Gdzie widział go pan ostatnio?

— W Torderze. Bi-biliśmy się tam z Finem.

— I zostaliście pobici?

— Tak. Wczoraj. Maszerowali z powrotem z Gerony i wypadliśmy z gór, by ich odciąć. Kirasjerzy rozbili nas i poszliśmy w rozsypkę. Mój-mój koń padł tam, w Arenys de Mar.

Te żałosne słowa pozwoliły Hornblowerowi w jednym błysku intuicji zrozumieć całą historię. Wyobraził sobie to wszystko — niezdyscyplinowane oddziały wciągnięte na jakieś zbocze górskie, wściekłe szarże, rozbijające je w puch, i beładna ucieczka. W każdej wiosce, na mile dokoła, kryją się dziś zbiegowie. Wszyscy uciekali w panice. Villena zajechał swego konia na śmierć, a ponieważ miał najlepszego, zapędził się dalej niż inni — gdyby koń nie zdechł, pewnie gnałby na nim dotąd. Koncentracja sił francuskich, mająca na celu wprowadzenie do walki dziesięciu tysięcy ludzi, pociągnęła za sobą ich ewakuację z mniejszych wiosek, toteż Villena mógł ująć niewoli, mimo że znalazł się między francuską armią polową a jej bazą w Barcelonie.

Teraz, gdy już wiedział, co się stało, nie było potrzeby rozwodzić się nad niepowodzeniami Villeny; lepiej nawet było podnieść go na duchu, gdyż wówczas może być przydatniejszy.

— Porażka — rzekł Hornblower — jest czymś, co prędzej czy później spotyka każdego walczącego mężczyznę. Miejmy nadzieję, że dziś zemścimy się za wczoraj.

— Jest więcej do pomszczenia niż wczorajsza porażka — rzekł Villena.

Sięgnął dłonią do kieszeni na piersiach munduru i wydobyl zwitek papieru; po rozprostowaniu okazało się, że jest to drukowany plakat. Wręczył go Hornblowerowi, a ten rzuciwszy pobieżnie okiem zrozumiał tyle, ile pozwoliła mu znajomość katalońskiego, w którym obwieszczenie było wydrukowane. Zaczynało się tak: „My, Luciano Gaetano Pino, kawaler Legii Honorowej, kawaler Orderu Żelaznej Korony Lombardii, generał dywizji dowodzący siłami Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości Napoleona, Cesarza Francuzów i Króla Włoch, w dystrykcie Gerona, zarządzamy niniejszym...” Tu wymieniono kolejno wszelkie wykroczenia, jakie tylko można sobie wyobrazić, przeciwko jego cesarskiej i królewskiej mości. A każdy ustęp kończył się — Hornblower przebiegł po nich oczyma — „zostanie rozstrzelany”; „kara śmierci”; „zostanie powieszony”; „zostanie spalona” — chwilową ulgę dało stwierdzenie, że to ostatnie odnosi się do wiosek dających schronienie powstańcom.

— Spalili wszystkie wyżej położone wsie — rzekł Villena. — Droga z Figueras do Gerony, długości dziesięciu mil, sir, jest cała obstawiona szubienicami, a na każdej wisi trup.

— Potworne! — rzekł Hornblower, lecz nie zachęcał do dalszej rozmowy. Wyobrażał sobie, że gdy jakiś Hiszpan zacznie mówić o cierpieniach swego kraju, trudno mu przerwać. — Więc powiada pan, że ten Pino maszeruje z powrotem drogą nad brzegiem morza?

— Tak.

— Czy jest gdzieś przy brzegu głębsze miejsce?

Hiszpan podniósł brwi, jakby protestując przeciwko temu pytaniu, i Hornblower zdał sobie sprawę, że nie ma co indagować pułkownika huzarów o dane dotyczące dna morskiego.



— Czy jakieś baterie chronią trakt od strony morza? — zapytał.

— O tak — odpowiedział Villena. — Tak, słyszałem, że są.

— Gdzie?

— Nie wiem dokładnie, sir.

Hornblower pojął, że Villena nie jest prawdopodobnie w stanie dać dokładnych topograficznych informacji o żadnym w ogóle miejscu, i tego właśnie się spodziewał po hiszpańskim pułkowniku lekkiej kawalerii.

— No cóż, podpłyniemy i zobaczymy — rzekł.

## Rozdział XIV

Hornblower pozbył się towarzystwa Villeny, który przyznawszy się raz do swej porażki zaczął okazywać histeryczną gadatliwość i gorącą niechęć do usunięcia się z pola widzenia kapitana.

Hornblower usadowił go z boku, na krześle przy relingu rufowym, tak aby nie zawadzał, a sam wycofał się do bezpiecznego zacisza swej kabiny, by raz jeszcze zasiąść nad mapami morskimi. Zaznaczone były na nich baterie — większość pochodziła przypuszczalnie z niedawnego okresu, gdy Hiszpania była w wojnie z Anglią, a zainstalowano je dla ochrony statków przybrzeżnych, kursujących wzdłuż brzegu od baterii do baterii. W związku z tym baterie znalazły się w punktach, gdzie była w pobliżu nie tylko głęboka woda, lecz także jakaś osłona w postaci wysuniętych cyplów lądu, przy których statki szukające schronienia mogły stanąć na kotwicy. Ludziom nie przyszło wówczas do głowy, że maszerujące kolumny mogą zostać kiedykolwiek zaatakowane z morza, toteż otwarte odcinki lądu — jak te dwadzieścia mil między Malgret i Arenys de Mar — nie zapewniające warunków dla zakotwiczenia, mogły zostać z pewnością pominięte. Od czasu gdy rok temu był tu Cochrane ze swą „Imperieuse”, nie wysłano ani jednego okrętu brytyjskiego z zadaniem nękania Francuzów w tym sektorze.

Później Francuzi mieli zbyt wiele konkretnych zmartwień na głowie, aby mieć czas myśleć o jakimś ewentualnym zagrożeniu. Istniała zatem szansa, że zaniedbali podjęcia środków ostrożności — a w każdym razie nie mogli mieć dostatecznej liczby ciężkich dział i wyszkolonych artylerzystów do ochrony całego wybrzeża. „Sutherland” szukał miejsca oddalonego co najmniej półtorej mili od jakiegokolwiek baterii i dostatecznie głębokiego na to, żeby podejść blisko i omieść drogę pociskami armatnimi. Wydostał się już spoza zasięgu jednej baterii, a ta była zaznaczona na mapie i, co więcej, jako jedyna na tym odcinku. Istniało minimalne prawdopodobieństwo, że Francuzi zamontowali ich więcej od czasu ostatniego uaktualniania mapy. Jeśli kolumna Pina opuściła Malgret o świcie, „Sutherland” musi być z nią teraz prawie na równej linii. Hornblower zaznaczył miejsce, które instynkt podpowiadał mu jako najodpowiedniejsze, i pośpieszył na pokład, by wydać rozkazy kierujące „Sutherlanda” w tamtą stronę.

Na jego widok Villena poderwał się z krzesła i dzwoniąc ostrogami biegł ku niemu przez pokład, lecz Hornblowerowi udało się w grzeczny sposób zignorować jego obecność udając, że jest

całkowicie zaabsorbowany wydawaniem instrukcji Bushowi.

— Proszę też, panie Bush, żeby działa były załadowane i wytoczone — zakończył.

— Tak jest, sir — odpowiedział Bush.

Bush patrzył na niego błagalnym wzrokiem. Ten ostatni rozkaz, nasuwający przypuszczenie o bliskiej akcji bojowej, doprowadził jego zaciekawienie do szczytu. A wiedział tylko tyle, że jakiś pułkownik diegów przybył na pokład. Nie umiał odgadnąć, w jakim celu się tu znaleźli i co kapitan zamierzał. Hornblower zawsze zachowywał dla siebie swoje plany, by w wypadku niepowodzenia podwładni nie byli w stanie ocenić jego rozmiaru. Bush niekiedy bardzo cierpiał z powodu skrytości kapitana, tym razem więc był przyjemnie zaskoczony, gdy Hornblower zniżył się na tyle, aby udzielić mu wyjaśnień. Nie miał się nigdy dowiedzieć, że powodem tej niezwykłej rozmowności Hornblowera była chęć uniknięcia prowadzenia uprzejmej konwersacji z Villena.

— Tamtą drogą ma przechodzić kolumna wojsk francuskich — rzekł. — Chcę sprawdzić, czy uda nam się władować im parę pocisków.

— Tak jest, sir.

— Proszę postawić na ławie wantowej dobrego marynarza z sondą.

— Tak jest, sir.

Teraz, gdy Hornblower naprawdę chciał wdać się w rozmowę, poczuł, że nie potrafi — przez ponad trzy lata hamował w sobie każdy impuls skłaniający go do wypowiedzenia do swego zastępcy choćby jednego zbytecznego słowa, a bierne „Tak jest, sir” Busha było niewiele pomocne. Hornblower uchylił się od rozmowy z Villena przylepiając oko do lunety i oglądając niezwykle uważnie zbliżający się brzeg. Były tam nagie szarozielone wzgórza, zbiegające niemal do skraju wody, u ich stóp pętla drogi wiła się na wysokości to dziesięciu, to stu stóp.

Obserwując ją przez lunetę Hornblower dostrzegł w dali czarny punkcik. Odwrócił wzrok, by dać oczom odpocząć, i znów zaczął patrzeć. Jakiś człowiek galopował konno w ich stronę. W chwilę potem dojrzał za nim ruchomą chmurę kurzu i pojawiające się w niej od czasu do czasu błyski, które przykuły jego uwagę. Był to oddział jeźdźców; przypuszczalnie przednia straż armii Pina. Niedługo „Sutherland” znajdzie się na wprost nich. Hornblower zmierzył okiem odległość między okrętem a drogą. Pół mili, może nieco więcej — łatwy strzał dla działa, lecz nie tak łatwy, jakby tego chciał.

— Głębokość dziewięć — zaśpiewał człowiek z sondą. Można by więc podejść tu znacznie bliżej, skoro manewrując okrętem, by posuwać się wzdłuż brzegu w ślad za Pinem, podплыnęli aż do tego miejsca. Warto o tym pamiętać.

W czasie gdy „Sutherland” żeglował na spotkanie posuwającej się naprzód armii, Hornblower notował w myśli znaki na lądzie i podawane przez sondującego głębokości naprzeciwko tych punktów orientacyjnych. Czołowy szwadron kawalerii był już teraz dobrze widoczny — żołnierze

jechali ostrożnie, z wydobytymi pałaszami, rozglądając się na wszystkie strony; w wojnie, w której każda skała i płot mogły kryć muszkietera, zdecydowanego zabić przynajmniej jednego wroga, ostrożność ta była zrozumiała.

W pewnej odległości za szwadronem wiodącym Hornblower ujrzał dłuższą kolumnę kawalerii, a dalej za nią długą, długą linię białych punkcików; zaintrygowały go one przez moment swym podobieństwem do gąsienicy, której wszystkie nogi poruszają się naraz. Potem uśmiechnął się. Były to białe bryczesy kolumny piechoty maszerującej noga w nogę; wskutek jakiegoś złudzenia optycznego na szarym tle, po którym się posuwali, nie widać było dotąd ich niebieskich mundurów.

— Dziewięć i pół — zawołał sondujący.

Gdyby zaszła potrzeba, mógłby podprowadzić „Sutherlanda” znacznie bliżej. Na razie jednak lepiej było zostać w połowie zasięgu strzału armatniego. Z tej odległości okręt nie powinien wydawać się nieprzyjacielowi zbyt groźny. Umysł Hornblowera analizował spieszenie możliwe reakcje wroga na pojawienie się „Sutherlanda” — przyjazne powiewanie kapeluszami przez awangardę kawaleryjską, znajdującą się teraz akurat na wprost nich, było dodatkową ceną informacją. Pino i jego ludzie nie zostali jeszcze nigdy ostrzelani z morza i nie zetknęli się z niszczącymi skutkami salwy burtowej z ciężkich dział okrętowych, oddanej do odpowiednio położonego celu. Wdzięczny dwupokładowiec z piramidą białych żagli jest czymś, czego nie zna jeszcze ich doświadczenie. Postawić przeciw nim armię, a potrafią z miejsca ocenić jej potencjalną siłę, lecz nigdy dotąd nie mieli do czynienia z okrętami. Z tego co czytał, orientował się, że generałowie Bonapartego niezbyt sobie cenili życie swoich ludzi; a wszelkie kroki podjęte dla uniknięcia ognia z „Sutherlanda” pociągnęłyby za sobą poważne kłopoty — marsz z powrotem do Malgret, by przejść na drogę położoną dalej od brzegu, lub próbę przedostania się na nią bezpośrednio przez górzyste bezdroża. Hornblower przypuszczał, że Pino, znajdujący się gdzieś w tyle długiej kolumny i śledzący uważnie „Sutherlanda” przez lunetę, zdecyduje zaryzykować wystawienie się na ogień z okrętu i będzie maszerował dalej w nadziei, że uda się im przejść bez poważniejszych strat. Pino dozna zawodu, pomyślał Hornblower.

Kawaleria jadąca na czole głównej kolumny znalazła się na wprost nich. W jaskrawym świetle słonecznym regiment lśnił i migotał niby rzeka ognia.

— To są kirasjerzy! — powiedział Villena, gestykulując gwałtownie u boku Hornblowera. — Czemu pan nie strzela, kapitanie?

Hornblower uświadomił sobie, że Villena musiał już tak gadać do niego po hiszpańsku chyba przez kwadrans, a on nie słyszał z tego ani słowa. Nie miał zamiaru marnować korzyści ataku z zaskoczenia dla kawalerii, która galopem umknie z zasięgu ognia. Tę pierwszą salwę burtową trzeba zarezerwować dla poruszającej się wolno piechoty.

— Panie Bush, proszę posłać ludzi do dział — rzekł, w mgnieniu oka zapomniawszy znów całkiem o Villenie, a do marynarza u steru: — Rumb w prawo.

— Osiem i pół — zawołał sondujący.

„Sutherland” zbliżał się coraz bardziej do lądu.

— Panie Gerard! — krzyknął Hornblower. — Proszę nacelować działa na drogę, ale strzelać dopiero, gdy dam sygnał.

Za kawalerią szła bateria artylerii konnej — sześciofuntowe pukawki, a ich podskoki i przechylenie się wskazywały, jak podła jest nawierzchnia drogi, jednego z ważniejszych traktów Hiszpanii. Ludzie, przycupnięci na przodkach dział, machali przyjaźnie rękami do pięknego okrętu dryfującego w niewielkiej od nich odległości.

— Sześć na marce! — dobiegł głos sondującego.

Nie odważył się podpływać bliżej.

— Rumb w lewo. Tak trzymać!

Okręt sunął wolno po wodzie; pełna napięcia załoga stała w absolutnym milczeniu przy działach — słycać było tylko cichutki, słodki śpiew takielunku i plusk wody za burtą. Zrównali się teraz z kolumną piechoty, długą, zbitą masą żołnierzy w niebieskich mundurach i białych bryczesach, maszerujących dziarsko i jakby nierealnych w przejrzystej chmurce pyłu. Nad niebieskimi mundurami widać było białe rzędy twarzy — wszystkie zwrócone w stronę tego ładnego okrętu, sunącego pod białymi żaglami po lazurowej, gładkiej jak emalia wodzie. Było to przyjemne urozmaicenie w nużącym pochodzie, w czas wojny, gdy każdy dzień wymagał swojej porcji maszerowania. Gerard nie dawał jeszcze żadnych rozkazów co do zmiany kąta podniesienia — przez pół mili droga biegła tu na tej samej wysokości, pięćdziesiąt stóp nad poziomem morza. Hornblower przyłożył srebrny gwizdek do warg. Gerard zauważył ten gest. Zanim Hornblower zdążył zagwizdać, wystrzeliło środkowe działo na pokładzie głównym, a w sekundę później cała salwa burtowa huknęła potwornym grzmotem. Odrzut przechylił okręt, biały dym o gorzkim smaku skłębił się nad nim.

— Boże, popatrzcie tylko! — wykrzyknął Bush.

Czterdzieści jeden pocisków z dział burtowych „Sutherlanda” i karonad wymiotło całkiem drogę. Pięćdziesiąt jardów kolumny rozniosło na strzępy. Całe szeregi zostały zmiecione; ci, co przeżyli, stali oszołomieni i ogłupiali. Wózki lawet zaterkotały przy ponownym nataczaniu dział i „Sutherland” znów się przechylił po drugiej salwie burtowej. Tuż za pierwszą wyrwą w kolumnie pojawiła się druga.

— Dajcie im jeszcze chłopaki! — wrzeszczał Gerard.

Cała kolumna stała w ogłupieniu, jakby czekając na trzecią salwę; dym z pocisków popłynął teraz ku brzegowi i cienkimi smugami osnuwał skały.

— Dziewięć bez ćwierci! — zawołał marynarz z sondą.

Woda stawała się znów głębsza, toteż Hornblower mógł podejść bliżej. Następna część kolumny, widząc, jak straszliwy okręt zbliża się nieubłaganie, aby znieść ją z powierzchni ziemi,

wpadła w panikę i ruszyła naprzód jak szalona.

— Kartaczami, panie Gerard! — krzyknął Hornblower. — Rumb w prawo!

Kolumna nie uciekła daleko. Ci, którzy stali w miejscu, i ci, co biegli, stłoczyli się na drodze w zbitą masę, a „Sutherland” pod rozkazami swego kapitana zbliżył się ku nim bezlitośnie, jak maszyna, wyrównał kurs, wycelował w tłum, potem zaś falą kartaczy wymiótł trakt do czysta niczym miotłą.

— Niech ja skonam! — darł się Bush. — To im pokaże!

Villena strzelając palcami miotał się po pokładzie jak kłown, poły jego dolmana[23] fruwały, strusie pióro kiwało się potakująco, a ostrogi brzęczały.

— Głębokość siedem! — zawołał śpiewnie człowiek z sondą. Lecz oko Hornblowera dostrzegło mały cypelek sterczący z brzegu niemal wprost przed dziobem i zarys poszarpanej skały u jego stóp.

— Przygotować się do zwrotu przez sztag! — krzyknął.

Umysł jego pracował w gorączkowym pośpiechu — tu było jeszcze dosyć wody, lecz tamten cypelek wskazywał na istnienie rafy — grzbietu twardszej skały, która nie uległa skruszeniu jak reszta brzegu i została pod powierzchnią niczym pułapka. Mogliby się na nią władować niespodziewanie między jednym rzuceniem sondy a drugim. „Sutherland” zbliżył się do wiatru i odchodził od brzegu. Patrząc ku tyłowi widzieli odcinek drogi wymieciony ich ogniem. Wzdłuż niej leżały stosy zabitych i rannych. Ktoś stał wśród tego spustoszenia, kilku ludzi pochylało się nad rannymi, przeważnie jednak ci, którzy przeżyli, uszli na wzgórze nad traktem i rozproszyli się po stromych zboczach, a ich białe bryczesy odcinały się wyraźnie na szarym tle.

Hornblower omiótł spojrzeniem brzeg. Za tym niewielkim cyplem woda znów będzie głęboka, jak po tamtej stronie.

— Panie Bush. Robimy zwrot przez rufę — powiedział.

Na widok „Sutherlanda” kierującego się w ich stronę piechurzy znajdujący się jeszcze na drodze wpadli w popłoch i zaczęli piąć się jak oszaleli na wzgórze, lecz zdążającą za nimi bateria artylerii nie miała możliwości ucieczki. Hornblower widział, jak koniowodni i kanonierzy czekali przez chwilę bezradnie; potem dojrzał dowodzącego oficera z piórem trzęsącym się nad głową, galopującego wzdłuż szeregu i wymownymi gestami wzywającego ludzi do walki. Koniowodni zatoczyli końmi na drodze ustawiając działa w poprzek niej.

Kanonierzy pochyliwszy się odprzodkowali lawety i schyleni nad działkami z szalonym pośpiechem starali się prowadzić je do boju. Czyż jednak bateria złożona z dziewięciofuntowych połówek mogła coś zdziałać przeciwko salwie burtowej „Sutherlanda”?

— Panie Gerard, proszę zarezerwować swój ogień dla baterii — krzyknął Hornblower.

Gerard pomachał kapeluszem na znak, że zrozumiał. „Sutherland” okręcał się wolno i ciężko. Jedno z dział wystrzeliło przedwcześnie — Hornblower był zadowolony widząc, że Gerard zwrócił na to uwagę i później ukarze winną załogę, a potem, gdy jeszcze włoscy artylerzyści krzatali się przy stemplach, próbując załadować swoje armatki — runęła z hukiem pełna salwa burtowa. Napłynął dym i zasłonił widok z pokładu rufowego; zanim się rozwiął, już działa ze sprawniejszą obsługą zostały przetoczone na pozycje do strzału. W tym momencie wiatr odwiął chmurę dymu i odsłonił ciężko poszkodowaną baterię. Jedno z działek miało zdruzgotane koło i przechylało się jak pijane na bok; inne, trafione widocznie w sam wylot lufy, zostało wyrzucone z lawety i sterczało lufą ku niebu. Wokół armatek leżeli zabici, a żywi stali oszołomieni burzą pocisków, które nie dały im ujść. Oficer poprzednio siedzący na koniu zeskoczył z siodła i puścił wierzchowca luzem, a sarn pobięł ku najbliższemu działku. Hornblower widział, jak przyzywa ludzi do siebie, zdecydowany oddać jeden chociaż strzał w odwet ciskającemu gromy prześladowcy.

— Dajcie im jeszcze raz! — krzyknął Gerard, i „Sutherland” ponownie przechylił się od salwy burtowej.

Zanim dym się rozwiął, „Sutherland” przeszedł zostawiając baterię za sobą. Hornblower spojrział na nią; była w stanie kompletnej ruiny, jeszcze jedno działo rozbite w szczątki i ani żywej duszy w pobliżu. Teraz „Sutherland” znów miał przed sobą piechotę — widocznie druga część kolumny — która w miarę zbliżania się „Sutherlanda” sekcja po sekcji uciekała w panice na wzgórze. Hornblower patrzył, jak idą w rozsypkę. Wiedział, że takie rozproszenie się jest dla armii równie groźne, jak jej zdziesiątkowanie przez ogień; teraz już nie zabijałby tych biedaków, ale rozumiał, iż jego załoga byłaby bardziej zadowolona z ofiar w oddziałach wroga niż z samej tylko demoralizacji, której znaczenia nie potrafiła właściwie ocenić.

Na zboczach wzgórze, nad traktem, stała grupa jeźdźców. Przez lunetę dostrzegł, że wszyscy mają wspaniałe konie i odziani są w kapiące od złota mundury przystrojone strusimi piórami. Hornblower domyślił się, że to sztab armii; w braku większych uformowanych oddziałów mogliby doskonale posłużyć za cel. Krzyknął na Gerarda i wskazał mu ich. Gerard pomachał ręką w odpowiedzi i posłał zaraz dwóch kadetów na dół, by wskazali nowy cel oficerom na dolnym pokładzie. Sam zaś schylił się nad najbliższym działem i patrzył zmrużonymi oczyma, podczas gdy działonowi nastawiali kąty celownika zgodnie z rozkazami, które rzucił im głośno przez tubę. Gerard odsunął się na bok i szarpnął za sznur spustowy, a za jego wystrzałem poszła w ślad cała salwa burtowa.

Strumień pocisków dosięgnął grupy jeźdźców zwalając ludzi i konie; żaden chyba jeździec nie ostał się w swym siodle. Zniszczenie było tak doszczętne, że Hornblower doszedł do wniosku, iż pod samą powierzchnią gruntu musiała tam być skała, której odłamki rozprysły się jak kartacze. Zastanawiał się, czy między trafionymi jest Pino i był zaskoczony, iż spodziewa się, że Pino ma oberwane obie nogi. Stwierdził w duchu, że przecież do dzisiejszego ranka nie słyszał nawet nazwiska Pino i przez moment poczuł pogardę dla siebie za tę ślepą nienawiść do człowieka tylko dlatego, że jest jego przeciwnikiem.

Nieco dalej jakiś oficer utrzymywał swych ludzi w zwartej grupie rozciągniętej wzdłuż drogi, nie pozwalając im się rozproszyć. Zdyscyplinowanie oficera nie pomogło tu wiele. Hornblower obracał powoli okręt, aż działa naszły na cel, a potem salwą burtową rozniósł oddział na strzępy.

Gdy stał w chmurze dymu skłębionej wokół niego, krótkie uderzenie w nadburcie kazało mu zwrócić tam wzrok. Była to kula z muszkietu — ktoś oddał strzał z dużej odległości, dwustu jardów lub więcej, i udało mu się trafić w okręt. Kula musiała już stracić pęd w momencie uderzenia, gdyż zagłębiła się tylko do połowy, zachowując swój kształt. Była zbyt rozgrzana, aby jej dotknąć; wyjął ją palcami przez chusteczkę i podrzucił, jak czynił, przypomniawszy sobie, z gorącymi kasztanami, gdy był małym chłopcem.

Rozwiewający się dym odsłonił obraz dalszego zniszczenia, które było jego dziełem, skoszone szeregi żołnierzy i stosy zabitych; wydało mu się, że słyszy krzyki rannych. Był rad, że oddziały uciekają w rozsypce na zbocza wzgórz i nie dają mu celu, gdyż miał już dość rzezi, chociaż Bush w uniesieniu bitewnym wciąż miotał przekleństwa, a Villena u jego boku dalej wyczyniał swoje łamańce. Wkrótce zrównają się z tyłami kolumny — od straży przedniej do tylnej armia nie mogła zajmować więcej niż osiem lub dziewięć mil traktu. W chwili gdy ta myśl przysłała mu do głowy, zobaczył, że droga jest zatłoczona wozami — to szły tabory armii. Te przysadziste wehikuły, każdy ciągniony przez cztery konie, to na pewno wozy amunicyjne; za nimi wlokły się sznurem chłopskie podwozy, każda zaprzężona w pół tuzina cierpliwych wołów ciemnobrązowej maści, ze skórami owczymi zwisającymi z pysków. Resztę drogi obok wozów wypełniały setki mułów juczych, groteskowo zdeformowanych przez nieforemne ładunki na grzbietach. Nie było znaku ludzi — ruchome punkciki wskazywały, gdzie woźnice porzuciwszy wozy uciekali w panice na zbocza góry.

„Sprawozdanie z aktualnej sytuacji wojennej na półwyspie”, które Hornblower przestudiował tak uważnie, kładło wielki nacisk na trudności transportowe w Hiszpanii. Muł lub koń był równie cenny — a faktycznie kilkakrotnie cenniejszy niż żołnierz. Twarz Hornblowera stężała.

— Panie Gerard! — zawołał. — Załadować kartaczami. Wybić zwierzęta juczne.

Na te słowa jęk sprzeciwu rozległ się wśród ludzi przy działach. To pasowało do tych sentymentalnych głupców; wznoszą okrzyki radości mordując ludzi, a nie podoba im się zabijanie zwierząt. Połowa z nich będzie na pewno świadomie źle celować.

— Szkolenie w strzelaniu do celu. Działa mają się odzywać tylko pojedynczo krzyknął Hornblower do Gerarda.

Cierpliwe bydlęta będą się same wystawiały na strzał, nie tak jak ich panowie, i celowniczo nie będą mogli marnować amunicji. W miarę jak wiatr popychał „Sutherlanda” wolno wzdłuż brzegu, działa odzywały się jedno po drugim, wyrzucając kolejno na drogę porcje kartaczy możliwie na najdalszy zasięg. Hornblower obserwował, jak konie i muły wałęsają się, kopiąc i szarpiąc. Parę objuczonych mułów, oszalałych ze strachu, uciekło z drogi, przeskoczywszy przez wał, i pięło się na zbocze wzgórz, gubiąc po drodze ładunek. Sześć wołów zaprzężonych do jednego wozu padło naraz, wszystkie trafione śmiertelnie. Przytrzymywane przez jarzma leżały parami na kolanach i brzuchach, z głowami wyciągniętymi naprzód jak w modlitwie. Przez pokład główny znów przebiegł pomruk litości, gdy ludzie zobaczyli wynik tego celnego strzału.

— Cicho tam! — ryknął Gerard, który zrozumiał wagę tego, co teraz robili.

Bush odważył się pociągnąć zaabsorbowanego myślami kapitana za rękaw.

— Przepraszam, sir. Gdybym tak wziął łódź z załogą i popłynął na brzeg, to mógłbym spalić te wszystkie wozy, zniszczyć wszystko.

Hornblower potrząsnął głową. To było podobne do Busha, nie zdawać sobie sprawy z mankamentów swego planu. Wróg może uciekać przed armatami, na których ogień nie jest w stanie odpowiedzieć, lecz jeśli znajdzie się w jego zasięgu oddział desantowy, rzuci się na niego bez pardonu — rozwścieczony zadanymi mu stratami. Można, owszem, wysadzić na ląd małą grupę dla zaatakowania kompletnie zaskoczonych pięćdziesięciu kanonierów z obsady baterii, ale zupełnie co innego dokonać desantu na oczach zdyscyplinowanej armii o sile dziesięciu tysięcy ludzi. Słowa, którymi Hornblower usiłował złagodzić odmowę, utonęły w huku wystrzału z karonady na pokładzie rufowym obok nich, a gdy Hornblower znowu otworzył usta, by przemówić, zobaczył na drodze coś, co mu przerwało.

Jakiś mężczyzna stał w następnym wozie wziętym na cel i gorączkowo powiewał białą chusteczką. Hornblower popatrzył przez lunetę; wyglądał na oficera w swym niebieskim mundurze z czerwonymi epoletami. Próbuje się poddać, czyż nie wiedząc, że jego próba poddania się jest w tej chwili daremna? Nie może uniknąć ryzyka związanego z następnym strzałem. Oficer zdaje się nagle to sobie uświadomił, bo pochylił się i znowu wyprostował powiewając dalej chusteczką i podtrzymując kogoś zwisającego mu bezwładnie w ramionach, z głową owiniętą bandażem i obandażowanym ramieniem. Hornblower nagle pojął, że wozy te są wozami ambulansowymi armii, pełnymi chorych i rannych z wczorajszej potyczki. Oficer z chusteczką musiał być lekarzem.

— Przerwać ogień! — ryknął, gwizdząc z całej siły.

Nie zdążył zapobiec wystrzałowi, lecz na szczęście był on źle wycelowany i podniósł tylko chmurę kurzu z powierzchni zbocza poniżej drogi. Nie ma w tym logiki, że oszczędza się zwierzęta pociągowe, bezcenne dla Francuzów, w obawie by nie trafić rannych, którzy mogą wyzdrowieć i stać się znowu czynnymi przeciwnikami, lecz takie są zwyczaje wojny, z całą ich absurdalnością, której źródłem jest sama wojna.

Za taborami jechała straż tylna, lecz ta zdążyła już rozproszyć się po zboczach i nie warto było marnować na nią prochu i pocisków. Nadszedł czas, by zawrócić i raz jeszcze dobrać się do głównego członu armii.

— Panie Bush, proszę zmienić hals. Chcę wrócić na poprzedni kurs.

Nie było to takie łatwe przy kursie diametralnie przeciwnym do poprzedniego. Przedtem „Sutherland” miał wiatr w rufę, teraz w dziób, tak że mógł posuwać się równoległe do brzegu jedynie idąc tak ostro pod wiatr, jak tylko się dało. By móc wypłynąć na pełne morze, gdy znaleźli się w pobliżu tych małych przylądków wybiegających z brzegu, okręt będzie musiał zrobić zwrot przez sztag, a wtedy, jeśli nie przedsięwzięmie się wszelkich środków ostrożności, dryf może znieść go w niebezpieczne miejsce. Ale trzeba, uczynić wszystko, co się da, by zalać Włochom sadła za skórę i pokazać im, że nigdy już nie będą mogli używać spokojnie tej drogi nadbrzeżnej; Bush był zachwycony — co Hornblower poznawał po zawziętym błysku w jego oczach — że kapitan zamierza kontynuować zadanie i nie odpłynie potulnie po jednorazowym przededefilowaniu wzdłuż kolumny, a ludzie przy działach na prawej burcie zatarli dłonie z radości, że i oni wezmą udział w



akcji, i pochylili się nad armatami, które dotąd stały beczynnienie.

Trzeba było trochę czasu, by „Sutherland” mógł wykonać zwrot przez sztag i ustawić się w takiej pozycji, aby jego działa miały kontrolę nad drogą; Hornblower cieszył się widząc, że ponownie uformowane regimenty łamią się w miarę zbliżania się ich prześladowcy i jeszcze raz umykają na zbocze wzgórza. Lecz ze względu na kapryśną linię brzegową i przeciwny wiatr „Sutherland” mógł płynąć wzdłuż wybrzeża z szybkością ledwie trzech węzłów; toteż maszerując bardzo szybko oddziały mogłyby trzymać się bezpiecznej odległości od okrętu i niewykluczone, że włoscy oficerowie lada chwila wpadną na tę myśl. Musi teraz zadać tyle szkód, ile się da.

— Panie Gerard! — zawołał i Gerard przybiegł pędem na jego skinienie, stojąc z podniesioną twarzą, aby wysłuchać rozkazów przekazywanych z góry, z pokładu rufowego. — Może pan oddawać pojedyncze strzały do każdej dostatecznie dużej grupy. Proszę dopilnować, aby wszystkie pociski były dobrze wycelowane.

— Tak jest, sir.

Na przeciwległym zboczu wzgórza znalazła się właśnie zbita gromada około stu ludzi. Gerard własnoręcznie wycelował i ocenił odległość, przysiadłszy na piętach, aby spojrzeć przez wziernik celownika przy dziale na pełnym podniesieniu. Pocisk rąbnął w skałę i poszedł rykoszetem w grupę; Hornblower dojrzał, jak tamci pierzchają w zamęcie, zostawiając za sobą dwie czy trzy postacie w białych bryczesach, rozciągnięte na ziemi. Na ten widok załoga wzniosła radosny okrzyk. Gerard posłał spieszenie po kanoniera Marsha, by wziął udział w tym dokładnym strzelaniu do celu; nakierowane przez niego działo zabiło jeszcze paru ludzi w innej grupie, nad którą połyskiwało coś na drzewcu; Hornblower wyteńczywszy wzrok przez lunetę uznał, że musi to być jeden z tych cesarskich orłów, tak często wspominanych w biuletynach Bonapartego i tylekroć wykpiwanych przez brytyjskich karykaturzystów.

„Sutherland” posuwał się wolno wzdłuż brzegu, a z baterii na prawej burcie rozlegał się z hukiem strzał po strzale. Czasem zrywał się okrzyk załogi, gdy któryś z maleńkich człowieczków wdrapujących się na wzgórze został zbity z nóg; strzały bez żadnego widocznego efektu przyjmowano lodowatą ciszą. Był to cenny pokaz dla kanonierów, jak ważną jest umiejętność dobrego nastawiania dział na cel, oceniania odległości i odchylenia, mimo że zazwyczaj na okręcie liniowym zadaniem artylerzystów jest obsługiwać działa możliwie szybko i strzelać bez potrzeby celowania, z okrętu idącego tuż przy burcie nieprzyjaciela.

Teraz, gdy uszu nie ogłuszał już huk pełnej salwy burtowej, można było po każdym wystrzale dosłyszeć głuchoe echo odbite od wzgórz i wracające z lądu, dziwnie zniekształcone w rozgrzanym powietrzu. Upał był bowiem okropny; Hornblower patrząc, jak ludzie, zwalniani kolejno przez podoficerów, piją chciwie wodę z beczki, zastanawiał się, czy ci biedacy wdrapujący się na skaliste zbocza pod palącym słońcem też cierpią pragnienie. Chyba tak. Sam nie czuł go, był zbyt zaabsorbowany nasłuchiwaniami, jaką głębokość podaje marynarz z sondą, obserwowaniem wyników strzelania i pilnowaniem, aby „Sutherland” nie dostał się w strefę niebezpieczeństwa.

Ktokolwiek był dowódcą rozbitej baterii polowych armatek w tyle na drodze, był to człowiek znający swe obowiązki. Kadet Savage siedzący na salingu fokmasztu okrzykiem zwrócił na to uwagę

kapitana. Trzy nadające się jeszcze do użytku działka zostały obrócone tak, że można je było nacelować po przekątnej do drogi prosto w okręt, wystrzeliły w chwili, gdy Hornblower skierował na nie swą lunetę. Wrr-wrr-wrr — jedna z kul przeleciała wysoko nad jego głową, a w grotmarslu „Sutherlanda” pojawiła się dziura. Jednocześnie trzask dobiegający od przodu oznajmił, gdzie trafił następny pocisk. Upłynie dziesięć minut, zanim salwa burtowa „Sutherlanda” będzie mogła być skierowana na tę baterię.

— Panie Marsh — rzekł Hornblower. — Proszę obrócić na tę baterię pościgówki z prawej burty na dziobie.

— Tak jest, sir.

— Panie Gerard, kontynuować ćwiczenia w strzelaniu do celu.

— Tak jest, sir.

W ramach ćwiczeń, których zadaniem jest przekształcanie ludzi w maszyny bojowe, taka praktyka artyleryjska pod rzeczywistym ogniem nieprzyjacielskim będzie wprost nieoceniona — nikt nie znał lepiej od Hornblowera różnicy między znalezieniem się pod ogniem a pozostawaniem poza obstrzałem. Złapał się nawet na myśli, że w tej sytuacji w ramach niezbędnego doświadczenia warto byłoby stracić jednego czy dwóch mniej potrzebnych ludzi, lecz wzdrygnął się przejęty zgrozą, że tak lekkomyślnie może skazywać kogoś z załogi na kalectwo lub śmierć — zresztą on sam mógłby stać się jedną z tych ofiar. Jakże łatwo oddzielić w swych myślach akademickie teorie o wojnie od jej ludzkiej strony, nawet gdy się jest samemu czynnie w nią zaangażowanym. Dla jego ludzi na dole te maleńkie figurki wdrapujące się na zbocze skały nie są istotami ludzkimi cierpiącymi męki upału, pragnienia i zmęczenia; a martwe postacie zaścielające drogę, z rozprutymi wnętrznościami, nie są dla nich trupami czyichś ojców lub kochanków. Mogliby być, jak sądził, równie dobrze ołowianymi żołnierzami. Nie umiał pojąć, czemu właśnie w tym momencie, wśród upału i huku armat, zaczął myśleć o Lady Barbarze i jej wisiorce z szafirów, i o Marii, która teraz, w zaawansowanej ciąży, musi być okropnie gruba. Otrząsnął się z tych myśli, przeszkodziły mu dostrzec efekt następnej salwy z baterii na drodze.

Biły w nią teraz pościgówki dziobowe; ich ogień może załamać ducha ludzi z obsługi armatek polowych. Tymczasem działka burtowe szukały czegoś, co mogłyby wziąć na cel, gdyż włoska dywizja znajdująca się na wprost nich rozproszyła się po całym zboczu wzgórza w grupkach liczących najwyżej sześciu ludzi — niektóre dotarły aż na szczyt grani. Oficerowie będą mieli trudne zadanie z zebraniem ich z powrotem, a kto chciał zdezerterować — „Sprawozdanie z aktualnej sytuacji wojennej na półwyspie” kładło nacisk na tendencję Włochów do dezercji — ma dziś dosyć okazji po temu.

Trzask i krzyk na dole oznajmił, że strzały z armatek na drodze spowodowały jedną przynajmniej ofiarę z tych, o których myślał Hornblower, a sądząc z bolesnego pisku, trafionym musiał być któryś z chłopców okrętowych; zacisnął usta oceniając odległość, jaką okręt ma jeszcze przebyć, zanim działka burtowe znajdą się w linii celu. Będzie musiał przyjąć jeszcze dwie salwy nieprzyjacielskie; nie było łatwo czekać beczynnie na nie. Oto nadchodzi jedna — przeleciała tuż nad głową z dźwiękiem podobnym do tego, jaki wydaje rój pszczół spieszących z jakąś bardzo pilną

misją; widocznie kanonierzy nie wzięli dostatecznie pod uwagę gwałtownie zmniejszającej się odległości. Grotbrampadun pękł z trzaskiem, i Bush gestem dłoni posłał grupę ludzi, żeby go znów splekli. By przygotować się do przejścia po nawietrznej cypla i sterczącej przed nim rafy, „Sutherland” będzie musiał odejść trochę dalej na morze.

— Panie Gerard! Wykonam zwrot. Proszę być w pogotowiu do oddania strzałów w baterię, gdy działa wejdą w linię celu.

— Tak jest, sir.

Bush posłał ludzi do brasów. Hooker na dziobie kierował szotami kliwrów. Po przełożeniu steru „Sutherland” pięknie poszedł ostrzej pod wiatr i Hornblower patrzył przez lunetę na armatki polowe, teraz oddalone o mniej niż ćwierć mili. Kanonierzy spostrzegli, że „Sutherland” robi zwrot — widzieli to już przedtem i pojęli, że zaraz nadleci nawałnica pocisków. Hornblower zobaczył, że jeden z nich odbiegł od armatki, inni poszli za nim, wspinając się desperacko po nasypie na zbocze wzgórza. Pozostali padli twarzami ku ziemi — tylko jeden stał obok armat, krzycząc i gestykułując. „Sutherland” przechylił się jeszcze raz od odrzutu swych dział, gryzący dym wzbił się kłębem w górę i bateria znikła z pola widzenia. Nie widać jej było, nawet gdy dym się już przeredził. Zostały tylko szczątki — strzaskane koła, oś stercząca ku górze, a same armaty leżały zwalone na ziemi. Była to dobrze wycelowana salwa burtowa; oddając ją kanonierzy musieli zachować spokój godny weteranów.

Hornblower przeprowadził okręt wokół rafy i skierował go ponownie ku brzegowi. Traktem przechodziły właśnie tyły kolumny piechoty; dywizja czołowa musiała się ponownie uformować, w czasie gdy „Sutherland” zajmował się tą drugą. Teraz maszerowała spiesznie, spowita ciężką chmurą pyłu wiszącą nisko nad drogą.

— Panie Bush, musimy spróbować dobrać się do tej kolumny.

— Tak jest, sir.

Lecz „Sutherland” miał trudności z żeglowaniem na wiatr, a gdy już, już miał prześcignąć tyły kolumny, musiał wykonywać zwrot przez sztag i oddalać się od brzegu, by przejść po nawietrznej wystającego cypla lądu. Chwilami byli tak blisko maszerującej w wielkim pośpiechu piechoty, że patrząc przez lunetę Hornblower widział nad niebieskimi mundurami blade twarze ludzi oglądających się za siebie. A tu i ówdzie mógł dojrzeć tych, co odstali od kolumny — mężczyzn siedzących przy drodze z twarzami ukrytymi w dłoniach, wyczerpanych żołnierzy, opierających się o swe muszkiety i gapiących na mijający ich okręt, albo nieruchome postacie tych, co padli bez tchu, zmożeni zmęczeniem i upałem.

Bush wściekał się i zrywał usiłując wydusić z okrętu chociaż odrobinę większą szybkość, zaganiając każdego z załogi, nie zajętego w danym momencie, do noszenia hamaków wyładowanych kulami z zawietrznej na nawietrzną, trzymując żagle możliwie najprecyzyjniej i klnąc wściekle, gdy tylko przestrzeń między okrętem a wojskiem wydawała się zwiększać.

Lecz Hornblower był całkiem zadowolony. Dywizja piechoty, skutecznie rozbita, a potem

zmuszona do ucieczki w panice przez całe mile, gubiąca dziesiątkami tych, co nie mogli nadążyć, i ścigana dalej przez bezlitosnego nieprzyjaciela, musiała otrzymać tak silny cios, jeśli chodzi o wiarę w swoją moc, że przez tygodnie będzie poważnie osłabiona jako siła bojowa. Przed wejściem w zasięg dużej baterii nadbrzeżnej po drugiej stronie Arenys de Mar zaprzestał pościgu — nie chciał, aby uciekający wróg odzyskał utraconego ducha na widok „Sutherlanda” odegnanego przez ciężkie działa, a zatoczenie koła dla wydostania się z ich zasięgu zabrałoby tyle czasu, że zaskoczyłaby ich noc, zanim znaleźliby się znowu przy brzegu.

— Doskonale, panie Bush. Może pan zrobić zwrot na prawy hals i zabezpieczyć działa.

„Sutherland” wyprostował się, a potem, przechodząc na przeciwny hals, przechylił się na drugą burzę.

— Trzy razy „hura” dla kapitana! — zawołał ktoś na pokładzie głównym. — Hornblower nie miał pewności kto, inaczej byłby go ukarał. W burzy okrzyków, jaka się teraz zerwała, głos jego utonął zupełnie; nie było sposobu uciszyć załogi, która darła się aż do zmęczenia, a wszyscy mieli rozradowane twarze i pałali entuzjazmem dla kapitana, co wiódł ich do zwycięstwa pięciokrotnie w ciągu trzech dni. Bush także szczerzył zęby i Gerard obok niego, na pokładzie rufowym. Mały Longley podskakiwał i wrzeszczał, zapomniawszy zupełnie o swej godności oficera, podczas gdy Hornblower stał nachmurzony, patrząc groźnie na ludzi w dole. Może kiedyś, później cieszyć go będzie wspomnienie tego spontanicznego dowodu uczuć i oddania, lecz teraz niecierpliwie tylko i żenowało.

Gdy okrzyki ucichły, dał się znów słyszeć głos marynarza z sondą:

— Nie ma dna! Lina nie sięga dna!

Człowiek ten spełniał wciąż powierzone mu zadanie i będzie to robił, dopóki nie otrzyma rozkazu, by przestać — dając najbardziej oczywisty przykład dyscypliny panującej w marynarce wojennej.

— Panie Bush, proszę natychmiast odesłać sondującego! — rzucił gniewnie Hornblower, zirytowany tym przeoczeniem.

— Tak jest, sir — odrzekł Bush zawstydzony, że po raz pierwszy zaniedbał swego obowiązku.

Słońce zapadało w purpurę i czerwień za górami Hiszpanii, w szalonej feerii barw, aż Hornblowerowi dech zaparło na widok niezwyklej piękności tego widoku. Reakcją na przyspieszoną pracę mózgu w poprzednich godzinach był teraz zamęt w głowie i uczucie otępienia zbyt silne na razie, aby mógł sobie uświadomić, jak bardzo jest zmęczony. Jeszcze musi poczekać na raport lekarza okrętowego. Ktoś został dziś zabity czy ranny — pamiętał wyraźnie trzask i pisk, gdy któryś z pocisków z armatek polowych trafił w okręt.

Steward z mesy młodszych oficerów wszedł na pokład rufowy i salutując Gerardowi rzekł:

— Przepraszam, sir. Ale Toma Cribba zabiło.

— Co?

— Słowo daję, sir. Urwało mu całkiem głowę. Paskudnie wygląda, jak tam leży, sir.

— Co ty pleciesz? — przerwał Hornblower. Nie pamiętał nikogo na okręcie o nazwisku Tom Cribb — tak się nazywał mistrz Anglii w wadze ciężkiej — nie widział też powodu, dlaczego steward z mesy młodszych oficerów miał meldować podporucznikowi o wypadku.

— Tom Cribb zabity, sir — wyjaśniał steward. — A pani Siddons, ona dostała odłamkiem w ten... no... w tyłek, za przeproszeniem, sir. Powinien był pan słyszeć, jak kwiknęła, sir.

— Tak, słyszałem — potwierdził Hornblower.

A więc Tom Cribb i Pani Siddons to prosię i maciora z mesy młodszych oficerów. Ucieszył się, zdawszy sobie z tego sprawę.

— Z nią już w porządku, sir. Rzeźnik dał jej na to miejsce trochę dziegiu.

Nadszedł Walsh, lekarz okrętowy, meldując, że nie było ofiar w tej akcji bojowej.

— Oprócz świń w chlewiku, sir — dodał z unізonością kogoś, kto ośmiela się powiedzieć dowcip w obecności przełożonego oficera.

— Właśnie się o tym dowiedziałem — powiedział Hornblower.

Gerard zwrócił się do stewarda.

— W porządku! — rzekł. — Zrobisz flaczki, smażone. Możesz także upiec polędwicę. Patrz, żeby była kruchutka. Jak będzie taka twarda jak z prosiaka, którego zabiliśmy ostatnio, odbiorę ci twoją porcję grogu. Mamy jeszcze cebulę i szalwię — tak, zostało też parę jabłek. Sos z szalwii, cebuli i jabłek — zapamiętaj sobie, Loughton, żebyś mi nie dawał do sosu goździków. Zabraniam ci, choćby inni oficerowie kazali. Do placka z jabłkami, owszem, ale nie do pieczonej wieprzowiny. Zabieraj się zaraz do roboty. Możesz zanieść łopatkę do mesy bosmańskiej z pozdrowieniami ode mnie, a drugą upiecz — będzie na zimno do śniadania.

Mówiąc to Gerard postukiwał palcami jednej ręki w dłoń drugiej, akcentując swe żądania; na jego twarzy malował się apetyt — Hornblower pomyślał, że gdy nie ma w pobliżu kobiet, Gerard musi poświęcać żołądkowi wszelkie myśli, jakie mu zostają poza troską o działa. Mężczyzna, którego oczy wilgotnieją na myśl o smażonych flaczkach i pieczonej wieprzowinie na obiad w upalne lipcowe popołudnie na Morzu Śródziemnym, którego raduje myśl o łopatce wieprzowej na zimno na śniadanie następnego ranka, powinien z natury rzeczy sam być tłusty jak świnia. Lecz Gerard był szczupły, przystojny i elegancki; zazdroszcząc mu, Hornblower pomyślał o swoim rosnącym brzuszku.

Tymczasem pułkownik Villena obijał się po pokładzie jak zagubiona dusza. Wyraźnie czekał tylko, kiedy znów będzie mógł mówić — a Hornblower był jedyną osobą na okręcie znającą hiszpański. Ponadto jako pułkownik był on równy rangą komandorowi i mógł oczekiwać, że będzie

gościem kapitana w jego kabinie. Hornblower zdecydował, że woli raczej przejeść się pieczoną wieprzowiną na gorąco, niż narazić na konwersację z Villena.

— Zdaje się, że planuje pan ucztę dziś wieczorem, panie Gerard — odezwał się.

— Tak, sir.

— Czy nie będziecie mieli nic przeciwko temu, jeśli się na nią zaproszę?

— O, nie, sir. Oczywiście że nie, sir. Będziemy szczęśliwi, jeśli zechce nas pan zaszczyścić, sir.

Twarz Gerarda jaśniała prawdziwą radością na perspektywę odegrania roli gospodarza wobec swego kapitana. Był to tak szczerzy wyraz hołdu, że Hornblower poczuł w sercu ciepło, chociaż sumienie gryzło go, gdy pomyślał, czemu się zaprosił.

— Dziękuję, panie Gerard. A zatem pułkownik Villena i ja będziemy dziś wieczór gośćmi w mesie młodszych oficerów.

Przy odrobinie szczęścia Villena zostanie posadzony dostatecznie daleko, by nie musiał rozmawiać z nim po hiszpańsku.

Dobosz, sierżant piechoty morskiej, zebrał całą orkiestrę, jaką okręt mógł się poszczycić — czterech żołnierzy z piszczałkami i czterech z bębnami. Maszerowali tam i z powrotem po półpokładzie w rytm uderzeń bębnów, a piszczałki wygrywały piskliwie w siną dal.

Nasze okręty to twarde sztuki,

A załoga to bycze majtki...

Głupawe słowa i tani sentymentalizm piosenki zdawały się cieszyć marynarzy, chociaż każdy wpadłby we wściekłość, gdyby jego nazwano „byczym majtkiem”.

Tam i z powrotem maszerowały postacie w eleganckich czerwonych mundurach, a żwawe bicie w bębny poruszyło wszystkich do tego stopnia, że zapomniano o miazdzącym upale. Na zachodzie bajeczne niebo płonęło jeszcze w glorii, gdy od wschodu noc wypełzała już na purpurowe morze.

## Rozdział XV

— Osiem dzwonów, sir — oznajmił Polwheal.

Hornblower przebudził się nagle. Zdawało mu się, że nie spał dłużej niż pięć minut, gdy faktycznie sen trwał dobrze ponad godzinę. Leżał na koi w koszuli nocnej, gdyż zrzucił z siebie przykrycie w czasie omdlewająco upalnej nocy; bolała go głowa, a w ustach miał obrzydliwy smak. Położył się o północy, ale z powodu pieczonej wieprzowiny, którą zjadł na kolację, przewracał się i rzucał w piekielnym gorącu przez dwie czy trzy godziny, zanim udało mu się zasnąć; a teraz budzono go o czwartej rano tylko dlatego, że musi przygotować raport dla kapitana

Boltona lub admirała (jeśli ten ostatni już przybył) i dostarczyć go rano w miejscu spotkania. Stękał, nieszczęsny, z przemęczenia i poczuł ból w stawach, gdy siadając opuścił nogi na pokład. Z trudem otworzył sklezione powieki, a kiedy potarł, zaboląły go oczy.

Stęknąłby znowu, gdyby nie przypomniał sobie, że wobec Polwheala musi uchodzić za kogoś, kto jest wyższy ponad ludzką słabość — na myśl o tym poderwał się natychmiast i przybrał pozę człowieka zupełnie przebudzonego. Po kąpieli pod pompą na pokładzie i po ogoleniu się ocknął się zupełnie, a gdy świt zaczął wypełzać spoza zamglonego widnokregu, usiadł przy biurku, zatemperował nowe pióro, oblizał w zamyśleniu koniec przed zanurzeniem go w atramencie i zaczął pisać.

„Mam zaszczyt donieść, że zgodnie z rozkazami kapitana Boltona w dniu 20 bm. udałem się...”

Wszedł Polwheal ze śniadaniem i Hornblower sięgnął po kubek gorącej, parującej kawy, by podtrzymać słabnącą już energię. Przerzucił karty dziennika okrętowego, chcąc odświeżyć pamięć — tyle zdarzyło się ostatnio, że właściwie słabo już przypominał sobie szczegóły zdobycia „Amelie”. Sprawozdania trzeba było pisać językiem zwyczajnym, unikając Gibbonowskich antytez lub górnolotnego stylu, a jednak Hornblower nie lubił stosować zdań z gatunku używanych zwykle w raportach kapitańskich. Zestawiając przyzwyknięte w okolicy baterii w Llanzy pamiętała, aby napisać, „jak wspomniano na marginesie”, zamiast irytującego zwrotu „patrz margines”, który stał się stereotypem w marynarce wojennej od czasu, gdy jakiś nieuczony kapitan użył go blisko sto lat temu w czasie wojny „o ucho Jenkinsa”[24]. Był zmuszony pisać „udałem się”, chociaż nie znosił tego — w oficjalnych sprawozdaniach marynarka wojenna nigdy nie stawiała żagli, nie wypływała ani nie wychodziła w morze, ani nawet nie ruszała w drogę, lecz zawsze „udawała się”, podobnie kapitanowie nigdy nie sugerowali, radzili czy zalecali, lecz zawsze „przedkładali z uszanowaniem”. Hornblower musiał „przedłożyć z uszanowaniem”, że dopóki w Llanzy nie zostanie z powrotem ustawiona bateria francuska, droga nadbrzeżna z Francji do Hiszpanii będzie najmniej zabezpieczona przed atakami na odcinku między Port-Vendres a zatoką Rosas.

Borykał się właśnie z ubraniem w słowa opisu wypadu na Etang de Thau pod Cette, gdy ktoś zapukał do drzwi. Na wezwanie wszedł do kabiny Longley.

— Przysłał mnie pan Gerard, sir. Po prawej burcie przed dziobem widać eskadrę.

— Czy jest tam okręt flagowy?

— Tak, sir.

— W porządku. Pozdrowienia dla pana Gerarda i niech będzie łaskaw zmienić kurs, żebyśmy mogli podejść do okrętu flagowego.

— Tak jest, sir.

A zatem swój raport musi zaadresować do admirała, a nie do Boltona, i musi skończyć go w ciągu najbliższej pół godziny. Umoczył pióro w kałamarzu i zaczął gryzmolić gorączkowo, opisując,

jak nękał dywizję Pina i Lecchiego na drodze nadbrzeżnej między Malgret i Arenys de Mar. Przeżył wstrząs zliczwszy ofiary w ludziach zadane Włochom — musiało ich być z pięć lub sześć setek, nie licząc tych, co się odbili od oddziałów. Musiał napisać to w ostrożnych słowach, w przeciwnym razie mógłby zostać posądzony o przesadę — poważne przestępstwo w oczach władzy. Wczoraj zabito lub okaleczono pięciuset lub sześciuset ludzi, którzy by dziś żyli i czuli się dobrze, gdyby on, Hornblower, nie był aktywnym i przedsiębiorczym oficerem. Patrząc oczyma duszy na swój wspaniały wyczyn widział dwojaki obraz — z jednej strony trupy, wdowy i sieroty, żal i ból, a z drugiej — figurki w białych bryczesach leżące nieruchomo na zboczu wzgórza, zbite z nóg ołowiane żołnierzyki, liczby zarejestrowane na papierze. Przeklinał swój analityczny umysł, upał i konieczność sporządzania raportu na piśmie. Zdawał sobie przy tym niejasno sprawę z tej swojej cechy, która sprawiała, że po każdym sukcesie popadał w depresję.

Położył spiesznie podpis pod raportem i krzyknął na Polwheala, aby podał mu świecę do stopienia laku, a tymczasem sam posypywał piaskiem mokry atrament. Z powodu gorąca dłonie kleiły mu się do miękkiego papieru, kiedy adresował raport: „Kontradmiral Sir P. G. Leighton, K.B.[25]” — zrobił kleks, który rozpląnął się po wilgotnej powierzchni jak po bibule. W każdym razie miał to za sobą; wyszedł na pokład, gdzie słońce grzało już mocno. Mosiężny odcień nieba, który już wczoraj dał się zauważyć, był dziś jeszcze wyraźniejszy i Hornblower przypomniał sobie, że barometr w jego kabinie od trzech dni ciągle spada. Nie ma wątpliwości, że nadciąga sztorm; w dodatku sztorm zapowiadany tak długo musi być gwałtowny. Obrócił się ku Gerardowi z rozkazem, by obserwował pilnie pogodę i był gotów do zwijania górnych żagli przy pierwszym objawie zmiany.

— Tak jest, sir — odpowiedział Gerard.

W oddali kołysały się dwa pozostałe okręty eskadry, „Pluto”, ze swymi trzema rzędami furt strzelniczych i czerwoną banderą na topie stermasztu, oznajmijającą obecność na pokładzie kontradmirala eskadry czerwonej, a za jego rufą „Caligula”.

— Proszę posłać po pana Marsha, żeby oddał salut banderze admirałskiej — rzekł Hornblower.

Podczas gdy odpowiadano na salut, po flaglinkach „Plutona” wzbił się rzut flag.

— Wywoławczy „Sutherlanda” — odczytał Vincent. — Zająć pozycję za rufą.

— Potwierdzić.

Teraz nastąpił nowy rzut flag.

— Wywoławczy „Sutherlanda” — powiedział znowu Vincent. — Dowódca do kapitana. Przybyć na pokład i złożyć raport.

— Potwierdzić. Panie Gerard, proszę spuścić na wodę mój kuter. Gdzie pułkownik Villena?

— Jeszcze go dzisiaj nie widziałem, sir.



— Panie Savage, panie Longley. Biegnijcie na dół i wyciągnijcie pułkownika z koi. Ma być gotów, gdy tylko moja łódź znajdzie się na wodzie.

— Tak jest, sir.

Po niespełna trzech minutach kuter kapitański spuszczone z okrętu; Hornblower siedział już na rufie, gdy w ostatniej sekundzie Villena zjawił się przy burcie. Miał obrażoną minę. Nic dziwnego. Dwaj obcesowi kadeci wyrzucili go niemal z koi, a pomagając mu się ubierać spieszenie i niezdarnie nie potrafili przemówić nawet słowa w jego języku. Czapa siedziała krzywo na jego głowie, mundur był źle zapięty, a pałasz i płaszcz huzarski jeszcze przewieszane przez ramię. Załoga łodzi przyzywała go niecierpliwymi okrzykami, nie chcąc narażać reputacji okrętu przez czekanie na niego, gdy admirał wzywa ich sygnałem.

Villena osunął się zboląły na swoje miejsce na ławce obok Hornblowera. Był nie ogolony i wymięty, a oczy miał sklejone, jak Hornblower po przebudzeniu. Siedział mamrocąc i utyskując, jeszcze na pół śpiący, usiłując z nieprzytomną miną doprowadzić swój strój do porządku, a tymczasem marynarze pochylili się nad wiosłami i kuter śmignął po powierzchni wody. Dopiero gdy zbliżyli się do okrętu flagowego, Villena ocknął się na dobre i spróbował zacząć rozmowę, lecz Hornblower uznał, że przez tę krótką chwilę, jaka pozostała, nie musi wysilać się na wyszukaną uprzejmość. Miał nadzieję, że admirał zaprosi Villenę do siebie jako gościa ze względu na informacje, jakich mógł on udzielić o sytuacji na brzegu.

Przy burcie czekał kapitan Elliott, by go powitać, gdy się znaleźli na pokładzie.

— Rad jestem, Hornblower, że pana widzę — powiedział, a potem, w odpowiedzi na prezentację Villeny przez Hornblowera mruknął coś de niego bez związku, mierząc zdumionym wzrokiem jego krzykliwy uniform i nie ogolony podbródek. Ulżyło mu wyraźnie, gdy miał już za sobą tę formalność i mógł się znowu zwrócić do Hornblowera. — Admirał jest w swojej kabinie. Tędy proszę, panowie.

W kabinie oprócz admirała był oficer sygnałowy, młody Sylvester, o którym Hornblower słyszał jako o zdolnym oficerze, chociaż — jak należało się spodziewać — był on potomkiem rodu arystokratycznego. Sam Leighton tego ranka wyglądał ociężale i mówił wolno; widać było, jak wskutek dusznego upału małe strumyczki potu ciekną mu po bokach obwisłego podbródka. Obaj z Sylwestrem usiłowali powitać serdecznie Villenę. Mówili niezłe po francusku, a marnie po włosku i mieszając słowa z obu tych języków z zapamiętanymi resztkami szkolnej łaciny potrafili wyrażać się zrozumiale, ale szło to opornie. Z widoczną ulgą Leighton zwrócił się do Hornblowera:

— Hornblower, pragnę usłyszeć pański raport.

— Mam go na piśmie, sir.

— Dziękuję. Ale proszę nam powiedzieć parę słów o waszych wyczynach. Kapitan Bolton mówił, że wziął pan przyz. Dokąd poszliście?

Hornblower rozpoczął swe sprawozdanie — był zadowolony, że sprawy ruszyły tak szybko, iż

mógł nie mówić w ogóle o okolicznościach, w jakich rozstał się z konwojem wschodnioindyjskim. Opowiedział o wzięciu „Amelie” i floty małych stateczków w Llanzy. Na pełnej twarzy admirała pojawił się błysk szczególnego ożywienia na wieść, że w wyniku przedsięwzięć Hornblowera stał się o tysiąc funtów bogatszy. Skinął ze zrozumieniem głową, gdy Hornblower wyjaśniał konieczność spalenia ostatniego przyżu, kabotażowca, który dostał się w jego ręce pod Cette. Hornblower ostrożnie poddał myśl, że eskadra mogłaby najlepiej być wyzyskana przy pilnowaniu odcinka między Port-Vendres i Rosas, dzięki bowiem zniszczeniu baterii w Llanzy nie ma tam schronienia dla statków francuskich. Na te słowa ślad zmarszczki pojawił się między brwiami admirała, i Hornblower porzucił co prędzej ten temat. Leighton wyraźnie nie był z tego typu admirałów, którzy chętnie przyjmują sugestie swych podwładnych.

Hornblower przeszedł spieszenie do opisywania akcji przeprowadzonej następnego dnia na południowym zachodzie.

— Chwileczkę, kapitanie — przerwał Leighton. — To znaczy, że przedwczorajszej nocy udał się pan na południe?

— Tak, sir.

— Musiał więc pan przechodzić w ciemności blisko miejsca spotkania?

— Tak, sir.

— I nie spróbował pan sprawdzić, czy nie przybył już okręt flagowy?

— Wydałem rozkaz szczególnie starannej obserwacji z masztu, sir.

Teraz zmarszczka między brwiami Leightona stała się całkiem wyraźna. W czasie służby blokadowej admirałowie mają zawsze utrapienie z kapitanami okrętów, szukającymi pretekstów do oddalania się i działania na własną rękę — choćby tylko po to, aby zwiększać swe udziały w przyzowie. Leighton był nie tylko wyraźnie zdecydowany przeciwdziałać w sposób drastyczny każdej takiej tendencji, lecz podejrzewał, że Hornblower specjalnie tak zaplanował podróż, by mijając nocą miejsce spotkania.

Jestem niezwykle zaniepokojony, kapitanie Hornblower, że mógł pan postąpić w ten sposób. Kapitana Boltona upominałem już za to, że pozwolił panu oddalić się, a teraz, gdy słyszę, że dwie noce temu był pan o dziesięć mil stąd, nie mam wprost słów na wyrażenie swego niezadowolenia. Dotarłem do miejsca spotkania tego samego ranka i z pańskiej przyczyny dwa liniowce jego królewskiej mości czekały beczynnym blisko dwie doby, aż pan się zdecydował, by do nas dołączyć. Proszę przyjąć do wiadomości, kapitanie Hornblower, że jestem rzeczywiście bardzo niezadowolony i że będę musiał donieść o tym admirałowi dowodzącemu na Moru Śródziemnym, by podjął kroki, jakie uzna za stosowne.

— Tak, sir — rzekł Hornblower. Starał się mieć możliwie skruszoną minę, lecz w jego własnym przekonaniu nie była to sprawa dla sądu wojennego — kryły go rozkazy Boltona — poza tym wątpił, czy Leighton zrealizuje swą groźbę.

— Proszę kontynuować — rzekł Leighton.

Hornblower zaczął opisywać akcję przeciwko dywizjom włoskim. Widział z wyrazu twarzy Leightona, że przywiązuje on niewielką wagę do moralnego efektu tego przedsięwzięcia i że jego wyobraźnia jest zbyt ograniczona, by potrafił ocenić, jaki wpływ może mieć na Włochów sromotna ucieczka przed niedosiężnym nieprzyjacielem. Gdy Hornblower wyraził przypuszczenie, że wróg stracił co najmniej pięciuset ludzi, Leighton poruszył się niespokojnie i wymienił spojrzenia z Sylvestrem — wyraźnie nie uwierzył mu, Hornblower postanowił wobec tego nie mówić wcale, że jego zdaniem Włosi stracili jeszcze co najmniej pięciuset żołnierzy, którzy odbili od armii lub zdezerterowali.

— Bardzo interesujące — stwierdził Leighton odrobinę nieszczerze.

Pukanie do drzwi kabiny i wejście Elliotta rozładowało atmosferę.

— Pogoda wygląda paskudnie, sir — rzekł. — Myślałem, że jeśli kapitan Hornblower chce wrócić na swój okręt...

— Tak, oczywiście — powiedział Leighton podnosząc się.

Z pokładu widać było po zawietrznej czarne chmury posuwające się szybko z kierunku przeciwnego wiatrowi. — Zdąży pan w sam czas — odezwał się Elliott, spoglądając na niebo, gdy Hornblower przygotowywał się do zejścia do kutra.

— Istotnie — przytwierdził Hornblower. Chodziło mu głównie o to, by uciec z „Plutona”, nim ktoś zauważy, że zostawia tu Villenę — ten, nie umiejac po angielsku, wałęsał się gdzieś po pokładzie rufowym, i Hornblowerowi udało się wejść do łodzi, zanim ktokolwiek sobie o nim przypomniał.

— Naprzód! — rozkazał, nie usiadłszy jeszcze porządnie, i kuter jak strzała odbił od burty „Plutona”.

Na okręcie, gdzie przebywa admirał i jego sztab, muszą istnieć trudności z zakwaterowaniem, choćby to był nawet trójpokładowiec. Obecność pułkownika hiszpańskiego będzie znaczyła, że jakiś nieszczęsny porucznik zostanie narażony na przykre niewygody. Lecz Hornblower potrafił uczynić swe serce nieczułe na kłopoty nie znanego porucznika.

## Rozdział XVI

Na horyzoncie przetaczał się już grzmot, gdy Hornblower znalazł się z powrotem na pokładzie „Sutherlanda”. Nie było na razie żadnych oznak, że upał zelżał; wiatr ustał niemal zupełnie. Niebo zaciągnęło się nisko czarnymi chmurami, a resztki błękitu nabrały silnie metalicznego odcienia.

— Wkrótce nadejdzie, sir — odezwał się Bush. Spojrzał z zadowoleniem w górę; na jego rozkaz zwinięto już prawie wszystkie żagle, zostawiając tylko marsie, a teraz załoga była właśnie zajęta ich refowaniem. — Ale tylko pan Bóg wie, z której strony.

Otarł mokre od potu czoło; gorąco było straszliwie i okręt, bez wiatru, który zmniejszyłby kołysanie, nurzał się paskudnie w niespokojnym morzu z głośnym klekotem bloków.

— Niech się już raz zacznie, do diabła! — mruczał Bush.

Podmuch wiatru, gorący jakby z pieca cegielni, ogarnął ich nagle i „Sutherland” na moment przestał się kiwać. Potem nadszedł drugi powiew, jeszcze gorętszy i silniejszy.

— Idzie! — zawołał Bush wskazując palcem. Czarne niebo rozdarła nagle oślepiająca błyskawica, po której niemal natychmiast zagrzmiął straszliwy huk grzmotu, i zobaczyli, jak szkwał gna w ich stronę zaznaczając się ostrą metaliczną linią na powierzchni szarego morza. Żagle niemal chwyciły wiatr z przodu, „Sutherland” zdrzął i przechylił się od uderzenia szkwału. Hornblower rzucił głośny rozkaz sternikowi; okręt odpadł od wiatru i wyrównał kurs. Nadleciała z wyciem wichura i przyniosła grad — kulki wielkości wiśni, które kłuły, oślepiały i raziły boleśnie, bijąc z piekielnym hałasem o pokłady, a powierzchnię morza ubijały na gęstą pianę. Jej syk dawał się słyszeć poprzez inne odgłosy. Bush postawił wielki kołnierz płaszcza nieprzemakalnego i usiłował osłaniać oczy skrajem zydwestki, lecz Hornblowerowi ostry wiatr wydał się tak rozkoszny, iż nie odczuwał nawet bólu od uderzeń gradu. Polwheal, który nadbiegł na pokład z płaszczem nieprzemakalnym i zydwestką, musiał aż trącić go w łokieć, by zwrócić jego uwagę i zmusić do włożenia tych okryć.

„Plutona” postawionego w dryf zniosło o jakieś dwa kable w prawo od dziobu „Sutherlanda”; wielki trójpokładowiec był chyba jeszcze trudniejszy w manewrowaniu i mocniej dryfował niż „Sutherland”. Hornblower obserwował go i zastanawiał się, jak czuje się teraz Villena, zagnany pod pokład, słysząc wokół skrzyp drewnianych części okrętu. Pewnie oddaje się w opiekę świętych. „Caligula” jeszcze ciągle szedł na wiatr pod zrefowanymi marszlami, a jego wojenny poroczyk sterczał sztywno i prosto jak drąg. Ten okręt najlepiej ze wszystkich trzech potrafił iść na wiatr, gdyż jego brytyjscy konstruktorzy za główny cel postawili sobie zbudowanie jednostki zdolnej stawiać czoło sztormom — a nie, jak w wypadku „Plutona”, ulokowanie jak największej liczby dział na danej długości i szerokości pokładów czy też, co musieli uzyskać holenderscy budowniczości „Sutherlanda”, pogodzenie bardzo małego zanurzenia z minimalną chociaż zdolnością do żeglugi morskiej.

Niemal bez ostrzeżenia wiatr przeskoczył o całe cztery rumby i „Sutherland” przechylił się na burty i kiwnął w przód, a żagle sztormowe zatrzepotały jak wystrzały armatnie, zanim okręt znów zdołał odpaść od wiatru. Po gradzie przyszły potoki deszczu pędzonego niemal poziomo przez szalejący wicher, a nagła zmiana jego kierunku wywołała krótką, silną falę, powodująca, że „Sutherland” miotał się i niezdarnie pogrążał się dziobem. Hornblower spojrzął na „Plutona”, który omal nie złapał wiatru z przodu; ale Elliott manewrował dobrze i okręt zdołał odpaść na czas od wiatru. Hornblower pomyślał, że woli jednak dowodzić starym „Sutherlandem” o płaskim dnie niż tym niezdarnym trójpokładowcem, mimo jego dziewięćdziesięciu ośmiu dział, trzydziestu dwu armatek i wyższego żołdu przysługującego jego dowódcy.

Wiatr znowu uderzył z wyciem, prawie zdzierając mu z grzbietu płaszczy nieprzemakalny. „Sutherland” usiłujący płynąć z przechyłem na burtę przy takiej wichurze był jak krowa chcąca tańczyć walca. Bush krzyczał coś do niego. Hornblower uchwycił słowa „talie sterowe” i skinął

potakująco głową, a Bush pospieszył pod pokład. Czterech ludzi przy kole sterowym, wspomaganych przez potężny moment obrotowy bębna steru, powinno dać sobie z nim radę mimo szaleńczego zachowania się „Sutherlanda”, lecz naprężenie, jakiemu zostaną poddane linowe ciągi rumpla, będzie olbrzymie i dlatego dobrze było postawić na wszelki wypadek sześciu czy ośmiu marynarzy przy amortyzujących taliach sterowych w mesie artyleryjskiej, by ulżyć wysiłkowi ludzi przy kole sterowym i zmniejszyć naprężenie ciągów rumpla. Trzeba będzie postawić podoficera na kratownicy najbliższej steru, żeby przekazywał głośno rozkazy ludziom przy taliach amortyzujących — wszystko to wymagało wysokich kwalifikacji i na myśl o tym Hornblower błogosławił swoją decyzję porwania marynarzy ze statków konwoju wschodnioindyjskiego.

Od strony nawietrznej widnokrąg skrywała perliska mgielka rzadkiej piękności, lecz na zawietrznej powietrze było bardziej przejrzyste i tam aż hen, ku niebu, sięgała błękitna zapała gór Hiszpanii. Tam też leżała zatoka Rosas — marne schronienie przy tym sztormowym wietrze południowo-wschodnim, a w każdym razie niedostępne dla okrętów brytyjskich z powodu ustawionych tam armat francuskich; Rosas było fortecą, której oblężenie i zdobycie przez Francuzów dało Cochrane'owi okazję do wyróżnienia się rok temu. Najbardziej na północ wysuniętym krańcem zatoki Rosas był przylądek Creus — „Sutherland” zdobył „Amelie” w czasie, gdy usiłowała opłynąć go po nawietrznej. Za przylądkiem wybrzeże odsuwało się na południowy zachód, zostawiając dosyć przestrzeni morskiej do sztormowania, gdyż te letnie sztormy na Morzu Śródziemnym, chociaż bardzo gwałtowne, nigdy nie trwają długo.

— Okręt flagowy sygnalizuje, sir — zawołał kadet służbowy. — Numer 35, „postawić wszystkie żagle odpowiednio do pogody”.

Na „Plutonie” podniosły się sztaksle sztormowe i podwójnie zrefowane marsie; widocznie admirał uznał, że przylądek Creus jest niebezpiecznie blisko i chciał odejść nieco dalej na wiatr na wypadek zagrożenia. To był rozsądny krok; Hornblower wydał rozkazy niezbędne do skierowania „Sutherlanda” na ten sam kurs, chociaż było to wszystko, co ludzie u steru i amortyzujących tali sterowych mogli zrobić, aby uchronić okręt od pójścia ostrzej na wiatr. Załogi dział zajęte były zabezpieczaniem armat podwójnymi linami, aby kołysanie nie spowodowało wyrwania się żadnej z nich ze swej pozycji, a inna grupa trudziła się już przy dwóch pompach łańcuchowych. Praca kadłuba okrętu nie powodowała jeszcze wprawdzie nabierania większej ilości wody, lecz Hornblower zawsze wolał mieć żęzy możliwie próżne na wypadek, gdyby pompowanie stało się pilną koniecznością. „Caligula” był już daleko po nawietrznej — Bolton wyzyskiwał maksymalnie dzielność morską swego okrętu i bardzo mądrze trzymał się możliwie z dala od niebezpiecznych miejsc, ale „Sutherland” i „Pluto” były też dosyć bezpieczne, oczywiście jeśli się wykluczy awarię. Utrata drzewca, wyrwanie się armaty z uchwytu mocujących lin, nagły, szybko rosnący przeciek — i już sytuacja mogła ulec dramatycznej zmianie; lecz w tej chwili nic takiego im nie groziło.

Po niebie przetaczał się huk tak nieustanny, że Hornblower przestał go już słyszeć. Snopy światła błyskawic, rozdzierających czarne chmury, dawały piękny, olśniewający widok. Tak gwałtowny sztorm nie mógł trwać długo; równowaga sama się szybko przywracała. Lecz przelecać jeszcze na pewno krótkie ulewy, a tu, w tym płytkim zakątku Morza Śródziemnego wiatr zdążył już porządnie rozhuścić morze; masy wody przelewały się przez pokład główny za każdym przechyłem „Sutherlanda”. Rześkie powietrze, orzeźwiający strumień deszczu, nawet bryzgi cieszyły po

dusznym upale poprzednich kilku dni. Wiatr wyjący w takielunku wygrywał melodie, które nawet niewrażliwe ucho Hornblowera potrafiło pochwycić. Zdziwił się, że tyle już czasu upłynęło, kiedy Polwheal przyszedł oznajmić, że obiad gotowy — cóż to mógł być za obiad przy wygaszonym ogniu w kambuzie.

Gdy wrócił na pokład, wiatr wyraźnie się zmniejszył, a po nawietrznej można było dojrzeć skrawki czystego nieba o zielonobłękitnej, wpadającej w stalową barwie, a i deszcz też ustał, chociaż morze było bardziej wzburzone niż przedtem.

— Wydmuchał się dosyć szybko, sir — zauważył Bush.

— Tak — odparł Hornblower, ale w duchu wątpił w to. Stalowe niebo nie miało tej błękitnej barwy zwiastującej powrót spokojnej pogody, a nie pamiętał, aby któryś sztorm śródziemnomorski ucichł bez jednego przynajmniej nawrotu. Wciąż martwił go też przyładek Creus widniejący na horyzoncie po zawietrznej. Potoczył wokoło uważnym spojrzeniem, zatrzymując wzrok na „Plutonie” po zawietrznej, za zasłoną z rozbryzgującej się wody, i na „Caliguli”, daleko po nawietrznej, którego płótna były tylko chwilami widoczne nad szarym, wzburzonym morzem.

I wtedy nadleciał — wyjący szkwał przechylił „Sutherlanda”, a potem obrócił go z zadziwiającą szybkością. Hornblower przywarł do nawietrznych want stermasztu i stamtąd wykrzykiwał rozkazy. Szkwał był wściekły; przez moment wydawało się, że „Sutherland” nigdy już się nie wyprostuje, to znów, gdy wiatr wziął go od dziobu, że pójdzie na dno rufą naprzód. Wicher wył i gwizdał wokół nich silniej niż przedtem. Dopiero po długiej walce zdołano ustawić okręt do wiatru i położyć go w dryf; zmiana kierunku wichury sprawiła, że fale stały się bardziej spiętrzone i nieregularne, a okręt podskakiwał jak szalony i nurzał się dziobem w falach, tak że nawet ci, którzy całe życie spędzili na morzu, z trudem utrzymywali się na nogach. Ale nie poszło ani jedno drzewce i nie pękła żadna lina — wyraźny dowód dobrej roboty stoczni w Plymouth i żeglarskich umiejętności Busha i Harrisona.

Bush krzychał coś teraz, wskazując w stronę rufy, i Hornblower poszedł wzrokiem za jego gestem. „Pluto” zniknął i przez moment wyglądało na to, że zatonął z całą załogą. Potem załamująca się fala ukazała go leżącego na burcie; zwały szarej wody przelewały się przez jego wynurzone dno, reje sterczały ku niebu z żaglami i olinowaniem, które wydawało się czarne na tle białej piany po zawietrznej okrętu.

— Jezu Chryste! — zawołał Bush. — Ci biedacy zginęli!

— Postawić z powrotem grotstenskaksel! — krzyknął Hornblower.

„Pluto” jeszcze nie zatonął; część załogi mogła przeżyć i być może zdoła dotrzeć na rozszalałym morzu do momentu, aż schwycą koniec liny rzuconej z pokładu „Sutherlanda”, a wtedy jest nadzieja na ich uratowanie; należało spróbować, mimo że była tylko jedna szansa na sto, iż ocalał choć jeden z tysiąca ludzi na pokładzie. Hornblower skierował wolno „Sutherlanda” w stronę „Plutona”. Okręt trzymał się jeszcze, choć fale przewalały się przez niego niby przez skałę zalewaną przypiływem. Oczyma wyobraźni Hornblower widział, jak pokłady stają dęba, a woda niszczy i zmiata wszystko po drodze. Na burcie nawietrznej działa wiszą na linach mocujących;

jeszcze jedno poruszenie, a spadną z pokładów, przedziurawiając przeciwległe burty i powodując błyskawiczne zatopienie okrętu. W ciemnościach ludzie pełzają na czworakach pod pokładami; a w dole na pokładzie głównym ci, których nie zmyło, trwają, przywarci do desek poszycia jak muchy do szyby okiennej, zalewani bijącymi w kadłub falami.

Zniżywszy lunetę zobaczył plamkę na odsłoniętej, podniesionej burcie „Plutona”, plamkę, która się poruszała i która przetrwała załamaniem się fali nad nią. Było też widać inne punkciki, a także krótkie błyski w regularnych odstępach czasu. Jakiś zuch zebrał widać grupę ludzi i zabrał się do odrąbywania nawietrznych want grotmasztu, a kiedy „Sutherland” podszedł bliżej, Hornblower zobaczył, jak puszczają te wanty, a za nimi wanty fokmasztu. „Pluto” zachwiał się i zakołysał, a potem wynurzył się jak wieloryb. Woda spadała kaskadami przez odpływniki, i gdy się przechylił w stronę „Sutherlanda”, jego stermaszt też został zwalony na przeciwną stronę. Uwolniony od przygniatającego ciężaru masztów potrafił się podnieść — dyscyplina marynarki wojennej i odwaga ludzka dały mu dalszą szansę przetrwania w ciągu tych kilku decydujących sekund, podczas gdy leżał przechylony. Hornblower widział, że ludzie pracują dalej zawzięcie, waląc wściekle siekierami w nie odcięte wanty, aby uwolnić okręt od szczątków wleczonych za burtą.

Lecz stan jego był okropny. Poszły maszty odłamane na kilka stóp nad pokładem; zniknął nawet bukszpryt. A bez ich równoważącego ciężaru sam kadłub zataczał się nieprzytomnie, to dźwigając się jedną burtą pionowo w górę, tak że widać było miedziane blachy dna, to opadając na drugą burtę i w ciągu zaledwie kilku sekund przechylając się o kąt znacznie większy od kąta prostego. Cud, że leżąc na burcie nie obracał się dokoła swej osi jak drewniany kręgiel. Wewnątrz okrętu musiały się dziać dantejskie sceny, jak ze snu obłąkańca, lecz okręt jeszcze trwał i unosił się na wodzie, z jakimś resztkami żywej załogi na pokładach. Niebem przewalił się ostatni grzmot. Na zachodzie, od zawietrznej, pojawiła się luka w chmurach, przez którą próbowało się przebić hiszpańskie słońce. Sztorm przeszedł w silną wichurę. To był ostatni już huraganowy zryw tej nawałnicy, która wyrządziła tyle szkód.

A jednak ten zryw trwał dłużej, niż Hornblower przypuszczał. Nagle spostrzegł przyładek Creus widoczny blisko na tle widnokręgu; wiatr dał niemal prosto w tamtą stronę. Za godzinę, najwyżej dwie, pozbawiony masztów kadłub może znaleźć się na mieliźnie u stóp przyładka, gdzie czyha niechybne zniszczenie — tym pewniejsze, że tam, na przyładku Creus czekają armaty francuskie, gotowe ostrzelać bezbronny cel.

— Panie Vincent — rzeki Hornblower. — Proszę nadać sygnał. „»Sutherland« do okrętu flagowego. Idę na pomoc”.

Bush, słysząc to, aż podskoczył. Na tym kipiącym morzu, z brzegiem po zawietrznej, „Sutherland” będzie miał wiele trudności z udzieleniem pomocy pozbawionemu masztów dwakroć większemu kadłubowi, Hornblower zwrócił się do niego:

— Panie Bush, wypuścić linę kotwiczną przez furtę na rufie. I to jak najprędzej, jeśli łaska. Zamierzam odholować okręt flagowy.

Bush mógł tylko spojrzeć z wymówką — zbyt dobrze znał swego kapitana, by sprzeciwić mu się otwarcie. Lecz każdy widział, że podjęcie tej próby narażało „Sutherland” na niebezpieczeństwo,

i to chyba nadaremnie. Plan będzie na pewno niewykonalny już od samego początku z powodu trudności podania liny na „Plutona”, który miota się bezwolnie jak oszalały w bruzdach fal. Niemniej jednak Bush oddalił się, zanim Hornblower zdążył zareagować na to, co wyczytał z jego twarzy. Przy wietrze pchającym ich wciąż ku lądowi każda sekunda była cenna.

Ze swym płaskim dnem i całym osprzętem wystawionym na wiatr „Sutherland” dryfował na zawietrzną znacznie szybciej niż „Pluto”. Hornblower musiał prowadzić okręt z niesłychaną ostrożnością, to przebijając się ostro na wiatr, by położyć się w dryf, to pozwalając mu odpaść znów do tyłu; została już tylko niewielka luka. Wichura wciąż dęła silnie i najmniejszy błąd w prowadzeniu okrętu, najdrobniejsza komplikacja z żaglami czy uszkodzenie drzewca oznaczało niebezpieczeństwo. Mimo chłodnego wichru i nieustannego deszczu ludzie na stanowiskach manewrowych „Sutherlanda” wnet zaczęli się mocno pocić od nieprzerwanego wysiłku, jakiego żądał od nich kapitan, w miarę jak kazał brasować dookoła na pracę żagli to wstecz, to w przód, czy szedł ostro na wiatr i robił zwrot przez sztag, czatując ze swym okrętem w pobliżu pozbawionego masztów „Plutona” niby mewa krążąca nad szczątkami wraka. A przyłodek Creus był coraz bliżej. Spod pokładu dobiegały ciężkie stąpania, głuche odgłosy uderzeń i wleczenia; to grupa Busha z olbrzymim trudem przeciągała ciężką dwudziestocalową linę na rufę przez dolny pokład działowy.

Tymczasem Hornblower mierzył odległość wzrokiem i z ogromnym niepokojem oceniał kierunek wiatru. Nie mógł się spodziewać, że zdoła odholować „Plutona” daleko w morze — „Sutherland” ledwie sam był w stanie iść bejdewindem — zamierzał jedynie odholować go odrobinę w bok, by dać mu chwilę oddechu na bezpieczniejszym obszarze morza za przyłódkiem. Zawsze warto odwlec moment katastrofy. Wiatr może ucichnąć — i tak się prawdopodobnie stanie — lub zmienić kierunek, a mając czas, załoga „Plutona” zdoła być może ustawić maszty awaryjne i choć trochę zapanować nad swym okrętem. Przyłodek Creus mieli prawie dokładnie po stronie zachodniej, a wiatr był wschodni, leciutko skręcający na północ. W tej sytuacji najlepiej byłoby odciągnąć „Plutona” na południe, gdyż wówczas będzie większa szansa na omińnięcie przyłódki po nawietrznej. Lecz na południe od przyłódki Creus leży zatoka Rosas, od strony południowej zamknięta przyłódkiem Bagur, i taki kurs może ich znieść pod obstrzał dział z Rosas i wystawić na pastwę stacjonujących przypuszczalnie w tym miasteczku kanonierek, co może skończyć się katastrofalnie. Kurs na północ nie byłby tak niebezpieczny, działa w Llanzy jeszcze nie mogły być na nowo zamontowane, a w każdym razie było tam dwadzieścia mil wolnych wód, od końca przyłódki do Llanzy. Kierunek północny jest bezpieczniejszy — jeśli tylko uda im się obejść przyłodek po nawietrznej. Wyobraźnia Hornblowera pracowała z wysiłkiem usiłując przewidzieć na podstawie zupełnie niewystarczających danych spodziewaną prędkość dryfu i odległość, na jaką „Sutherland” zdoła odholować pozbawiony masztów trójpokładowiec w przeznaczonym na to czasie. Wobec braku dokładnych wskazań we wszystkim musiał się spuścić na wycucie. Zdecydował wybrać kurs na północ, gdy młody marynarz przybiegł bez tchu na pokład rufowy.

— Pan Bush mówi, że lina będzie gotowa za pięć minut, sir — powiedział.

— W porządku — odparł Hornblower. — Panie Vincent, proszę sygnalizować do okrętu flagowego: „Przygotujcie się do przyjęcia rzutki”. Panie Morkell, niech pan sprowadzi sternika mojej łodzi.

Rzutka! Oficerowie na pokładzie rufowym wymienili spojrzenia. „Pluto” nurzał się jak



obląkany i zapadał w bruzdy fal. Przechylał się na burty tak, że ukazywał miedziane blachy dna, by przy następnym przechyle skryć się aż po białe pasy na burcie między furtami działowymi, a do tego wskutek nieregularnej fali to walił się na dziób, to na rufę, jakby pod wpływem nieobliczalnego kaprysu. Podchodzenie do niego było równie niebezpieczne, jak zbliżanie się po rozhuśtanym pokładzie do działa, które urwało się ze stanowiska. Każde zderzenie okrętów przy tym stanie morza mogło z miejsca posłać je oba na dno.

Hornblower ocenił wzrokiem wydatne muskuły stojącego przed nim Browna.

— Brown, wybrałem cię do przerwania linki na okręt flagowy kiedy będziemy go mijać. A może znasz kogoś na pokładzie, kto zrobiłby to lepiej? No, szczerze.

— Nie, sir. Żaden tak nie potrafi jak ja. Pogodna pewność siebie Browna działała jak lek wzmacniający.

— Z czego zrobisz rzutkę?

— Uwiążę nagiel, sir, do linki od sondy, za pana pozwoleniem.

Brown był człowiekiem szybkiej decyzji — serce Hornblowera zabiło cieplej dla niego, nie pierwszy zresztą raz.

— A więc przygotuj się. Położę naszą rufę tak blisko dziobu okrętu flagowego, jak pozwolą na to względy bezpieczeństwa.

W momencie gdy „Sutherland” szedł z trudem pod kliwrem sztormowym i zrefowanymi podwójnie marsłami dwieście jardów po nawietrznej „Plutona”, umysł Hornblowera, jak licząca maszyna, oceniał błyskawicznie względny znos „Sutherlanda” w stronę „Plutona”, pijane zataczane i nurzanie się okrętu flagowego, posuwanie się „Sutherlanda” ku przodowi, napór fal na okręt i wbijanie się okrętu dziobem w falę oraz wpływ fali bocznej. Ze wzrokiem utkwionym w „Plutona” odczekał dwie długie minuty, aż nadszedł właściwy moment i pozycje okrętów względem siebie stały się dokładnie takie, jak chciał.

— Panie Gerard — rzekł Hornblower — a był zbyt przejęty, by mógł odczuwać lęk. —  
Brasować grotmars na pracę wstecz!

„Sutherland” z miejsca przyhamował. Odstęp między obu okrętami zaczął się zwięzać, w miarę jak „Sutherland” dryfował ku „Plutonowi” — po skrawku rozszalałej szarej wody z brodatymi falami. Na szczęście „Pluto” leżał względnie spokojnie w bruzdzie fal, nie myszkując, i tylko pochylał się w przód lub w tył, gdy uderzała w niego jakaś niespodziewana fala. Brown stał jak posąg na relingu rufowym, wspaniale utrzymując równowagę. Zwinięta rutka leżała przy nim na pokładzie, przymocowana do nagłą, którym poruszał niedbale jak wahadłem samym ruchem dłoni. Był wspaniały, gdy tak stał na tle nieba, bez śladu zdenerwowania, obserwując malejącą odległość. Hornblower poczuł cień zazdrości na widok wspaniałej budowy ciała Browna i jego niezachwianej pewności siebie. „Sutherland” szybko zbliżał się do „Plutona” — przy zalewanym falami boku Hornblower zobaczył grupę ludzi czekających w napięciu, aby pochwycić rzutkę. Obejrzał się chcąc

sprawdzić, czy pomocnicy Browna mają w pogotowiu mocniejszą linę, by przywiązać ją do rzutki.

— Na Boga, uda się! — rzekł Gerard do Crystala.

Gerard mylił się, przy obecnych szybkościach dryfowania oba okręty minęłyby się co najmniej o dziesięć jardów za daleko, i Brown nie mógłby dorzucić nagłą z przywiązaną do niego liną.

— Panie Gerard — powiedział z lodowatym spokojem Hornblower. — Brasować sternars na pracę wstecz!

Ludzie czekający w pogotowiu przy brasach wykonali rozkaz niemal w tej samej chwili, gdy został wydany. Teraz „Sutherland” ruszył wolniutko wstecz i odstęp dalej się zwiężał. Wydawało się, że sterczący w górę dziób „Plutona” podniósł się wysoko na fali i znalazł się prosto nad nimi. Zafascynowani tym widokiem Gerard i Crystal klęli cicho zgodnym chórem, nie zdając sobie zupełnie sprawy z tego, co mówią. Hornblower poczuł zimny podmuch wiatru na plecach. Chciał już krzyknąć, żeby Brown rzucał, lecz powstrzymał się. Brown wiedział lepiej, co potrafi. I gdy rufa „Sutherlanda” znów wzbijała się w górę, rzucił. Nagiel pofrunął, z linką powiewającą za nim na wietrze. Dosięgnął galionu na dziobie „Plutona” i zaczepił się o resztki takielunku wystającego z bukszprytu, a marynarz w strzępach odzienia, siedzący okrakiem na drzewcu, wyciągnął rękę i pochwycił go. W następnej chwili fala załamała się prosto nad nim, lecz on trzymał dalej, a potem zobaczyli, że podał koniec linki grupie czekającej na baku.

— Udało się! — wrzasnął dziko Gerard. — Udało się! Udało się!

— Panie Gerard — rzekł Hornblower. — Brasować sternars ostro na wiatr.

Rzutka na pokładzie odwijiała się szybko, w miarę jak „Pluto” ciągnął ją ku sobie; wkrótce grubsza lina szła już ku pozbawionemu masztów okrętowi. Nie mogli jednak długo czekać; w tej wichurze przy różnych szybkościach dryfowania Hornblower nie był w stanie utrzymać obu okrętów w niezmiennym odległości od siebie — było to i niemożliwe, i niebezpieczne. „Sutherland” dryfując posuwał się ku zawietrznej szybciej niż „Pluto”, trudno mu natomiast było iść na wiatr, i Hornblower mając oba te aspekty na względzie musiał manipulować tak, aby odległość między okrętami wzrastała w możliwie jak najmniejszych granicach — piękny problem algebraiczny w szeregu zbieżnym, który Hornblower musiał przekształcić w mózgu na zagadnienie arytmetyczne i rozwiązać.

Nagle „Pluto” zupełnie bez powodu zdecydował się ruszyć szybciej ku „Sutherlandowi” i Hornblower złapał się na tym, że analizuje na nowo swoje obliczenia w chwili, gdy wszyscy inni ze wstrzymanym oddechem oczekują na zderzenie. Obok Gerarda stały grupy ludzi z drzewcami, aby odepchnąć „Plutona” — chociaż niewiele mogli zdziałać przeciwko tej masie trzech tysięcy ton, ze starym, wypełnionym hamakami żaglem jako odbijaczem. Na baku „Plutona” też czyniono gorączkowe przygotowania, lecz w ostatniej chwili, przy akompaniamencie przekleństw, kadłub bez masztów wykręcił i wszyscy znów odetchnęli, z wyjątkiem Hornblowera. Skoro „Pluto” potrafi tak nagle zbliżyć się do „Sutherlanda”, to także podobnie nagle może się odsunąć i jeśli zdarzy się to w trakcie wciągania dwudziestotrzycalowego holu, linka pęknie na pewno i trzeba będzie wszystko powtarzać od początku — a przylądek Creus był już bardzo blisko.

— „Caligula” sygnalizuje, sir — rzekł Vincent. — „Jak mogę pomóc”?

— Odpowiedz: „Czekać” — rzucił Hornblower przez ramię; właściwie zapomniał o istnieniu „Caliguli”. Bolton byłby durniem, gdyby podpłynął bez potrzeby ku wrogiemu brzegowi po zawietrznej.

Potężny plusk od rufy oznajmił, że na dole Bush popuszcza hol przez furtę na rufie, aby zapewnić zwis na wypadek odsunięcia się „Plutona”, lecz mógł z tym przesadzić — jest to lina konopna, która tonie w wodzie i zbyt wypuszczona mogłaby zerwać linkę, za pomocą której ją wyciągano. Hornblower przechylił się przez kołyszącą się pionowo rufę.

— Panie Bush! — krzyknął.

— Sir! — odezwał się głos Busha z dołu przez otwartą furtę.

— Dosyć luzowania!

— Tak jest, sir.

Teraz linka zaczynała się napręzać i hol niby jakaś dżdżownica morska pełznął wolno w stronę „Plutona”. Hornblower patrzył, jak się prostuje — ta część zadania wymagała równie dokładnych obliczeń, jak poprzednia. Wołał na Busha, żeby popuszczał dalej hol, lub czekał, nie odrywając przy tym oczu od okrętów i morza i nie przestając obserwować wiatru. Hol miał długość dwustu jardów, lecz z tego pięćdziesiąt przechodziło przez „Sutherlanda” — zadanie trzeba ukończyć, zanim okręty znajdą się w odległości stu pięćdziesięciu jardów od siebie. Hornblower poczuł nieco ulgi, dopiero gdy zobaczył, że koniec holu wynurza się łukiem z wody, w górę ku dziobowi „Plutona”, a znaki dawane flagami sygnałowymi oznajmiły, że koniec został tam pochwycony i zamocowany.

Hornblower patrzył na zbliżający się ląd, czuł wiatr na policzkach. Jego obliczenia okazały się prawidłowe i gdy będą iść dalej tym halsem, zniesie ich do zatoki Rosas, nawet jeśli ominą cypel.

— Panie Vincent — powiedział. — Sygnał na flagowiec: „Przygotowuję się do zwrotu przez sztag, na przeciwny hals”.

Gerard nie mógł ukryć zdziwienia. Wydawało mu się, że ten manewr narazi niepotrzebnie oba okręty na kłopot i niebezpieczeństwo — nie umiał widzieć dalej niż po przyładek Creus i dostrzegał tylko przyjazne morze i niebezpieczny ląd. Wiedziony instynktem żeglarza pragnął, aby mając przestrzeń morską po zawietrznej mogli wreszcie zapanować nad ruchami obu okrętów i nie potrafił spojrzeć szerzej na sytuację. Widział ląd, czuł wiatr i jego reakcja na te czynniki była instynktowna.

— Panie Gerard — przemówił Hornblower. — Proszę iść do steru. Gdy hol się napręży...

Gerardowi nie trzeba było więcej mówić. Ciągnąc za rufą trzy tysiące ton „Sutherland” będzie się zachowywał inaczej niż wszystkie okręty, jakie zdarzyło się prowadzić sternikom, i trzeba będzie podejmować nadzwyczajne i nieprzewidziane kroki, aby nie dawać mu się zbliżyć do wiatru. Hol już się napinał. Zwisająca część wolno wznosiła się z wody i prostowała jak pręt, woda ściekała z

niego fontannami, a głośne skrzywienie na dole oznajmiało, że pachołki odczuwały już naprężenie. Potem hol zluźnił się nieco, skrzywienie przycichło i „Sutherland” ruszył „Plutona” z miejsca. Po każdym przebytym jardzie, po przeciągnięciu o dalszy odcinek „Pluto” coraz mniej dryfował na zawietrzną. Gdy zdoła już zareagować na ster, napięcie sterników na „Sutherlandzie” zelżeje.

Bush znów pojawił się na pokładzie rufowym; jego zadanie na dole zostało wykonane.

— Panie Bush, proszę zająć się manewrami, gdy będziemy wykonywali zwrot przez sztag.

— Tak jest, sir — odpowiedział Bush. Spojrzał na ład i sprawdził, skąd wieje wiatr, a myśli jego poszły dokładnie tym samym torem co Gerarda, lecz dotychczas Bushowi nigdy się nawet nie przyśniło, aby zwątpić w zdanie kapitana w sprawach związanych ze sztuką żeglarską. Doszło do tego, że skoro kapitan uważał coś za słuszne, wierzył, iż tak być musi i nie ma potrzeby zastanawiać się nad tym.

— Obsadzić brasy! Gdy dam sygnał, musi to być zrobione w tempie błyskawicy.

— Tak jest, sir.

„Pluto” nabierał szybkości i każdy jard dalszego posuwania się w kierunku południowym będzie czystą stratą, kiedy zwrócą się z powrotem na północ.

— Brasować sternars na pracę wstecz — rozkazał Hornblower.

„Sutherland” wytracił prędkość i „Pluto” zaczął się zbliżać ku niemu. Hornblower zobaczył nawet, że kapitan Elliott biegnie na dziób, by ujrzeć na własne oczy, co się dzieje. Nie domyślał się, jakie są zamierzenia Hornblowera.

— Panie Vincent, miejcie sygnał „Zwrot przez sztag” przywiązany i gotowy do podniesienia.

„Pluto” był teraz bardzo blisko.

— Panie Bush, przebrasować Stermarsel.

„Sutherland” znów nabrał szybkości — zwis holu pozwalał na utrzymanie takiej odległości między okrętami, przy której można było popłynąć prędzej i obrócić się przez sztag, zanim hol naprężając się zdąży w tym przeszkodzić. Hornblower popatrzył na hol i ocenił szybkość posuwania się okrętu.

— Teraz, panie Bush! Sygnał, panie Vincent!

Przełożono ster na nawietrzną, Przebrasowano reje, a Rayner na dziobie pilnował kliwra. Okręt obrócił się, płótna załopotwały głośno, kiedy zbliżył się do wiatru; odczytawszy sygnał ludzie na pokładzie „Plutona” pojęli, że i oni powinni przełożyć ster i mając już szybkość sterowną zaczęli też wolniutko robić zwrot przez sztag, dając Hornblowerowi nieco więcej miejsca do manewrowania. „Sutherland” przeszedł teraz na przeciwny hals i nabierał szybkości, lecz „Pluto” był dopiero w połowie zwrotu. Za moment nastąpi straszliwe szarpnięcie. Hornblower patrzył na

wynurzający się z wody coraz mocniej napięty hol.

— Uwaga, panie Gerard!

Nastąpiło szarpnięcie i „Sutherland” zadrżał. Hol silnie ciągnący go za rufę wyczyniał z nim najprzedziwniejsze rzeczy — Hornblower słyszał, jak Gerard miota rozkazy do sterników przy kole i na dół, przez kratownicę, do ludzi przy taliach amortyzujących. Przez jedną przerażającą sekundę wydawało się, że okręt zostanie pchnięty wstecz i straci zdolność do manewrowania, lecz Gerard przy kole, Bush przy brasach, a Rayner na dziobie walczyli o niego kłami i pazurami. Dygocąc, okręt znów odpadł od wiatru, a za nim „Pluto”, zakończywszy wykonywanie zwrotu przez sztag. Oba były wreszcie na przeciwnym halsie i szły na północ ku względnemu bezpieczeństwu Zatoki Lwiej.

Hornblower popatrzył na zielony szczyt przylądka Creus znajdującego się już teraz niedaleko, nieco w przód od lewego trawersu. Będą przechodzić bardzo blisko, gdyż oprócz tego że „Sutherland” miał z natury skłonność do dryfowania, bezwładny „Pluto” ciągnął go na zawietrzną, a to zmniejszało szybkość, z jaką mógł podążać ku bezpiecznej strefie. Będą przechodzić naprawdę bardzo blisko przylądka. Hornblower stał na wyjąłym wietrze, a jego niestrudzony umysł znowu pochłonęło obliczanie dryfu i odległości. Obejrzał się na „Plutona”, który teraz — gdy już poruszał się po wodzie — nie kołysał się tak bardzo. Lina holownicza utrzymywała się pod kątem w stosunku do osi symetrii „Sutherlanda”, a „Pluto” z kolei był pod kątem do liny holowniczej. Mógł polegać na Elliotcie, że wyzyska on możliwie najekonomiczniej swój ster. Powinien spróbować wydusić trochę większą szybkość z „Sutherlanda”, lecz przy sztormowym wietrze stawianie dalszych żagli było niebezpieczne. Gdyby któryś pękł albo jakieś drzewce złamało się, znaleźliby się w mgnieniu oka na brzegu.

Znów spojrzał na ląd, aby ocenić zmniejszenie się odległości, i gdy tak patrzył, z morza o kabel podniosło się ostrzeżenie, na podobieństwo zjawy. Był to słup wysokości sześciu stóp, który wystrzelił z czoła fali i znikł równie szybko i tajemniczo, jak się pojawił. Już Hornblower zwątpiłby, czy go widział naprawdę, lecz rzut oka na twarze Crystala i Busha, sztucznie nieporuszone, upewnił go, że tak. To pocisk armatni upadł tam w wodę, wywołując ten bryzg, chociaż przy silnym wietrze nikt ani nie słyszał wystrzału, ani nie dostrzegł dymu z lądu. Bateria na przylądku Creus strzelała do nich, a oni byli niemal w jej zasięgu. Wkrótce koło uszu zaczęła mu przelatywać kule z czterdziestodwufuntówek.

— Okręt flagowy sygnalizuje, sir — odezwał się Vincent.

Załodze na pokładzie „Plutona” udało się przyczepić blok do wierzchołka kikuta fokmasztu i wywiesić sygnał; z pokładu rufowego „Sutherlanda” widać było dokładnie trzepocące flagi.

— „Flagowy do »Sutherlanda« — czytał Vincent. — Puście... hol;., w razie konieczności”.

— Odpowiedzieć „Przedkładam nie ma potrzeby”.

Muszą płynąć szybciej, co do tego nie ma wątpliwości. Było to interesujące zagadnienie z zakresu teorii prawdopodobieństwa, lecz raczej dla hazardzisty niż dla gracza w wista. Postawienie większej liczby żagli zwiększało zagrożenie obu okrętów, ale jednocześnie dawało im większą

szansę dotarcia do bezpiecznego miejsca. Nawet jeśli wskutek wciągnięcia tych żagli straci drzewce, będzie jeszcze miał możliwość wyprowadzić „Sutherlanda” z niebezpieczeństwa, a „Pluto” nie znajdzie się w gorszym położeniu, niż gdyby haniebnie go teraz porzucił.

— Panie Bush, niech odrefują fokmarsel.

— Tak jest, sir — odrzekł Bush. Przewidział tę konieczność i odgadł, że kapitan wybierze śmielsze wyjście — szybko uczył się, nawet przy swoich latach, ten Bush.

Marynarze wbiegli na wanty fokmasztu i na marsreję; stali na chwiejących się pertach[26] i wśród wściekle wyjącej wichury, trzymając się rei łokciami, mocowali się z reflinkami. Żagiel rozwinął się z głośnym łopotem i „Sutherland” ostro się przechylił pod zwiększonym naciskiem. Hornblower zauważył, że płaskie już niemal zakrzywienie zwisu holu za rufą spłaszczyło się jeszcze bardziej, lecz nie wyglądało na to, że lina może pęknąć od naprężenia. Okazało się, że ludzie u steru mimo zwiększonego przechyłu okrętu mają teraz łatwiejsze zadanie, gdyż siła nacisku wielkiego fokmarsla, działająca ku przodowi, równoważyła w pewnym stopniu będącą wypadkową z trzech zmiennych siłę, z jaką hol pociągał „Sutherlanda” do tyłu.

Spojrząwszy na ląd zdążył zauważyć kłęb dymu nad szczytem przylądka Creus, zdmuchnięty błyskawicznie przez wichurę, tak że śladu z niego nie zostało. Nie miał absolutnie pojęcia, gdzie padły pociski, gdyż ani ich nie zobaczył, ani nie usłyszał; morze było zbyt wzburzone, by można było tak łatwo dojrzeć na nim bryzgi. Lecz fakt, że bateria strzela, oznaczał, iż muszą być blisko jej zasięgu — krążyli teraz na samym skraju przepaści. Niemniej jednak „Sutherland” płynął coraz szybciej, a obejrząwszy się na rufę Hornblower zobaczył posuwające się naprzód przygotowania na pokładzie „Plutona” do ustawienia awaryjnego grotmasztu. Każdy strzępek żagla, jaki uda się postawić na „Plutonie”, ułatwi zadanie „Sutherlanda”. W godzinę mogą się z tym uporać. A za godzinę nadejdzie ciemność i osłoni ich przed ogniem baterii; za godzinę więc los ich będzie rozstrzygnięty w tę lub w tamtą stronę. Wszystko zależy od tego, co się zdarzy w ciągu tej godziny.

Słońce przebiło się przez chmury na zachodzie, zmieniając barwę wzgórz i gór Hiszpanii z szarej na złotą. Hornblower robił co mógł, by przetrwać jakoś tę godzinę wyczekiwania. W końcu obu okrętów udało się wydostać z groźnej dla nich strefy morza. Po godzinie przeszli po nawietrznej przylądka Creus i odeszli na północ tak daleko, że odległość między nimi a lądem po zawietrznej z półtorej mili wzrosła do piętnastu. Noc zastała ich bezpiecznych, a Hornblowera w stanie ogromnego zmęczenia.

## Rozdział XVII

— Kapitan Hornblower będzie dowodził grupą desantową — zakończył admirał Leighton.

Elliott i Bolton, siedzący przy stole konferencyjnym na „Plutonie”, skinęli głowami wyrażając pełną zgodę. Oddział desantowy w sile sześciuset ludzi, dostarczonych przez trzy liniowce, wymaga niewątpliwie kapitana jako dowódcy, a Hornblower z całą pewnością najlepiej się nadawał do tego celu. Spodziewali się takiego posunięcia od chwili, gdy „Pluto” po naprawie uszkodzeń wrócił z Mahoń i Leighton przeniósł swą flagę z „Caliguli” z powrotem na ten okręt. Odjazdy pułkownika Villeny na brzeg i jego powroty też coś zwiastowały. Przez trzy tygodnie „Caligula” i „Sutherland”

kręciły się w zasięgu wybrzeża Katalonii, a wróciwszy „Pluto” przywiózł entuzjastycznie przyjęte świeże zapasy, załogi przyzowe „Sutherlanda” i po dwunastu nowych ludzi na każdy okręt. Mając załogi o pełnym stanie liczbowym mogli zadać z powodzeniem silny cios, a zdobycie Rosas, gdyby się udało, pokrzyżowałoby niewątpliwie przygotowania francuskie do ujarznienia Katalonii.

— Czy są jakieś uwagi? — zapytał admirał. — Kapitanie Hornblower?

Hornblower potoczył wzrokiem po obszernej kabinie, wysłanych poduszkami skrzyniach, srebrnych nakryciach stołowych. Elliott i Bolton, objedzeni po zakończonym niedawno wystawnym obiedzie, Sylvester z papierem i atramentem przed sobą, Villena w swoim jaskrawożółtym mundurze, gapiący się bezmyślnie przed siebie, gdy wokół toczyła się rozmowa po angielsku, której nie rozumiał. Na ścianie grodziowej naprzeciw Hornblowera wisiał portret Lady Barbary o wręcz zaskakującym podobieństwie — Hornblower miał wrażenie, że w każdej chwili może usłyszeć jej głos. Złapał się na tym, że się zastanawia, co zrobiono z portretem, gdy przygotowywano okręt do boju. Z wysiłkiem oderwał swe myśli od Lady Barbary i spróbował w sposób możliwie najbardziej taktowny dać wyraz swemu brakowi entuzjazmu do tego całego planu.

— Myślę — odezwał się w końcu — że tak całkowita wiara we współpracę z armią hiszpańską może być ryzykowna.

— Mają siedem tysięcy ludzi gotowych do wymarszu — rzekł Leighton. — Z Olot do Rosas jest nie dalej niż trzydzieści mil.

— Ale między tymi miastami leży Gerona.

— Pułkownik Villena zapewnia mnie, że są drogi pozwalające obejść miasto i dostępne dla armii bez artylerii. Jak pan wie, on sam przebył tę podróż czterokrotnie.

— Tak — odrzekł Hornblower. Przejazd pojedynczego jeźdźca drogami górskimi był czymś zupełnie innym niż przejście siedmiu tysięcy ludzi. — Ale czy możemy być pewni, że oni mają te siedem tysięcy ludzi? I że oddziały te na pewno przybędą?

— Dla oblężenia wystarczy cztery tysiące — odpowiedział Leighton. — Mam poza tym wyraźne przyrzeczenie pułkownika Roviry, że wyruszą.

— Mimo to mogą nie przybyć — powiedział Hornblower. Zdawał sobie sprawę z beznadziejności spierania się z człowiekiem, który nie poznał jeszcze zawodności przyrzeczeń hiszpańskich, a nie ma dosyć wyobraźni, by sobie przedstawić trudności zaaranżowania połączonej akcji sił odległych od siebie o trzydzieści mil drogi po górzystym kraju. Między brwiami Leightona pojawiła się ostrzegawcza zmarszczka.

— Co zatem innego sugeruje pan, kapitanie Hornblower? — zapytał, wyraźnie zniecierpliwiony powrotem do tej całej sprawy.

— Sugerowałbym, aby eskadra ograniczyła się do akcji opartych na własnych siłach, bez liczenia na pomoc hiszpańską. Bateria brzegowa w Llanzy została już z powrotem zamontowana.

Czemuż by nie spróbować tam? Sześciuset ludzi powinno wystarczyć, by ją wziąć szturmem.

— Instrukcje, jakie otrzymałem — odrzekł Leighton niechętnie — mówią, że muszę działać w możliwie najściślejszym porozumieniu z wojskami hiszpańskimi. Siła garnizonu w Rosas nie przekracza dwóch tysięcy ludzi, a Rovira ma siedem tysięcy w odległości zaledwie trzydziestu mil. Główne siły siódmego korpusu francuskiego znajdują się na południe od Barcelony — mamy co najmniej tydzień na zrealizowanie jakiejś akcji przeciwko Rosas. Eskadra może dać ciężkie działa, załogę do ich obsługi i ludzi, którzy pójdą na czele kolumny szturmowej, gdy dokonamy już wyłomu. Wydaje mi się, że jest to wyjątkowo odpowiednia okazja do połączonej akcji i zupełnie nie mogę pojąć pańskich obiekcji, kapitanie Hornblower. Ale może teraz nie są już one tak nieodparte?

— Podałem je wyłącznie na pańskie żądanie, sir.

— Nie prosiłem o zastrzeżenia, lecz o uwagi lub konstruktywne sugestie. Oczekiwałem więcej lojalności od pana, kapitanie Hornblower.

To czyniło całą dyskusję bezcelową. Jeśli Leighton chciał tylko służalczej zgody, nie było sensu spierać się dalej. Na pewno w duchu już podjął decyzję i wyglądało, że absolutnie nie ma zamiaru od niej odstąpić. Hornblower wiedział, że jego zastrzeżenia mają charakter bardziej instynktowny niż rozumowy, zresztą kapitan nie bardzo może pokazywać, że ma większe doświadczenie niż admirał.

— Mogę pana zapewnić o mej lojalności, sir.

— Doskonale. Kapitanie Bolton? Kapitanie Elliott? Nie macie uwag? A zatem możemy z miejsca przystąpić do dzieła. Pan Sylvester da panom rozkazy na piśmie. Wierzę, że znajdujemy się w przededniu najgłośniejszego sukcesu, jaki widziało wybrzeże Hiszpanii od czasu rozpoczęcia tej wojny.

Upadek Rosas byłby istotnie sukcesem, który by się odbił głośnym echem — jeśli udałoby się to osiągnąć. Jako miasto mające dobrą łączność z morzem byłoby trudne do odbicia przez Francuzów teraz, gdy na miejscu znajdowała się silna eskadra angielska zdolna go bronić. Stanowiłoby zatem nieustanne zagrożenie dla ruchu francuskich wojsk i transportów oraz bazę, skąd wojska hiszpańskie z dowolnego punktu na półwyspie mogłyby zostać rzucone na brzeg; bazę o takim znaczeniu, że Siódmy Korpus musiałby porzucić plany ujarzmienia Katalonii i skoncentrować wysiłki na próbach odebrania Rosas lub na jego obserwacji. Lecz wiadomość, że w pobliżu nie ma polowych wojsk francuskich, pochodziła od Hiszpanów. I od nich też obietnica, że Rovira przybędzie z Olot w celu rozpoczęcia oblężenia, jak również przyrzeczenie, że będą mieli w pogotowiu zwierzęta pociągowe do wleczenia sprzętu oblężniczego z miejsca desantu.

Wobec zdecydowania Leightona nie pozostawało jednak nic innego, jak całym sercem zabrać się do realizacji przedsięwzięcia. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, osiągną wielki sukces i chociaż Hornblower nigdy dotąd nie słyszał o połączonej akcji wojennej, w której wszystko poszłoby dobrze, mógł mieć przecież nadzieję, że tym razem tak właśnie będzie i w tej nadziei obmyślać sposób wyładowania sprzętu oblężniczego z okrętów na ląd.



W dwie noce później eskadra prześliznąwszy się w ledwie co zapadłych ciemnościach, gdy wzgórze i urwiska zbrocza półwyspu z przylądkiem Creus majaczyły słabo w dali, przybyła, by rzucić kotwice za piaszczystą małą zatoczką obok Selva de Mar, wybraną zgodnie jako najlepsze miejsce do desantu. O cztery mile na zachód, w Llanzy, znajdowała się jedna bateria; pięć mil na wschód, na końcu przylądka Creus — druga, a o sześć mil na południe, u nasady długiego półwyspu, zakończonego przylądkiem Creus, leżało miasto Rosas.

— Powodzenia, sir — rzekł Bush wyłaniając się z ciemności na pokładzie rufowym, gdy Hornblower był już gotów do zejścia do swej łodzi.

— Dziękuję, Bush — odrzekł Hornblower. Ceremonialne „panie” można było czasem opuścić w nieoficjalnych rozmowach tego rodzaju. Lecz fakt, że Bush poszukał w mroku jego dłoni i pochwycił ją swą wielką, stwardniałą ręką, oznaczał, że Bush niezwykle poważnie traktuje zbliżającą się operację.

Łódź poniosła go szybko przez spokojną wodę, odbijającą rój gwiazd; wkrótce szum łagodnych fal, załamujących się na piaszczystej plaży, stał się głośniejszy niż przyciszony szmer towarzyszący wyładowywaniu sprzętu desantowego z okrętów. Z plaży do zbliżającej się łodzi dobiegło ostre zawołanie; przyjemnie było usłyszeć, że wypowiedziano je w języku, hiszpańskim, co uczyniło mniej prawdopodobną obawę, że czeka tam oddział francuski, by przeszkodzić desantowi, a bardziej możliwy fakt, że jest to przyobiecany oddział partyzantów. Hornblower postąpił na brzeg i grupa postaci w płaszczach, ledwie widoczna w świetle gwiazd, ruszyła plażą ku niemu.

— Kapitan angielski? — zapytał ktoś po hiszpańsku.

— Kapitan Horatio Hornblower do usług.

— Jestem pułkownik Juan Claros z trzeciej tercji katalońskich migueletes. Witam pana serdecznie w imieniu pułkownika Roviry.

— Dziękuję. Ilu ludzi ma pan ze sobą?

— Moją tercję. To znaczy tysiąc ludzi.

— Ile zwierząt?

— Pięćdziesiąt koni i sto mułów.

Villena przyrzekł, że cała północna Katalonia zostanie przeczesana w poszukiwaniu zwierząt pociągowych do transportu sprzętu oblężniczego. Stąd do Rosas było cztery mile drogi po ścieżkach górskich i mila płaskiej równiny — potrzeba będzie pięćdziesiąt koni do przeciągnięcia jednej dwu i półtonowej dwudziestoczwierofuntówki po nierównej drodze. Gdyby zwierząt było mniej, Hornblower odmówiłby ruszenia z miejsca, lecz Hiszpanie zapewnili niezbędne minimum.

— Proszę zabrać łódź — rzekł Hornblower do Longleya. — Możecie kontynuować wyładunek.

Potem znów zwrócił się do Clarosa:

— Gdzie pułkownik Rovira?

— Tam, za Castellon, oskrzydła Rosas.

— Jaką siłą dysponuje?

— Ma wszystkich Hiszpanów z północnej Katalonii zdolnych do noszenia broni, kapitanie, poza moją tercją. Co najmniej siedem tysięcy ludzi.

— Hmm.

Wszystko to zgadzało się dokładnie z planem. O świcie armia powinna być pod murami i należało dołączyć do niej możliwie szybko ze sprzętem oblężniczym, by można było zacząć atak, gdy tylko zatrąbią na alarm. Zostało naprawdę bardzo mało czasu na zmuszenie Rosas do poddania, zanim główna armia francuska przybędzie z Barcelony. Hornblower uznał, że skoro Hiszpanie tak dokładnie realizują swoją część programu, to i on musi zrobić wszystko, by wykonać swoją.

— Czy jakiś patrol obserwuje Rosas? — zapytał.

— Szwadron regularnej kawalerii. Zatrąbią na alarm, gdyby z fortecy ruszył wypad.

— Doskonale.

Nie zdoła wprawdzie przeciągnąć armat daleko z plaży przed świtem, ale do tego czasu Rovira zdąży otoczyć Rosas, kawaleria zaś doniesie natychmiast o każdej próbie wypadu. To było dobrze zorganizowane. Hornblower pomyślał, że źle osądził Hiszpanów, może zresztą nieregularne siły katalońskie są lepsze niż regularne oddziały hiszpańskie — co nie było wykluczone.

Równomierny plusk wiosł oznajmił zbliżanie się łodzi eskadry; te, które szły na czele, były już na plaży i ludzie zaczęli wysypywać się z nich gromadnie, wzniesając słabą fosforescencję wody. Białe pasy żołnierzy piechoty morskiej kontrastowały ostro z ich czerwonymi mundurami, które w słabym świetle wyglądały jak czarne.

— Majorze Laird!

— Sir!

— Proszę wziąć oddział na szczyt urwiska. Ustawi pan tam pikiety w miejscach, które uzna pan za najlepsze, ale niech pan pamięta o rozkazach. Nikt nie ma się oddalać poza zasięg słyszenia.

Nie dowierzając hiszpańskim środkiem ostrożności Hornblower chciał mieć przed sobą osłonę w postaci zwartej, zdyscyplinowanej grupy, lecz w panujących ciemnościach i licząc się z tym, że w użyciu będą trzy języki — hiszpański, kataloński i angielski — pragnął zapobiec zamieszaniu lub nieporozumieniu. Było to drobne utrudnienie natury technicznej, którego nie mający doświadczenia admirał nie potrafił ocenić właściwie. W dali osiadały na płyciźnie barkasy z działami. Ludzie ciągnęli już na pozycję prymitywny ponton desantowy, wykonany z drzewc powiązanych w tratwy, które z boków miały pławy z beczek przygotowanych przez Hornblowera. Cavendish, pierwszy porucznik z „Plutona”, wykonywał starannie tę część zadania, nie przeszkadzając Hornblowerowi pytaniem o rozkazy.

— Gdzie konie i muły, pułkowniku?

— Tam, na górze.

— Wkrótce będę ich potrzebował tu, na dole.

Przeniesienie na brzeg reszty materiałów było już tylko sprawą minut, mimo że tysiąc pocisków do dwudziestoczerofuntówek — po sto na działo, porcja na jeden dzień — ważyło przeszło dziesięć ton. Trzystu marynarzy i tyluż żołnierzy piechoty morskiej, pracujących w sposób zdyscyplinowany, właściwy dla marynarki wojennej, potrafiło błyskawicznie wylądować na ląd te dziesięć ton i niezbędną liczbę baryłek z prochem oraz wołowinę i chleb na dzienną porcję dla wszystkich. Najtrudniejsza była sprawa z działami. Z wielkimi ostrożnościami ładowano właśnie na ponton pierwszą z dziesięciu dwudziestoczerofuntówek, bo spuszczenie jej za burtę łodzi po krótkiej rampie z platformy zbudowanej na ławach, gdzie ją ostrożnie umieszczono na czas przewozu z okrętu, było przedsięwzięciem desperackim. Ponton opadł pod ciężarem, tak że powierzchnię jego zalała fala. Dwustu ludzi, po pas w wodzie, ciągnęło za liny przymocowane do działa i brnąc z pluskiem, szukając stopami pewnego gruntu i nie znajdując go w miękkim piasku, holowało powoli tę masę żelaza ku brzegowi.

Jak wszystkie działa widziane kiedykolwiek przez Hornblowera, i to zachowywało się z oślim uporem, inspirowanym chyba przez piekielne moce, obdarzone perwersyjnym poczuciem humoru. Mimo że zgodnie z rozkazem Hornblowera osadzono je na specjalnie dużych wózkach, by łatwiej mogło pokonywać nierówności powierzchni, zaczęło się i utykało raz po raz w trakcie przesuwania go po drzewcach tratwy. W ciemnościach Cavendish i jego ludzie pomagali na nierównościach handszpakami i łomami. A potem działo obracało się i Cavendish wołał do ludzi, żeby przestali ciągnąć, z obawy, że spadnie z pomostu do wody; dopiero gdy je ponownie naprostowano i popchnięto, ludzie mogli znów ciągnąć za liny. Tych dział jest dziesięć, pomyślał Hornblower, i cztery mile ścieżek, w górę i w dół, którymi trzeba je wlec.

Kazał przedłużyć prowizoryczny pomost przez ułożenie dalszych tratw drewnianych aż po miejsce, gdzie piach przechodził w skaliste podłoże stromego wądołu, przecinającego tu urwisko i prowadzącego na szczyt. Konie i muły, trzymane u pysków przez ludzi odzianych w łachmany, widoczne nawet w tych ciemnościach, czekały w wielkim stadzie, lecz oczywiście Hiszpanie, chociaż wiedzieli, że zwierzęta mają ciągnąć armaty, nie przygotowali żadnej uprzęży do tej operacji.

— Słuchajcie, ludzie — powiedział Hornblower odwracając się do czekającej grupy marynarzy. — Jest tu mnóstwo lin. Zaprząćcie te konie do armaty. Znajdzie się też na pewno jakieś płótno, jak dobrze poszukacie.

— Tak jest, sir.

Widok marynarzy zabierających się do dzieła był naprawdę budujący. Przystąpili do roboty ochoczo, wiążąc i mocując. Angielskie słowa, jakimi się przy tym posługiwali, musiały brzmieć dziwnie dla uszu koni hiszpańskich, lecz, o dziwo, wywierały pożądaną efekt. Nawet ci, co przytrzymywali konie, paplając między sobą po katalońsku, tak długo popychali je i ustawiali, aż zaczęły bardziej pomagać, niż przeszkadzać. W ciemności — nieco tylko rozjaśnionej przez tuzin latarni — rżące cicho i pobrzękujące uprzężą zwierzęta zostały ustawione w szereg. Założono im na łby wyścielone brezentem chomąta z lin, których końce przewleczono przez ucha w lawetach armat.

— Stać! — ryknął jeden z marynarzy, gdy liny zaczęły się naprężać. — Ten łachudra przesadził przez linę nogę z prawej burty[27].

Gdy drugie działo dotarło do skraju wody, byli już gotowi do transportowania pierwszego na górę. Strzelały bicze, marynarze pokrzykiwali. Konie zapadały się w piach szukając oparcia dla nóg, lecz działo ruszyło wreszcie z wielkim trzaskiem i skrzypieniem drzewc podłożonych pod koła. Posuwało się naprzód szarpiąc i podrygując, a gdy zaczęli wciągać je po stromym zboczu wądołu, utkwilo w miejscu. Dwadzieścia nie dożywionych i nie wyrosniętych koni hiszpańskich okazało się zbyt mało, by holować armatę pod górę.

— Panie Moore — rzekł Hornblower zirytowanym głosem. — Proszę dopilnować, aby działo znalazło się na szczycie.

— Tak jest, sir.

Stu ludzi ciągnących za liny i dwadzieścia koni wspomaganych od tyłu przez grupę z łomami, która ułatwiała przejście po najgorszych nierównościach i podkładając kamienie pod koła hamowała ich ruch, kiedy ani ludzie, ani konie nie byli w stanie posuwać się naprzód ni sekundy dłużej, dopełniło wreszcie dzieła. Hornblower stanął na szczycie, gdy świt wypełzał z morza, i spojrzawszy na rząd dział i góry pocisków wniesione tu podczas nocy, musiał przyznać w duchu, że wykonano kawał roboty.

Stopniowe nasilanie się jasności pozwoliło mu rozejrzeć się dokoła. W dole leżała złocista plaża, jak kropkami upstrzona sprzętem desantowym, a za nią błękitne morze z okrętami eskadry na kotwicach. Dokoła rozpościerał się skalisty nierówny teren szczytu półwyspu. Z prawej strony skała zapadała się tworząc rozległe płaskowzgórze, lecz na południe, w kierunku Rosas, dokąd będą musieli się posuwać między niskimi zaroślami mącznika, wiodła wąziutka, kręta ścieżka górską, używana pewnie najczęściej przez kozice. Claros, który przystanął obok niego, okazał się szczupłym mężczyzną, opalonym na kolor tytoniu, z długim czarnym wąsem nad wspaniałym garniturem pokazanych w uśmiechu zębów.

— Kapitanie, mam dla pana konia.

— Dziękuję, pułkowniku. To bardzo uprzejmie z pańskiej strony.

Kilka brązowych postaci wspinało się bez entuzjazmu po skałach; w upadkach między niewysokimi grzbiętami gór widać było ciemne skupiska śpiących żołnierzy, którzy zbudzeni światłem dnia zaczęli się podnosić i — dalej otuleni szczelnie kocami — poruszać się bezcelowo w małych, sennych grupkach to tu, to tam. Hornblower patrzył na swoich sprzymierzeńców z dezaprobatą, której nie umniejszał fakt, że właśnie tego się spodziewał, i którą bezsenna noc wzmogła jeszcze bardziej.

— Czy zechce pan być tak uprzejmy — rzekł — i posłać do pułkownika Roviry z zawiadomieniem, że wyruszamy do Rosas i że mam nadzieję dotrzeć tam w południe z kilkoma co najmniej działami?

— Oczywiście, kapitanie.

— Muszę też pana prosić o pomoc pańskich ludzi w transporcie moich armat i zapasów.

Na te słowa na twarzy Clarosa odmalowało się powątpiewanie, które stało się jeszcze wyraźniejsze, gdy usłyszał, że potrzeba będzie czterystu jego ludzi do pomocy przy działach, a każdy z dalszych czterystu będzie musiał dźwigać dwudziestoczerofuntowy pocisk armatni przez całą drogę do Rosas. Hornblower, trochę już zirytowany, przeszedł do porządku nad jego zastrzeżeniami.

— A potem, pułkowniku, będą musieli wrócić tu po resztę. Przyrzeczone mi dostateczną liczbę zwierząt jucznych; skoro nie dostarczył pan czworonożnych, muszę posłużyć się dwunożnymi. A teraz, jeśli pan pozwoli, chciałbym, aby kolumna ruszyła.

Dziesięć koni lub mułów na każde działło i stu ludzi przy linach pociągowych. Stu przodem, do wyrównania ścieżki, usunięcia z drogi kamieni i zasypania dziur. Czterystu do niesienia pocisków armatnich, pewna liczba do prowadzenia mułów jucznych z baryłkami prochu strzelniczego, przewieszonymi przez grzbiety. Claros zaczął patrzeć jeszcze bardziej krzywo, gdy się okazało, że każdy człowiek z jego tercji będzie musiał coś robić, tymczasem dwustu żołnierzy piechoty morskiej, jak Hornblower proponuje, ma pozostać nie obciążonych żadnymi roboczymi zajęciami.

— Tak ma być, pułkowniku. Jeśli się panu nie podoba, proszę szukać sobie hiszpańskiego sprzętu szturmowego.

Hornblower był zdecydowany utrzymać znaczną część swych zdyscyplinowanych żołnierzy w grupie, gotowej na wypadek nagłej potrzeby, a jego zdecydowanie było tak wyraźne, że Claros przestał protestować.

Z miejsca w tyle za nimi, gdzie objuczano muły ładunkiem, dobiegł krzyk. Hornblower pośpieszył tam, z Clarosem depczącym mu po piętach, i zobaczył, że hiszpański oficer grozi Grayowi wydobytą szpadą, a za jego plecami obszarpani partyzanci manipulują przy muszkietach.

— Co to jest? Co się tu dzieje? — krzyknął Hornblower najpierw po angielsku, a potem po hiszpańsku. Wszyscy zwrócili się ku niemu i zaczęli mówić naraz, jak pokłóceni chłopcy na boisku

szkolnym. Oficer zalał go potokiem niezrozumiałych słów katalońskich, odwrócił się więc, by wysłuchać Graya.

— To było tak, sir — rzekł zastępca oficera nawigacyjnego, pokazując zapalone cygaro, które trzymał w ręku. — Ten diego, ich porucznik, sir, on zaczął palić, kiedy myśmy objuczali muły. No to powiadam mu, bardzo grzecznie, sir, „Palenie w magazynie wzbronione, sir”, ale on nic na to, nie rozumiał, czy co. To wtedy ja odzywam się do niego, mówię tak: „No palar, magazyno, senior”, a on wciąż nic, pyka dalej i odwraca się tyłem do mnie. To ja mu zabrałem cygaro, a on wyciągnął szpadę, sir. — Claros w tym samym czasie wysłuchał wyjaśnień swojego oficera i obaj, Claros i Hornblower, stanęli naprzeciwko siebie.

— Pański marynarz obraził mojego oficera, sir — powiedział Claros.

— Pański oficer zachował się jak idiota — odrzekł Hornblower.

Wyglądało, że sytuacja jest bez wyjścia.

— Proszę spojrzeć, sir — odezwał się nagle Gray. Wskazał na jedną z baryłek podskakującą na grzbiecie cierpliwego muła. Była nie domknięta i strumyczek czarnego prochu sypał się z niej na bok muła i na ziemię. Niebezpieczeństwo wybuchu musiało być rzeczą oczywistą nawet dla Katalończyka. Patrząc na to Claros nie zdołał stłumić półśmiechu.

— Mój marynarz działał zbyt pochopnie — rzekł Hornblower. — Ale myślę, że przyzna pan, pułkowniku, iż jest on częściowo usprawiedliwiony. Przeprosi teraz za to, a wówczas może wyda pan surowy zakaz palenia w pobliżu prochu.

— Bardzo dobrze — odrzekł Claros.

Hornblower zwrócił się do Graya:

— Proszę powiedzieć do tego oficera: „Boże, strzeż naszego łaskawego króla, senior”. Ale pokornym tonem.

Gray spojrział zaskoczony.

— Nuże, człowieku — rzekł gniewnie Hornblower. — Rób, co mówię.

— Boże, strzeż naszego łaskawego króla, senior — wyrzekł Gray tonem, który jeśli nie był pokorny, to w każdym razie nienaturalny.

— On pragnie wyrazić swoje najgłębsze ubolewanie z powodu niewłaściwego zachowania się — wyjaśnił Hornblower oficerowi i Claros kiwnął głową z aprobatą, a potem rzucił kilka rozkazów i odszedł. Kryzys minął i niczyje uczucia nie zostały zranione. Marynarze szczerzyli zęby i cieszyli się, podczas gdy Katalończycy spoglądali wyniośle na roześmiane twarze barbarzyńców.

Kapitan Hornblower zatrzymał konia na szczycie ostatniego ze skalistych wzniesień, które już wydawały się nie mieć końca. Z góry paliło sierpniowe słońce, a istna plaga niezliczonych much trapiła i jego, i konia i towarzyszy. Bok w bok z nim jechał Claros, z tyłu Longley i Brown, wiercący się na grzbietach swych kościstych rosynant, oraz trzech hiszpańscy oficerowie sztabowi. Daleko za nimi widniała na ścieżce zbitya masa szkarłatu. Major Laird utworzył oddział straży przedniej ze swoich żołnierzy piechoty morskiej, a purpurowe punkciki rozsiane tu i ówdzie po szarzielonych wzgórzach zdradzały, gdzie rozstawił pikiety dla ochrony przed zaskoczeniem. Jeszcze dalej ku tyłowi widać było długi wąż ludzi, nagich do pasa, zajętych wyrównywaniem ścieżki, aby mogły po niej przejść działa, a za nimi coś w rodzaju zwielokrotnionej gąsienicy z czarną kropką na końcu wskazywało, dokąd dotarła pierwsza armata. W ciągu pięciu godzin przesunięto ją o niewiele ponad trzy mile. Spojrzawszy na słońce Hornblower zorientował się, że ma jeszcze półtorej godziny na dotrzymanie umówionego terminu — w tym czasie trzeba przeciągnąć działo jeszcze milę po skałach i ponad milę po płaskim terenie leżącym u jego stóp. Poczul wyrzuty sumienia na myśl, że może spóźnić się z pierwszym działem i że z całą pewnością nie zdąży otworzyć ognia do murów przed piątą, a nawet szóstą wieczorem.

Tam, w dole, oddalone o milę, lecz pozornie znacznie bliższe w tym przezroczystym powietrzu, leżało Rosas. Hornblower rozpoznawał wszystkie znaki zaznaczone na mapie. Na prawo cytadela — ze swej pozycji na wzniesieniu Hornblower widział ośmiokątny zarys jej szarych wałów fortecznych i błękitne morze za nimi. W środku znajdowało się samo miasteczko, jedna długa ulica biegnąca nad brzegiem, z rzędem okopów chroniących ją od strony lądu. Na lewo, z drugiej flanki, widniała wysoka wieża fortu Trinidad. Środek był niewątpliwie najslabszym punktem, lecz zaatakowanie miasta nie zdałoby się na wiele, gdyż zarówno cytadela, jak i Trinidad mogły się trzymać niezależnie od siebie. Najlepiej chyba będzie złapać byka za rogi i przypuścić atak na cytadelę z miejsca położonego blisko skraju wody. Jeśli cytadela padnie, miasto się nie utrzyma, chociaż Trinidad może przysporzyć dalszych kłopotów.

Hornblower dał się porwać swym myślom. Był tak zatopiony w planach zdobycia Rosas, że nawet nie zdał sobie sprawy ze spokoju panującego w okolicy. Trójkolorowe flagi trzepotały leniwie na masztach cytadeli i Trinidadu i w całym polu widzenia były najbardziej wojowniczym akcentem. Na odsłoniętej równinie nie było śladu oblężniczej armii. Tymczasem to kwestia godzin, zanim garnizon odkryje, jak blisko nich znajduje się cenny sprzęt oblężniczy i jak słabe siły go chronią.

— Gdzież jest armia Katalonii? — zwrócił się Hornblower do Clarosa gniewnym tonem. Ten lekceważąco wzruszył ramionami.

— Nie wiem, kapitanie.

Dla Hornblowera znaczyło to, że jego drogocenny sprzęt i jeszcze bardziej drogocenna grupa desantowa, rozciągnięte na obszarze trzech mil lądu, znalazły się w łatwym zasięgu byle oddziału, jaki spodoba się wysłać gubernatorowi Rosas.

— Wczoraj wieczorem powiedział mi pan, że pułkownik Rovira maszeruje na Rosas!

— Widocznie się spóźnia.

— A posłaniec... ten, którego miał pan wysłać o świcie... czy już wrócił?

Wzniesieniem brwi i ruchem głowy Claros przekazał to pytanie szefowi sztabu.

— On wcale nie pojechał — rzekł oficer.

— Co? — zawołał Hornblower po angielsku. Musiał opanować zamęt w głowie i oszołomienie wywołane tą odpowiedzią, by móc znów przemówić po hiszpańsku. — A dlaczego?

— Byłoby to narażeniem oficera na zbyteczny trud — odrzekł szef sztabu. — Jeśli pułkownik Rovira ma przybyć, to przybędzie. A jak nie może, to żaden nasz posłaniec go tu nie sprowadzi.

Hornblower wskazał na prawo. Rząd około pięćdziesięciu pikiet konnych i kilka grup ludzi siedzących na ziemi zaznaczało w zagłębieniu pośród wzgórz miejsce, gdzie stał szwadron kawalerii obserwujący miasto od wczoraj.

— Czemu ci nie dali znać, że pułkownik Rovira nie przybył? — nalegał dalej.

— Nakazałem dowodzącemu oficerowi, żeby meldował, kiedy pułkownik p r z y b ę d z i e — odpowiedział Claros.

Nie przejawiał śladu oburzenia na widok ledwie maskowanego wyrazu potępienia malującego się na obliczu Anglika. Hornblower trzymał swój gniew na wodzy, próbując zapobiec fiasku przedsięwzięcia.

— Jesteśmy w poważnym niebezpieczeństwie — rzekł.

Claros znów wzruszeniem ramion skwitował jego obawy.

— Moi ludzie są przywykli do gór. Jeśli garnizon ruszy, by nas zaatakować, ujdziemy tamtymi ścieżkami, gdzie chodzą kozice — odrzekł wskazując na urwisty skraj majaczącej w dali mesety[28]. — Nie ośmielą się pójść za nami, a gdyby nawet spróbowali, to nigdy nas nie dogonią.

— A moje działa? Moi ludzie?

— Wojna zawsze niesie ze sobą niebezpieczeństwo — odparł wzniosie Claros.

Odpowiedzią Hornblowera było zwrócenie się do Longleya.

— Pędź natychmiast z powrotem — nakazał chłopcu — i zatrzymaj działa. Zatrzymaj konwój. Zatrzymaj wszystkich, co idą ścieżką. Bez mojego rozkazu nic nie ma się posunąć naprzód nawet o jard.

— Tak jest, sir.

Longley zawrócił konia i odjechał; ten chłopak musiał nauczyć się gdzieś jazdy konno, zanim przyszedł na morze. Claros ze swym sztabem, Hornblower i Brown — wszyscy patrzyli za nim przez



chwile, a potem spojrzeli po sobie. Hiszpanie odgadli, jakie wiózł rozkazy.

— Nie drgnie ani jeden człowiek, ani jedno działo — rzekł Hornblower — dopóki nie zobaczą na tej równinie armii pułkownika Roviry. Czy teraz będzie pan łaskaw posłać gońca do niego?

Claros szarpnął swój długi wąs, a potem rzucił rozkaz sztabowi; nadąsani młodszy oficerowie zaczęli się kłócić między sobą, wreszcie któryś wziął notatkę napisaną przez szefa sztabu i odjechał z nią. Widocznie żadnemu nie było w smak jechać może ze dwadzieścia mil pod palącym słońcem w poszukiwaniu oddziału Roviry.

— Jest już prawie czas na obiad — odezwał się Claros.

— Czy zechce pan, kapitanie, rozkazać, aby moim ludziom wydano przeznaczony dla nich prowiant?

Na te słowa Hornblowerowi zrzędła mina. Sądził, że już nic go nie potrafi zaskoczyć, lecz się mylił. Wyraz opalonej na tytoniowy brąz twarzy Clarosa wskazywał, że według niego jest rzeczą całkiem zrozumiałą, iż tysiąc jego ludzi będzie się żywiło z zapasów z takim trudem wyładowanych na ląd z okrętów eskadry. Hornblower już miał na końcu języka kategoryczną odmowę, lecz powstrzymał się, by sprawę rozważyć. Przyszedł do wniosku, że jeśli ludzie Clarosa nie zostaną nakarmieni, rozpełzną się w poszukiwaniu jedzenia, a przecież jest jeszcze słaba nadzieja, że Rovira nadciągnie i można będzie przystąpić do oblężenia. Właśnie z tego względu należy uczynić ustępstwo i wyzyskać do maksimum te kilka godzin, do chwili, nim ich obecność zostanie zauważona.

— Wydam odpowiednie rozkazy — odparł. I teraz gdy od Anglika, z którym omal się nie pokłócił, uzyskał spełnienie przysługi, oblicze pułkownika zachowało ten sam godny wyraz co przedtem, kiedy tej przysługi żądał.

Już po chwili marynarze i Katalończycy zajadali, aż im się uszy trzęsły. Nawet szwadron kawalerzystów, jak sępy, poczuwszy z oddali zapach pożywienia, przycwałował spieszenie, by przyłączyć się do uczty, zostawiając nie więcej niż pół tuzina nieszczęśliwców do pilnowania Rosas. Claros, który rozsiadł się ze swą grupą sztabowców, był obsługiwany przez ordynansów. Jak należało oczekiwać, po uczcie nastąpiła sjesta — zjadłszy obfity posiłek wszyscy Hiszpanie legli brzuchem do góry w cieniu zarośli i chrapali z właściwą ludzom półwyspu obojętnością na muchy, które z bzykaniem krążyły nad ich otwartymi ustami.

Hornblower nie zjadł nic ani ułożył się do snu. Zsiadł z konia i oddał go Brownowi, a potem chodząc po szczycie pagórka i potykając się na jego nierównościach, z sercem pełnym goryczy, spoglądał w dół, ku Rosas. W swym raporcie do admirała w starannie dobranych słowach wyjaśnił przyczynę zatrzymania się — dobierał słowa dlatego, że nie chciał być zaliczony do grupy oficerów, co to widzą trudności za każdym zakrętem — lecz odpowiedź po prostu go rozwścieczyła. Czy nie jest rzeczą możliwą, zapytywał w niej Leighton, podjąć jakieś działanie przeciwko fortecy z tym półtora tysiącem ludzi, którym Hornblower dysponował? Gdzie jest pułkownik Rovira? Ton tego pytania implikował, jakoby Hornblower był w jakiś sposób winien nieprzybycia Roviry. Kapitan Hornblower musi pamiętać o konieczności najściślejszej i najserdeczniejszej współpracy ze

sprzymierzeńcami Anglii. Eskadra nie będzie prawdopodobnie w stanie żywić ludzi Roviry przez dłuższy okres czasu; Hornblower powinien w sposób taktowny zwrócić uwagę pułkownika Roviry na konieczność sięgnięcia do własnych źródeł zaopatrzenia. Jest rzeczą niezmierniej wagi, by przybycie eskadry brytyjskiej zapisało się poważnym sukcesem; w żadnym razie jednak nie należy podejmować operacji, która mogłaby wystawić oddział desantowy na niebezpieczeństwo. W świetle istniejącej sytuacji list Leightona był absolutnie cczą gadaniną, lecz Sąd Admiralicji, nie znając żadnego z faktów, które się na tę sytuację złożyły, uznałby to pismo za wybitnie rozsądne i sensowne.

— Z przeproszeniem pana, sir — odezwał się nagle Brown. — To zjadacze żab coś się tam ruszają.

Zaskoczony Hornblower spojrział w dół ku Rosas. Z fortecy wypływały trzy węże — trzy długie, wąskie kolumny wojska, wpełzające na równinę z cytadeli, miasteczka i z Trinidad. Chrapliwy krzyk od strony hiszpańskiej pikiety konnej oznajmił, że i tam dojrzano to samo; kawalerzyści opuścili swą pozycję i gnali na łeb na szyję ku rozrzuconym wojskom hiszpańskim. Hornblower patrzył jeszcze przez jakieś dwie minuty; kolumny wylewające się z fortecy wydawały się nie mieć końca. Dwie posuwały się w jego stronę, a ta z cytadeli poszła inną drogą, w prawo od niego, z wyraźnym zamiarem odcięcia Hiszpanom drogi odwrotu w głąb lądu. W słonecznym blasku oko Hornblowera wyłowiło błysk luf muszkietów: kolumny były coraz dłuższe — każda musiała mieć z tysiąc ludzi. Informacja hiszpańska, oceniająca siłę garnizonu na maksimum dwa tysiące, była więc równie błędna jak wszystkie pozostałe.

Ze stukotem kopyt końskich nadjechał Claros i jego sztab, by spojrzeć poprzez równinę na to, co się dzieje. Stał tylko na moment, żeby zorientować się w sytuacji — wszyscy naraz wojskowi u jego boku wskazali na oskrzydłającą ich kolumnę — a potem zawrócił w miejscu i popędził spiąwszy wierzchowca ostrogami. Gdy nawracał konia, jego oczy spotkały się ze wzrokiem Hornblowera; były bez wyrazu, jak zwykle, lecz Hornblower przejrzał jego zamiary. Jeśli porzuci sprzęt oblężniczy i pomaszeruje jak najspieszniej ze swymi ludźmi ku mesecie, może uda im się ująć cało i tak właśnie postanowił uczynić. W tej chwili Hornblower wiedział już, że nie ma co apelować do niego o ubezpieczenie odwrotu desantu, choćby nawet Katalończycy byli na tyle odważni, by prowadzić bój osłonowy przeciwko znacznie przeważającym siłom.

Bezpieczeństwo oddziału desantowego zależy więc wyłącznie od jego własnych poczynań i nie ma ani chwili do stracenia. Hornblower wdrapał się na swego wierzchowca — czoła francuskich oddziałów weszły już daleko na równinę i wkrótce zaczną schodzić po stromym zboczu płaskowyżu — i popędził w ślad za Clarosem. Zbliżywszy się do miejsca, gdzie major Laird uformował już swych żołnierzy piechoty morskiej w linię bojową, zwolnił galop zmęczonego konia, który zaczął posuwać się spokojnym truchtem. Nigdy nie jest dobrze okazywać zbytniego pośpiechu czy niepokoju. Może to źle wpływać na ducha bojowego ludzi.

Ma również do rozstrzygnięcia trudny problem. Najlepszym wyjściem jest oczywiście zostawić wszystko, armaty, zapasy i całą resztę i na łeb na szyję uciekać z ludźmi w stronę okrętu. Życie wykwalifikowanych marynarzy jest zbyt cenne, by nim lekko szafować, i jeśli postąpi tak, jak mu radzi zdrowy rozsądek, wszyscy znajdą się bezpieczni na okręcie, zanim dosięgnie ich kolumna francuska; z realistycznego punktu widzenia kilku marynarzy znaczy więcej niż dziesięć armat

dwudziestoczerofuntowych, a amunicja do nich i wszystkie zapasy wyładowane na ląd. Jednakże w czas wojny realistyczna ocena często schodzi na drugi plan. Ucieczka w popłochu na okręty, porzucenie dział i zapasów wpłynęłoby deprymująco na ludzi; odwrót w walce, nawet gdyby nie obeszło się bez strat, podniesie ich na duchu. Gdy zatrzymał konia obok majora Lairda, był zdecydowany, co ma uczynić.

— Laird, za godzinę władać się nam na kark trzy tysiące Francuzów — rzekł spokojnie. — Będzie pan musiał ich zatrzymać, póki nie przewieziemy zapasów z powrotem na okręt.

Laird skinął głową. Był to wysoki, rudy Szkot, z czerwoną twarzą i wyraźną tendencją do otyłości; trójgraniasty kapelusz miał zsunięty z czoła i co chwila ocierał twarz liliową jedwabną chusteczką, której kolor w świetle słonecznym kłócił się przeraźliwie z czerwonym mundurem i szarfą.

— Tak jest — odrzekł. — Zrobi się.

Hornblower zatrzymał się jeszcze przez sekundę, by spojrzeć na podwójny rząd żołnierzy piechoty morskiej, o swojskich opalonych twarzach, z białymi, założonymi równiutko pasami od czaków. Ich zdyscyplinowany spokój przynosił ulgę i pociechę. Wbił ostrogi w kosmate boki konia i oddalił się truchtem w dół ścieżki. Właśnie na swoim kucyku wracał Longley.

— Longley, jedź na plażę. Powiedz admirałowi, że zachodzi konieczność zaokrętowania z powrotem ludzi i zapasów i poproś, by wszystkie łodzie eskadry były gotowe do zabrania nas z brzegu.

Oddział Hiszpanów gnał już chaotycznie odchodzącą od ścieżki dróżką w stronę masywu stałego lądu. Hiszpański podoficer zbierał resztki swoich ludzi; podoficer brytyjski przyglądał się zaintrygowany, jak od jednego z dział odczepiają konie, by zabrać je ze sobą.

— Stop! — krzyknął Hornblower podjeżdżając w mgnieniu oka i usiłując znaleźć odpowiednie hiszpańskie słowa. — Zatrzymujemy te konie. Hej, Sheldon. Drake, przyprowadźcie je z powrotem. Brown, jedźcie dalej i powiedzcie wszystkim oficerom, że Hiszpanie mogą odejść, ale nie zabiorą ze sobą ani jednego konia, ani muła.

Hiszpanie spojrzeli po sobie ponuro. W kraju, gdzie wojna szalała w każdym zakątku od dwóch już lat, zwierzęta pociągowe i transportowe były na wagę złota. Najuboższy chłop hiszpański w ich szeregach rozumiał to, wiedział, że utrata tych zwierząt będzie dla nich znaczyć pusty żołądek przez co najmniej miesiąc nowej kampanii. Lecz równie zdeterminowani byli marynarze brytyjscy. Chwycili za pistolety i kordy z wyraźnym zamiarem ich użycia, gdyby zaszła potrzeba. Hiszpanie przypomnieli sobie o kolumnie francuskiej, maszerującej, by odciąć im odwrót. Zostawili wszystkie konie na ścieżce i oddalili się z posępnymi minami, a Hornblower, ukłuciem ostróg pobudziwszy swego znużonego rumaka do dalszej jazdy, posuwał się ścieżką, każąc wszystkie armaty i materiały, które wciągnięto aż tutaj tak ogromnym wysiłkiem, zawracać w stronę morza. Dotarł do końca stromeego wąwozu i nawróciwszy konia ruszył w dół, ku plaży. Tego cichego popołudnia morze było błękitne i gładkie jak emalia: w dali eskadra stała spokojnie na kotwicach, pod nim, w dole, rozciągał się złocisty piach plaży, a po szklistej powierzchni wody łodzie eskadry sunęły niby

ogromne żuki. Wokół grały ogłuszająco koniki polne. Znajdująca się na plaży część oddziału desantowego zabrała się już do ładowania z powrotem na łodzie stosów beczek z wołowiną i worków z sucharami. Tę część zadania mógł bez obawy zostawić Cavendishowi, toteż znów zawrócił i pojechał w górę wąwozu. Pojawiła się tam już grupa marynarzy z pierwszym zaprzęgiem mułów. Rozkazał przyprowadzić je po armaty natychmiast po zdjęciu przywiezionego ładunku i pojechał dalej.

Najbliższe działo było o pół kilometra od wąwozu, ludzie i konie wlekli je ścieżką — na tym półmilowym odcinku, poczynając od szczytu urwiska, zbocze opadało ostro ku ładowi. Marynarze pozdrowili go okrzykiem, a on pokiwał im ręką, starając się siedzieć na koniu tak, jakby był znakomitym jeźdźcem; pocieszała go myśl, że Brown w tyle za nim trzyma się znacznie gorzej i że porównanie wypada na jego korzyść.

Odgłos dalekiej strzelaniny, brzmiący nienaturalnie w nagrzanym powietrzu, powiedział mu, że tylna straż Lairda przystąpiła do boju.

Pośpieszył ścieżką w stronę, skąd dochodziły strzały, z Brownem i Longleyem tuż za sobą, mijając dalsze grupy ściągające działa ze stromych zboczy wzgórza. W pewnym miejscu, przy ścieżce leżał długi rząd kul armatnich, porzuconych przez niosących je Hiszpanów, gdy usłyszeli alarm. Te przypadną — nie ma najmniejszej szansy zabrania ich z powrotem na okręt. Nieoczekiwanie przybył na teren walki. Tutaj skalisty grunt sfałdowany był w mnóstwo drobnych wzniesień i zagłębień porośłych gęstym poszyciem, wśród którego poprzez ogień muszkietów wciąż dawał się słyszeć głośny śpiew pasikoników. Laird rozciągnął swych ludzi w długą tyralierę wzdłuż szczytu jednego z głównych grzbietów; gdy Hornblower zbliżył się do niego, stał na odłamie skalnym, zwrócony w kierunku ścieżki, trzymając dalej w jednej ręce chusteczkę koloru bzu, a w drugiej szpadę, muszkiety zaś były po całej długości grzbietu, z obu jego stron. Wyglądał jak ktoś świetnie się bawiący i spojrzął na Hornblowera z irytacją właściwą człowiekowi, któremu przeszkadzono w komponowaniu dzieła sztuki.

— Wszystko w porządku? — spytał Hornblower.

— Tak — odrzekł Laird, a potem dodał niechętnie: — Niech pan tu przyjdzie i sam zobaczy.

Hornblower zsiadł z konia, wdrapał się na skałę i stanął przy majorze, starając się utrzymać równowagę na śliskim wierzchołku.

— Proszę spojrzeć — zaczął Laird uczenie, wymawiając wibrująco „r” — na tym terenie uformowane oddziały mogą trzymać się ścieżek. Ponadto żołnierze, którzy odbijają od grupy, szybko tracą poczucie kierunku, a ciernista roślinność wspaniale hamuje swobodę poruszania się.

Hornblower spojrzął w dół, na morze zieleni — gęstwę makii[29], niemal nie do przebycia, porastającą skaliste zbocza wzgórz Hiszpanii śródziemnomorskiej — poprzez którą czerwone uniformy żołnierzy piechoty morskiej, po ramiona w zaroślach, ledwo było widać. Kłębuszki białego dymu unoszące się tu i ówdzie nad nimi wskazywały, gdzie właśnie strzelano. Na przeciwległym zboczu góry dostrzec można było także białe dymki i ruch w zaroślach. Hornblower rozróżniał jasne twarze i niebieskie mundury, a czasem nawet białe bryczesy w miejscach, gdzie

Francuzi przedostawali się z trudem przez cierniste krzaki. Znacznie dalej w tyle zobaczył część kolumny czekającej na odcinku ścieżki. Dwie czy trzy kule z muszkietów przeleciały ze świstem blisko jego głowy.

— Jesteśmy tu zupełnie bezpieczni — przemówił Laird — chyba że wróg oskrzydli nas z flanki. Jeśli spojrzysz tam w prawo, zauważysz francuski regiment posuwający się ścieżką niemal równoległą do naszej. Kiedy dojdą do tamtego drzewa cierniowego, my się cofniemy i zajmujemy nową pozycję, a oni będą musieli robić to samo od nowa. Na szczęście ta ścieżka to faktycznie wąska dróżka dla owiec prowadząca w niewiadomym kierunku. Tak że mogą wcale nie dojść do tego drzewa.

Idąc spojrzeniem za wskazującym palcem Lairda Hornblower ujrzał długą linię francuskich czako unoszących się nad makią: jej pętle i zawijasy wskazywały, że, zgodnie z tym co mówił Laird, ścieżka jest w istocie tylko drożyną, którą chadzają owce. Kula znowu bzyknęła koło nich.

— Poziom Francuzów w strzelaniu z muszkietów — przemówił Laird — jest teraz niższy niż w Maida, gdzie miałem zaszczyt służyć jako oficer w sztabie Sir Johna Stuarta. Te chwaty strzelają już do mnie pół godziny i ani razu nie trafiły, nie mają nawet najmniejszej szansy, żeby trafić. Ale kiedy stoimy tu we dwóch, to możliwość trafienia się podwaja. Proponowałbym panu, sir, zejść stąd i skupić uwagę na przyspieszeniu odwrotu grupy desantowej.

Popatrzyli ostro na siebie. Hornblower dobrze wiedział, że dowództwo straży tylnej należało do obowiązków Lairda i że nie powinien interweniować, póki wykonuje je w sposób właściwy. Wstrzymał się z zejściem jedynie w obawie, by nie pomyślano, że się boi. Gdy tak stał, poczuł silne uderzenie w swój trójgraniasty kapelusz, który aż obrócił się na głowie i zsunął się z niej; instynktownie zdołał go pochwycić, nim spadł na ziemię.

— Ta zachodząca z flanki kolumna — ciągnął Laird spokojnie — dochodzi już do drzewa cierniowego. Muszę poprosić pana oficjalnie, sir — zaakcentował mocno głoskę „o” — aby pan odjechał, póki nie rozpoczniemy odwrotu. Wycofywać się musimy z pośpiechem.

— Bardzo dobrze, majorze — odrzekł Hornblower, wbrew samemu sobie szczerząc w uśmiechu zęby, i ześliznął się ze skały z całą godnością, na jaką go było stać. Wsiadł na konia i pojechał truchtem w dół ścieżki; z uczuciem dumy obejrzał swój kapelusz; kula trafiła w złotą pętlę z przodu i przeszła o dwa cale od głowy, a on nie poczuł strachu. Ściągnął lejce konia w miejscu, gdzie ścieżka przecinała wierzchołek następnego grzbietu górskiego; strzelanina z muszkietów w tyle za nim stała się nagle gęstsza. Począł do chwili, aż ścieżką nadbiegł oddział piechoty morskiej, z kapitanem Morrisem na czele. Skręcając na boki i zanurzając się w zarośla po obu stronach dróżki w poszukiwaniu korzystnych punktów, gdzie ich ogień będzie chronić odwrot kolegów, nie mieli nawet czasu zwrócić na niego uwagi. Rozległa się gwałtowna salwa z muszkietów i na ścieżkę wpadło z Lairdem na czele pół tuzina ludzi pod wodzą młodego porucznika, ubezpieczających tyły; w biegu odwracali się i odpędzali strzałami następującego im na pięty nieprzyjaciela.

Mając pewność, że straż tylna jest pod dobrym dowództwem, Hornblower mógł podążyć ku miejscu, gdzie ostatnie działo utkwilo u podnóża zbocza. Znużone konie, poganiane przez marynarzy,

wierzgając i ślizgając się po skalistej powierzchni usiłowały je wciągnąć, ale teraz zamiast pięćdziesięciu Hiszpanów, którzy pomagali przy wleczeniu tej sztuki z plaży, było tylko pół tuzina ludzi z załogi. Przesuwali z trudem armatę po zboczu pomagając sobie drągami żelaznymi; ich nagie żebra — większość zrzuciła z siebie koszule — lśniły od potu. Hornblower z wysiłkiem szukał w myśli odpowiednich słów.

— Ciągnijcie, chłopaki. Boney[30] nie ma tak dobrych machin. Nie dajcie, żeby diegowie zrobili mu prezent na urodziny.

Teraz już widać było kolumnę Hiszpanów, spełzającą jak długa gąsienica ze stromych zboczy mesety. A zatem udało im się umknąć. Patrząc za nimi Hornblower poczuł nagle, że nienawidzi i ich, i rasy, jaką reprezentują. Byli dumną nacją, ale nigdy na tyle, by gardzić względami innych, obcokrajowców nienawidzili prawie tak samo jak siebie nawzajem, ignoranci, fatalnie rządzeni i nieumiejętnie korzystający z bogactw, jakimi natura obdarzyła ich kraj; Hiszpania była łatwym łupem dla każdego silniejszego narodu. Francja próbowała ją podbić i nie udało się jej tylko z powodu zawiści ze strony Anglii. Kiedyś w przyszłości kraj zostanie rozdarty na strzępy w walce liberałów z konserwatystami i w jakimś momencie tej walki europejskie mocarstwa dogadają się na tyle, by zagarnąć jego okruchy. Wojna domowa i agresja z zewnątrz, trwające przez wieki, będą przypuszczalnie stanowić przyszłość Hiszpanii, chyba że sami Hiszpanie zrobią u siebie porządek.

Z pewnym wysiłkiem oderwał myśli od nieistotnych w tej chwili rozważań na temat tego, co będzie, żeby pomyśleć o drobnych problemach czekających na rozwiązanie — odsyłanie wracających zaprzęgów mułów do pomocy w holowaniu armat, przydzielanie słabnących ludzi tak, aby załatwić się jak najszybciej z pozostałą jeszcze masą materiałów; trzask ognia z muszkietów dobiegający z tyłu mówił mu, że żołnierze odnoszą rany i giną, usiłując ratować te materiały przed nieprzyjacielem. Zdecydowanie odrzucił ogarniające go wątpliwości, czy próba ta jest warta swej ceny, i spiąwszy wyczerpanego konia do ostatniego zrywu ruszył ścieżką przed siebie.

Połowa dział znalazła się wreszcie na plaży — ze stromego wąwozu łatwo dały się stoczyć na piach — a pozostałe podciągnano szybko do czoła wąwozu. Brzeg został już oczyszczony ze wszystkich wyładowanych przedtem zapasów, a pierwszą armatę wleczono po zaimprovizowanym pomoście, aby ją przewieźć na okręt. Cavendish, dowodzący działami na plaży, podszedł do Hornblowera.

— Co zrobić z końmi i mułami, sir?

Załadowanie stu pięćdziesięciu zwierząt byłoby rzeczą nie mniej trudną niż załadowanie dział, w dodatku na pokładzie sprawiałoby tylko kłopot. Oczywiście nie wolno dopuścić, aby wpadły w ręce Francuzów; w obecnym czasie w Hiszpanii są one najcenniejszym rodzajem zdobyczy. Najrozsądniej byłoby poderżnąć bydlętom gardła tu na plaży. Lecz gdyby udało się je zabrać i przetrzymać na okręcie przez parę dni, można by je później wysadzić z powrotem na ląd i zwrócić Hiszpanom. Zaslachtowanie tych nieszczęsnych stworzeń miałoby równie zły wpływ moralny na ludzi jak utrata armat. Na pokładzie można by je karmić kruszonymi sucharami — ich wygląd mówi, że byłaby to lepsza pasza niż ta, jaką dostawały ostatnio — a problem słodkiej wody też da się jakoś rozwiązać. W tyle Laird wciąż toczył pomyślnie bój osłonowy, a słońce szybko zapadało za mesetą.

— Proszę odesłać je na okręt — powiedział w końcu Hornblower.

— Tak jest, sir — rzekł Cavendish nie pozwalając najlżejszym wyrazem twarzy zdradzić, iż w jego przekonaniu muły będzie znacznie trudniej zapędzić do małych łodzi i włądować na okręt niż działa.

Praca szła dalej. Jedna z armat ze złościwością rzeczy martwych spadła z wózka w czasie przeciągania jej przez wąwóz, lecz ludzie nie dopuścili, aby ten wypadek spowodował dłuższą zwłokę. Długimi żelaznymi zepchnęli tę potężną masę żelaza po zboczach na plażę i tocząc jak baryłkę włądowali na pomost, a stamtąd na czekający przy nim barkas. Na okrętach są urządzenia, które mimo wielkiego ciężaru armaty pozwolą na szybkie jej ustawienie na dawnej pozycji. Hornblower kazał podprowadzić swego konia do skraju wody i zapędzić do łodzi, a sam poszedł szczytem urwiska, by stanąć w jakimś wyższym miejscu, skąd mógłby mieć widok zarówno na plażę, jak i na czoło wąwozu, gdzie Laird zajmie swe ostatnie stanowisko.

— Biegnij do majora Lairda — rzekł do Browna — i powiedz, że już wszystko jest na plaży.

Dziesięć minut później wypadki potoczyły się jak z kopyta. Brown musiał widocznie spotkać żołnierzy piechoty morskiej na ostatnim odcinku drogi odwrotu, gdyż czerwone mundury zaczęły się wylewać na ścieżkę, obejmując pozycje wzdłuż grzbietu wzniesienia, niemal do miejsca, gdzie stał Hornblower. Francuzi następowali im mocno na pięty; Hornblower widział, jak ich uniformy poruszają się wśród zarośli, a strzelanina z muszkietów rozbrzmiewała na całej linii.

— Uwaga, sir! — zawołał nagle Longley. Silnym uderzeniem w plecy zepchnął Hornblowera z płaskiej skały, na której stał przed chwilą. Dźwigając się na nogi Hornblower usłyszał nad swą głową świst przelatujących kul i w tym samym momencie grupa pięćdziesięciu, a może więcej, piechurów francuskich wypadła z krzaków pędząc w ich stronę. Byli między Hornblowerem a najbliższymi żołnierzami piechoty morskiej; jedyna droga ucieczki wiodła w dół po zboczach urwiska, i Hornblower miał zaledwie sekundę czasu, by się na nią zdecydować.

— Tędy, sir! — zapiszczał Longley. — Na dół!

Jak małpa skoczył na wąski występ poniżej i przywoływał kapitana gwałtownym wymachiwaniem rąk. Dwaj piechurzy w niebieskich mundurach już dopadali Hornblowera, mierząc w niego bagnetami; jeden krzyczał coś niezrozumiale. Hornblower odwrócił się i skoczył za Longleyem, stopy jego trafiły na występ o kilkanaście stóp niżej. Stał niepewnie mając pod sobą ścianę wysoką na sto stóp i spadającą pionowo w dół. Longley przytrzymał go za ramię i wychyliwszy się na zewnątrz oglądał zejście dokładnie, z niesamowitym spokojem.

— To najlepsza droga, sir. Widzi pan ten krzak? Jeśli dostaniemy się do niego, to powinniśmy przejść tamtędy, przez ten mały żlebik, co łączy się z tym dużym wąwozem. Czy mam iść pierwszy, sir?

— Tak — odrzekł Hornblower.

Muskiet puknął mu nad głową i Hornblower poczuł pęd kuli — przechyleni przez szczyt

urwiska Francuzi strzelali do nich. Longley zebrał się w sobie i dał szaleńczego susa na zbocze, ześliznął się w tumanie kurzu i odłamków skalnych i uchwycił gęstego krzewu, który pokazywał przedtem Hornblowerowi. Odsunawszy się ostrożnie na bok gestem przynaglił swego kapitana. Hornblower już miał skoczyć, lecz cofnął się. Jeszcze jedna kula — akurat trafiła w występ tuż u jego stóp. Hornblower rzucił się w dół z krawędzi występu, twarzą do skały. Ześlizgując się czuł, jak kamienie rozszarpują mu odzież. Wpadł z rozpędem na krzak i uczeplił się go kurczowo, szukając stopami oparcia.

— Teraz tędy, sir. Proszę złapać się rękami za ten kamień. Nogę postawić w szczelinę, sir. Nie, nie tą, sir. Drugą!

Z podniecenia głos Longleya przeszedł w pisk podobny do pisku nietoperza, gdy tak posuwał się po stromej skale, pouczając jednocześnie swego kapitana, gdzie ma opierać ręce i nogi. Hornblower przywarł do lica skały jak mucha do szyby okiennej. Czuł ból w nogach i rękach — dwie noce i cały dzień bez odpoczynku wysały z niego całą moc. Kula pacnęła w skałę między nim a kadetem, i odłupany kamień uderzył go silnie w kolano. Spojrzał i w głowie mu się zakręciło na widok przepaści pod nimi. Był tak wyczerpany, iż z radością rozluźniłby uchwyt i poleciał w dół, w ramiona czekającej go tam śmierci.

— Dalej, sir! — zachęcał Longley. — Już niedużo zostało, sir. Niech pan nie patrzy w dół!

Przywołał się do przytomności. Szukając na zmianę oparcia dla nóg i chwytając się na przemian to jedną ręką, to drugą posuwał się cal po calu zgodnie z instrukcjami Longleya.

— Jeszcze minuta — zawołał Longley. — Trzyma się pan, sir? Proszę czekać, wyjrzę, co tam widać.

Hornblower zawisł na zbolałych rękach i nogach. Twarzą przywarł do skały, ogłupiały ze zmęczenia i strachu. Wnet jednak usłyszał znów Longleya obok siebie.

— Wszystko w porządku, sir. Jeszcze tylko jeden paskudny kawałek. Niech pan oprze nogi o ten występ. Tam gdzie jest trochę trawy.

Musieli przejść przez wystające wybrzuszenie na stromej skale; była jedna straszna sekunda, gdy Hornblower stracił oparcie pod stopami i mając nimi w powietrzu musiał przesunąć się na samych dłoniach.

— Tu już nas nie zobaczą, sir. Może pan troszkę odpocząć, jeśli pan chce — powiedział Longley stroskanym głosem.

Hornblower przytulił twarz do płytkiego wgłębienia w skale, przez moment nieświadom niczego poza tym, że ustało napięcie. Potem nagle wróciła pamięć wszystkiego — jego godności, pracy wykonywanej na plaży, walki na szczycie. Usiadł i spojrzał w dół; mając pod sobą solidny blok skalny, potrafił jakoś znieść ten widok. Na plaży nie było już armat i w zapadającej ciemności wieczora stało tam tylko kilka zwierząt, czekających, aby je zagnano do łodzi. Wydawało mu się, że i strzelanina na górze ucichła od pewnej chwili; albo Francuzi przestali wierzyć, że coś osiągną,



albo zbierali się do ostatniego wysiłku.

— Idziemy — rzekł szorstko Hornblower.

Dalsza część zejścia była łatwa; przez cały czas ześlizgiwali się lub posuwali na czworakach, aż pod stopami poczuli znajomy piasek. Momentalnie pojawił się Brown z zatroskaną twarzą, która rozjaśniła się, gdy ujrzał swego kapitana. Cavendish stojąc na brzegu nadzorował załadunek ostatniego kutra.

— Bardzo dobrze, panie Cavendish. Teraz mogą iść marynarze. Czy uzbrojone łodzie gotowe?

— Tak, sir.

Było już niemal ciemno i niebo dawało tylko słaby poblask, gdy żołnierze piechoty morskiej zaczęli wylewać się z wężowozu na piasek. Ostatnie strzały w tym długim odwrocie oddane zostały przez armatki czterofuntowe zamontowane na barkasach, które czekały z dziobami zarytymi już w piachu, aż reszta żołnierzy rzuciła się z chlupotem do wody biegnąc w ich stronę. Długie czerwone języki ognia oświetliły ciemny tłum Francuzów, którzy wyroili się na plażę, a wystrzelony w ich stronę strumień kartaczany skwitowany został miłym dla ucha chórem jęków i krzyków ofiar.

— Bardzo elegancka operacja, naprawdę — odezwał się major Laird ze swego siedzenia obok Hornblowera na rufie barkasa.

Omdlewający ze zmęczenia Hornblower był skłonny zgodzić się z nim, chociaż drżał cały od chłodu ciągnącego od nasiąkłych wodą bryczesów, dłonie piekły go od ran i zadrapań, inne zaś części ciała bolały jak po pierwszej jeździe konnej albo jakby je trzymano nad rozżarzonym ogniem. Płynęli przez ciche morze ku okrętowi, z którego dobiegało niecodzienne tam rzenie koni i już cuchnącego jak stajnia.

Kulejąc Hornblower wdrapał się na pokład; zobaczył zdziwiony wzrok trzymającego latarnię pomocnika bosmana na widok jego podartego ubrania i poblądłej twarzy. Jak ślepiec szedł wzdłuż ciemnego szeregu koni i mułów, przymocowanych za łby i pęciny do pierścieni w pokładzie, ku bezpiecznemu zaciszu swej kabiny. Powinien zdać raport admirałowi — ale może na pewno odwlec to do świtu. Miał wrażenie, że pokład pod nim rytmicznie unosi się i opada. Polwheal już czekał i jedzenie stało na oświetlonym świecami stole, lecz Hornblower nie pamiętał potem w ogóle, czy coś jadł. Słabo przypominał sobie, jak Polwheal pomagał mu się położyć, za to dokładnie i wyraźnie pamiętał, że przez zamknięte drzwi kabiny słyszał go kłócącego się ze strażą.

— Macie wiedzieć, że to wcale nie było przez Horny'ego — mówił pouczająco.

Sen spłynął na Hornblowera, sen mocny, mimo że poprzez sen czuł nękający go ból, a w świadomości trwała pamięć niebezpiecznych chwil, jakie przeżył tego dnia, i strach dręczący go na tamtym stromym zboczu urwiska.

## Rozdział XIX

„Sutherland” przebijał się przez wzburzone wody Zatoki Lwiej, pod szarym niebem, okolony

zawsząd pocętkowanymi pianą grzbietami fal, a jego dowódca, stojąc na wznoszącym się i opadającym pokładzie poddawał z rozkoszą twarz chłodnym powiewom mistralu. Minęło już trzy tygodnie od koszmarnych przygód na łodzi hiszpańskiej, a czternaście dni temu okręt pozbył się koni i mułów; stajenny zapach wywietrzył niemal zupełnie i pokłady znów lśniły czystością. Co ważniejsza, „Sutherland” został wysłany z samodzielnym zadaniem kontrolowania francuskiej linii brzegowej aż po Tulon; Hornblower, wyzwolony spod krępującej władzy admirała, wdychał ostre powietrze, radując się nim jak człowiek wypuszczony z niewoli. Mążonek Barbary nie był człowiekiem, pod którym przyjemnie było służyć.

Wydawało się, że całemu okrętowi udzieliło się jego poczucie swobody, a może po prostu była to radość z kontrastu między obecną pogodą a ciszą na niebie i wodzie, która panowała tak długo. Oto zbliżał się Bush, zacierając ręce i szczerząc zęby jak chimera.

— Trochę dmucha sir — odezwał się — a niezadługo zacnie wiać jeszcze mocniej.

— Bardzo możliwe — odrzekł Hornblower.

Pogodnie odwzajemnił uśmiech, czując że ogarnia go doskonały nastrój. Fantastyczna rzecz, jak bardzo ożywczo działa takie przebijanie się na wiatr, szczególnie gdy najbliższy admirał oddalony jest o setki mil. W południowej Francji ten sam wichur wywołuje pewnie narzekania i skargi, a Francuzi chodzą ciasno opatuleni w płaszcze, lecz na morzu jest on wprost rozkoszny.

— Panie Bush, niech pan da ludziom coś do roboty według swego uznania — powiedział Hornblower wielkodusznie, gdyż wróciła mu rozwaga i wolał uniknąć wpadnięcia w kuszące sidła błahej konwersacji.

— Tak jest, sir.

Na rufę wszedł młody Longley z klepsydrą, by asystować przy codziennym wyrzucaniu logu, i Hornblower zaczął obserwować go kątem oka. Chłopiec zachowywał się teraz z dużą pewnością siebie i wydawanie rozkazów przychodziło mu bez trudu. Był jedynym wśród kadetów, którego obliczenia przebiegów dobowych mogły pretendować do dokładności, a jego zachowanie się na tamtej ścianie skalnej świadczyło, że potrafi zdobyć się na szybką decyzję. Hornblower postanowił pod koniec tej wyprawy, przy odpowiedniej sposobności, mianować go pełniącym obowiązki porucznika; patrzył, jak chłopiec schyla się nad tabliczką kursową zapisując odległość przebytą w ciągu ostatniej godziny, i przez głowę przebiegła mu dziwna myśl, że może obserwuje przyszłego Nelsona albo admirała, który pewnego dnia dowodzić będzie czterdziestoma okrętami liniowymi.

Był to brzydki chłopak, z małpią twarzą i sztywnymi jak szczecina włosami, ale trudno go było nie lubić. Gdyby małeńki Horatio, którego ospa zabrała z ich mieszkania w Southsea po trzech dniach choroby, wyrósł na takiego zucha, Hornblower byłby dumny z niego. Może i wyrósłby... — ale niedobrze jest w tak świeży poranek zagłębiać się we wspomnienia o chłopczyku, którego kochał. Gdy wróci do domu, będą już znowu mieli dziecko. Hornblower żywił nadzieję, że może to będzie chłopiec; i był niemal pewien, że Maria pragnie tego samego. Nie dlatego, że chłopczyk ten mógłby zająć miejsce Horatia — Hornblower poczuł świeży przyływ przygnębienia, przypomniawszy sobie, jak tamtego wieczora, atakowany pierwszymi objawami choroby, Horatio

wolał „Tatus! Chcę tatusia!” i wtulał twarzyczkę w jego ramię. Otrząsnął się z ponurego nastroju; gdy wróci do Anglii, dzieciak będzie już chyba raczkował po podłodze z całym niezdarkim zapalem dziecięcym. Może nawet będzie trochę mówił i zwiesi z onieśmieleniem swą główkę przed nowo przybyłym nie znanym tatusiem, tak więc Hornblower będzie musiał zdobywać jego zaufanie i miłość. Będzie to przyjemne zadanie.

Maria zamierzała prosić Lady Barbarę na matkę chrzestną — byłoby wspaniale, gdyby Lady Barbara się zgodziła. Dziecko wspierane wpływami rodziny Wellesleyów mogłoby spokojnie patrzeć w przyszłość. Niewątpliwie właśnie wpływy tej rodziny dały Leightonowi dowództwo eskadry, którą tak źle kieruje. A teraz Hornblower był już pewien, że wpływom Wellesleyów zawdzięcza oddanie mu pod komendę jednego z okrętów w tej eskadrze, dzięki czemu nawet przez jeden dzień nie musiał pozostawać na połowie pensji. Nie miał jeszcze pewności co do tego, jakie motywy kierowały Lady Barbarą, lecz w tak wspaniałym poranku gotów był zaryzykować myśl, że uczyniła to, bo go kocha; wolałby dużo bardziej, aby to było przyczyną niż podziw dla jego zawodowych umiejętności. A może to tylko łaskawa życzliwość okazana dla rozrywki stojącemu niżej osobnikowi, o którym wiedziała, że jest w niej zakochany.

Ta myśl wywołała w nim bunt. Raz, gdyby chciał, byłaby jego. Całował ją i trzymał w objęciach. Nie ważne, że się obawiał ją wziąć — wzburzony zbagatelizował teraz wspomnienie o tym — ofiarowywała się, a on tę ofertę odrzucił. Raz będąc w sytuacji petentki nie ma teraz prawa pozować na jego protektorkę. Chodził po pokładzie, w upokorzeniu mocno waląc stopami.

Lecz wnet romantyczne wyobrażenia zmały jasność jego umysłu. Na obraz chłodnej i opanowanej Lady Barbary, doskonałej pani domu, dystygowanej żony admirała zaczęły się nakładać obrazy czulej Lady Barbary, kochającej Lady Barbary, o urodzie zapierającej dech w piersiach mężczyzn. Serce rozdzierała mu tęsknota za nią; czuł się chory, smutny i samotny ze swym gwałtownym pragnieniem jej, tego anioła dobroci, słodczy i łagodności, za jakiego ją uważał. Serce zabiło mu szybciej, gdy przypomniał sobie jej białą pierś i spoczywający na niej szafirowy wisiołek, a zwierzęce pożądanie przemogło nieśmiałe uczucia chłopięce, jakie żywił ku niej.

— Widać okręt! — zawołał marynarz na oku i marzycielski nastrój opadł z Hornblowera jak zwarzony mrozem pęk kwiatu.

— Gdzie?

— Prosto od strony wiatru. I prędko idzie na nas.

Wiejący właśnie ostry wiatr północno-wschodni był idealny dla okrętów francuskich, pragnących wydostać się z blokady Marsylii i Tulu. To dobry wiatr dla wymykającego się okrętu, pozwalający wyjść z portu i odpłynąć spory kawałek już pierwszej nocy, spychający równocześnie blokującą eskadrę na zawietrzną. Może właśnie to ten okręt, którego zadaniem jest przerwać blokadę, lecz jeśli tak, to ma on słabe szanse ucieczki, z „Sutherlandem” prosto po swej zawietrznej. Byłby to dalszy ciąg dobrej passy, towarzyszący mu przy wykonywaniu samodzielnego zadania w czasie obecnej podróży, gdyby wpadł mu w ręce jeszcze jeden przyz.

— Trzymać okręt na kursie — rozkazał Hornblower w odpowiedzi na pytające spojrzenie

Busha. — I proszę wywołać załogę, panie Bush.

— Hej, pokład! — zawołał obserwator. — To fregata. Wygląda jak brytyjska.

To go rozczarowało. Było pięćdziesiąt rozmaitych powodów usprawiedliwiających obecność tutaj fregaty brytyjskiej, idącej kursem nie wskazującym na gotowość do boju, zupełnie innym od kursu, który prawdopodobnie by obrano w obliczu bliskości nieprzyjaciela. Jej marsie były już dobrze widoczne, białe na tle szarego nieba.

— Za przeproszeniem, sir — odezwał się celowniczy jednej z karonad na bakburcie pokładu rufowego. — Tutaj Stebbings powiada, że wie, co to za jeden.

Stebbing, mężczyzna w średnim wieku o siwiejącej brodzie, był jednym z marynarzy zabranych z konwoju wschodnioindyjskiego.

— Mnie się widzi, że to „Cassandra”, sir, trzydzieści dwa działa. Konwojowała nas w ostatniej podróży.

— Kapitan Frederick Cooke, sir — dodał Vincent, przebiegając spieszenie wzrokiem po stronicach drukowanej listy.

— Zapytaj o sygnał rozpoznawczy i upewnij się — zarządził Hornblower.

Cooke otrzymał dowództwo okrętu w sześć miesięcy po nim; w razie połączonej operacji Hornblower będzie zatem oficerem dowodzącym.

— Tak, to „Cassandra”, sir — rzekł Vincent z lunetą przy oczach, gdy rzut flag powędrował na fokmarsreję fregaty.

— Puścili luźno szoty — zauważył Bush z odcieniem podniecenia w głosie. — To rzecz dziwna, sir.

Od niepamiętnych czasów, dużo wcześniej zanim opracowano praktyczny system sygnalizacji flagowej, zluzowanie szotów było na całym świecie umownym ostrzeżeniem o zbliżaniu się floty.

— Znów sygnalizuje, sir — powiedział Vincent. — Trudno odczytywać, bo wiatr zwraca flagi prosto na nas.

— Do diabła z nim, sir — wybuchnął Bush. — Patrz porządnie albo ci pokażę, po co masz oczy.

— Sygnał cyfrowy. Cztery. Literowy. Siedemnaście — „za rufą — po nawietrznej — kurs południowy zachód” — tłumaczył Longley z pomocą książki sygnałowej.

— Proszę bić na alarm, panie Bush. I natychmiast zrobić zwrot przez rufę.

„Sutherland” nie musiał wdawać się w walkę, gdy szansę były jak jeden do czterech. Gdyby

jakieś okręty brytyjskie ścigały francuzów, mógłby rzucić się w poprzek drogi nieprzyjaciela i uszkodzić co najmniej dwa statki francuskie, tak aby stały się łatwą zdobyczą, lecz póki nie dowie się czegoś więcej o sytuacji, musi trzymać się możliwie z daleka.

— Zapytać: „Czy są w pobliżu jakieś okręty brytyjskie?” — powiedział do Vincenta, podczas gdy „Sutherland” wyprowadzany przez Busha na pełny wiatr najpierw przechylił się na burtę, a potem wyprostował.

— Odpowiedź przecząca, sir — zawołał Vincent minutę później poprzez gwar przygotowań do boju.

A zatem jest tak jak się spodziewał. Cztery francuskie liniowce przedarły się w ciemności z Tulu, gdy wiatr zepchnął blokującą eskadrę na zawietrzną. Tylko „Cassandra”, obserwująca brzeg, dostrzegła je i ruszyła przed nimi, by mieć je w polu obserwacji.

— Zapytaj: „Gdzie znajduje się nieprzyjaciel?” — rzucił Hornblower. Formułowanie informacji tak, aby do jej przekazania użyć jak najmniejszej liczby flag, było interesującym ćwiczeniem, wymagającym znajomości księgi sygnałowej.

— „Sześć — mil za rufą — w nmiarze — północny wschód” — tłumaczył Longley z księgi sygnałów, podczas gdy Vincent odczytywał cyfry.

Zatem Francuzi idą pełnym wiatrem. Pewnie dlatego, że chcą jak najbardziej oddalić się od blokującej eskadry opodal Tulu, lecz nie wydaje się rzeczą możliwą, aby dowodzący oficer szedł niepotrzebnie prosto na zawietrzną, chyba że jest to kurs najodpowiedniejszy dla jego planów. Wykluczało to absolutnie wszelką myśl o Sycylii, Adriatyku czy wschodnim rejonie Morza Śródziemnego jako celu żeglugi, a wskazywało raczej na wybrzeże hiszpańskie pod Barceloną i dalej ku Cieśninie Gibraltarskiej.

Stojąc na pokładzie rufowym Hornblower próbował pójść za tokiem myśli Bonapartego w Tuileries. Za cieśniną leży Atlantyk i cały świat. Trudno jednak wyobrazić tam sobie jakiś korzystny cel dla czterech liniowców francuskich; francuskie Indie Zachodnie są niemal całkowicie opanowane przez angielskie ekspedycje. Przylądek Dobrej Nadziei jest w rękach angielskich, a Mauritius wkrótce padnie. Zadaniem eskadry francuskiej może być więc po prostu wypad dla zniszczenia transportów handlowych, ale w takim razie taniej i skuteczniej byłoby posłać taką samą liczbę fregat. To nie jest podobne do Bonapartego. Z drugiej strony upłynęło wystarczająco dużo czasu od pojawienia się eskadry Leightona na wybrzeżu katalońskim, żeby można było donieść o spowodowanych brakach w zaopatrzeniu do Tuileries i żeby stamtąd zostały przekazane rozkazy do Tulu. Rozkazy z pieczęcią Bonapartego. Trzy okręty brytyjskie na wybrzeżu katalońskim? A więc posłać cztery francuskie przeciwko nim. Obsadzić je ludźmi ze wszystkich okrętów stojących bezczynnie w porcie tulońskim. Załadować wszystkimi zapasami, jakich się domaga garnizon barceloński. Niech wymkną się którejs ciemnej nocy, przedrą do Barcelony, rozbiją eskadrę brytyjską, jeśli będą w stanie, i wrócą, jeśli będą miały szczęście. Wystarczy tydzień, by znów były z powrotem, całe i bezpieczne, a jeśli nie — tam, gdzie drwa rąbią, drzazgi muszą lecieć.

Taki musiał być plan francuski i chętnie założyłby się o wszystko, co posiada, że miał rację.

Pozostawało tylko postanowić, w jaki sposób ma pogmatwać zamierzenia Francuzów. Nie miał wątpliwości, od czego powinien zacząć. Po pierwsze: musi się utrzymać między francuzami a celem ich wypadu, po drugie: byłoby pożądane trzymać się za ich widnokręgiem, i to tak długo, jak się da — mieliby niespodziankę znajdując na swej drodze okręt o znacznej sile, a nie fregatę; w bitwie zaskoczenie jest połową zwycięstwa. W takim razie jego pierwsze instynktowne posunięcie było prawidłowe i „Sutherland” jest na kursie odpowiednim dla obu celów — Hornblower był niemiłe zaskoczony, że jego podświadomość od razu doszła do tego, do czego świadomość dochodziła dopiero teraz. Wszystko co zostało do zrobienia, to wezwać „Plutona” i „Caligulę”. Trzy brytyjskie liniowce i fregata mogą pokonać cztery okręty francuskie, z doborową załogą czy bez, nie zważając, co o tej sprawie sądzi Bonaparte.

— Okręt gotowy do boju, sir — zameldował Bush, dotykając kapelusza. Oczy jaśniały mu nadzieją na bliskie spotkanie z wrogiem. Hornblower widział w nim wojownika, jakim — co z żalem przyznawał — sam nie był, mężczyzną, dla którego rozkoszą jest perspektywa walki dla samej walki, który kocha fizyczne niebezpieczeństwo i nigdy nie przystanie, by obliczać swoje szansę.

— Proszę puścić ludzi wolnych od wachty — rzekł Hornblower.

Nie było potrzeby trzymać wszystkich na stanowiskach, gdy do boju jeszcze daleko. Hornblower widział, jak na jego słowa zmienia się wyraz twarzy Busha. Znaczyły one bowiem, że „Sutherland” nie pójdzie z miejsca do walki sam przeciwko czterem okrętom.

— Tak jest, sir — odpowiedział niechętnie.

Bush miał też trochę racji, gdyż „Sutherland”, dobrze prowadzony, mógł zwalić tyle drzewc francuskich i tak okaleczyć dwa, a może i trzy okręty, że prędzej czy później stałyby się łatwym łupem Brytyjczyków. Istniało ryzyko, że sam przy tym zostałby rozbity, ale tym Hornblower nie musiał przejmować się w tej chwili. Pomyślny dzisiaj wiatr mógł jutro zmienić się na nie sprzyjający; „Pluton” i „Caligula” mogłyby zdążyć przybyć na czas, gdyby się tylko udało poinformować je, jak blisko mają łup.

— Proszę dać mi księgę sygnałową — zwrócił się Hornblower do Longleya.

Przewracał jej stronicę, odświeżając w pamięci treść niektórych ustalonych sygnałów. Przy wysyłaniu dłuższej wiadomości zawsze istnieje niebezpieczeństwo niezrozumienia. Szarpał w zdenerwowaniu podbródek układając to, co chciał przekazać. Jak każdy oficer brytyjski wycofując się ryzykował, że jego motywy nie znajdą zrozumienia, chociaż — perswadował sam sobie — nawet zwariowana brytyjska opinia publiczna, opita odniesionymi zwycięstwami, nie może go potępić za niepodjęcie boju z czterokrotnie silniejszym nieprzyjacielem. Lecz jeśli wszystko zawiedzie, frakcja Wellesleyów może potrzebować kozła ofiarnego; a rozkaz, jaki zamierza przekazać, może oznaczać różnicę między sukcesem a niepowodzeniem, między sądem Admiralicji a podziękowaniami od parlamentu.

— Proszę nadać tę wiadomość — rzucił krótko do Vincenta.

Rzut po rzucie flagi wspinały się po maszcie. „Cassandra” ma postawić wszystkie żagle, jakie

zdoła, i wyzyskując swą prędkość fregaty skierować się na zachód i odszukać „Plutona” i „Caligulę” — Hornblower miał trudności z dokładnym podaniem ich pozycji — by sprowadzić je pod Barcelonę. Urywek po urywku „Cassandra” potwierdziła sygnał. Po skończeniu nadawania nastąpiła przerwa, zanim Vincent, podniósłszy lunetę do oczu, zaraportował:

— „Cassandra” sygnalizuje, sir. „Przedkładam...”

Po raz pierwszy w życiu Hornblower usłyszał to słowo skierowane do siebie. Używał go tak często w swych sygnałach do admirałów i starszych rangą kapitanów i tylekroć wstawiał je do raportów, a teraz inny oficer zaczyna nadawanie sygnału do niego od słowa „Przedkładam”. Ten oczywisty dowód posuwania się w górę po szczeblach awansu wzbudził w nim rozkoszne uczucie podniecenia, silniejsze nawet chyba niż to, którego doznał, gdy świst trapowy po raz pierwszy przywitał go z okrętu jako dowódcę. Naturalnie jednak słowo „Przedkładam” miało w podtekście protest. Cooke z „Cassandry” wcale nie miał ochoty na to, aby tak zaraz zostać odesłanym z miejsca, gdzie szykowała się akcja. „Przedłożył”, że dla „Cassandry” byłoby lepiej trzymać francuzów w polu widzenia.

— Sygnalizuj: „Wykonać potwierdzone rozkazy” — rzekł Hornblower.

Cooke się myli, a słuszność ma on — protest Cooke'a pomógł mu tylko w skryzalizowaniu decyzji. Cała rola fregaty, do której jest powołana, to umożliwić okrętom liniowym wchodzenie w akcję. „Cassandra” nie jest w stanie wytrzymać nawet jednej salwy burtowej z płynących za nią okrętów; jeśli się jej uda sprowadzić „Plutona” i „Caligulę”, by mogły podjąć bój, pomnoży własną wartość nieskończoną ilość razy. Serce Hornblowera rozgrzewało nie tylko przeświadczenie, iż ma rację, lecz również że jest w stanie narzucić zdecydowany przez siebie bieg wypadków. Te sześć miesięcy starszeństwa sprawiają, że Cooke jest mu posłuszny i będzie musiał być posłuszny przez całe życie ich obydwu — nawet jeśli Cooke i on razem podniosą swe flagi jako admirałowie, on wciąż będzie starszy, a Cooke młodszy. Patrzył, jak „Cassandra” zrzuca refy z marsli i odpływa na zachód, wyzyskując teraz swą o całe pięć węzłów większą szybkość.

— Proszę zwinąć górne żagle, panie Bush — powiedział Hornblower.

Francuzi zobaczą „Cassandrę” znikającą za ich widnokretem; była szansa, że „Sutherland” będzie miał ich na oku sam nie będąc widziany. Wsadził lunetę do kieszeni i zaczął wspinać się statecznie po sterwantach — trochę zresztą się przy tym trudząc; wystawiał w ten sposób swą powagę na szwank, gdyż każdy z załogi potrafił wspinać się na maszt szybciej od niego, ale chciał zobaczyć nieprzyjaciela na własne oczy. Okręt kołysał się gwałtownie na fali z rufy, a wiatr ostro dął mu w uszach. Musi starać się nie robić przerw, by sprawiać wrażenie, że wspina się tak powoli, jak to wypada kapitanowi, a niemniej jednak ani lęklawie, ani niezdarnie.

Znalazł wreszcie na salingu stermasztu miejsce, gdzie mógł usiąść dosyć pewnie i skierować lunetę to na wznoszący się, to opadający widnokrąg. Po sprzątnięciu grotmarsla „Sutherland” znacznie zmniejszył swą szybkość i już wkrótce mogły się pojawić okręty francuskie. Zobaczył je za niewielką chwilę — mały prostokącik bieli ledwo wystający ponad horyzont, obok drugi, potem jeszcze jeden i jeszcze jeden.

— Panie Bush! — zawołał. — Proszę znów postawić grotmarsel. I przysłać tu do mnie Savage'a.

Cztery okręty szły ociężałe w rozciągniętej na modłę francuską linii czołowej, jeden od drugiego o pół mili — przypuszczalnie kapitanowie ich bali się zderzenia przy bliższym odstępnie i można było założyć się o sto przeciw jednemu, że ich wszyscy obserwatorzy nie zauważą nic więcej, jak maleńką kropeczkę „Sutherlanda”. Savage przysiadł ciężko obok niego, dysząc po błyskawicznym biegu po drabinkach.

— Trzymaj lunetę — rzekł Hornblower. — Widzisz eskadrę francuską? Masz mi donieść natychmiast, gdy tylko zmienią kurs albo zbliżą się ku nam czy my ku nim.

— Tak jest, sir — odpowiedział Savage.

Zszedłszy na pokład miał już za sobą wszystko, co mógł zrobić. Pozostało czekać cierpliwie aż do jutra. Jutrzejszy dzień będzie świadkiem walki, beznadziejnej lub równej — a jeśli do walki nie dojdzie, będzie to oznaczało, że francuzi uszły, a on pójdzie pod sąd wojenny. Pilnował się, by zachowywać opanowany wyraz twarzy i robić wrażenie, że nie odczuwa wcale napięcia oczekiwania. Będzie to zgodne z dawną tradycją, jeśli wieczorem zaprosi oficerów na kolację i wista.

## Rozdział XX

Cztery nieprzyjacielskie liniowce po nawietrznej, które trzeba trzymać pod obserwacją, i ciągły przepływ z podświadomości w świadomość kalkulacji na temat szans na sprowadzenie przez „Cassandrę” admirała Lightona, tak aby zdążył odciąć wroga, złożyły się na sytuację zdolną spędzić sen z oczu każdego kapitana. Pogoda też była zmienna — wiatr, wiejący wieczorem z siłą niemal sztormową, przed północą osłabł, nasilił się znowu, a potem, z niekonsekwencją wiatrów śródziemnomorskich, zaczął powoli zamierać.

Hornblower nie spodziewał się wcale, że zaśnie. Za bardzo był podniecony, a umysł jego pracował zbyt aktywnie. Po wieczornej zmianie wachty położył się na koi, żeby odpocząć, i absolutnie pewny, że nie ma mowy o zaśnięciu, zapadł w ciężki sen bez śnień, tak głęboki, że Polwheal musiał potrząsać go za ramię, by zbudzić o północy. Przyszędłszy na pokład zastał Busha przy kompasie.

— Za ciemno, żeby coś zobaczyć, sir — rzekł Bush, a zdenerwowanie i niepokój wzięły górę nad etykietą do tego stopnia, że mruknął: — Czarno jak w grobie.

— Widział pan nieprzyjaciela?

— Chyba tak, sir, pół godziny temu, ale nie jestem pewien. I wiatr osłabł porządnie.

— Tak — potwierdził Hornblower.

Jak to się często zdarza, na morzu, nie można było nic robić, tylko czekać. Dwie osłonięte latarnie kołysały się na pokładzie głównym, gdzie wachta przywarowała na stanowiskach przy



działach; ostry wiatr wygrywał na takielunku swą melodię, a okręt na fali z rufy to wznosił się, to zanurzał z gracją i lekkością, jakiej nie spodziewałby się po nim nikt, kto go widział idącego półwiatrem. Nic innego nie pozostało, jak czekać; tu, na pokładzie, będzie się tylko denerwował i zdradzał swój niepokój, lepiej więc pójść i przetrwać ten czas w swej oddzielonej zasłonami koi.

— Proszę przysłać po mnie, gdy zauważy pan nieprzyjaciela — powiedział sztucznie lekkim tonem i wrócił pod pokład.

Leżał na koi, zagłębiony w myślach; wiedział, że gdy się już przespał, nie ma mowy, aby sen przyszedł znowu. Tak był tego pewien, że przyczajona senność jeszcze raz opadła go zniecka w trakcie rozmyślań nad „Cassandra” i miał wrażenie, iż upłynęło najwyżej dwie minuty, gdy usłyszał Polwheala przemawiającego jakby z innego świata.

— Pozdrowienia od pana Gerarda, sir. Zaczyna się rozjaśniać, sir.

Trzeba było sporego wysiłku, by dźwignąć się z koi; wciąż senny, stanawszy na nogach, ucieszył się, że spał rzeczywiście za każdym razem, gdy Polwheal przychodził go budzić. Wyobraził sobie Polwheala opowiadającego swoim kompanom o żelaznych nerwach kapitana, który potrafił spać jak dziecko w noc, kiedy okręt cały wrzał przed perspektywą boju.

— Ma pan coś do zakomunikowania, panie Gerard? — zapytał wszedłszy na pokład rufowy.

— Nie, sir. Zrefowałem na godzinę o drugim dzwonie, bo diabelnie wiało. Ale teraz wiatr szybko słabnie i skręca na południowy wschód.

— Hm — chrząknął Hornblower.

Leciutki odblask światła zaczął zabarwiać mroczne niebo, lecz wciąż widać było nie dalej niż na kabel. Wiatr południowo-wschodni będzie niepomyślny dla francuzów na ich kursie na Barcelonę; dla „Plutona” i „Caliguli” będzie zupełnie przeciwny.

— Sir, zdaje się, że zamajaczył ląd, zanim zaczęło się rozwidniać — odezwał się Gerard.

— Tak — odparł Hornblower. W ciągu nocy kurs, jakim płynęli, mógł ich przywieść w pobliże przylądka Creus, wspomnianego z niechęcią; wziął do rąk tabliczkę łupkową, wiszącą przy kompasie, i na podstawie codziennych zapisów logu ustalił, że znajdują się jakieś piętnaście mil od przylądka. Jeśli francuzi posuwały się przez noc tym samym kursem, to niedługo mogą mieć po swej zawietrznej zatokę Rosas i pewne zabezpieczenie — oczywiście, jeżeli zmieniły kurs i uszły mu w ciemności... wolał nie myśleć o konsekwencjach, jakie go wówczas czekają.

Jasność szybko rozlewała się po niebie. Na wschodzie wróżące deszcz chmury wydawały się przeredzać tuż nad widnokregiem. I rzeczywiście rzedły; na sekundę rozstały się i tam, gdzie cętkowane bielą morze stykało się z niebem, błysnęła plamka złota i nad wodą zajaśniał długi, poziomy promień światła.

— Widać ląd! — zawołał marynarz na oku i po stronie zachodniej ujrzeli na horyzoncie

niebieskawą smugę gór Hiszpanii, mającą słabo nad widnokręgiem.

Gerard popatrzył z niepokojem na kapitana, przeszedł się raz czy dwa po pokładzie gryząc palce, ale nie mógł dłużej powściągnąć niecierpliwości.

— Hej, ty na oku! Widzisz nieprzyjaciela?

Pauza, która teraz nastąpiła, wydawała się trwać wieki, zanim przyszła odpowiedź.

— Nic a nic, sir. Nic nie widać zupełnie, tylko ład po zawietrznej.

Gerard znów podniósł pytający wzrok na kapitana, lecz Hornblower zdążył przybrać swą twarz w kamienny wyraz, tak że nie zdradzała tego, co czuł. Teraz Bush szedł spieszenie na pokład rufowy; wszyscy widzieli jego niepokój. Gdyby cztery liniowce francuskie wywinęły się od boju, oznaczałoby to dla Hornblowera wegetację do końca życia na połowie pensji, jeżeli nie coś gorszego. Hornblower zachował lodowaty wygląd oblicza i był dumny, że mu się to udało.

— Panie Gerard, proszę wykonać zwrot i przejść na prawy hals.

Pod osłoną ciemności Francuzi zdołali być może zmienić kurs i teraz mogli być gdzieś w zachodniej części Morza Śródziemnego, lecz Hornblower wciąż nie uważał, by to było prawdopodobne. Oficerowie nie wzięli dostatecznie pod uwagę niedołęstwa niewprawnych załóg francuskich. Jeśli Gerard musiał w nocy zrefować marsie, to oni równie dobrze mogli uznać za konieczność położenie się w dryf; Bush i Gerard zbyt pochopnie oceniają sytuację — podczas nocy „Sutherland” mógł być przecież nadrobić nawet i dwadzieścia mil w stosunku do francuzów. Był przeświadczony, że zawróciwszy zobaczy ich znowu.

Przeświadczony, jeśli chodzi o tę część jego umysłu, która nawykła do zimnej kalkulacji gracza w wista. Nie umiając opanować głębokiego niepokoju ani przyspieszonego rytmu serca mógł jedynie skrywać to, co czuł, przybrawszy maskę na twarz i zmuszając się do stania w miejscu, chociaż zdenerwowanie skłaniało go do ruchu. Potem wpadło mu do głowy coś, czym mógłby się zająć w tym stanie ducha.

— Proszę posłać po mego stewarda — rzekł.

Opanował drżenie rąk na tyle, że zdołał się ogolić, a zimna kąpiel pod pompą na pokładzie dodała mu wigoru. Włożył czyste ubranie i z drobiazgową dokładnością zrobił przedziałek w swych rzadziejących włosach, gdyż myjąc się pod pompą powiedział sobie w duchu, że zobaczą francuzów, zanim zdąży skończyć toaletę. Z uczuciem głębokiego rozczarowania odłożył grzebień, nie mogąc dłużej udawać, że jest mu potrzebny, i odwrócił się, by włożyć mundur. Wtem, gdy stawiał stopę na trapie, rozległ się dziki wrzask kadeta Parkera z topu masztu:

— Widzę okręt! Dwa — trzy okręty, sir. Cztery! To nieprzyjaciel!

Hornblower szedł dalej w górę trapu nie zmieniawszy tempa kroków i miał nadzieję, że załoga to zauważyła. Bush z lunetą był już w połowie want, a rozradowany Gerard chodził — niemal w podskokach — po pokładzie rufowym. Obserwując ich Hornblower był zadowolony, że nie uległ

dziecinny obawom o prawidłowość swych poczynań.

— Panie Bush, proszę wykonać zwrot przez rufę. Położyć okręt na lewy hals.

Bardziej rozmowny kapitan uzupełniłby rozkaz krótkim wyjaśnieniem konieczności trzymania się między francuzami a brzegiem Hiszpanii, lecz Hornblower nie powiedział tego, chociaż słowa cisnęły mu się na usta. Nie wymknie się żadne zbyteczne słówko.

— Wiatr wciąż skręca na południe, sir — zauważył Gerard.

— Tak — powiedział Hornblower.

A w miarę upływu godzin będzie jego zdaniem również słabnął. Słońce szybko przebijało się przez chmury niosąc zapowiedź ciepłego dnia — śródziemnomorskiego dnia jesiennego, podczas którego barometr idzie w górę i odczuwa się tylko lekki powiew. Hamaki złożono w siatkach, a wolna wachta biegła z tupotem na pokład niosąc wiadra i cegielki do szorowania. Zwykły tok zajęć w marynarce wojennej musi być utrzymany, nawet jeśli są wszelkie dane na to, że szorowane teraz pokłady spłyną krwią, zanim dzień się skończy. Marynarze błaznowali i sypali dowcipami — Hornblower poczuł, że wzbiera w nim duma na wspomnienie zgrai ponurych, przybitych typów, z którymi opuszczał port. Świadomość osiągnięcia kompensowała mu nieco niewdzięczną służbę, pomagała też zapomnieć, że dziś lub jutro — niezadługo w każdym razie — w wirze skłębionej wokół niego walki dozna znów fizycznego strachu, którego tak bardzo się wstydził.

W miarę jak słońce wznosiło się po nieboskłonie, wiatr cichł i skręcał coraz bardziej na południe, a góry Hiszpanii stawały się bliższe i wyraźniejsze, gdy zbliżali się ku lądowi idąc obranym kursem. Hornblower trzymał się go, póki mógł, podbrasowując reje ze względu na ciągłe odwracanie się wiatru, by wreszcie, gdy eskadra francuska wypełzła zza widnokregu, położyć okręt w dryf. Zmiana kierunku wiatru odebrała francuzom pozycję po nawietrznej; jeśli ruszą, żeby go zaatakować, może uciekać na północ, gdzie w razie pościgu natkną się na „Plutona” i „Caligulę”; ale na ich atak nie miał nadziei. Liniowce francuskie, którym się udało wymknąć blokującej eskadrze, mając na widoku choćby nie wiem jak kuszącą przynętę, będą przede wszystkim spieszyć się z wykonaniem swego zadania, a dopiero potem mogą wdać się w walkę. Jeśli wiatr nie skręci jeszcze bardziej, mogą iść dalej swoim kursem na Barcelonę i nie miał najmniejszej wątpliwości, że tak właśnie uczynią, chyba że im coś przeszkodzi. Będzie się ich trzymał i gdyby pomoc nie nadchodziła, spróbuje zaatakować w nocy okręt, który bardziej się odbije od pozostałych.

— Strasznie dużo sygnalizują, sir — powiedział Bush z lunetą przy oczach.

Sygnalizowali rzeczywiście przez cały dzień — pierwszy potok flag, jak się Hornblower słusznie domyślał, spowodowany był zauważeniem „Sutherlanda” — nie wiedzieli, że towarzyszy im już od piętnastu godzin. Francuzi na morzu też byli rozgadani i żaden ich kapitan nie był zadowolony, jeśli komunikaty nie krążyły tam i z powrotem przez całą eskadrę.

„Sutherland” minął teraz przylądek Creus i od dziobu otworzył się przed nim widok na zatokę Rosas. To właśnie na tych wodach, ale przy zupełnie innej pogodzie, „Pluto” stracił maszty i został odholowany przez „Sutherlanda” w bezpieczne miejsce; na tamtych zielono-szarych zboczach

skończył się fiaskiem atak na Rosas; Hornblowerowi zdawało się, że przez teleskop rozróżnia urwistą ścianę mesety, którą pułkownik Claros powiódł swych katalońskich uciekinierów. Jeśli wiatr skręci jeszcze trochę, francuskie okręty znajdą schronienie pod osłoną dział Rosas, gdzie pozostaną bezpieczne, dopóki Brytyjczycy nie sprowadzą branderów[31] i łodzi z materiałami wybuchowymi, by ich stamtąd wykurzyć; w istocie będą tam bardziej bezpieczne niż stojąc na kotwicach w Barcelonie.

Popatrzył na rękaw trzepoczący na topie masztu — wiatr bez wątpienia wiał bardziej z południa. Coraz mniejsze było prawdopodobieństwo, że francuzi, idąc swoim obecnym halsem, zdołają przejść po nawietrznej cypla Palamos, natomiast on będzie na pewno musiał zrobić wkrótce zwrot przez sztag i wejść w ich ślad torowy, tracąc z powodu zmienności pogody całą przewagę pozycji. Wiatr dał teraz nieregularnymi podmuchami — niewątpliwy znak, że siła jego słabnie. Raz jeszcze skierował lunetę na eskadrę francuską, by zobaczyć, jak się zachowuje. Na rejach wykwitła nowa seria sygnałów.

— Hej, pokład! — krzyknął Savage z topu masztu.

Nastąpiła pauza, Savage niezupełnie był pewien tego, co widzi.

— Co tam, panie Savage?

— Zdaje się — nie jestem całkiem pewien, sir — tam jest chyba jeszcze jakiś okręt, na samym horyzoncie, za trawersem nieprzyjaciela.

Jeszcze jeden okręt! Mógł to być zbłąkany statek handlowy, a jeśli nie — to tylko któryś z okrętów Leightona lub „Cassandra”.

— Proszę nie spuszczać go z oczu.

Czekanie stało się teraz wprost nie do zniesienia. Hornblower rzucił się ku wantom i wspiął się na górę. Usadowiwszy się obok Savage'a skierował lunetę we wskazanym kierunku. Przez sekundę w obiektywie tańczyła eskadra francuska, ale on szukał nie zwracając na nią uwagi.

— Trochę dalej, sir. Mniej więcej chyba tu, sir.

Był to nikły błysk bieli, zbyt jednak długotrwały jak na grzbiet fali i różniący się odcieniem od chmurek na błękiecie. Hornblower już miał się odezwać, lecz udało mu się ograniczyć do swojego „Hm”.

— Już jest bliżej, sir — odezwał się Savage przyłożywszy teleskop do oczu. — Powiedziałbym, sir, że to fokbombramsel.

Co do tego nie było wątpliwości. Jakiś okręt pod pełnymi żaglami znajdował się za francuzami i sterował tak, by przeciąć ich ślad torowy.

— Hm, hm — mruknął Hornblower. Bez słowa zatrzasnął lunetę i zaczął schodzić.

Bush skoczył, żeby go spotkać pod wantami; Gerard i Crystal byli też na pokładzie rufowym i wszyscy patrzyli na niego z niepokojem.

— „Cassandra” — rzekł Hornblower — idzie w naszą stronę.

Zaryzykował swą reputację dla wykazania, jaki świetny ma wzrok. Z samego tylko rzutu oka na bombramzagle nikt nie mógł domyślić się, że to właśnie „Cassandra”. Ale na tym kursie mogła być tylko ona, chyba że zdolność rozumowania paskudnie go zawiodła. Gdyby się okazało, że to inny statek, ośmieszyłby się — lecz pokusa pokazania, że ją rozpoznał, gdy Savage nie był nawet pewien, czy to okręt, czy chmura, była zbyt silna.

Oficerowie z miejsca zdali sobie sprawę, co znaczy pojawienie się „Cassandry”.

— Gdzież jest okręt flagowy i „Caligula”? — zastanawiał się Bush, nie kierując tego pytania specjalnie do nikogo.

— Mogą też być w pobliżu — rzekł Gerard.

— Jeżeli tak, to Żabojady są odcięte — odezwał się Crystal.

Mając „Plutona” i „Caligulę” od strony morza, „Sutherlanda” od lądu, a cypel Palamos po nawietrznej, przy słabnących powiewach niekorzystnie zmieniającego kierunku wiatru, miałyby wielkie szczęście, gdyby udało im się uniknąć walki. Oczy wszystkich zwróciły się na eskadrę francuską. Znad widnokreśgu było już widać kadłuby. Okręty szły ostro na wiatr, na południe ku zachodowi, trójpokładowiec na czele, a za nim trzy okręty dwupokładowe, z flagami admirałskimi powiewającymi na fokmasztach pierwszego i trzeciego. W czystym powietrzu ostro rysowały się szerokie białe pasy zdobiące burty. Jeśli „Pluto” i „Caligula” były daleko za „Cassandra”, to francuskie okręty byłyby równie nieświadome ich bliskości, jak był „Sutherland”, i to wyjaśniałoby, czemu dalej idą tym samym kursem.

— Hej, pokład! — krzyknął Savage. — Ten nieznanany okręt to „Cassandra”. Teraz widać jej marsel.

Bush, Gerard i Crystal spojrzeli na Hornblowera z niezwykłym respektem dla przenikliwości jego wzroku; dla tego samego warto było wystawić na ryzyko powagę swego stanowiska.

Wtem żagle załopotwały głośno; po chwilowym uspokojeniu się wiatru przyszedł podmuch bardziej od południa niż dotychczas. Bush odwrócił się, by wydać rozkaz wytrzymowania żagli, a pozostali zaczęli obserwować, jaka będzie reakcja francuzów.

— Wykonują zwrot przez sztag! — powiedział głośno Gerard.

I rzeczywiście; nowym halsem mogą opłynąć cypel Palamos po nawietrznej — ale wysuną się w morze, bliżej ku eskadrze brytyjskiej, jeśli okręty brytyjskie są tam w ogóle.

— Panie Bush — przemówił Hornblower — może zechce pan łaskawie zmienić hals.

— „Cassandra” sygnalizuje, sir! — wrzasnął Savage.

— Na górę! — rzucił krótko Hornblower do Vincenta i Longleya. Z lunetą i księgą sygnałową wdrapywali się błyskawicznie na mars. Wszyscy na pokładzie śledzili z niepokojem ich posuwanie się w górę.

— „Cassandra” sygnalizuje do okrętu flagowego, sir! — zakrzyczał Vincent.

A więc Leighton jest tam, za widnokretem — widnokretem zarówno „Sutherlanda”, jak i francuzów, sądząc po ich zachowaniu. Bonaparte mógł wysłać cztery okręty francuskie, by podjęły bój przeciwko trzem brytyjskim, ale żaden admirał francuski, znajdujący się w bezpiecznej pozycji na morzu i znający umiejętności swoich załóg znacznie lepiej niż cesarz, nie usłuchałby takiego rozkazu, gdyby miał możliwość.

— Co mówi, chłopcze? — zawołał Hornblower.

— Jest za daleko, żeby mieć pewność, ale zdaje się, że podaje nowy kurs nieprzyjaciela.

Niech francuzi idą jeszcze godzinę tym kursem, a są zgubieni, odcięci od Rosas i wyprzedzeni, zanim dotrą do Barcelony.

— Na Boga, znowu robią zwrot przez sztag! — powiedział nagle Gerard.

W milczeniu obserwowali, jak cztery francuskie okręty zbliżają się do wiatru i zmieniają hals. Obracały się dalej, aż na każdym trzy maszty znalazły się w jednej linii; wszystkie cztery szły prosto na „Sutherlanda”.

— Hm, hm — chrząknął Hornblower, widząc jak los pędzi ku niemu z rozwiniętymi żaglami.

— Hm, hm — powtórzył.

Francuscy obserwatorzy musieli dostrzec topy masztów Leightona. Mając Rosas o sześć mil po zawietrznej, a Barcelonę o prawie sto mil w kierunku na wiatr i widząc obce okręty na widnokretem, admirał francuski nie potrzebował wiele czasu na podjęcie decyzji. Błyskawicznie skierował się ku miejscu, gdzie mógł znaleźć schronienie; samotny liniowiec, który się znajduje na ich drodze, musi zostać zniszczony, jeśli nie uda się go ominąć.

Silna fala podniecenia i zrozumienie powagi sytuacji nie zahamowały potoku obliczeń zalewających mózg Hornblowera. Przy sprzyjającym wietrze francuzi miały sześć mil do zrobienia. Brakło mu jeszcze danych o miejscu Leightona na obwodzie koła, którego ośrodkiem jest flagowy okręt francuski. Ale musi mieć do zrobienia co najmniej dwadzieścia mil, może nieco więcej, z wiatrem z trawersu, w najlepszym wypadku takim jak wieje teraz, a z prawej strony od dziobu, gdyby był daleko za rufą; i jeśli wiatr dalej będzie się zmieniał, za dwie godziny będzie dla niego całkiem przeciwny. Hornblower ocenił, że szansę admirała na pochwycenie francuzów, zanim dotrą w rejon zasięgu dział z Rosas, są jak jeden do dwudziestu. Tylko jakieś niespotykane zmiany w kierunku wiatru mogą mu pomóc, i to pod warunkiem, że „Sutherland” zdoła zwalić sporo drzewc, zanim sam zostanie obrócony w bezradny wrak. Hornblower tak był pochłonięty kalkulacjami, że

dopiero w tej chwili uprzytomnił sobie ze ściśnięciem gardła, że „Sutherland” to jego okręt i że odpowiedzialność też spada na niego.

Longley zjechał po padunie z samego topu masztu na pokład, twarz miał pobladłą z podniecenia.

— Przysyła mnie Vincent, sir. „Cassandra” sygnalizuje i on mówi, że to znaczy „Okręt flagowy do »Sutherlanda«, numer 21”. Dwadzieścia jeden to „Związać nieprzyjaciela walką”, sir. Ale trudno jest odczytywać sygnały flag.

— Bardzo dobrze. Potwierdzić.

A więc Leighton ma przynajmniej tyle odwagi cywilnej, by wziąć na siebie odpowiedzialność za wysłanie jednego okrętu przeciwko czterem. Pod tym względem zasługuje na to, by być mężem Lady Barbary.

— Panie Bush — powiedział. — Mamy jeszcze kwadrans. Proszę dopilnować, żeby w tym czasie ludzie dostali coś do zjedzenia.

— Tak jest, sir.

Popatrzył znów na cztery okręty, płynące powoli w jego stronę. Nie spodziewał się, że zdoła je zawrócić, mógł mieć tylko nadzieję, że uda mu się towarzyszyć im w ich spiesznej ucieczce do zatoki Rosas. Każdy okręt, który pozbawi masztów, padnie łupem Leightona; pozostałe musi uszkodzić tak poważnie, aby nie mogły przeprowadzić same naprawy w Rosas, gdzie są tylko bardzo skromne urządzenia stoczniowe. Wówczas będą musiały tam zostać, póki nie zniszczą ich brandery czy nie zakończy ich istnienia wyprawa odcinająca na dużą skalę albo dobrze zorganizowany atak od lądu na fortecę. Sądził, że potrafi to uczynić, ale nie umiał sobie wyobrazić, co tymczasem stanie się z „Sutherlandem”. Przełknął ślinę i zabrał się do planowania manewrów przy pierwszym starciu z nieprzyjacielem. Czołowy okręt francuski był uzbrojony w osiemdziesiąt dział — wytoczone szczyrzyły zęby przez otwarte furty strzelnicze, a na takielunku każdego z francuzów powiewały pyszałkowato co najmniej cztery trójkolorowe bandery. Podniósł wzrok na wyszarzałą czerwień bandery Brytyjskiej Marynarki Wojennej, zwisającej ze szczytu masztu na tle błękitu nieba, a potem zabrał się do spraw bardziej realnych.

— Marynarze do brasów, panie Bush. Chcę, żeby wszystko poszło piorunem, jak nadejdzie odpowiednia chwila. Panie Gerard! Każdy działonowy, którego armata wystrzeli przed najściem na cel, zostanie jutro wychłostany.

Ludzie przy działach wyszczerzyli zęby; dla niego daliby z siebie wszystko bez groźby chłosty i wiedzieli, że on wie o tym.

Dziób przeciw dziobowi nieugięcie zbliżał się „Sutherland” do okrętu uzbrojonego w osiemdziesiąt armat; jeśli obaj kapitanowie będą dalej iść tym samym kursem, dojdzie do zderzenia mogącego się skończyć zatonięciem obu okrętów. Hornblower nie spuszczał oka z francuza, by zauważyć pierwsze oznaki niezdecydowania; „Sutherland” szedł tak blisko do wiatru, jak tylko mógł,

z żaglami niemal na granicy łopotu. Jeśli kapitanowi francuskiemu starczy rozsądku, by podejść do linii wiatru, „Sutherland” nie będzie w stanie zagrozić mu w sposób istotny; lecz pozostawała szansa, że będzie zwlekał z decyzją do ostatniej chwili, a potem instynktownie zrobi zwrot na pełny wiatr, wybierając kurs najłatwiejszy dla niewprawnej załogi. Gdy odległość zmniejszyła się do pół mili, dym zakłębił się nagle nad dziobem francuza i górą z ogłuszającym rykiem przeleciał pocisk. Strzelali ze swych dziobowych pościgówek, lecz nie było potrzeby ostrzegać Gerarda, by nie odpowiadał — znał aż nadto dobrze wartość tej pierwszej, wystrzelonej bez pośpiechu salwy burtowej. Gdy dystans zmniejszył się o połowę, w grotmarslu „Sutherlanda” pojawiły się dwie dziury; Hornblower z takim napięciem obserwował zachowanie się francuza, że nie słyszał przelatującego pocisku.

Jak popłynie? — pytał Bush sam siebie, uderzając dłonią w dłoń. — Którędy? Trzyma się dłużej kursu, niż myślałem.

Im dalej, tym lepiej; im bardziej pośpieszny będzie manewr francuza, tym mniej skuteczny. Teraz bukszpryty oddalone były od siebie już tylko o sto jardów, i Hornblower zacisnął zęby, aby nie wydać instynktownie rozkazu przełożenia steru na zawietrzną. W chwilę później ujrzał poruszenie na pokładzie francuza i zobaczył, że jego dziób odsuwa się od „Sutherlanda” — na zawietrzną.

— Nie strzelać! — krzyknął Hornblower do Gerarda w obawie, aby przedwczesną salwą burtową nie zaprzepaszczono okazji. Gerard pomachał kapeluszem w odpowiedzi, błyskając białą zębów w opalonej twarzy. Teraz oba okręty zachodziły za siebie, oddalone nie więcej niż o trzydzieści jardów, i działa francuskie zaczynały nachodzić na cel. W jasnym blasku słońca Hornblower widział błyski oficerskich epoletów na pokładzie rufowym i ludzi przy karonadach na baku okrętu schylających się, by popatrzeć przez celowniki. To był ten moment.

— Ster na zawietrzną, powoli — powiedział do sternika. Rzut oka na Busha wystarczył — uprzedził ten rozkaz. „Sutherland” zaczął wolno wykonywać zwrot przez rufę, rozpoczynając go przejściem w poprzek rufy francuza, zanim oba okręty znalazły się burta w burtę. Bush wykrzykiwał rozkazy do ludzi przy brasach i szotach żagli dziobowych, a w tym czasie wśród huku i płomieni bluznęła z francuza salwa burtowa. „Sutherland” zatrzęsł się od siły uderzenia; jedna z want stermasztu nad samą głową Hornblowera pękła z jękiem w chwili, gdy wśród potoku odłamków w nadburciu pokładu rufowego tuż obok niego ukazała się dziura. Lecz dziób „Sutherlanda” dotykał już niemal rufy francuza. Hornblower ujrzał obraz panicznego zamieszania na pokładzie rufowym nieprzyjaciela.

— Trzymać na tym kursie! — rzucił sternikowi.

A potem, serią potężnych huków, następujących jeden po drugim, w miarę jak „Sutherland” mijał rufę nieprzyjaciela i każda sekcja dział kolejno nachodziła na cel, uderzyła salwa burtowa we francuza, przechylając lekko okręt przy odrzucie, a każdy pocisk niósł zniszczenie od rufy wroga po dziób. Gerard przybiegł skokami na pokład rufowy, towarzysząc strzelającym kolejno armatom przez cały pokład główny. Pochylił się z zapalem nad najbliższą karonadą, szybkim pokręceniem śruby zmienił jej elewację i pociągnął za sznur do odpalania, gestem nakazując działonowym przy pozostałych armatach, by uczynili to samo. Ryknęły karonady, omiatając pokład rufowy francuza



pociskami i, w ślad za nimi, kartaczami. Hornblower widział, jak oficerowie walą się na pokład niby ołowiane żołnierzyki, jak pęka olinowanie i wielkie okna rufowe francuskiego okrętu znikają niczym zasłona zsunięta z pręta.

— Dostał do syta — odezwał się Bush.

To była salwa burtowa z rodzaju tych, co wygrywają bitwy. Za jednym odpaleniem zniszczono prawdopodobnie połowę siły bojowej francuza, zabijając i raniąc ze stu ludzi, a może i więcej, i rozbijając z sześć dział. W pojedynku dwóch osamotnionych okrętów francuz opuściłby flagę za niecałe pół godziny. Ale tutaj, w czasie gdy „Sutherland” kończył zwrot, pierwszy okręt odpłynął, a drugi, z flagą kontradmirała, podchodził od strony ćwiartki rufowej z nawietrznej. Miał postawione wszystkie żagle normalne i szybko ich prześcigał; za moment będzie mógł ostrzelać „Sutherlanda” ogniem flankowym, tak jak „Sutherland” ostrzelał jego towarzysza.

— Ster w prawo! — powiedział Hornblower do sternika. — Uwaga na działach z lewej burty! — W ciszy, jaka nastąpiła po strzelaniu, głos jego zabrzmiał niemal tubalnie.

Francuz szedł nie zbaczając z kursu, nie uchylając się od wymiany salw burtowych, ale też nie próbując manewrować teraz, gdy oznaczałoby to opóźnienie w dotarciu do miejsca schronienia w Rosas, szczególnie w obliczu nieprzyjaciela, który dowiódł swej czujności. Okręty szły na zbliżenie i w miarę jak francuz pruł z wiatrem na „Sutherlanda”, kurs „Sutherlanda” zbliżał się do jego kursu. Na pokładzie „Sutherlanda” słychać było rozkazy wykrzykiwane podniesionym głosem przez francuskich oficerów do załogi, próbowali oni powściągnąć zapał do walki, aż nadejdzie moment rozstrzygający.

Niemniej jednak niezupełnie im się powiodło, gdyż najpierw jedno, a potem drugie działo wystrzeliło przedwcześnie, odpalone przez bardziej niecierpliwych kanonierów — Bóg jeden wiedział, gdzie poszły te pociski. Na komendę Hornblowera okręt zaczął zmieniać kurs, aż ustawił się równolegle do przeciwnika, a gdy ustalał się na tym nowym kursie, Hornblower dał ręką znak Gerardowi, by otworzył ogień. Między salwami burtowymi z obu okrętów nie upłynęło nawet pół sekundy; przechył „Sutherlanda” na burtę pod działaniem siły odrzutu własnych dział powiększył się jeszcze bardziej od uderzenia pocisków. Dym skłębił się nad nim, a powietrze wypełnił trzask odłamków bijących w burty; krzyki i jęki świadczyły o odniesionych szkodach.

— Teraz, chłopaki! Ogień ciągły! — krzyknął Gerard.

Godziny ćwiczeń dawały owoce. W dymiące lufy armat wsunięto wyciory z gąbki, a w momencie ich wyciągania już proch i stemple czekały w pogotowiu na ładowanie. Wózki armatnie zadudniły niemal w tej samej chwili, gdy załoga rzuciła się do talii, by natoczyć działa; prawie jednocześnie odezwały się też armaty. Tym razem upłynęła dostrzegalna pauza, zanim nieprzyjaciel odpowiedział nie zgraną, nierówną salwą. Łagodny powiew, wiejący akurat na tę część okrętu, która była zaangażowana w boju, skrył ją w dymie; postacie artylerzystów na pokładzie głównym rysowały się przed oczyma Hornblowera tak niejasno, jakby spowijała je gęsta mgła, lecz maszty i żagle francuza dalej sterczały wyraźnie na tle lazurowego nieba. Trzecia salwa „Sutherlanda” poszła w chwilę za drugą salwą francuza.

— Jak zawsze, trzy na ich dwie — zauważył chłodno Bush. Pocisk trafił w podwójny pachół stermasztu i zasypał pokład odłamkami. — Płynie wciąż naprzód, sir.

Trudno było myśleć jasno w potwornym zgiełku, gdy śmierć dokoła zbierała swoje żniwo. Kapitan Morris ustawił wszystkich żołnierzy piechoty morskiej wzdłuż półpokładu na lewej burcie i kazał im strzelać do każdego, kogo dojrzą na pokładach nieprzyjaciela; oba okręty znajdowały się w zasięgu strzału z muszkietu. Salwy burtowe „Sutherlanda” stały się nieregularne, gdyż bardziej sprawni działonowi obsługiwali swe armaty szybciej niż pozostali; a francuz bił ogniem ciągłym, wśród którego od czasu do czasu można było dosłyszeć głośniejszy huk, gdy kilka dział wystrzeliło naraz. Przypominało to stukot podków czwórki koni ciągnących powóz po twardej drodze, to zgodny, to znów rozbity na poszczególne odgłosy.

— Coś mi się widzi, że ich ogień słabnie, sir — zauważył Bush. — Wcale mnie to nie dziwi.

„Sutherland” nie był jeszcze rażony śmiertelnie, sądząc po liczbie zabitych na pokładzie głównym. Mógł długo toczyć dalej walkę.

— Sir, proszę spojrzeć na ich grotmaszt! — zawołał Bush.

Grotstenga francuza pochyliła się w przód, powoli i statecznie, a bramstenga jeszcze niżej. Poprzez dym dojrzeli, jak kolumna grotmasztu opada ku rufie. Później całe dostojęstwo opuściło sterczącą płataninę drzewc i płócien. Przez zapierającą dech sekundę zawisło to wszystko w powietrzu na kształt litery S, a potem runęło w dół z trzaskiem, pociągając za sobą stengi fokmasztu i stermasztu. Na ten widok Hornblower poczuł ponurą satysfakcję — w Rosas nie można dostać drzewc na kolumny grotmasztów. Załoga „Sutherlanda” wzniosła gromki okrzyk i pospieszyła oddać kilka ostatnich strzałów do wyprzedzanego przez nich okaleczonego okrętu przeciwnika. W minutę potem zgiełk strzelaniny ucichł, lekki wiatr rozwiał dym i słońce znowu oświetliło tonący w nieładzie pokład.

Za rufą mieli swego byłego przeciwnika, wleczonego przy burcie masę szczątków; drugie od dziobu działo na dolnym pokładzie sterczało pod nieprawdopodobnym kątem podniesienia, co świadczyło, że co najmniej ono jedno zostało rozbite. O ćwierć mili w przodzie znajdował się okręt, który ostrzelali najpierw; nie zwracał uwagi na pojedynkę za rufą, lecz jak można się było spodziewać po francuzie, pod pełnymi żaglami parł ku bezpiecznemu schronieniu zatoki Rosas. Za nim na horyzoncie przesuwwały się majestatycznie okrutne góry Hiszpanii, a ponad złotym brzegiem widać było wyraźnie białe dachy Rosas. „Sutherland” był blisko szerokiego wejścia do zatoki; w połowie drogi między nim a Rosas dwa gigantyczne żuki — kanonierki idące z Rosas na wiosłach — pełzły po gładkiej lazuruwej powierzchni.

Tuż za rufą okaleczonego okrętu szły dwa pozostałe z eskadry francuskiej, trójpokładowiec z flagą wiceadmirała i dwupokładowiec w jego śladzie torowym. To był moment na podjęcie decyzji.

— Hej, oko! — zawołał Hornblower. — Widać może okręt flagowy?

— Nie, sir. Tylko „Casandrę”.

Hornblower z pokładu sam mógł dojrzeć na horyzoncie perłowobiałe bombramsle „Cassandry”; „Pluto” i „Caligula” muszą wciąż być oddalone o dwadzieścia mil — może unieruchomione ciszą. Słaby wietrzyk popychający „Sutherlanda” do zatoki to chyba bryza morska; dzień był na to dosyć upalny. Leighton nie zdąży pewnie przybyć na czas, by wziąć udział w walce. Hornblower mógł teraz zmienić hals i odpłynąć w bezpieczne miejsce, odpierając obu przeciwników, gdyby chcieli mu w tym przeszkodzić, mógł też zawrócić w ich stronę; ponieważ każda sekunda zbliża go o jard do Rosas, musi pospieszyć się z decyzją. Jeśli wda się w walkę, istnieje wprawdzie szansa, że Leighton zdąży pochwycić rozbite okręty, lecz szansa tak mała, że ni warto brać jej w rachubę.

„Sutherland” może zostać zniszczony, lecz nieprzyjacielskie okręty wyjdą z walki uszkodzone do tego stopnia, że będą musiały zatrzymać się w Rosas dnie, a może nawet tygodnie. A to było pożądane, gdyż upłynie kilka dni, zanim można będzie zacząć przygotowania do zaatakowania ich w miejscu zakotwiczenia, a w ciągu tego czasu mogłyby wymknąć się z Rosas — przynajmniej trzy z nich — tak jak wyniknęły się z Tulonu.

Hornblower ważył w myślach znaczenie straty siedemdziesięcioczerodziałowego okrętu dla Anglii i niechybnej utraty czterech liniowców przez Francję. A potem nagle zdał sobie sprawę, że marnotrawi tylko czas na te rozważania. Jeśli się cofnie, przez resztę życia będzie siebie oskarżał, że uczynił to ze strachu; zobaczył jasno przed sobą całe lata rozterek duchowych. Będzie walczył, słusznie czyniąc czy nie, i gdy powziął tę decyzję, pojął, że była właściwa. Poświęcił jeszcze sekundę, by popatrzeć na lazur nieba, które tak kochał, a potem stłumił w sobie wszelkie uczucia.

— Panie Bush, proszę przejść na lewy hals — rzekł.

Załoga, biedni głupcy, znów wznieśli okrzyk, zorientowawszy się, że będą stawiać czoło reszcie francuzów, mimo że oznaczało to pewną śmierć przynajmniej dla połowy z nich. Hornblower poczuł litość — a może to była pogarda? — dla ich bojowego szaleństwa czy tęsknoty za sławą. Bush jest taki sam jak reszta, sądząc, po tym, jak na ten rozkaz rozjaśniła mu się twarz. Pragnie krwi Francuzów tylko dlatego, że są Francuzami, i nie myśli o tym, że nawet jeśli zdąży strzaskać nogi paru Francuzom, sam może zostać beznogim kaleką.

Okaleczały dwupokładowiec z flagą kontradmirałską dryfując zbliżył się ku nim — ta bryza morska zepchnie wszystkie wraki do zatoki Rosas pod osłonę dział fortecznych — i ludzie, próbujący bez zapału pozbyć się szczątków, odbiegli swej pracy, gdy podniósłszy wzrok ujrzeli działa „Sutherlanda” skierowujące się na nich. Zanim oddryfowali, „Sutherland” zdołał oddać trzy salwy burtowe, których nie odwzajemnili nawet pojedynczym wystrzałem — jeszcze z pięćdziesięciu martwych Francuzów dla Busha, pomyślał zjadliwie Hornblower, gdy łoskot wózków działowych zamarł i ludzie stanęli w oczekiwaniu, teraz już cicho, przy swych armatach. Oto zbliża się trójpokładowiec, piękny pod piętrzącymi się płótnami żagli, lecz jednocześnie odrażający, ze swymi działami wyszczerzonymi w ich stronę. Nawet w tej chwili Hornblower z zawodowym zainteresowaniem zauważył w nim wyraźne zwięźenie górnej części kadłuba, znacznie większe, niż dopuszczali angielscy szkutnicy.

— Panie Bush, niech odpada powoli od wiatru — rozkazał. Zamierzał zatopić w trójpokładowiec swe zęby jak buldog.

Wolno, wolniutko „Sutherland” robił obrót. Hornblower zorientował się, że ten jego manewr „Sutherlandem” będzie tak doskonale wymierzony w czasie, jak można sobie tylko życzyć. Znalazł się na tym samym kursie co trójpokładowiec dokładnie w chwili, gdy tamten ustawił się naprzeciwko niego; armaty obu okrętów oddalone od siebie o sto jardów weszły w cel równocześnie i razem buchnęły hukiem i dymem.

W poprzednich starciach wydawało mu się, że czas się wlecze. Teraz miał wrażenie, że gna szybko naprzód, piekielny zgiełk salw burtowych zdawał się trwać bez przerwy, a postacie biegnące wśród dymu poruszały się jak gdyby dwakroć szybciej niż normalnie.

— Stery bliżej do nich — odezwał się Hornblower do sternika, i teraz, wydawszy ostatni rozkaz, mógł się poddać szaleńczej niekonsekwencji tego wszystkiego, co nastąpi. Zdawało mu się, że pociski rozdzierają pokład wokoło, wrywając wielkie szramy w poszyciu pokładu. Miał wrażenie, że śni mu się koszmarne sen, gdy zobaczył, jak Bush pada i z kikuta nogi, tam gdzie powinna być stopa, leje się krew. Dwaj ludzie z ekipy lekarza okrętowego schylili się, by zabrać go na dół.

— Zostawcie mnie na pokładzie — powiedział Bush. — Odczepcie się, wy psy, ode mnie.

— Zabrać go — rozkazał Hornblower. Chrypliwy ton jego głosu brzmiał naturalnie pośród szalonego chaosu panującego wokół; ucieszył się, że jest w stanie odesłać Busha do bezpiecznego miejsca, gdzie być może przeżyje.

Padła stenga stermasztu, za nią jak deszcz posypały się drzewca, bloki i talie — śmierć waliła się z nieba i raziła ich zza burt, lecz on wciąż jeszcze żył. Teraz właśnie przestrelony został strop rei fokmarsla; poprzez dym dojrzał niewyraźnie Hookera spieszącego z grupą ludzi na maszt, by naprawić uszkodzenie. Kącikiem oka zobaczył coś nowego i dziwnego majaczącego poprzez dym — był to czwarty okręt francuski podchodzący do nie zajętej bojem burty „Sutherlanda”. Załapał się na tym, że wymachuje kapeluszem i wykrzykuje jakieś słowa bez sensu do swoich ludzi, którzy odpowiedzieli mu okrzykiem i wprowadzili do akcji działą na prawej burcie. Dym zgęstniał, zgiełk stał się jeszcze straszliwszy, a po każdej salwie z dział cały okręt przebiegał dreszcz.

Mały Longley był przy nim, z pobladłą twarzą, jakimś cudem pozostały przy życiu po zwałeniu się sterstengi.

— Ja się nie boję, ja się nie boję — powtarzał chłopiec; jego mundur był rozdarty na piersiach, przytrzymał go, starając się ukryć łzy w oczach.

— Nie, synku, oczywiście że się nie boisz — powiedział Hornblower.

A potem Longley padł zabity, ze zmiążdżonymi rękami i rozszarpaną piersią. Jedno z dział na pokładzie głównym nie było wytoczone, zauważył to, odwracając wzrok od ciała chłopca. Miał już krzyknąć na obsługę, gdy spostrzegł, że wszyscy leżą martwi wokół armaty i zrozumiał, że nie ma już nikogo w zapasie, by rzucić do boju. Wkrótce więcej dział zamilknie. Z obsługi najbliższej karonady w tyle za nim zostało trzech ludzi — to samo przy następnej i dalszych. Niżej na pokład główny żołnierze piechoty morskiej nosili proch i pociski; Gerard musiał posłać ich do tej pracy, bo

pewnie wszyscy prawie chłopcy od noszenia prochu zginęli. Gdyby tylko ten zgiełk ucichł i pozwolił mu zebrać myśli!

Ale miał wrażenie, że hałas dwakroć się nasilił. Z rozdzierającym trzaskiem, który przebił się przez huk strzałów armatnich, zwały się naraz fok i grotmaszt i masa szczątków zwiśla przez prawą burtę. Pobiegł naprzód i zastał tam Hookera już trującego się z grupą ludzi, odkomenderowanych od dział niezdolnych do strzału, przy odcinaniu olinowania, by uwolnić się od szczątków. Gruby na trzy stopy koniec złamanej kolumny grotmasztu padając strzaskał wózek działa i zmiażdżył jego obsługę. Pociski z dwupokładowca znajdującego się z tej strony były w zajętych pracą ludzi i już dym ciągnął od płócien przewieszonych przez burtę, tam gdzie zapaliła się od ognia armat. Hornblower wyjął siekierę z rąk zabitego i zaczął ciąć i rąbać wspólnie z innymi. Gdy odcięto ostatnią linę i gorejąca masa opadła za burtę, a pobeżny rzut oka wykazał, że okręt nie zajął się od ognia, otarł pot z czoła i rozejrzał się wokół innym spojrzeniem.

Cały pokład był zasłany trupami i szczątkami ciał zabitych. Poszło koło steru, maszty, zmiecione zostały nadburcia, a w miejscach gdzie były zrębnice łuków, sterczały potrzaskane na drzazgi resztki desek. Lecz działa zdolne do boju strzelały dalej, choć każde ze zmniejszoną obsługą. Po obu stronach poprzez dym majaczył nieprzyjaciel, ale trójpokładowiec stracił dwie stengi, a dwupokładowiec stermaszt, żagle oba miały w strzępach, olinowanie zaś zwiślało w festonach ledwie widocznych w dymie. Strzelanina dalej szalała jak przedtem. W otepieniu zastanawiał się, jaki cudem przeżył i może iść przez burzę pocisków ku swemu stanowisku na pokładzie rufowym.

Wskutek nowego powiewu wiatru okręty zmieniły pozycje względem siebie. Trójpokładowiec obracając się podchodził bliżej; Hornblower z nogami jak z ołowiu biegł już na przód na lewą burtę, gdy dziób trójpokładowca z miażdżącym hukiem uderzył w dziób „Sutherlanda” z lewej burty. Francuzi zaczęli się zbierać do skoku na pokład „Sutherlanda”, i Hornblower w biegu wydobył szpadę z pochwy.

— Abordażowcy! — krzyknął. — Wszyscy do odparcia abordażu! Hooker, Crystal, odpierać ich!

Wysoko nad jego głową piętrzył się trójpokładowiec. Pluł z nadburcia ogniem muszkietowym, i Hornblower słyszał wokół siebie stuk kul o pokład. Z burt trójpokładowca spuszczały się w dół ludzie: uzbrojeni w szpady i piki, a jeszcze większy tłum wylewał się z furty strzelniczej w pokładzie środkowym na półpokład przyburtowy „Sutherlanda”. Hornblower poczuł, jak porywa go fala marynarzy brytyjskich, z nożami i pikami, stemplami do prochu i handszpakami, nagich do pasa i szarych od dymu. Wszyscy parli naprzód, ślizgali się i walczyli. Pchnięto go na wytwornego francuskiego porucznika, z pokraccie przekrzywionym kapeluszem. Nie mógł przez chwilę podnieść ramion, przyciśniętych przez napierający tłum, a tymczasem Francuz usiłował wydobyć pistolet z kabury u pasa.

— Rends-toi — wypluł, wyciągnawszy broń, lecz Hornblower kopnął go potężnie; Francuz zawył z bólu i wypuścił pistolet z dłoni.

A trójpokładowiec odsuwał się pod naciskiem wiatru i drągów, którymi Crystal i Hooker ze swymi ludźmi odpychali go od burty. Niektórzy Francuzi skakali z powrotem na swój okręt, inni do

morza. Z tuzin tych, co zostali, rzuciło broń — jeden zbyt późno, by powstrzymać pikę, która przedziurawiła mu brzuch. Trwający wciąż powiew odpychał oba okręty francuskie od pozbawionego masztów „Sutherlanda” i rozwiewał dym. Wyrzało słońce, jak gdyby spoza chmury, i oświetliło ludzi i potworne zniszczenie na pokładach; zgiełk strzelaniny urwał się jak za nakazem różdżki czarodziejskiej, gdy działa przestały nacierać już na cel.

Hornblower stał ze szpadą w dłoni, a ludzie wokół niego wiązali jeńców. Cisza, jaka teraz nastąpiła, nie przyniosła mu oczekiwanej ulgi — wprost przeciwnie, czuł się otępiały, stumaniony i tak wyczerpany, że tylko ogromnym wysiłkiem mógł się zmusić do jasnego myślenia. Wiatr zagnał „Sutherlanda” daleko w zatokę, nie widać było śladu „Plutona” i „Caliguli” — tylko „Cassandrę”, za horyzontem, bezradną obserwatorkę walki. Oba rozbite okręty francuskie, równie niemal bezwolne jak „Sutherland” z powodu uszkodzeń takielunku, unosiły się opodal na wodzie; Hornblower zauważył ciemny strumień ciekący po burcie trójpokładowca z jego otworów ściekowych — ludzka krew.

Trójpokładowiec dalej się obracał, zgruchotana burta stała się teraz niewidoczna, gdyż zwrócił się rufą, a potem drugą burtą do dziobu „Sutherlanda”. Hornblower patrzył na okręt wroga z otępieniem. I nagle — diabelski huk i salwa burtowa runęła rażąc „Sutherlanda”. Chmura odłamków rozprysła się z trafionego kikuta fokmasztu, a działo obok, Hornblowera zadźwięczało jak dzwon, gdy uderzył w nie pocisk.

— Och, dość tego! — mruczał Hornblower. — Na litość boską!

Marynarze na pokładzie „Sutherlanda” znów powlekli się do dział. Nigdzie nie było widać Gerarda, tylko Hooker — dobry chłopak z niego — szedł wzdłuż pokładu głównego przydzielając ludzi do armat, tak że niektóre z nich przynajmniej mogły strzelać. Lecz ludzie ślaniali się ze zmęczenia i teraz żadne działo nie będzie bić celnie, a pozbawiony masztów „Sutherland” nic już nie może zrobić dla swego ocalenia. Jeszcze jedna salwa burtowa przeszła przez pokład łamiąc wszystko i niszcząc. Wśród zgiełku bitewnego Hornblower wyłowił słabszy hałas — nikły chór jęków rannych, leżących stosami w każdym zakątku okrętu. Kanonierki ostrożnie posuwały się na wiosłach, by zająć pozycję pod rufą „Sutherlanda”; wkrótce zaczną walić w niego ze swych czterdziestodwufuntówek nad samą linią wody. Słońce, lazurowe niebo, błękit wody; szarozielone wzgórza Hiszpanii, złocisty piasek plaży i białe domki Rosas — Hornblower patrzył na to wszystko, a serce rozdzierał mu ból.

Jeszcze jedna salwa burtowa; zobaczył, jak dwaj ludzie u boku Hookera padają rozbici na krwawą masę.

— Opuścić — powiedział sam do siebie. — Musimy opuścić banderę.

Ale „Sutherland” nie miał już bandery, by ją można było opuścić, i przechodząc na rufę Hornblower głowił się nad tym problemem. Czterdziestodwufuntowe działo z jednej z kanonierek ryknęło głośno i Hornblower poczuł szarpnięcie, gdy pocisk rąbnął w burtę pod nim. Na pokładzie rufowym był Hooker, Crystal i cieśla Howell.

— W zębie jest cztery stopy wody, sir — powiedział cieśla — i ani jednej całej pompy.

— Tak — rzekł Hornblower posepnie. — Poddam się.

Wyczytał zgodę w poszarzałych twarzach oficerów, lecz żaden nie odezwał się ani słowem. Gdybyż „Sutherland” mógł z miejsca zatonać wraz z nimi, lecz na to nie można było liczyć. Będzie tylko nabierał coraz więcej wody, pokłady jeden po drugim będą nikać pod falami, a bezlitosna kanonada będzie trwała dalej. Może minąć doba, nim całkiem zatonie, a w tym czasie najsłabszy nawet wiatr może go zepchnąć na mieliznę, pod ostrzał dział z Rosas. Nie pozostawało nic innego, jak poddać się. Pomyślał o innych kapitanach brytyjskich, którzy znaleźli się w podobnej sytuacji. Thompson na „Leandrze”, kapitan „Swiftsure'a” i ten nieszczęśnik pod dowództwem Saumareza w zatoce Algeciras; oni też opuścili bandery po długiej walce przeciwko przeważającym siłom.

Ktoś wołał z dwupokładowca; nie rozumiał słów, lecz musiało to być żądanie poddania się.

— Oui! — odkrzyknął. — Oui!

Odpowiedzią była jeszcze jedna salwa burtowa; posypały się odłamki drewna przy akompaniamencie krzyku z dołu.

— O Boże! — westchnął Hooker.

Hornblower pojął, że musiał nie zrozumieć pytania i wraz z uświadomieniem sobie tego przyszedł pomysł rozwiązania trudności. Pobiegł jak mógł najszybciej na zeszywniałych nogach na dół, do rozbitej kabiny, która przedstawiała nieopisany obraz chaosu i zniszczenia, a ludzie przy działach patrzyli na niego nieruchomym wzrokiem, jak zwierzęta. Znalazł wreszcie to, czego szukał, i wyszedł na pokład rufowy naręczem płótna.

— Macie — powiedział dając je Crystalowi i Howellowi. — Wywieście to przez burtę.

Była to trójkolorowa flaga, którą kazał zrobić, by zmylić baterie w Llanzy. Na jej widok ludzie w kanonierkach schylili się nad wiosłami, by dobić do burty „Sutherlanda”, a Hornblower stojąc w słońcu, które prażyło jego obnażoną głowę, czekał na nich. Zabiorą mu honorową szpadę. A druga jest dalej w zastawie u Duddingstone'a, kupca, co zaopatruje okręty, i teraz, gdy jego kariera się skończyła, już nigdy jej nie odzyska. Podziurawiony kadłub „Sutherlanda” zostanie odnotowany triumfalnie pod zasięg armat w Rosas — ile czasu upłynie, zanim flota śródziemnomorska przybędzie, by go pomścić, zabrać z rąk zdobywców lub spalić razem z rozbitymi okrętami zwycięskiego wroga? Przez lata niewoli nie zobaczy dziecka, które urodzi mu Maria. A Lady Barbara przeczyta w gazetach, że dostał się w ręce wrogów — co pomyśli na wieść o tym, że się poddał? Lecz słońce paliło go w głowę i czuł się bardzo zmęczony.

---

[1] Jean Crapaud (lub Johnny Crapaud) — pogardliwa nazwa z tego okresu dawana Francuzom przez Anglików (fr. crapaud — ropucha).

[2] Mierzono też w funtach dwunastouncjowych.

[3] Gros — 12 tuzinów.

- [4] Wzorowy — wiosłarz siedzący na pierwszej od rufy ławie łodzi, nadający tempo wiosłowania (w obecnym tomie Forestera objaśniamy w przypisach tylko terminy żeglarskie nie występujące w Szczęśliwym powrocie, w którym pomieściliśmy słowniczek, i chętnych czytelników odsyłamy do niego).
- [5] Moleskin — tzw. skóra angielska, rodzaj tkaniny bawełnianej.
- [6] Ushant — angielska nazwa francuskiej wyspy Ouessant.
- [7] Flushing — angielska nazwa holenderskiego miasta Vlissingen.
- [8] Chodzi o Półwysep Pirenejski.
- [9] Nazwa eskadra „czerwona”, tak jak „biała” i „niebieska”, pochodzi od koloru podnoszonej bandery (red ensign, white ensign, blue ensign). White ensign przekształciła się w banderę marynarki wojennej dla uczczenia pamięci Nelsona, który był pod Trafalgarem dowódcą eskadry „białej”. Blue ensign stała się banderą jednostek pomocniczych marynarki wojennej, a red ensign banderą marynarki handlowej.
- [10] Cieśniny Gibraltarskiej.
- [11] „Britons...”, „Come cheer up...” — marynarskie pieśni („Uderzcie celnie, Brytanie” i „Radujmy się, druhowie, oto płyniemy ku sławie”), śpiewane do dziś w angielskiej marynarce wojennej.
- [12] Londynu
- [13] Tamizy
- [14] francuz — w znaczeniu okrętu francuskiego
- [15] Kanał Angielski, inaczej kanał La Manche.
- [16] Tu: Kompanii Indyjskiej.
- [17] Tu statki Kompanii Indyjskiej.
- [18] Poprawnie: monsieur (fr.).
- [19] 39 artykułów wiary według kościoła anglikańskiego.
- [20] Tartana — statek jednomasztowy.
- [21] Feluka — nieduży szybki statek jedno- lub dwumasztowy z ożagleniem łacińskim (trójkątnym), często uzbrojony.
- [22] Malgret — prawdopodobnie przekręcona hiszpańska nazwa Malgrieta czy Malgreda; nie figuruje w atlasach.
- [23] Dolman — płaszcz huzarski.
- [24] Kapitan angielskiego statku Robert Jenkins oświadczył w 1738 r. w Izbie Gmin, że hiszpańska straż przybrzeżna podejrzewając go o przemyt wśród tortur w 1731 r. obcięła mu ucho i zademonstrowała okaleczała głowę. Dało to asumpt do wypowiedzenia Hiszpanii



w r. 1739 wojny „o ucho Jenkinsa”.

[25] Knight of the Bath — kawaler Orderu Łaźni.

[26] Perta — lina rozciągnięta pod reją.

[27] prawą nogę.

[28] Meseta (od hiszp. mesa — stół) — jako słowo pospolite: płaskowzgórze, także nazwa własna wyżynno-górskich obszarów środkowej części Półwyspu Iberyjskiego.

[29] Makia — zarośla wiecznie zielonych drobnolistnych kolczastych krzewów w klimacie strefy śródziemnomorskiej (hiszp. moqui, wł. macchia, fr. maquis)

[30] Bonaparcio.

[31] Brander — mały stary statek, naładowany materiałami zapalnymi (drewnem, oliwą, smołą itp.), który po podpaleniu puszczano z wiatrem na flotę nieprzyjacielską; załoga w odpowiednim momencie schodziła ze statku do łodzi.